

JANUSZ

MEISSNER



Zielona brama

WYDAWNICTWO SPÓŁDZIELCZE

Zielona Brama

Korsarz Jan Marten #3 Zielona
brama

Od roku 1562 przez lat trzydzieści Francja była widownią i polem prawie nieustannych bratobójczych bitew pomiędzy hugonotami a katolikami. Wojny religijne rozpoczęte za panowania Karola IX, a właściwie za regencji jego matki, Katarzyny de Medici, przetrwały dynastię Walezjuszków i wygasły dopiero pod rządami Henryka IV de Bour-bon. Ów „król bez królestwa, żołnierz bez pieniędzy, mąż bez żony”, wódz hugonotów, dla którego różnice między dwoma wyznaniem nie odgrywały większej roli i który dla celów politycznych wielokrotnie je zmieniał, zdobywszy wreszcie tron, zastał Francję w ruinach i zgliszczach. Krew siedmiuset tysięcy zabitych wsiąkała w Jej ziemię; dziewięć miast i czterysta zamków legło w gruzach, sto dwadzieścia pięć tysięcy domostw obróciło się w popiół. To, co nie uległo całkowitemu zniszczeniu, pożerała nędza. W Lyonie, w Tours, w ocalałych miastach, liczących niegdyś po pięćset lub sześćset warsztatów tkackich, pozostało ich kilka, a ceny wyrobów przemysłowych i artykułów spożywczych wzrosły niebywale. Ogromne przestrzenie uprawnych pól i winnic leżały odłogiem, wsie i całe okręgi były bezludne, opusz czone, zdziczałe.

Ten stan rzeczy trwał także po koronacji w Chartres w lutym i zajęciu Paryża w marcu roku 1594. Nadzieje na poprawę rozpaczliwej sytuacji państwa zaświtały dopiero w parę lat później, gdy u boku bohaterskiego króla znaleźli się mądrzy doradcy, a przede wszystkim Maksymilian de Bethune, pan de Rośny, późniejszy książę Sully, towarzysz wojenny i powiernik Henryka, oraz Bartłomiej Laffemas, były czeladnik krawiecki, później lokaj królewski, wreszcie generalny kontroler handlu.

Pierwszą akcją gospodarczą pana de Bethune. jako członka Królewskiej Rady Finansowej, była podróż inspekcyjna po Francji dla zbadania gospodarki urzędników skarbowych w roku 1596. De Bethune zabrał się do tego z nie" zwykłą energią i pracowitością. W ciągu kilim miesięcy sprawdzał rejestry i kwitariusze, wykrywał nadużycia, egzekwował sumy przywłaszczone przez poborców, skreślał nadmierne wydatki administracyjne i zaprowadzał nowe porządki. W rezultacie przywiózł królowi do Rouen, pół miliona talarów załadowanych na siedemdziesiąt dwie karoce, które eskortowała silna straż wojskowa.

Odtąd, mimo trwających jeszcze zamieszek wewnętrznych i przewlekłej wojny z Hiszpanią, zaczęły się reformy gospodarcze które w bardzo krótkim czasie wydobyły Francję z ruiny. Pan de Bethune, teraz już nadintendent finansów, stworzył pierwszy uporządkowany system księgowości skarboowej i położył kres nadużyciom bogatych. Okazało się że ponad czterdzieści tysięcy wzbogaconych ludzi na podstawie fałszywych dokumentów uchylało się od płacenia podatków. Wyegzekwowano od nich sto pięćdziesiąt milionów franków, a dochody i wydatki skarbu zostały nie tylko zrównoważone ale można było jeszcze oszczędzać rocznie około sześciu milionów franków na rezerwę nadzwyczajną, przechowywaną w złocie w lochach Bastylji.

Wkrótce znów zakwitły winnice i sady, zafalowały łany

zbóż, bydło ukazało się na pastwiskach. Po odbudowanych miastach powstawały warsztaty i fabryki.* braci Gobelinów w Paryżu, produkująca makaty i tkaniny obrazowe; zakłady sukiennicze w Normandii, Langwedocji i Szampanii; papiernicze w Delfinacie; warsztaty koronkarskie w Senlis; tkalnie płótna w Rouen; stalownie pod Paryżem; huty szkła i kryształów w Melun; różne zakłady przemysłowe w Lyonie, Poitiers, Tours, Orleanie i Nantes.

Wraz z rozwojem przemysłu i handlu, dzięki rozumnej polityce skarbowej można było rozpocząć wielkie roboty publiczne. Budowano więc nowe drogi i mosty, po których pędziły dyliżanse pocztowe, kopano kanały, osuszano bagna, rozbudowywano porty. Przed Francją Henryka IV rysowała się przyszłość pogodna i wspaniała. Potrzebny był jej tylko długotrwały pokój.

Tymczasem Jednak trwała wojna z Hiszpanią. Don Pedro Henriquez d'Azevedo, hrabia de Fuentes, 14 kwietnia 1596 zdobył Calais, zagrażał północno-wschodnim okręgom Sommy i przygotowywał się do marszu na Amiens. Roko-wania o pomoc angielską uwieńczone zostały sojuszem, lecz projekt wspólnej akcji przeciw wojskom hiszpańskim w Niderlandach upadł. Jediną pomyślną wiadomością było zwycięstwo Anglików w Kadyksie, zwycięstwo równie wspaniałe, jak nie wyzyskane strategicznie i politycznie. Elżbieta zadowolila się zniszczeniem Drugiej Armady hiszpańskiej, którą Filip zamierzał wysłać na pomoc Irlandii, a – być może – również na podbój Anglii. Poprzestała na tym. Nie kwapiła się wspierać Henryka na ziemi francuskiej.

Tę wiadomość, przesłaną przez ambasadora Francji z Londynu, wkrótce potwierdzili i uzupełnili wieloma szczegółami dwaj korsarze angielscy, którzy brali udział w ataku na Kadyks, a także znany kupiec i bankier Henryk Schultz, który miał rozgałęzione stosunki handlowe i szczyli się protekcją samego pana de Bćthune.

Ow Schultz pochodził z Polski, a jego dom handlowy i kantor bankierski w Gdańsku były dobrze znane nie tylko we Francji, lecz również w wielu miastach hanzeatyckich i we wszystkich znaczniejszych portach Europy. W Hamburgu, Amsterdamie i Kopenhadze posiadał filie, a teraz zamierzał utworzyć filię również w Bordeaux.

Pan de Bethune bardzo go sobie cenił. Zsięgał jego rady przy niektórych operacjach finansowych, zlecał mu nawet opracowanie umów o pożyczki, w których realizacji Schultz częściowo uczestniczył jako bankier. Tym sposobem jego znaczenie i powaga zostały od początku ugruntowane.

Co się tyczy korsarzy to obaj byli Francuzami, choć ich okręty używały dotychczas angielskiej bandery w służbie Elżbiety. Jednego z nich, Ryszarda de Belmont, kapitana okrętu "Toro", pan de Bethune znał osobiście; drugi nazywał się Pierre Carotte i właściwie trudnił się raczej handlem morskim niż korsarstwem.

Za nim to wstawił się Henryk Schultz, prosząc swego protektora o prawo

podniesienia francuskiej bandery na statku "Vanneau" i o wpisanie go do rejestru portowego. Nie natrafił przy tym na żadne trudności: de Bethune-Rosny lubił klejnoty, skarb królewski potrzebował pieniędzy, a Henryk IV – zarówno okrętów, jak marynarzy. Dwaj przybysze z Kadyksu czynili zadość wszystkim tym zamięłowaniam i potrzebom; ładownie „Toro” i „Vanneau” zawierały znaczną zdobycz; dziesiąta jej część zasilła kasę królewską, a kilka pięknych drobiazgów ozdobiło kapelusz i kołnierz przyszłego ministra finansów.

Lecz było to niczym w porównaniu z okrągłą sumą pięćdziesięciu tysięcy dukatów, które tytułem dziesięciny uiścił trzeci korsarz, przybyły do Bordeaux w kilka dni później.

Ten nazywał się Jan Kuna, lecz był lepiej znany pod nazwiskiem Jana Martena. Dowodził bardzo pięknym, choć

niewielkim okrętem „Zephyr”, którego czarna bandera od lat kilkunastu budziła postrach wśród Hiszpanów; postrach nie mniejszy od tego, jaki w nich wzbudzał Francis Drake lub Hawkins.

O „Zephyrze” i jego kapitanie krążyły niemal legendarne opowieści. Niegdyś, płynąc w eskorcie posła francuskiego wracającego z Polski, sam tylko przedarł się przez blokadę duńską w Sundzie i wydostał się na Morze Północne; walczył na wodach niderlandzkich wspomagając ge-zów Wilhelma Orańskiego; przeszedł na służbę angielską i nękał Hiszpanów na Atlantyku, a następnie przez kilka lat z rządu uprawiał korsarskie rzemiosło na Morzu Karaibskim i w Zatoce Meksykańskiej; bądź w przymierzu z Drake'em, bądź z innymi korsarzami zdobył kilka portów i miast w Nowej Hiszpanii, a między innymi Veracruz i Ciudad Rueda; omal nie został królem indiańskiego państewka Amaha; zebrał ogromną fortunę i następnie ją roztrwonił; w roku 1588 podpalił okręty Wielkiej Armady w Calais, ostatnio zaś, po zwycięskim ataku na Kadyks, dopędził na pełnym morzu trzykrotnie większą, potężnie uzbrojoną karawelę, zdobył ją abordażem i zagarnął jej ładunek w srebrze i złocie wartości pół miliona pistoli. Obliczano, że w ciągu szesnastu lat zatopił około pięćdziesięciu okrętów i statków nieprzyjacielskich, zabierając łupy z dwudziestu kilku. Nigdy jakoby nie odniósł żadnej rany, ponieważ jego matka, podejrzana o czary, nauczyła go jakiegoś zaklęcia przeciw kulom i ciosom wrogów.

Na „Zephyrze” miała przebywać kochanka owego bohatera i awanturnika, porwana z jakiegoś hiszpańskiego zamku. Jej uroda i odwaga zdumiewały każdego, kto ją ujrzał, a klejnoty i suknie, jakie posiadała, mogłyby stanowić przedmiot zazdrości niejednej królowej.

Nie wszyscy dawali wiarę tym fantastycznym wieściom, lecz było faktem, że przynajmniej jedna królowa, i to wład-

czyni zwycięskiej Anglii, płonąła gniewem i zemstą przeciw kapitanowi „Zephyra”. Nie tylko z powodu sukien i klejnotów jego kochanki przede wszystkim dlatego, że Marten, porzuciwszy bez wypowiedzenia służbę pod banderą angielską, nie wpłacił pięćdziesięciu tysięcy dukatów do kasy jej królewskiej mości, a przy tym zdołał w porę zrealizować pewne swoje należności od skarbu, tak że nie można było położyć na nich aresztu. Podobnie zresztą postąpił kawaler de Belmont i kapitan Carotte.

Wszyscy trzej – sławny korsarz, wytworny szlachcic przyjmowany u dworu i skrzętny kupczyk o dobrodusznym wyglądzie – okpili ją haniebnie. Elżbieta przez swego posła żądała wydania ich wraz z zagrabionymi łupami, protestowała przeciw udzielaniu im azylu we Francji, groziła zatrzymaniem okrętów francuskich w swoich portach.

Henryk IV bawił się jej wściekłością. Nieraz dała mu się we znaki, a jeśli też nieraz wspomagała go swymi pieniędzmi i wojskami, to tylko we własnym interesie ~ wiedział o tym aż nadto dobrze.

Usłyszawszy od pana de Bethune o romantycznym korsarzu zainteresował się przede wszystkim jego piękną branką.

–Widziałeś ją? – zapytał.

De Bethune zaprzeczył; nie miał na to czasu.

–Starzejesz się, mój Rosny – powiedział król. – Starzejesz się, choć jesteś młodszy ode mnie o siedem lat. Jabym nie wytrzymał, aby jej nie zobaczyć! Jak tylko będziemy w Bordeaux, musisz mi ją pokazać.

–O ile zastaniemy tam Martena i jego okręt, sire ~ odrzekł de Bethune.

–Musisz to jakoś urządzić. Trzeba podziękować tym dzielnym kapitanom, jak na to zasługują.

–Jeśli wasza królewska mość ma na myśli owego Martena, to wydaje mi się, że względy waszej królewskiej mości

okazane jego kochance bynajmniej nie zostałyby przez niego poczytane za wyraz wdzięczności – powiedział de Bethune, – O ile wiem, jest diablo zazdrosny, a przy tym nieustraszony i gotów ważyć się na wszystko.

–Ostrzegasz mnie! – roześmiał się Henryk.

Rosny poważnie skinął głową.

–Tym razem tak, sire – rzekł z powagą – Na

honor, to mnie doprawdy zaciekawia!

–Mnie zaś niepokoi – mruknął Rosny. – Chociaż... –

uśmiechnął się i umilkł.

Pomyślał o Gabrieli d'Estrees, której nie cierpiał i która odpłacała mu tym samym.

A może?... – myślał. – Może ta seniorita potrafiłaby zawładnąć sercem Henryka i usunąć w cień Gabrielę? Kto wie...

–Co tam mruyczysz? – zapytał król.

De Bethune oświadczył, że Marten przesyła jego królewskiej

mości szpadę.

–Miała być rzekomo darem corregidora Santa Cruzdla

Filipa – dodał skinąwszy na młodego dworzanina,który podał mu

szpadę w pochwie obciągniętej safianowąskórą ze złotymi

okuciami.

Henrykowi błysnęły oczy. Ujął szpadę i wyciągnął cyzelowaną klingę. Była lekka jak piórko. Spróbował złożyć się, ciąć, oparł ostrze o podłogę i zgiął je w łuk, a potem poderwał w górę. Stal zadrżała i warknęła, dźwięcznie, on zaś uśmiechnął się widząc, że nie pozostał nawet najlżejszy ślad wygięcia.

Dopiero teraz spojrział na rękojeść i gardę. Uchwyt z kości słoniowej wyrobiony był w drobne karby przedzielone złotym wężykiem o misternej łusce i zakończony wspaniałym krwistoczerwonym karbunkulem. Na rzeźbionej pozłocistej osłonie mieniły się szafiry i granaty; takie same klejnoty ozdabiały okucie pochwy.

~ Jest piękna ~ powiedział Henryk. – Jeżeli się nie

mylę, karbunkuł jedna przyjaźń, szafir zapewnia cnotę i dobrą cerę, co zresztą rzadko idzie w parze, a granat sprzyja wesołości. Jeśli kochanka tego Martena posiada wszystkie te zalety, a przy tym jest tak pełna wdzięku jak ta szpada, doprawdy warto ją poznać bliżej. W każdym razie nie wydamy Elżbiecie twoich korsarzy, Rosny. Tamci dwaj są Francuzami... Ba! Przecież chyba już kiedyś widziałem tego Belmonta? – wykrzyknął nagle.

–W Pau, wasza królewska mość – dopomógł jego pamięci Armagnac, pierwszy kamerdyner królewski. – Był tam z Antonio Perezem.

–Prawda! Belmont... Ryszard de Belmont. Podobał mi się. Czy Marten jest do niego podobny?

–Nie ma dworskiej ogłady – odrzekł de Bethune – choć

podobno zdarzało się, że rozmawiał z Elżbietą. Jest bardzo pewny

siebie, jak to się często zdarza ludziom o wielkiej sile fizycznej,

którzy są przy tym odważni i wspaniało-

--myślni.

~ Pochlebiasz mu – roześmiał się Henryk

–Sądząc z tego, co o nim mówią, jest taki – odrzekł

Rosny. – Przy tym wygląda na człowieka, któremu można

zaufać.

~ A jednak Elżbieta trochę się na nim zawiodła!

–Ba, zdaje mi się, że i on, i wielu innych zawiodło się najpierw na niej – odparł de Bethune. – Zresztą nie był jej poddanym. Pochodzi z Polski.

–Więc dobrze – powiedział Henryk. – Przyjmujemygo dar z dziecięcnością i zadowoleniem. Wydamy mu patent korsarski, a przy sposobności zawrzemy z nim znajomość. Przypomnij mi o tym, Armagnac!

Upojenia miłosne, jakim oddawał się Marten w ramionach swej młodej i pięknej kochanki, znalazły godne jej

urody otoczenie wśród łagodnych wzgórz i winnic Medoc. Na lewym brzegu Girondy, w pobliżu małego fortu położonego na południe od Pauillac, szeroka, usiana wyspami rzeka wrzyna się w ładną głęboką zatokę o spokojnej toni. U jej końca kryje się niewielka przystań zbudowana z grubych pni dębowych, a nad nią tarasami wstępuje w górę winnica uwieńczona brzoskwiniowym sadem, za którym bieleją ściany szlacheckiego dworku.

Ten dworek – może raczej niewielki zameczek – należał do pana de Margaux, który jednak w nim nie mieszkał. Bowiem Ludwik de Margaux, z urodzenia ziemianin, z zamiłowania żeglarz i podróżnik, stracił swój majątek na wyprawy za ocean idąc śladami Verazzanigo i Cortiera. Pozostała mu jedynie owa podupadła rezydencja z małą winnicą i zdziczałym sadem, której nikt nie chciał kupić. On sam przebywał bądź w La Rochelle, bądź na morzu jako kapitan królewskiego okrętu wojennego

„Victoire” a winnicą i dworkiem opiekował się po trosze dawny przyjaciel rodziny, sędzia z Pauillac, pan de Castelnau.

Marten dowiedział się o możliwości nabycia tej rezydencji, szumnie zwanej chateau Margaux-Medoc, od wszechwiedzącego Henryka Schultza, któremu powierzył również swój udział w zdobyczy, po czym nie targując się kupił dwór wraz z ziemią i przystanią w zatoce.

„Zephyr”, pozbywszy się swego cennego ładunku stanął na cumach u krótkiego pomostu,” a do Margaux-Medoc przybyła czereda rzemieślników,— cieśli stolarzy, murarzy i ogrodników, aby odnowić dom i doprowadzić do porządku ogród, sad oraz winnicę. Potem, gdy już dach, ściany i wnętrze zameczku zostały gruntownie odrestaurowane, gdy położono wspaniałe posadzki i wymieniono marmurowe filary kominków, gdy otoczenie dworu zamieniło się w park z cienistymi alejkami przecinającymi sad, strzyżonymi trawnikami i kwietnikami, na których pyszniły się najpiękniejsze

róże, Henryk Schultz na prośbę Martena zajął się umeblowaniem pałacyku swego dawnego kapitana.

Z Bordeaux, z Clamecy, nawet z Paryża przybywały rzeźbione sepey, łoża, stoły i krzesła, fotele obite złotogłowie i adamaszkiem, kryształowe lustra weneckie, ciężkie szafy i kredensy z palisandru, a także tureckie i perskie dywany z Marsylii, srebrne świeczniki ścienne i „pajaki”, far-fury, szkła i srebro stołowe.

Marten sam dobrał sobie poczwórny zaprzęg karych koni, a w Bordeaux zakupił karocę do podróży i lżejszy pojazd spacerowy. Służba męska otrzymała zieloną liberię ze złoconymi guzami i szamerowaniami, a dziewczęta takie same spódnice i gorsety.

Wszystkie te wspaniałości i zbytki były jednak niczymw

porównaniu ze strojami i klejnotami seniority Marii Franceski de

Vizella, której piękność musiała zyskać iście kró

**lewską oprawę. **

Marten nie żałował na ten cel pieniędzy, zwłaszcza że wydawało mu się, iż ma ich nieprzebraną ilość. Nie bardzo wiedział, ile wydaje; rachmistrzyki prowadzili usłudźni, zawszeuprzejmie uśmiechnięci rachmistrze Schultza, przez których ręce płynął strumień złota w Bordeaux.,.,

Lecz Marie pragnęła podobać się nie tylko swemu panu. Któż miał podziwiać jej stroje prócz niego? Kto miał mu zazdrościć?

Nie wystarczały jej, rzecz prosta, zachwyty kawalera de Belmont, rumieńce Stefana Grabińskiego i łakome, pełne tajonej namiętności spojrzenia Henryka Schultza. Pan de Castelnaud, sędzia z Pauillac, i kapitan Ludwik de Margaux, z którym Jan Marten się zaprzyjaźnił, byli ludźmi w starszym wieku, poważnymi hugonotami o niewzruszonej cnocie. Dowódca garnizonu w Bordeaux, krzykliwy pijak, wydał jej się ordynarny i głupi. Carotte nie wchodził w rachubę, jakkolwiek lubiła go za dowcip i wesołość; bywał

zresztą rzadkim gościem w ehateau; pochłaniały go interesy i podróże handlowe.

Było jeszcze kilku kapitanów korsarskich, znajomych z dawnych czasów, którzy odwiedzili Martena późną jesienią. Ale señorita uznała ich za prostaków. Nie takiego towarzystwa pragnęła.

–Więc jakiego? – spytał Marten.

Chciała się bawić. W Bordeaux zaczynał się karnawał. W

domach wysokich urzędników królewskich, w ratuszu, w pałacu gubernatora, w wielkopańskich rezydencjach odbywały się już pierwsze przyjęcia i bale.

–Ależ ja nie znam tych wielmożnych panów po wiedział Marten.

–Powinieneś ich poznać – odrzekła. – Ryszard i Henryk mogliby ci to ułatwić. Poza tym nie znamy nikogo z sąsiedztwa. Hrabia de Blanquefort, pan cle Carnariac, pan de La Sauve...

–Może jeszcze Duplessis-Mornay i de Bourbon? – roześmiał się. – Trochę za wysokie progi dla Jana Kuny...

Zmarszczyła lekko brwi. Pomyślała z dumą, że ród de Vizella w niczym nie ustępuje Mornayom i Bourbonom. Zamiast tego odrzekła:

–Jesteś sławny. Sławniejszy od wielu z nich.

Pochlebilo mu to. Rozesłał trzy uprzejme listy do trzech

sąsiednich zamków z zawiadomieniem o zamiarze złożenia wizyty. Po upływie tygodnia nadeszła równie uprzejma odpowiedź, ale tylko jedna: pan de Carnariac zapraszał Martena i jego przyjaciółkę na polowanie w dniu swego patrona, św. Antoniego. Hrabia de Blanquefort i pan de La Sauve nie kwapili się z zaproszeniami; nie odpowiedzieli wcale.

–Nie martw się tym – pocieszała Martena jego ubó

stwiana, – Każdy początek jest trudny.

~ Wiem coś o tym -" roześmiał się patrząc w jej oczy. – Czekałem kilka miesięcy na zaproszenie do twojej kajuty na „Zephyrze”. Ale bynajmniej nie martwię się brakiem gościnności czy też lekceważeniem ze strony Jakiegoś hrabiego czy barona. Mam ich obu gdzieś. Natomiast de Carnariac wydaje mi się wcale do rzeczy, Jakkolwiek uważają go za rogacza. Podobno jest zupełnie zadowolony ze swego losu pod tym względem.**

–Podobno – potwierdziła Maria Francesca z uśmiechem nieco wymuszonym, ponieważ o wiele bardziej by jejdogadzało, gdyby Charlotta de Carnariac przebywała przymężu zamiast w Angouleme u boku pewnego wzbogaconegofabrykanta papieru.

Pomyślała, że dom pana de Carnariac nie cieszy się najlepszą opinią, podobnie jak trzy jego córki – Józefina, Katarzyna i Luiza, do których zalecał się z powodzeniem cały legion młodych kawalerów. Lecz bądź" co bądź Carnariac był spokrewniony z arystokracją, przyjmowany przez pierwsze rody w Charente i Bordeaux oraz cieszył się przyjaźnią młodego księcia Karola de Valois. Pod względem towarzyskim te Jego wady i zalety zdawały się wzajemnie równoważyć; a – Jak sama powiedziała – trzeba było od czegoś zacząć; od czegoś niekoniecznie w najlepszym gatunku...

Marten miał ochotę na owo polowanie. Kazał wyciągnąć z wozowni lekką karetkę polakierowaną na kolor kości słoniowej, ze srebrnymi okuciami i aksamitnym zielonym obiciem wewnątrz. Zaprzężono do niej tylko Jedną parę koni* za to dwaj forysie z pejciami w rękach jechali przodem na wierzchowcach, a z tyłu, za powozem podążał brek z kuframi Marie.

Tak zajechali do Carnariaca, zabrawszy po drodze Bel-monta, który mieszkał w Bordeaux i również został zaproszony przez pana Antoniego.

Dom tego ostatniego tylko z zewnątrz, i to z daleka, wyglądał okazale. Za zbliżeniem się widać było jego zaniedbanie wyzierające spoza wykruszonych murów, dziurawego mostu i ścian, z których odpadł tynk. Na podjeździe gospodarowały świnie i gęsi, dachy stajen i obór przeciekały, a wrota bramy wjazdowej ledwie trzymały się w zawiasach zżartych przez rdzę.

Gospodarz tego domostwa, człowiek dość niepozorny i równie mało dbający o swą powierzchowność, jak o porządek na podwórku, liczył sobie około czterdziestki. Obdarzony był od natury wielkim, mocno zaczerwienionym nosem i rzadkim zarostem, który sprawiał, że jego twarz przypominała kozła. Kozła nie tyle upartego, ile ciekawego i wesołego, jakim był w istocie.

Na odgłos nadjeżdżającego powozu, który przepłoszył wrzaskliwe stado gęsi, zjawił się na progu w towarzystwie damy uchodzącej za jego kuzynkę, cały w ukłonach i

przyjaznych uśmiechach, po czym z galanterią pomógł senorcie de Yizella wydostać się z karety.

–Cieszę się, niezmiernie się cieszę – powtarzał w kółko, nie całkiem pewny, z kim ma do czynienia.

. Dopiero Belmont szepnął mu do ucha imię Marie, a następnie zaprezentował także Martena.

Mogło się zdawać, że po tej informacji panu de Carnariac ubyło lat dwadzieścia, a jednocześnie jego wymowa zerwała tamę niepewności. Mówił Jednocześnie do Marie, zasypując ją komplementami i unosząc się nad jej urodą, do Belmonta, przypominając mu jakieś dawne spotkania i wspólne hulanki, do Martena, wyrażając swój podziw i wielbiąc jego czyny wojenne na morzu, oraz do swej „ku-

zynki", madame Suzanne, obwieszczając jej to wszystko, co zdołał sam wypowiedzieć i co usłyszał od każdego z przybyłych.

Madame okazała więcej spokoju i umiarkowania, jakkolwiek powitała gości nader uprzejmie, a z Marią France-ską wymieniła kordialny pocałunek. Była dojrzałą blondynką o obfitym łonie i mlecznoróżowej cerze, o Jakieś dziesięć lat młodszą od pana Antoniego. Miała piękne, fiołkowe oczy i ujmujący uśmiech. Jej trzy siostrzenice, które ukazały się w olbrzymiej sieni w towarzystwie swych adoratorów, wyglądały jak trzy kopie /jednego obrazu, różniące się jedynie odcieniem włosów./Były zresztą ładne i świeże, a ich ciekawe noski o zmysłowo rozdętych chrapkach bynajmniej nie zostały odziedziczone po panu de Carnariac.

Prócz kilku młodych szlachciców, pośród których dwaj nosili tytuły hrabiowskie, w ciemnej sali znajdowało się jeszcze sporo osób spokrewnionych z panem domu, a między innymi pan de Chicot, jeden z synów dworzanina Henryka III. Ten odznaczał się postawą napuszoną i dumą, niezbyt zresztą usprawiedliwioną, ponieważ ojciec był raczej tremisiem królewskim niż rycerzem. Jego brzydka żona, znana z uszczypliwości, a przy tym udająca głuchą, powitała Marię Franceskę szczególnie hałaśliwie i wyzywająco. Mówiła do niej raz „mademoiselle Vicić" *, przekręcając złośliwie jej nazwisko i omijając „de", raz „ma-danie Martin", co mogło znaczyć równie dobrze: Marten, Marcin lub osioł. Nie natrafiła jednak na potulne dziewczątko, jak jej się z początku wydało. Marie tylko na pozór nie straciła nic ze swej słodyczy i dworności. W pewnej chwili zwróciła się do Belmonta i powiedziała:

–Czy wiesz, że to ojciec pana, a nie pani de Chicot rozweselał dwór ostatniego z Walezjuszy?,

–Ależ tak – odrzekł Ryszard. – Był niezwykle dowcipny.

–Prawie to samo można powiedzieć o jego synowej ~ westchnęła Maria Francesca.

Zdanie to zostało wypowiedziane półgłosem, lecz zarówno głuchawa dama, jak wielu młodzieńców, zapatrzonych w senoritę niby w jakieś cudowne zjawisko, usłyszało je doskonale.

~ Jesteś małą osą, Marie – szepnął Belmont śmiejąc się. – Spójrz: biedna pani Chicot pożółkła od ukłucia twego żądła.

–Czyżby? – zdziwiła się seftorita niewinnie. – . Do

prawdy wydawało mi się, że i przedtem była dostatecznieżółtawa.

Skinęła głową urażonej damie i z wielkopańską swobodą zwróciła się do pana de Carnariac, aby wyrazić mu uprzejme gratulacje z powodu czarujących wdzięków jego córek. Wkrótce otoczyli ją wielbicieli tej trójki, a promieniejący gospodarz przedstawił jej paru poważniejszych swych gości, którzy nie kryli się z admiracją dla jej nadzwyczajnej urody.

Maria Francesca była teraz pewna swego towarzyskiego sukcesu. Zawiodła się jednak nieco, gdy podano do stołu, przy którym wypadło jej miejsce bynajmniej nie najgodniejsze. Spostrzegła, że niektórzy z ostatnio przybyłych w ogóle nie zawarli z nią znajomości, a kiedy chwytali ich ciekawe spojrzenia, udawali, że jej nie dostrzegają. Od swego sąsiada, kawalera d'Ambares, dowiedziała się, że jednym z tych, których gorszyła i zarazem zaciekawiała, jest pan de La Sauve, drugim zaś baron de Trie. Natomiast uszminko-wana jak wielkanocne jajo dama, którą zabawiał pan Chicot – już nie ten dumny i napuszczony Chicot, lecz Chicot usłużny i uniżony - była hrabiną de Blanquefort.

–Jej małżonek przybędzie tu dopiero jutro, aby wziąć

udział w polowaniu – poinformował d'Ambaras senorztę. – Jeśli jednak wasza miłość nie pogardzi moim towarzystwem, zastrzegam sobie pierwszeństwo w asystowaniu waszej miłości również jutro.

Maria Francesca obrzuciła go przychylnym spojrzeniem. Armand d'Ambares miał twarz zmęczoną, jakby zmiętą, lecz o rysach regularnych. Mógł się bardzo podobać: był słusznego wzrostu, miał ciemne, falujące włosy, lekko przyprószone przedwczesną siwizną na skroniach i trochę ironiczne, chłodne oczy. Wyrazowi tych oczu przeczył jednak jego kunszt obcowania z ludźmi. D'Ambares rozmawiał i zachowywał się w taki sposób, że wzbudzał w umysłach swych znajomych przekonanie o ich własnej doskonałości. Dotyczyło to zwłaszcza kobiet, które łatwo ulegały jego wymowie, uświadamiając obie, jakie zrozumienie i delikatność cechują postępowanie tego wytwornego człowieka, nie tylko dlatego, aby chciał pozyskać ich przychylność, lecz po prostu po to, aby im zrobić przyjemność.

–Czyżby wasza miłość przewidywał – powiedziała Maria Francesca – że hrabia de

Blanquefort zechce mnie zauważyć i nawet zaszczycić rozmową z uszczerbkiem dla tak miłej konwersacji, jaką wasza miłość mnie bawi?

–Nie wątpię ani na chwilę, że każdy, kto potrafi ocenić najwspanialszą urodę i czar niewieści, a także zalety umysłu i serca, zostanie natychmiast wielbicielem waszej miłości – odrzekł kawaler d'Ambares.

–Sądzi pan, że hrabia dostrzegł to wszystko także u swej żony?

–O, to zupełnie inna sprawa – uśmiechnął się. – Należy odnosić się z szacunkiem do nieszczęść tego rodzaju^ co małżeństwo zawarte wyłącznie w celu poratowania fortuny – dodał z powagą. – Może to spotkać każdego z nas.

–Wolę, że wasza miłość nie uległ takiemu nieszczęściu – zwierzyła mu się z zalotnym spojrzeniem.

–W takim razie powinienem od tej chwili podwójnie dziękować za to Bogu – usłyszała w odpowiedzi.

Polowanie odbyło się nazajutrz. Nie były to łowy na grubego zwierza, ponieważ dobra pana de Carnariac nie obfitowały w lasy, a szlachetna zwierzyna od dawna w nich wyginęła. Pozostało trochę zajęcy i lisów, za którymi gospodarz i goście uganiali się konno ze sforą psów.

Damy, z wyjątkiem panien de Carnariac i seniority de Vizella, nie wzięły bezpośredniego udziału w pogoni przez pola, wertepy, zagajniki i łąki, lecz około południa przyjechały powozami nad lesisty brzeg Dordogne, gdzie w chylącym się od starości pawilonie myśliwskim przygotowano śniadanie.

Dzień był słoneczny, nieco zamglony, bez wiatru. Lekki mroźnik ściał kałuże i błoto na drogach w szkliste, chrupkie tafelki lodu, a biały szron okrył pajęczyny na płotach, gałązki drzew i źdźbła trawy. W powietrzu pachniało dymem z chłopskich domostw i zwiędłymi liśćmi. Konie parskały, naszczekiwały psy, dojeżdżacze trzaskali biczami, rozlegały się wesole głosy i śmiechy.

Maria Francesca wystąpiła w męskim stroju, który wzbudzał powszechny podziw na równi z Jej urodą i zręcznością w powodowaniu wierzchowcem. Towarzyszył jej nie tylko d'Ambares; hrabia de Blanquefort, który istotnie przybył z samego rana, nie zaszczyił wprawdzie Martena podaniem ręki i raczył tylko sztywno skinąć mu głową na odległość paru kroków, ale senioritę de Vizella uznał za dostatecznie godną urodzeniem i parantelą, aby Jej nadszkakiwać i zabiegać o jej względy. Czynił to dość natrętnie i obcesowo, tak dalece, że wreszcie doczekał się ostrej odprawy i urażony oddalił się, aby wyrazić gospodarzowi swoje zdi-

wienie z powodu przyjmowania w szlacheckim domu awanturników w rodzaju

Martena i jego kochanki.

Za jego przykładem z orszaku seniority odpadło paru młodszych szlachciców, ale pozostało ich jeszcze aż nadto wielu, aby Armand d'Ambares czuł się panem sytuacji. Dopiero nad rzeką, wśród lesistych wzgórz udało mu się zmylić rywali i zabłądzić wraz z Marią Franceską na jakąś boczną, mało uczęszczaną drogę, wijącą się jarami wzdłuż strumienia stanowiącego dopływ Dordogne.

Tymczasem pan de Carnariac na próżno usiłował uprosić hrabiego, aby nie opuszczał zabawy. Blanquefort oświadczył, że wzywają go pewne pilne sprawy i że tym razem niestety będzie musiał zrezygnować z tak świetnie dobranego towarzystwa, aby im się poświęcić. Zgodził się pozostać tylko na śniadaniu, po pierwsze – ponieważ był głodny, po wtóre – ponieważ chciał odjechać wraz z żoną, i to na oczach innych gości.

Wobec tego pan Antoni kazał trąbić na zbiórkę przy swym spróchniałym pałacu, przed którym stały już powozy przybyłych pań. Gościom widocznie dopisywał apetyt, gdyż po paru minutach zebrali się niemal wszyscy. Brakowało tylko seniority de Vizella i kawalera d'Ambares.

Marten zauważył to natychmiast, lecz usiłował nie okazywać niezadowolenia. Nie bardzo mu się to udawało, zwłaszcza że usłyszał kilka złośliwych uwag pani de Chicot i dostrzegł porozumiewawcze uśmiechy wymieniane przez nią z baronową de Trie oraz z innymi damami. Rozmawiał nadal z madame Suzanne, lecz był widocznie roztargniony i zniecierpliwiony.

– Nie będziemy chyba czekać na tę zaginioną parę – powiedział ktoś za jego plecami. – To może potrwać do wieczora.

™ Na pewno nie – odrzekł ktoś inny. ~ Armand ma

zupełnie inną taktykę niż hrabia de Blanquefort: poprzestaje na nieznaczących, lecz stałych zdobyczach. Założyłbym się, że coś niecoś już osiągnął, ponieważ zaczął jeszcze wczoraj, i to z powodzeniem.

– Zatem do wieczora powinien poczynić dalsze postępy – roześmiał się ten pierwszy.

– Powinien – zgodził się Jego poprzedni oponent. – Jada! – zawołała któraś zdam. – Seniorita wygląda doprawdy urzekająco.

– A kawaler d'Ambares triumfująco – dodał ktoś jeszcze.

~ Bywa on prawdziwym d'Embarras dla zazdrośników.

Marten zniósł to wszystko z zadziwiającym spokojem 5 nie odwrócił nawet głowy, aby się przekonać, kto pozwala sobie na te żarty. Ale gniew i zazdrość nurtowały go do głębi. Spojrzał wreszcie na Marie i jej towarzysza, jakby dopiero teraz zauważył ich spóźnione przybycie, po czym pierwszy znalazł się przy wierzchołku seflority, aby z galanterią przytrzymać wodze i strzemię, gdy zsiadała.

. Spojrzeli sobie w oczy – Maria Francesca zarumieniona, wesoła, trochę jakby zdziwiona czy może zalekniona wyrazem jego twarzy, bo uśmiech na krótką chwilę zgasł na jej ustach; on zaś poblady i milczący., ze zmarszczonymi brwiami.

Trwało to sekundę. Wnet opanowali się oboje i Marten ująwszy końce jej palców poprowadził Ją do powozu madame Suzanne.

~~ Spóźniliśmy się – powiedziała seniorita dźwięcznym głosem. – Proszę o wybaczenie.

–To moja wina – oświadczył Armand. – , Wybrałem niewłaściwą drogę i dlatego błądziliśmy trochę.

–Oh, jeżeli tak, to droga przez niego obrona oEazała się wcale właściwa – szepnął jeden z kawalerów do ucha pannie Józefinie de Carnariac, która roześmiała się głośno.' –

–Drogi między tymi wzgórzami są doprawdy urocze – zauważył marzycielsko Ryszard de Belmont. – A przy tym tak kręte – dodał spoglądając to na Martena, to znów na kawalera d'Ambares – że można tam zupełnie stracić głowę, zwłaszcza w towarzystwie damy, gdy się Jest zajęty jej urodą i miłą rozmową.

Czegóż ten chce znowu? – pomyślał Marten. – Ostrzega mnie czy sam Jest zazdrosny? Niech diabli wezmą całe to jaśniepańskie zbiegowisko!

Śniadanie przedłużyło się tak dalece; 5e zaniechano cła-f-szych /owóy/ i wesoła podochocona kawalkada wróciła do zamku, aljy przygotować się do wieczornej uczt i tańców. Niemniej/ Jednak hrabia de Blanquefort odjechał wraz zfc swą przesadnie uszinkowaną małżonką, a ten jego Jawny odwrót/skłonił również do natychmiastowego wyjazdu pana de La/Sauve, barona i baronową de Trie oraz państwa de Chicot. Wywołało to niemily zgrzyt, bowiem wszyscy pozostali wiedzieli lub domyślali się, Jaka była istotna przyczyna tak pośpiesznej rejterady.

Gdyby Jan Kuna zwany Martenem urodził się szlachcicem, jak de Belmont, zapewne wybaczone by senioricie de Vizella jej związek z tak słynnym korsarzem. Lecz był prostakiem z gminu; zapewne tylko dzięki obcowaniu z Bel-montem i ze swą kochanką nabył nieco oglady. Tak czy owak Jednalc obecność Jego w zamku rodowej szlachty, a także bezczelność, z Jaką zapowiedział swoją wizytę u pana de

La Sauve i hrabiego de Blanquefort, uznano za afront. Ten poczciwiec Carnariac, którego żona porzuciła dla bogatego fabrykanta* a córki puszczały się z młodymi utracjusza-mi i wartogłowami, też musiał dostać nauczkę; niechże wie, że musi wybrać pomiędzy ludźmi ze swojej sfery a przybłądą z Polski trudniącym się rozbojem na morzach pod coraz to

inną banderą. Mogli się zdobyć na pobłażliwość dla Jego związku z madame Suzanne, lecz niechże nie przeciąga struny.

Marten zrozumiał to również. Gdy został na chwilę sam z Marie, zaczął nalegać, aby wrócić do domu. Ale senorita nie chciała nawet słyszeć o czymś podobnym. Byłaby to jej zdaniem ucieczka ~ ucieczka z tchórzostwa.

–Sam powiedziałaś, że masz gdzieś hrabiów i baronów – przypomniała mu jego własne słowa. – Cóż się zmieniło od tego czasu? Wyjechali? Tym lepiej! My zostaniemy. Kawaler d'Ambares Jest równie dobrze urodzony i skoligaeony jak tamci – dodała po namyśle. – A przecież...;

–Wołałbym, żebyś nieco mniej interesowała się tym kawalerem»~ przerwał Jej z naciskiem. – Wysłuchałem dość szyderczych uwag i żartów, podczas gdy w lesie „stracił orientację” wraz z tobą.

–Chcesz zapewne, żebym mu to powiedziała! – wybuchnęła. – Chcesz, żeby i on zaczął uważać cię za prostaka, którego zaślepiła zazdrość! Więziłeś mnie na „Zephyrze”, a gdy uratowałam ci życie i zostałam twoją kochanką, pragnąłbyś więzić mnie w Margaux-Medoc jak w klasztorze. O, jakże nisko upadłam! ~ wołała. – Żyję w grzechu z bezbożnikiem, który mnie tyranizuje, podejrzewa i poniża.

Łzy spływały po Jej policzkach i ten najsilniejszy argument pokonał Martena, jak miał go odtąd pokonywać wielokrotnie, aż do zupełnego upokorzenia.

–Dobrze, zostaniemy – powiedział poruszony.

Niemówmy już o tym.

Przyjęcie u pana de Carnariac nie wszystkich planów i nadziei

Marie, lecz w sumie zostało przez nią uznane za pomyślny wstęp

do dalszych rozrywek towarzyszy

skich, których jej tak brakowało. Niewątpliwie jej uroda, wdzięk, stroje i klejnoty stały się przedmiotem rozmów i plotek w bliższym i dalszym sąsiedztwie, a przede wszystkim w Bordeaux, co uważała za poważne osiągnięcie. Była zadowolona także z zachowania się Martena, który podobał się kobietom, zaciekał mężczyzn, a co najważniejsze potrafiło tyle pohamować swą zazdrość i gwałtowność, że nie doszło do żadnej zwady.

Marie umiała to ocenić zarówno w pochlebnych słowach, jak za pomocą innych dowodów wdzięczności, których mu nie szczędziła, a miało to ten skutek, że zgodził się pojechać z nią na bal do ratusza w Bordeaux.

Nie była to zresztą zabawa ani o wysokim poziomie towarzyskim, ani szczególnie urozmaicona i huczna. Tańczono „dances basses”, pawanę i braulę, bowiem wesoly gaillard gorszyłyby notablów miejskich, wśród których było wielu hugonotów. Niemniej jednak Maria Francesca znów zwróciła na siebie uwagę, a kawalera d'Ambares, który jej wiernie asystował, nagabywano zewsząd, kim jest ta olśniewająca piękność.

Potem nastąpiły inne bale publiczne, a także maskarada aktorów i artystów, której jednak prawie nikt z wyższych sfer towarzyskich swą obecnością nie zaszczylił.

Marten i jego ukochana bywali w teatrze na włoskich komediach Piotra Larivery, na sztukach pana Jodelle i Bel-

leau. Lecz grand monde nadal nie przyjmował ich w swych salonach, a książęta, hrabiowie, baronowie i nawet zwykła, nieutytulowana szlachta nie kwapili się z zawarciem znajomości z parą awanturników, jakkolwiek przyglądano się im z daleka ciekawie i nawet z niejakim podziwem.

Marten bynajmniej nie bolał nad tą izolacją. Przekładał towarzystwo swych przyjaciół nad wspaniałe bankiety urządzone przez wielmożów, którymi na ogół pogardzał. Tym bardziej drażniły go ustawiczne zabiegi Marie, aby ich sobie zjednać, aby się między nich wśliznąć. Na tym tle wybuchały pomiędzy nim a Marią Franceską przelotne burze, sprzeczki i gniewy, okupowane „dniami milczenia”, w których nie odzywała się do niego i nawet go nie dostrzegała.

To jednak nie było najgorsze. Senioritę zaczynała nużyć miłość, wierność i czułość Martena. Pożądała zmiany – choćby scen zazdrości; pragnęła być uwielbiana także przez innych mężczyzn; szukała niebezpieczeństwa, igrała z namiętnościami, które podniecały jej zmysły.

Przychodziło jej to bez trudności. Belmont, który dawniej traktował ją z lekką ironią, teraz był lub przynajmniej udawał, że jest w niej zakochany. Marten z początku nie brał na serio tej zmiany, lecz z czasem żartobliwe zaloty Ryszarda, a bardziej jeszcze obiecujące, ukradkowe spojrzenia i porozumiewawcze uśmiešky Marie zaczęły go drażnić.

Belmont był teraz częstym gościem w chateau Margaux-Medoc; równie częstym jak kawaler d'Ambares. Obaj prześcigali się w pomysłach, jak zabawić senioritę: wypływano łodziami na połów ryb, urządzano zawody łucznicze, przejażdżki konno lub w powozach, grano w piłkę, tańczono na chłopskich weselach; przyglądano się popisom wędrownych jongleurs, kuglarzy, śpiewaków i deklamatorów.

Te rozrywki, znakomita kuchnia i dobrze zaopatrzona piwnica, także gościnność Martena i piękność jego kochanki ściągały do chateau młodych utracjuszy, pieczeniarzy

i awanturników, pomiędzy którymi znaleźli się także niektórzy wielbiciel panien de Carnariac, a wreszcie i one same.

Nie przyczyniało to dobrej sławy Margaux-Medoc. Poważne rodziny hugonockie uważały posiadłość Martena za jaskinię rozpusty, a senioritę de Vizella za diablicę. Opowiadano sobie, że brała udział w korsarskich napadach, przewodziła rzeziom i okrucieństwom. Posądzano ją o czary i rzucanie uroków, zwłaszcza na mężczyzn, którzy tracili dla niej serca i głowy.

Ta ostatnia fama nie była całkowicie pozbawiona podstaw, a Marten miał niejaki powód do podejrzeń, iż przynajmniej w niektórych przypadkach Maria Francesca sama także ulegała urokom i zalotom swych ofiar.

Podejrzania te zamieniły się w pewność wskutek dość niezwykłego zbiegu okoliczności.

Stefan Grabiński, którego Jan wysłał był do Antwerpii po zakup nowych ulepszonych kwadrantów i „norymberskich” zegarów sprężynowych, załatwiwszy pomyślnie tę sprawę, zapragnął zobaczyć na Własne oczy niezwykły przyrząd

wynaleziony przez Galileo Galilei, Jak twierdzili niektórzy, czy

też przez Jana Keplera, Jak utrzymywali inni przyrząd zaiste

czarodziejski, za którego pomocą można

było ujrzeć ledwie widoczne w oddali przedmioty tuż przed sobą, jakby się na nie patrzyło z odległości kilku kroków. Pojechał więc do Middelburga i odwiedził warsztat optyczny mistrza Lippersheya, gdzie – jak słyszał – wyrabiano owecuda.

Nie zawiódł się ani trochę. „Luneta”, ciężka rura o morderczym wyglądzie, w zupełności usprawiedliwiała swą nazwę: można było przez nią zobaczyć góry i doliny na Księżycu, a na morzu dokładnie rozpoznać statki i żagle, które oglądane gołym okiem wyglądały jak maleńkie punkciki i plamki.

Stefan natychmiast pojął doniosłość tego wynalazku i bez wahania zakupił czarodziejskie narzędzie, po czym wyruszył w podróż powrotną nieco okrężną drogą; musiał wstąpić do Rotterdamu, gdzie oczekiwał go Broer Worst, który po wieloletniej rozłące mógł wreszcie odwiedzić swą liczną rodzinę. Cieśla „Zephyra” opuścił ją będąc człowiekiem w kwiecie wieku, a oto teraz zastał dorosłe, zamężne córki, nie znanych sobie zięciów i tuzin wnucząt... Cały ten klan zawdzięczał mu powodzenie materialne, wykształcenie, stanowiska. On zaś pozostał prostakiem, a przynajmniej tak się czuł wśród nich, choć okazywali mu szacunek i poważanie. Tylko jego „stara”, Matylda, nie zmieniła się wiele: rządziła rodziną jak dawniej i nic się tam nie działo bez jej woli lub zgody. On sam z obawą myślał, co go czeka, gdy wyzna, że nie przybył tu na stałe, że wraca na okręt.

Zdobył się na to wyznanie dopiero w obecności Stefana Grabińskiego, lecz i tak wysłuchał i wycierpiał wiele w ciągu paru dni, które młody sternik spędził u niego w gościnie oczekując na statek. Matylda udobruchała się dopiero żegnając ich obu, lecz w ostatniej chwili ogarnęło ją rozżalenie i znów omal nie skończyło się to sprzeczką małżeńską.

–Mężczyźni! – westchnęła z wyrzutem. – Wszystko wam lepsze i miłsze niż dom rodzinny. Wstyd doprawdy, że was rodzimy.

–Nie pamiętam, żebyś to choć raz uczyniła – wtrącił Broer. ~ Obdarzyłaś mnie wyłącznie córkami.

–Gdyby się stało inaczej – zaperzyła się -jnie miałby mi kto zamknąć powiek na śmiertelnym łożu. ^

Worstowi przyszło na myśl, że i tam^rzynajmniej Jedno oko chciałyby mieć tylko przymrużone, aby widzieć, czy wszystko dzieje się podług jej ostatniej woli, ale nie zdradził się z tym mniemaniem J^scisnął ją na progu, podobnie jak przed laty, gdy

był tu po raz ostatni, ucałował córki, poklepał zięciów po ramionach, pogładził po główkach wnuki i z prawdziwą ulgą ruszył za Stefanem zarzuciwszy na plecy chudy marynarski worek.

Holenderski statek „Ostvoora” był dużym sześćsettono-wym żaglowcem zbudowanym w Amsterdamie i spuszczonego na morze w roku 1595. Jego omasztowanie przypominało angielskie fregaty, z tą różnicą, że ostatni maszt miał tylko jedną górną reję, na której rozpinano trójkątny żagiel „łaciński”, a pod nią skośny gafel i poziomy bom * do bezanżagla. Wszystko to razem nie przydawało „Ostvoorno-wi” szczególnego wdzięku, ale zapewniało mu stosunkowo dużą zwrotność i niezłą prędkość. W Amsterdamie i na paru innych stocznjach Zjednoczonych Prowincji budowano coraz więcej statków tego typu, a ich nazwa „Hout-bark” lub po prostu „bark” miała pochodzenie od przywódcy gezów morskich, admirała Houtmana.

Kapitan „Ostvoorna” był człowiekiem młodym, śmiałym i przedsiębiorczym. Nazywał się Dawid Stercke i pochodził z rodziny, w której tylko niewielu mężczyzn zmarło

na lądzie. Ten syn i wnuk marynarza zajmował się handlem morskim, a jego statek często bywał w Gdańsku, skąd zabierał polskie zboże i sól, a także rudę dostarczaną z Węgier. Lecz Dawid Stereke marzył o dalszych podróżach i bardziej egzotycznych portach. Nęciły go Indie Wschodnie, Jawa, Wyspy Korzenne i Sundajskie, a ponieważ admirałowie Houtman i Warwick poszukiwali śmiałków, którzy ważyliby się na takie wyprawy, młody kapitan pragnął zaciągnąć się do ich floty. Na przeszkodzie tym zamiarom stali jednak armatorzy; „Ostvoorna”. Stereke był tylko w czwartej części właścicielem statku; reszta udziałowców obawiała się zbyt wielkiego ryzyka. Na dalekich, bogatych wyspach rządzą jeszcze Portugalczycy, a wojenne okręty Hiszpanii strzegły szlaków żeglugi. Kto wyprawiał się do Indii Wschodnich, musiał się liczyć z potęgą morską Filipa II, a choć ta potęga zachwiała się już pod ciosami Anglii, to przecież jeszcze zdolna była zgnieść tych, co jej się narażali nie rozporządzając przewagą. Nawet podróż z Rotterdamu do Bordeaux pod flagą Zjednoczonych Prowincji stanowiła wówczas poważne ryzyko. W Calais stała eskadra hiszpańskich karawel, na wodach kanału La Manche patrolowały okręty z czerwonymi krzyżami na żaglach, wzdłuż zachodnich wybrzeży Francji od Zatoki Biskajskiej aż po ujście Loary można było napotkać galeony i fregaty spod znaku św. Jakuba, które witały ogniem działowym każdy podejrzany statek. Lecz bogata Polska, Gdańsk, dwory elektorskie i królewskie płaciły wysokie ceny za sukno, wino i likwory z Bordeaux, za włoskie i greckie owoce, za tureckie korzenie, za pachnidła przybywające ze Wschodu przez Marsylię. Ryzyko opłacało się: transport morski mimo wszystko wypadł taniej niż lądowy.

Dawid Stereke chętnie rozmawiał ze Stefanem Grabińskim o dalekich, gorących krajach, a także o bitwach morskich z Hiszpanami. Nie zdarzyło mu się jeszcze z nimi wał-

czyć; kilka dział ustawionych' w kasztelach;, Ostvoor a mogło go chronić co najwyżej przed napaścią pomniejszychrabusiów, lecz każdy okręt- wojenny pokonałby go z pewnością. Toteż Stercke ufał raczej szybkojci i zwrotności swego statku niż jego obronności, nie ukrywając zresztą, że rani to jego ambicję i dumę.

–Prędzej czy później^uzbroję go jak należy – mówił. –

Prędzej czy później przystanę do gezów.

Stefan nie wątpił, że to wkrótce nastąpi. Widział niderlandzkie porty i stocznie, w których wrzała gorączkowa praca nad budową nowych okrętów, a także ludwisarnie w Bre-dzie i w Rotterdamie, gdzie odlewano potężne lufy armatnie. Zjednoczone Prowincje zbroiły się na morzu, lokując we flocie coraz większe dochody z handlu, z rozkwitającego przemysłu i hodowli. Nie było tam zbytku, a w każdym razie nie było magnatów, którzy trwoniliby fortuny na pałace, zabawy i służbę. Nawet bogacze, bankierzy i dygnitarze żyli skromnie, choć dostatnio, wznosząc i rozwijając solidne przedsiębiorstwa, opanowując z wolna rynki i giełdy Europy, a zarazem gotując się do zamorskich zdobyczy, które miały stworzyć i utrwalić na parę wieków potęgę kolonialną małego państwa.

–Wypędzimy Portugalczyków z Indii Wschodnich –

mówił Dawid Stercke. – Nie umieją tam gospodarować i rządzić.

Trzymają się w kilku portach, rabują wyspiarzy,

czynią ich niewolnikami lub wycinają w pień. Są znienawidzeni,

podobnie jak Hiszpanie w Nowej Kastylii i NowejHiszpanii, lecz

znacznie od nich słabsi. My będziemy postępowali inaczej;

wyzwolimy tubylców spod przemocy gubernatorów i alcadów;

zawrzemy przyjaźń z ich królami i wodzami; będziemy prowadzić

z nimi handel, nauczymy ich uprawy roli i hodowli;

zorganizujemy armię z nich samych,

aby mogli obronić siebie i nas przed obcym najazdem.

Były to zaiste wielkie i piękne plany. Stefan pomyślał,

że Marten niegdyś snuł podobne. Lecz Marten był wówczas samotny; nikt nie stał za nim, nikt go nie wspomagał. Tu cały naród porywał się do czynu. Miał po temu

środku, miał znakomitych wodzów, kuł broń, budował flotę, gotował się do walki systematycznie, mądrze i trzeźwo..

A przecież – myślał dalej – Polska jest wielekroć większa, potężniejsza i bogatsza od tego skrawka ziemi wydzieranej morzu, od tych kilku prowincji, które zwycięsko oparły się Hiszpanom! I gdzież są nasze okręty? Ile ich ma król Zygmunt? Dlaczego polskie zboże płynie do Danii, do Holandii i Szwecji na obcych statkach?

Niechby na stocznjach Elbląga, Gdańska i Rugii zbudowano choć ze trzydzieści okrętów wojennych; niechby Komisja Morska zwerbowała kilkudziesięciu kaprów, a z pomocą floty fińskiej można by wówczas nie tylko zapewnić sobie spokój na Bałtyku, lecz także wymusić na Duńczykach otwarcie Sundu dla polskiej żeglugi.

Stefan wiedział, jak szybko zwracają się koszty budowy dobrego statku handlowego; gdyby armatorzy wiedzieli, że chroni ich flota wojenna, że mają otwarte wrota na oceany, ilość statków rosłaby z roku na rok, jak w Holandii, Zelandii czy Fryzji.

Zdawało mu się to proste i łatwe.

Gdybym posiadał taki majątek, jaki ma pan Henryk Schultz – pomyślał – sam dokonałbym tego!

Myśl o Schultzu zaskoczyła go. Wszakże Schultz wspo; minął o czymś podobnym...

Z pewnością nie odkrył przede mną wszystkich swoich zamiarów – powiedział sobie w duchu. – A może wtedy nie zrozumiałem, o co chodzi?

Postanowił wprost zapytać go o to. Schultz rozbudowywał swoje przedsiębiorstwa w Gdańsku. Nabył kilka statków. Pragnął ściągnąć na Bałtyk Jana Martena i zapewnić sobie jego pomoc. Mówił o dojrzewających z wolna planach

politycznych Zygmunta III, o wojnie ze Szwecją, o zmuszeniu Gdańska do posłuszeństwa i uległości Rzeczypospolitej, o sojuszu z ojcem świętym i Filipem II przeciw Anglii i Danii... Danii! A więc chodziło o Sund, a także o Kalmar i Elfsborg...

Chciałbym tam być. gdyby do tego doszło – myślał, – Nie powinno tam zabraknąć żadnego z nas 2t^{am} Jana, ani starego Tomasza Pociechy, ani mnie.

Bark „Ostvoorn” uniknął szczęśliwie spotkania z okrętami hiszpańskimi i po trzytygodniowej pomyślnej żegludze w kwietniu roku Pańskiego 1587 przybył do Bordeaux. Było to zaiste niezwykle zdarzenie, bowiem już od połowy marca hiszpańska blokada wzmogła się znacznie i tylko nielicznym śmiałkom udawało się zmylić czujność karawel krążących dokoła ujścia Girondy. Tak przynajmniej utrzymywali kapitanowie okrętów królewskich, które stały na kotwicach pomiędzy

Royan a Point de Grave, oczekując na przybycie większych sił z La Rochelle i nie odważając się wyjść z zatoki.

Stefan Grabiński i Broer Worst opuścili wcześniej pokład „Ostvoorna”, przesiadłszy się na szalupę, którą na spotkanie statku wysłał z „Zephyra” główny bosman Pociecha.

–Wróciliście w samą porę! – zawołał witając ich u trapu. ~ Ściągamy załogę; lada dzień wyruszymy na morze.

–To dobra wiadomość na przywitanie – ucieszył się Stefan.

Pociecha spojrzał na niego przelotnie.

–Jak dla kogo – mruknął. – Dla nas dobra; dla innych niekoniecznie.

–Co to znaczy? – spytał Stefan. – O kim mówicie? Co się takiego zdarzyło?

.– Jeszcze nic – odrzekł bosman. – Czy ja wiem zresztą... Pilnuję okrętu; nie wtykam nosa w *nie* swoje sprawy.

Grabiński wiedział, że nic więcej z niego nie wydobędzie, zwłaszcza w obecności kilku bosmanów, którzy czekali, aby uścisnąć mu rękę i usłyszeć, jak odbył podróż i co z niej przywiózł.

Odpowiadał na pytania i sam pytał z kolei o sprawy „Zephyra” i ich własne, ale nurtował go niepokój.

Co się działo we dworze? Kogo miał na myśli Pociecha mówiąc o „innych”, dla których wiadomość o zamierzonej wyprawie miała nie być pomyślna?

Spojrzał w górę na białe ściany Margaux-Medoc, Pociecha powiedział mu, że Marten z samego rana pojechał do Bordeaux, aby odbyć naradę z „jakimś admirałem”, ale powinien być już z powrotem. Stefan nie pytał o senioritę, – jakkolwiek myślał także o niej. Wbrew woli – przede wszystkim o niej...

Nie mógł się obronić przed takimi myślami, przed wspomnieniami jej uśmiechów i spojrzeń. Tęsknił za nimi, choć wmawiał sobie, że chce o nich zapomnieć, wyrzucić je z pamięci i z serca. Niepokój, który go teraz ogarnął, w jakiś sposób kojarzył się z osobą Marii.

–Chyba pójdę do dworu – powiedział po chwili.

Pociecha skinął głową, jak gdyby pochwalając ten zamiar.

–Powiedzcie mu, że skończyliśmy malować reje.

~ Widzę – odrzekł Stefan. – „Zephyr” wygląda jak nowy.

Muszę go później szczegółowo obejrzeć; jest piękniejszy niż kiedykolwiek.

Zabrał tylko ciężką lunetę, aby ją zaraz pokazać Martenowi, resztę bagażu kazał zanieść do swojej kajuty i przeszedłszy po trapie rzuconym z pokładu na nabrzeże, zaczął się wspinać krętą drogą pod górę.

Słońce grzało go w plecy, w powietrzu brzęczały pszczoły, pierwsze motyle połatywały nad młodziutką zielenią winorośli rozpiętych równymi rzędami na tykach i żerdziach. Wyżej kwitły drzewa owocowe i krzewy mimozy, a delikatny aromat kwiecica mieszał się z zapachem ciepłej, świeżo przekopanej ziemi.

Stefan obszedł dom dokoła i zakolał do ozdobnych drzwi głównego wejścia. Serce biło mu mocno, coraz mocniej, choć idąc przez sad rozmyślnie zwolnił kroku, aby je uspokoić.

Poważny majordom, Joachim, poznał go widocznie, bo pochylając z godnością głowę, pozwolił sobie jednak na powitalny uśmiech, po czym w sposób powściągliwy oznajmił, że kapitan Marten z pewnością ucieszy się z przybycia swego tak niecierpliwie oczekiwanego porucznika.

–Jest już zapewne w drodze powrotnej z Bordeaux; zapowiedział swój przyjazd na obiad – dodał wskazując Stefanowi przejście do wysokiej sieni, z której schody o rzeźbionych poręczach wiodły na piętro.;

–A senorita? – zapytał Stefan.

–Madame – poprawił go Joachim bez nacisku – nie powróciła jeszcze z konnej przejażdżki. Czy wasza miłość zechce zaczekać, czy mam podać tymczasem jakąś przekąskę?

Stefan czuł się nieco onieśmielony tą wytwornością. Oświadczył, że nie jest głodny i że zaczeka na górnym tarasie.

–Przyślijcie mi coś do picia – powiedział wchodząc na schody.

Znalazłszy się na piętrze, mimo woli przystanął, aby rzucić okiem na pozłociste obicia sięgające od podłogi aż do sufitu, na ogromny perski kobierzec i ciężkie, wyściełane krzesła otaczające niewielki okrągły stół o blacie wypolerowanym jak lustro. Na lewo i na prawo przez uchylone

rzwi można było ujrzeć jeszcze wspanialsze pokoje, lśniące osadzki, dywany,

aksamitne kotary, zwierciadła i świeczniki, rzeźbione palisandrowe i mahoniowe meble, kryte brokatem ściany.

Ten przepych działał przytłaczająco. Stefan czuł się tu obco i niepewnie, jak w świątyni dziwnego, nieznanego kultu. Myśli, że seniorita Maria Francesca przebywa wśród tego otoczenia, że stąpa po tych wzorzystych kobiercach, dotyka cennych farfurów, wnpiera się na oparciach foteli, spogląda na swe odbicia w zwierciadłach, przejęła go melancholia. Wydało mu się, że oddziela go od niej olbrzymia, pusta i zimna przestrzeń, w której gubi się wzrok. Stał tam daleko, na krańcu lodowatej pustyni, podczas gdy ona rozdzielała uśmiechy i spojrzenia zapomniawszy o jego istnieniu.

Ciche kroki i lekki pobrzęk szkła rozwiały ten obraz. Rumiany, pyzaty chłopak w zielonej liberii niósł na tacy gałgarek wina, dzbanek z wodą i szklaną czarką.

–Postaw to na tarasie – powiedział Grabiński. Sam wyszedł pierwszy i zbliżywszy się do balustrady spojrzął na cienistą, wysadzaną kasztanami drogę, która od podjazdu wybiegała w pola, wiała się między winnicami, a dalej rozwidlała się w kierunku Bordeaux na lewo i w stronę młodych zagajników pod lasem na prawo. Słońce, błękit nieba i świeża wiosenna zieleń rozproszyły jego poprzedni nastrój. Świat był wesoły, uśmiechnięty, młodzieńczy! Zdawał się szeroko, przyjaźnie otwierać ramiona, zapraszać, obiecywać wszystko, czego byś zapragnął.

Pan de Clisson, świeżo mianowany admirałem Floty Zachodniej, uważał się za znakomitego dowódcę i marynarza. Wawrzyny wojenne wieńczące jego łysą, jajowatą czaszkę nie były nazbyt obfite, bo ograniczały się do paru rzeźniczych

nyeli potyczek morskich u brzegów Normandii, lecz już samo nazwisko wystarczało mu za legitymację i tytuł do piastowania najwyższej władzy na morzu. Bowiem Augustę de Clisson pochodził w prostej linii od Olivier de Clisson, kozielnika króla Karola V, bohatera spod Auray i Rosebecque, pogromcy Anglików pod La Rochelle, którego okręty wchodziły do Tamizy, a desanty zdobywały nadbrzeżne miasta i paliły osady rybackie.

Wprawdzie od owych wspaniałych czynów upłynęły z górą dwa wieki, a żadnemu z potomków słynnego admirała nie zdarzyło się nic podobnego, lecz sława i fortuna zdobyta kosztem ogromnego przelewu krwi przetrwały. Augustę de Clisson pragnął przydać im nowego blasku i czuł się na siłach sprostać temu zadaniu. Był równie chciwy i okrutny, jak ów jego przodek przezywany „rzeźnikiem”, lecz miał się za znacznie rozsądniejszego. Mniemał, iż odwaga osobista, brawura w ataku i nieustraszone męstwo w obronie powinny cechować podwładnych, nie wodzów. Ci ostatni czynią mądrzej trzymając się w bezpiecznej odległości od nieprzyjaciela, aby wkroczyć dopiero w decydującej chwili, gdy szala zwycięstwa przechyla się na ich stronę, lub też w porę cofnąć się, jeśli los bitwy zdaje się niepewny.

Z tym wszystkim pan de Clisson był gadatliwy i na swój sposób jowialny, jakkolwiek jego żarty nie były zabawne, zwłaszcza że wypowiadał je tonem na pół szyderczym, który cechuje ludzi niezmiernie zadowolonych z siebie. Jego czcza gadanina była wskutek tego niesmaczna, a wyższość czy też poufałość, z jaką się odnosił do ludzi nie dorównujących mu stanowiskiem lub urodzeniem, przy braku wszelkich uczuć przyjaznych bywała sama przez się nieznośna.

Rozkaz królewski, powołujący go na dowódcę sił mor-

skich Francji zgrupowanych w Nantes, La Rochelle i Bordeaux, nakładał nań przede wszystkim obowiązek przełamania blokady hiszpańskiej, zapewnienia swobodnej i bezpiecznej żeglugi wzdłuż zachodnich wybrzeży oraz zwalczania i ścigania okrętów nieprzyjacielskich na Atlantyku północnym. Było to niełatwe zadanie, zwłaszcza że flota wojenna Henryka IV ani liczebnością, ani uzbrojeniem nie dorównywała wciąż jeszcze potężnej Armadzie Hiszpanów. Pan de Clisson, chcąc nie chcąc, musiał więc szukać sojuszników pośród korsarzy, którymi zresztą pogardzał, i w tym celu wezwał do siebie między innymi Jana Martena.

Słyszał był o nim zarówno od pana de Bethune w Paryżu, jak od komendanta portu pana de Tourville i Ludwika Margaux, kapitana okrętu „Victoire” w La Rochelle, a były to opinie nader pochlebne. Mimo to, a może właśnie dlatego, admirał z góry powziął pewną niechęć do Martena. Nie znosił ludzi wybijających się ponad przeciętność. Podejrzewał, że są zarozumiali, obawiał się, że ich zdolności (lub raczej wyjątkowe szczęście) mogłyby zaćmić jego własne sukcesy, zazdrościł im powodzenia.

Postanowił dać odczuć temu cudzoziemskiemu korsarzowi, że jego zamorska sława nie ma tu większego znaczenia, że natomiast pod dowództwem tak wytrawnego marynarza, jakim jest Augustę de Clisson, można się jeszcze niejednego nauczyć. Kazał mu czekać przeszło godzinę w korytarzu, po czym dopiero dopuścił go przed swoje oblicze.

–Podobno bardzo lubicie topić hiszpańskie okręty? – zapytał z uśmiechem na pół drwiącym, na pół dobrodusznym.

–Owszem – odrzekł* Marten. – To moje główne zajęcie od lat dwudziestu kilku.

Ta odpowiedź nie spodobała się admirałowi. Po pierwsze -~ zabrakło w niej tytułu „wasza wysokość”, do którego nie tylko był przyzwyczajony, lecz także miał prawo; po

wtóre – zdawała się zawierać przechwałkę: „od lat dwudziestu lulku”, a zatem od czasu, gdy pan de Clisson stawiał pierwsze kroki na pokładzie...”

–Doprawdy? – rzekł z udanym niedowierzaniem. – Ach,

tak, tak. Słyszałem, że robicie to nawet dosyć zręcznie. No, ale nie

miałem jeszcze sposobności zobaczyć was przy robocie. Więc

rzeczywiście je zatapiacie?

,– Od czasu do czasu – przyznał Marten, jakby udzielał informacji o swoich niewinnych przyzwyczajeniach. – Zdarza się jednak, że palę je po prostu albo nawet pozwalam im odpłynąć, oczywiście bez broni i ładunku.

–Pod moimi rozkazami będziecie musieli zaniechać tego ostatniego zwyczaju – rzekł admirał. – Żaden hiszpański okręt nie zasługuje na to, aby nadal pływał, skoro już raz został pokonany. Powinien pójść na dno.

–Jak pan sobie życzy, admirale – powiedział Marten. – Moim zdaniem...

–Och, nie jestem ciekaw waszego zdania w tej sprawie – przerwał mu pan de Clisson. – Zapamiętajcie sobie, że w służbie francuskiej nie wasze, lecz moje zdanie jest decydujące. Poza tym zwracam waszą uwagę, że rozmawiając ze mną pozwalacie sobie na ton stanowczo zbyt swobodny. Nie jestem waszym kmiotem i towarzyszem, kapitanie Marten, lecz przełożonym. Rozumiecie mnie dobrze?

–Zdaje mi się, że tak – odparł Marten. – Chciałbym przy tym zapewnić waszą wysokość, że nigdy by mi nie przyszło do głowy dobrać sobie takiego towarzysza ani was prosić na kmotra.

Pan de Clisson zaniemówił na chwilę usłyszawszy to zapewnienie. Czyżby ów korsarz ośmielał się drwić z niego? Wydało mu się, że w oczach kapitana dostrzega złośliwy błysk, ale rysy jego twarzy nawet nie drgnęły...

Admirał nie wiedział, co o tym sądzić.

To skończony dureń i prostak ** pomyślał w końcu.

Jest przybłądą; jego wymowa i akcent brzmią okropnie i nie potrafi się wyjęzyczyć jak należy.

–Tym lepiej dla was – powiedział głośno.

Marten ograniczył się do potakującego skinienia głową, co jednak omal nie doprowadziło admirała do wybuchu wściekłości. Musiał przeczekać gwałtowny skurcz wątroby i uderzenie krwi do głowy, zanim zabrał głos.

Stracił teraz wszelką ochotę do żartów; ten ograniczony szyper nie pojmował ich znaczenia. Trzeba było wbić mu w głowę rozkazy dotyczące działań przeciw okrętom

hiszpańskim, krążącym jakoby pomiędzy St-Nazaire a ujściem Girondy. Miała tam stale patrolować silna eskadra karawel wspomagana przez szybkie fregaty i zaopatrywana we wszelkie zapasy drogą morską z portów nad Zatoką Biskajską.

Aby zostać należycie zrozumianym, admirał musiał odstąpić bodaj w ogólnych zarysach swój plan.

Z wiadomości uzyskanych od szpiegów wywnioskował, że najbliższy transport żywności i amunicji dla okrętów blokady powinien wyruszyć z San Sebastian w końcu tygodnia. Zamierzał najpierw zniszczyć ów transport, a następnie z trzech stron, od północy, z zachodu i od południa, zaatakować główne siły hiszpańskie, używając do tego celu wszystkich okrętów liniowych, jakimi rozporządzał. Zadanie osaczenia i zatopienia statków z żywnością miało przypaść Martenowi oraz czterem innym kapitanom korsarskim, których admirał oddawał pod jego rozkazy. Uporawszy się z transportem, eskadra korsarzy powinna wesprzeć regularną flotyllę „Bordeaux”, pozostającą pod dowództwem samego pana de Clisson, i w tym celu zająć pozycję na jej lewym skrzydle, przypuszczalnie na wysokości wyspy d'Oron. Tam właśnie, na południe od Les Sables-d'Oronne i na zachód od d'Oron, admirał spodziewał się zwabić Hiszpanów i zadać im klęskę.

Marten pomyślał, iż ten plan nie jest zły, pod warunkiem,

że nieprzyjaciel istotnie da się wciągnąć w pułapkę oraz że eskadry z St-Nazaire i z La Rochelle znajdą się we właściwym czasie na swoich miejscach. Miał niejakie wątpliwości co do punktualnego uzgodnienia takiej operacji na obszarze obejmującym około trzech tysięcy mii kwadratowych, lecz nie zdradzał się z nimi, zapytał natomiast, kiedy ma przybyć wraz ze swymi okrętami na wyznaczoną pozycję.

~ Jak najprędzej – odrzekł pan de Clisson. – Jeśli mnie tam nie zastaniecie, będzie to oznaczało, że popłynęliśmy dalej ku północy. Wówczas podążycie za nami, trzymając się mniej więcej północnego kursu, wprost na Les Sables.

Marten zmarszczył brwi. Zorientował się natychmiast, że w takim przypadku znajdzie się o jakieś pięćdziesiąt mil na zachód od wybrzeży, lecz ta odległość będzie się stale zmniejszać w miarę posuwania się ku północy.

Musi być pewien swego – pomyślał. – Lecz jeśli się myli...

– Domyślam się, że mój plan niezbyt wam przypada do smaku – powiedział admirał. – Z pewnością ułożyliście lepszy, nieprawdaż?

~ Nie znam szczegółów – odrzekł Marten powściągliwie. – Jeżeli to wszystko zgodzi się w czasie, jeżeli wasza wysokość ma sposoby zmuszenia Hiszpanów do przybycia na miejsce zamierzonej bitwy, plan jest dobry. Oczywiście pod warunkiem,

że będziemy rozporządzali co najmniej równymi siłami.

Pan de Clisson uśmiechnął się tym razem. Wiedział, że będzie miał przewagę, nawet jeśli w decydującym boju zabraknie okrętów korsarskich. Wiedział i dlatego z góry zamierzał je poświęcić; bynajmniej nie spodziewał się ujrzeć ich na lewym skrzydle flotyli „Bordeaux”. Musiały zginąć po to, aby on mógł zwyciężyć...,-

Wracając z Bordeaux, Marten już z daleka dostrzegł na tarasie swego domu postać Grabińskiego, który krzątał się tam około czegoś, co przypominało arkebus lub małą śmi-gownicę ustawioną na balustradzie i wymierzoną wprost na drogę. Zaciekało go to, ponieważ domyślił się, że Stefan przywiózł mu jakąś niespodziankę, zapewne nowy przyrząd nawigacyjny lub też broń, jakiej dotąd nie wyrabiano.

–Cóż to takiego? – zapytał, gdy już wyściskali się wzajemnie u stóp wiodących na ganek schodów, po których chłopiec zbiegł, aby go powitać. – Fortyfikujesz Margaux? Czy może wyznaczasz jego pozycję?

–Ani jedno, ani drugie – odrzekł Stefan. – To, co tam ustawiłem, zmniejsza odległość. Zmniejsza ją do tego stopnia, że widziałem cię wyraźnie, kiedy mijales mostek i zakręt powyżej Yaison.

–No, no, nie przesadzajmy – uśmiechnął się Marten. – Widziałeś jeźdźca i konia; spodziewałeś się mego przybycia, więc nic dziwnego...

–Widziałem, jak puściłeś cugle, wyjąłeś z zanadrza list, czytałeś go przez chwilę i schowałeś do prawej bocznej kieszeni kaftana. Widziałem, jak rozpiąłeś kołnierz, jak obejrzałeś się za zającem, który przebiegł ci drogę, i jak potem poklepałeś konia po szyi.

–To wszystko prawda – powiedział Marten. – Ale... na Boga! – przecież nie będziesz we mnie wmawiał, że mogłeś widzieć każdy mój ruch stąd, z chateau!

–Otóż mogłem! – odrzekł Stefan. – Chodź, sam się przekonasz.

Wyszli na taras i Marten spojrzawszy przez lunetę istotnie zobaczył zakręt drogi, mostek i drzewa tak blisko, że wydało mu się, iż wyciągnąwszy rękę, mógłby dosięgnąć gałęzi. Ujrzał także zegar na wieży kościoła w Yaison i z łatwością rozróżnił jego wskazówki i cyfry.

Był tak zdumiony, że przez dobrą chwilę nie wymówił

ani słowa. Spoglądał w dal raz gołym okiem, raz przez czarodziejską rurę mistrza Lippersheya, aby się przekonać, że nie ulega złudzeniu.

–Nigdy bym w to nie uwierzył – powiedział wreszcie.

–W nocy przez lunetę widać wyraźnie góry na Księżycu – rzekł Stefan. – A gwiazdy wyglądają jak małe księżyce. Na morzu można rozpoznać każdy okręt, gdy tylko ukaże się na horyzoncie. Dlatego ją kupiłem. Kosztowała masę pieniędzy...

–Z pewnością jest warta więcej, niż za nią zapłaciłeś – odrzekł Marten. – • Warta jest każdą sumę! Czy ten Lippershey dużo tego wyrabia?

Grabiński uśmiechnął się triumfująco.

–Ta jest trzecia z rzędu – odrzekł. – Jedną zakupił pan

Jan Latosz, astrolog krakowski; drugą – Tycho Brahe, który teraz

jest astrologiem hrabiego Rantzau von Wandsbek; tę Lippershey

chciał zatrzymać dla siebie, ale przecież mi ją w końcu odstąpił.

Podobno jeszcze tylko niejaki Kepler z MagsUdt i Galileo, który

jest profesorem w Padwie, mają podobne przyrzady. Mówią

nawet, że to właśnie jeden z nich poddał Lippersheyowi myśl...

Ale ty nie słuchasz! – zawołał widząc, że Marten skierował

lunetę w prawo i wypatruje czegoś na drodze pod lasem.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, spojrział również w tamtą stronę i zarumienił się jak panna. Seniorita de Yizella jechała stępa w stronę chciteau. Poznał ją po białym kapeluszu z piórami i po niebieskim aksamitnym bolero, jakiego używała do konnej jazdy.

Zanim zdołał opanować zmieszanie, poczuł na sobie wzrok Martena. Spojrział teraz na niego i zmieszał się jeszcze bardziej. Jan zdawał się świdrować go oczyma. Był blady, brwi zbiegły mu się pod pionową zmarszczką na czole.

Nagle zaklął głośno, odtrącił na bok Stefana, w dwóch susach dopadł drzwi i pędem zbiegł po schodach. Na po-

dwórzu rozległ się jego okrzyk: „Konia! Prędko!” – po czym Grabiński ujrzał go, jak tratując kwietniki i klomby w pełnym galopie mija podjazd, wylatuje za bramę, gna kasztanową aleją...

Co mu się stało? – myślał z bijącym sercem. – Na miłość boską, co mu się stało

Stał na tarasie jak wrośnięty w kamienną posadzkę i patrzył za nim ze wzrastającą

trwogą. To, co się odbywało, co działo się z Martenem, było tak dziwaczne i niezrozumiałe, jak senny majak, w którym brak jakiegokolwiek logiki następujących po sobie czynów i zdarzeń. I – jak w męczącym, gorączkowym śnie – Stefan tknięty obezwładniającym lękiem nie mógł ruszyć się z miejsca. Oczekiwał czegoś strasznego, co musiało zaraz nastąpić, lecz myśli zastygłe w zgrozie zatrzymały się, jakby utknęły w martwym punkcie, nie dokończone, nie sformułowane, za ledwie poczęte w mózgu, który nagle przestał pracować.

Tymczasem Marten pędził *na złamanie karku*, wznosząc za sobą tuman kurzu, zakręcił w prawo i zbliżał się już ku senioricie, która na jego widok zatrzymała wierzchowca.

Grabiński poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Ta mrożąca krew w żyłach, straszliwa rzecz miała zaraz nastąpić... Oto Marten zdziera cuglami konia, zatrzymuje go w miejscu naprzeciw Marii. Nie, nie chwyta jej za gardło, nie sięga po pistolet – cóż za ulga! Więc nie zamierzał jej zabić! Dlaczego miałyby to uczynić?! Skąd takie przypuszczenie?

Wskazuje ręką w stronę lasu. Mówi coś w podnieceniu i gniewie, a *ona zaprzecza, wzrusza ramionami*. Marten potrząsa głową, wydaje się kłąć, złorzeczyć czy też grozić, wreszcie znów spina konia i wypuszcza go cwałem ku zagajnikowi.

.Wszystko to jest nadal niepojęte jak przedtem i ma

wszelkie pozory złego snu, który powraca po chwilowym ocknieniu.

Lecz Stefan nie chce już śnić: wróciła mu zdolność działania. To, czego podświadomie najbardziej się obawiał, przed czym drżał ze zgrozy, nie nastąpiło. Jeśli Marlen nagle oszalał, to przecież jego furia zwracała się przeciw komuś innemu. Należało go powstrzymać, ratować go przed nim samym, zapobiec czemuś, co mógł popełnić w zamroczeniu.

Ależ tak! Ratować! Dopędzić! – ta myśl poderwała Stefana jak smagnięcie biczem.

Jakże mógł stać i gapić się, zamiast działać natychmiast?!

Pobiegł na dół, wpadł do stajni i zawołał, aby mu osiodłano konia. Był tak wzburzony, że chłopak stajenny nie *j* śmiał o nic pytać, jakkolwiek zobaczył go po raz pierwszy w życiu.

Marten gnał przed siebie po leśnej drodze, dysząc zemstą i gniewem, od którego krew zalewała mu oczy. Maria Francesca oczywiście kłamała. Oszukiwała go i kłamała, bo nie mogła go przecież oszukiwać i okłamywać luneta, przez którą dostrzegł to czule pożegnanie na skraju zagajnika. Lu-neta odkrywała prawdę; zdradzała wszystko i wszystkich temu, kto spoglądał przez jej czarodziejskie szkła.

Jemu jednemu była wierna i to właśnie czyniła ją bezcenną.

Jak tylko go dopadnę, strzelę mu w łeb – pomyślał.

Wyobraził sobie, jak się to odbędzie. Jeździec, którego ścigał, posłyszysz tętent konia: zapewne zatrzyma swego i od- I wróci się, aby zobaczyć, kto go dopęda. Może nasunie mu się przypuszczenie, że to Maria Francesca. Jakże się rozczaruje, ujrawszy tego, kogo najmniej chciałby zobaczyć, zwłaszcza z pistoletem gotowym do strzału.

Jeśli to będzie Belmont, natychmiast zrozumie, co mu grozi. Jeśli d'Ambares, może zawaha się przez krótką chwilę. Z pewnością jednak żaden z nich nie rzuci się do ucieczki; ten czy tamten musi zginąć i będzie wiedział za co.

Wtem ujrzał ich obu: Ryszarda i pana d'Ambares. Obydwu razem! Ukazali się na zakręcie i jadąc wolno obok siebie patrzyli na niego zdziwieni, a potem jednocześnie unieśli dłonie powitalnym gestem.

Nie, tego nie przewidział! Nie mógł przecież strzelać do nich kolejno...

Wepchnął pistolet z powrotem za pas, wstrzymał spienionego konia, stanął.

Który z nich?... Który, u diabła?! Ochłonał, zanim się zbliżyli, i nagle cała sytuacja wydała mu się nad wyraz zabawna. Omal nie parsknął śmiechem widząc ich zdumienie. – Szukam jednego z was – powiedział zdyszany.

–Którego? – spytał Armand d'Ambares.

–Właściwie nie jestem pewien – odrzekł Marten. – Skąd i dokąd jedziecie?

–Byliśmy na śniadaniu u Antoniego – powiedział Belmont. – Panna Józefina zaręczyła się z młodym Ireto-nem i...

–Jak to, więc obaj byliście u pana de Camariac?! – przerwał mu Marten spoglądając to na jednego, to na drugiego.

–Ależ tak – potwierdził d'AmbarŁs. – Czy Jest w tym coś niezwykłego?

,– I jedziecie wprost stamtąd? – badał Marten dalej.

–Ma foi! Myślałby kto, że Camariac jest o pół dnia drogi od Margaux – zauważył Belmont. – O co ci chodzi, Janie? Jedziemy wprost stamtąd (oczywiście całe dwie mile jednym tchem, bez popasów), głównie po to, aby wstąpić do ciebie na obiad. W dodatku utwierdziliśmy się tak mocno

w tym zamiarze, iż nie uwiodło nas nawet łaskawe zaproszenie hrabiego de

Blanquefort, którego spotkaliśmy przed chwilą.

Marten gwizdnął przez zęby.

Hrabia de Blanquefort! Ten nadęty pęcherz I Niesłychane!

W tej samej chwili zauważył, że Ryszard i Armand siedzą na gniadych koniach.

Jak mogłem tego nie dostrzec od razu – pomyślał.

–Cieszę się, że was spotkałem – powiedział głośno. –

Okazuje się, że szukałem was obu. I naturalnie proszę na

obiad. Nie macie pojęcia, jak się cieszę.

Zatoczył koniem i wjechał między nich.

–Jedźmy – powiedział. – To doprawdy bardzo ładnie

z waszej strony, że nie ulegliście zaproszeniu hrabiego

Oliviera.

Masz z nim na pieńku ~ zauważył d'Ambares; Marten zaśmiał się krótko.

–Jeżeli jechał na karym koniu, mam z nim diabelnie

na pieńku.

–Jeżeli jechał na karym koniu? – powtórzył Ar

mand. – Do licha, nie myślałem, aby cię to mogło obcho

dzić!

–Przecież chyba nie ukradł ci konia! – wykrzyknął Belmont nie mniej zdumiony. –

Ale rzeczywiście jechał na wspaniałej karej klaczy. Podkupił ci ją?

–Nie – odrzekł Marten. – Niech diabli porwą klacz; chodzi mi o jego własną skórę.

Mam zamiar przedziurawić ją kulą z pistoletu albo szpadą, jak będzie wolał. Zapewne już bym to uczynił, gdybym was nie spotkał. I naturalnie zarzucono by mi morderstwo – dodał.

–Jeśli cię dobrze zrozumiałem – powiedział Belmont – chcesz, abyśmy złożyli wizytę hrabiemu Olivierowi de Blanquefort jako twoi sekundanci.

Marten spojrział na niego spod oka i kilkakrotnie skinął głową.

–Zrozumiałeś mnie znakomicie. Ale nie ma pośpiechu: już mi trochę przeszło.

Wystarczy, jeżeli pojedziecie do niego jutro w południe, przenocowawszy u mnie w Mar-gaux-Medoc. Mam przed sobą dwa dni; w piątek „Zephyr” wyrusza na pewne interesujące spotkanie w pobliżu Zatoki Biskajskiej, więc chciałbym tamto mieć już poza sobą. Czy mogę na was liczyć?

–Oczywiście – rzekł d'Ambares.

–Z pewnością – rzekł de Belmont. Marten

położył im dłonie na ramionach;

–Dziękuję – powiedział.

Przez chwilę milczeli wszyscy trzej. Marten czuł, że powinien wyjaśnić, co go skłoniło do pościgu za Blanquefortem i do wyzwania. Czekali na to. Może nawet domyślali się czegoś...

–Ten pan obraził Marie – zaczął i przygryzł wargę na

wspomnienie owej obrazy, której na szczęście był jedynym

świadkiem. – Nie będę wam opowiadał szczegółów –

powiedział czując, że nie potrafi ich wymyślić. – On zresztą

zapewne nie zapyta, o co mam do niego pretensje. Wie o tym

doskonale.

Entendu! – wybawił go z kłopotu d'Ambares.

–Patrzcie, z kim to jedzie Marie! – zawołał Belmont.

Maria Francesca i Grabiński ściągnęli cugle; ich konie

z wyciągniętego kłusa przeszły w truchta, potem w stępa.

–Widzisz, dziewczątko? – powiedziała seńorita do Stefana. – Pues nada! Już po burzy, como siempre. Gdzie ich znalazłeś, querido? – zwróciła się do Martena z promiennym uśmiechem.

–Niedaleko stąd – odrzekł Marten, odwzajemniając ten uśmiech. – Pomyśl, prenda, jak się to szczęśliwie dla mnie złożyło: jutro obaj pojedą do hrabiego de Blanquefort,

aby ułożyć warunki spotkania. Mam nadzieję, że ten cobardo nie ucieknie, aby ocalić głowę. Przypuszczam, że mu ją porządnie oszpecę.

Maria Francesca znów się uśmiechnęła. Wiedziała, że tym razem Martena czeka zawód, jakkolwiek hrabia nie był tchórzem.

W piątek o świcie „Zephyr” odbił od małej przystani w Margaux-Medoc i pożeglował z biegiem rzeki, żegnany przez Joachima, który objął rządy we dworze, i przez zaspaną służbę uszykowaną w szereg pod jego komendą. Armand d'Ambares i Ryszard de Belmont odjechali już we czwartek, nie spełniwszy misji zleconej im przez Martena, bowiem hrabia Olivier de Blanquefort wyjechał wraz z żoną i najbliższymi domownikami do Paryża, nie domyślając się nawet, co by mu groziło, gdyby choć o kilka godzin dłużej pozostał w swym zamku.

Marten był z tego powodu wściekły na niego i na siebie samego, ale ~ jak zwykle – złość i gniew opuściły go bardzo prędko. Gdy wkrótce po południu kazał rzucić kotwicę pod Royan, słońce, rzeźwy powiew morskiego wiatru, a nade

wszystko widok oczekujących na redzie czterech okrętów korsarskich przyczyniły się do zupełnej zmiany jego nastroju.

Teraz, kiedy miał pod nogami lekko rozkołysany pokład „Zephyra”, kiedy gotował się do nowej wyprawy, wszystko inne wydało mu się o wiele mniej ważne niż jeszcze wczoraj lub przed dwoma czy trzema dniami. Skłonny był nawet uwierzyć, że to, co przypadkiem dostrzegł przez lunetę z tarasu chateau, nie stało się naprawdę. Może było tylko grą cieni rzucanych przez gałęzie drzew poruszane wiatrem? A może widział to, co mu podsuwała zazdrość? To, czego się obawiał, bo wszak z początku wydało mu się, że w jeźdźcu na karej klaczy rozpoznaje Armanda d'Ambares czy też Ryszarda. Sam nie był pewien, którego z nich...

Maria Francesca wypierała się wszelkiego zbliżenia z hrabią Olivierem. Owszem, wracając z przejażdżki spotkała go na drodze; jechał w przeciwną stronę, ale zawrócił i rozmawiał z nią przez chwilę. Potem ją pożegnał na skraju zagajników, gdzie przystanęli w cieniu rozłożystej topoli. Podała mu rękę, którą z galanterią pocałował. Nic poza tym!

Oburzała się, że Marten ją podejrzewa o romansowanie – i to z kim, proszę? – z panem de Blanquefort, który tak niedawno otrzymał od niej ostrą odprawę, gdy zbyt obcesowo jej nadskakiwał na polowaniu w Carnariac! Zaklęła się wreszcie na swoją Madonnę z Alter do Chao, powołując ją na świadka, że mówi szczerą prawdę, i to zaklęcie uczyniło pierwszy wyłom w pewności Martena.

Nie lubił owej nieomal mitycznej Madonny, o której dość się nasłuchał i której nigdy w życiu nie widział. Ale Maria Francesca miała dla niej szczególną cześć i przywiązanie, a przy tym nadal pozostała bardzo religijna. Nie dopuszczałaby się przecież takiego grzechu!

Na koniec jeszcze jedno: kiedy oświadczył, że ją zabiera

ze sobą, zgodziła się natychmiast, bodajże ucieszyła ją ta decyzja. Czy nie świadczyło to o jej miłości i wierności?

Mogłem się omylić – myślał Marten. – Mogło mi się przywidzieć więcej, niż wydarzyło się w rzeczywistości. Niech diabli porwą Blanqueforta. Skoro pojechał do Paryża, może w ogóle tu nie wróci. Chętnie bym wpakował kulę w ten jego mętny łeb, ale na razie mam coś ważniejszego do roboty. Jeżeli go znów spotkam, będę uważał: niech tylko spróbuje bałamucić Marię! Wtedy się nie wykręci sianem, jak tym razem.

Co się tyczy seniority de Vizella, to istotnie była zadowolona, że na jakiś czas opuści chateau Margaux-Medoc. Składało się na to kilka powodów. Po pierwsze nastął już Wielki Post, a więc koniec zabaw i rozrywek towarzyskich. Po wtóre sytuacja pomiędzy czterema mężczyznami, z których uczuciami igrała tak beztrosko, nagle bardzo się skomplikowała.

Spośród nich tylko Olivier niczego się nie domyślał. Ale gdy niebawem wróci z Paryża, d'Ambares lub Belmont nie omieszkają dać mu do zrozumienia, że Marten spostrzegł coś, czego nie powinien był nawet podejrzewać. Olivier będzie wściekły. Z pewnością zrozumie, że tamci dwaj... no, że nie on jeden... A Ryszard i Armand? Co wyniknie między nimi? A także między każdym z nich a Martenem?

Właściwie wszystko to jest niezwykle podniecające – myślała. – Ale gdybyśmy teraz nie wyruszyli na morze, mogłoby dojść do bardzo gwałtownych rozstrzygnięć. Mogłoby się nagle skończyć wcale nie tak, jak bym chciała.

Nie, w ogóle nie chciała, żeby się skończyło. Ta gra bawiła ją. Zajmowała jej myśli, dogadzała próżności, podniecała zmysły.

Najpierw Armand. Armand, którego bez większego trudu odebrała wszystkim innym kobietom. Wyznał, że go oczarowała i że po raz pierwszy zakochał się naprawdę. Niemal od pierwszego wejrzenia! Potem Ryszard! Jakże przekonująco potrafił mówić o swej miłości, zbyt późno obudzonej. Jak bardzo żałował, że niegdyś zgodził się ją, swoją brankę, odstąpić Martenowi. Powodował się wówczas przyjaźnią dla Jana, lecz okazało się, że ta przyjaźń go zaślepiła, i tak na ślepo przegrał swoje szczęście. Teraz pragnął zbierać choćby jego okruchy. Czyż można mu ich być zupełnie odmówić? Wreszcie Olivier. Rasowy, chmurny, despotyczny, pan z panów. Miała go u swych stóp! Triumfo» wała nad jego pychą!

Mogła wybierać wśród nich, mogła się wahać, obiecywać i nie dotrzymywać obietnic, udzielać swych łask lub cofać je bez żadnego innego powodu poza własnym kaprysem. Wzbudzała zawiść i zazdrość kobiet, dostrzegała pożądliwe spojrzenia innych mężczyzn, doświadczała potęgi swego czaru na cnotliwych hugonotach, bawiła się zmieszaniem skromnych, niedoświadczonych młodzików.

Czasem przychodziło jej do głowy, że gdyby nie była kochanką Martena, mogłaby zdobyć męża nawet pośród parów Francji. Była to myśl oszalamiająca. Lecz Maria Frań-cesca bała się jej. W takich chwilach nienawidziła Martena; czuła, że mogłaby go zabić. I wtedy nagle ogarniały ją skrucha, żal i czułość dla tego nieustraszonego junaka. Pragnęła mu wynagrodzić nie dokonaną krzywdę i wszystkie mniej lub więcej dokonane zdrady. Przychodziło Jej to zresztą łatwo; poddawała się własnej namiętności i pociągowi zmysłowemu, który wybuchał tym silniej, im bardziej czuła się winna.

Pozostawała Jednak jeszcze jedna sprawa dotycząca tych przeżyć i konfliktów miłosnych. Sprawa, którą mogli rozstrzygnąć tylko Madonna z Alter do Chao i spowiednik

senorjty de Vizella, grzesznej córki Kościoła. Sprawa stanowiąca o wieczności...

Maria Franeesca jeździła raz na miesiąc-aż do Pe-rigneux – dwadzieścia osiem lieues, czyli mil francuskich – aby w tamtejszym katolickim kościele pertraktować z proboszczem o zbawienie swej duszy. Dzięki tym wycieczkom lub raczej dzięki pokutom następującym po każdej spowiedzi, kościół zyskiwał wcale znaczne zasoby na swe potrzeby, a zacny pleban pięknie zaokrąglął sumkę oszczędzaną na starość.

Madonna otrzymywała swój udział w tych zbożnych transakcjach za pośrednictwem Henryka Schultza, który zgodził się niemal bezinteresownie przekazywać pewne kwoty do Alter do Chao na upiększenie kaplicy i ołtarza, poza tym zaś w Perigneux płonęły dla niej grube woskowe świece. Tymi świecami (po dwa franki sztuka!) Maria Francesca opłacała się swej patronce, ilekroć powoływała ją na świadka niezupełnie zgodnych z prawdą zdarzeń, jak na przykład, w przypadku spotkania z hrabią de Blanquefort, Nie chciała, by paliły się przed jakimkolwiek ołtarzem, więc proboszcz. po burzliwej dyspucie zgodził się ustawić je na specjalnym postumencie pod kazalnicą i w ten dość skomplikowany sposób sefiorita de Yizella zaznała wreszcie spokoju we własnym sumieniu.

Spośród czterech kapitanów korsarskich, którzy z rozkazu admirała de Clisson dostali się pod komendę Martena. dwaj byli jego starymi znajomymi z Morza Karaibskiego: Simon Poignard dowodził śródziemnomorską brygantyną i. Bsrceau", przewaną tak z powodu jej skłonności do nadmiernego kołysania się nawet na niewielkiej fali, a Gas-pard licou – niewielką fregatą. \VAbeille". Z dwu pozostałych niejaki Kousse, rudy jak wiewiórka, był szyprem

...Bijou", zgrabnego okrętu przypominającego holenderski bryg, a ostatni z tej kompanii, o przywisku Tonneau, które niewątpliwie zawdzięczał swym okrągłym kształtom, sprawował władzę „pierwszego po Bogu" na pokładzie czegoś na kształt balii zaopatrzonej w wysokie kasztele, co jednak nazywało się „Serpent Marin".

Marten wydał na ich cześć obiad w kapitańskim-salonie „Zephyra” i zanim zdążyli upić się do utraty przytomności, przedstawił im swój plan działania. Uczynił to w ten sposób, aby mieli wrażenie, iż zasięga ich rady, co bardzo im pochlebiało. Polem, gdy już zwalili się z nóg i posnęli, kazał ich odstawić szalupą na właściwe okręty, a nazajutrz odwiedził każdego w towarzystwie Grabińskiego, aby odświeżyć wszystkie szczegóły w nieco zmaconych umysłach.

O ósmej rano podniesiono kotwice; „Zephyr”, „Ber-eeau”, „yAbeille”, „Bijou” i „Serpent Marin” wraz z rozpoczynającym się odpływem wyszły na środek zatoki, minęły strażniczy okręt królewski pod Point de Grave i wypłynęły na morze.

W dwanaście godzin później Augustę de Clisson, admirał Floty Zachodniej, otrzymał dwie ważne wiadomości: pierwszą – że ciężka karawela hiszpańska w asyście kilku fregat ukazała się na zachód od przylądka de la Coubre i skierowała się na południe w ślad za korsarzami; drugą – że główne siły nieprzyjaciela z wolna ściągają do miejsca koncentracji, na południowy zachód od Ile d'Yeu i Les Sables. Obie te wiadomości były bardzo pomyślne.

W niedzielę po południu Grabiński, który od paru godzin nie opuszczał stanowiska obserwatorskiego na marsie przedniego masztu, zawołał, że widzi żagle.

–Dwa rumby w lewo od kursu – dodał. Marten wspiął się po drabinie i spojrzawszy przez lunetę zobaczył je tuż nad linią horyzontu, a wkrótce mógł

nawet stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że należą do statków hiszpańskich.

Policzył je. Były tam trzy staromodne holki niosące po dwa ogromne, nieporęczne żagle na każdym maszcie, oraz fregata, która zapewne je eskortowała. Pomyślał, że Hiszpanie muszą się czuć zupełnie bezpieczni na tych wodach, skoro transportowi o tak wielkim znaczeniu taktycznym towarzyszy tylko jeden okręt wojenny. Wydało mu się to nieco ryzykowne.

Chyba że w dalszej drodze na północ zamierzają wzmocnić osłonę – myślał dalej. – W takim razie powinni byli wysłać im na spotkanie choćby jeszcze ze dwie fregaty.

Dotąd nie przyszło ci to do głowy – skarcił się obracając lunetę ku północy. – Wydaje ci się, że twój admirał myśli również za ciebie!

Lecz na północy i wszędzie dokoła morze było puste.] Nic stamtąd nie zagrażało korsarzom.

Przynajmniej na razie – pomyślał. – Trzeba to jednak wziąć pod uwagę.

Zszedł na dół razem z Grabińskim, aby się przekonać, czy widać już żagle nieprzyjacielskie z wysokości tylnego; kasztelu. Dojrzał stamtąd zaledwie szczyty

masztów i naj-[wyższą reję fregaty. Miał zatem dość czasu na porozumienie się ze swymi kapitanami.

Przewidując, że atak nastąpi o zachodzie słońca, skierował się jeszcze bardziej w prawo, jakby zamierzał zejść; z drogi Hiszpanom, i zajął ostatnie miejsce w szyku przypominającym klucz żurawi czy też stopnie schodów. W ten sposób po nagłym zwrocie w lewo cała jego flotylla miała łaby nieprzyjaciela wprost przed sobą, a słońce za plecami! przy czym „Zephyr” znalazłby się na lewym skrzydle, najbliższym transportu.

–Z pewnością nie przyjdzie im do głowy, żeby nas] zaatakować ~ powiedział do Stefana. – Są na to za sł-

bi. Z drugiej strony – sami nie spodziewają się napaści: od bardzo dawna nie przytrafiło im się tutaj nic podobnego.

–Ale mogą nas wziąć za swoich – zauważył Grabiński. – Wtedy...

–Nie wezmą nas za swoich – zaprzeczył Marten. – Po pierwsze tylko „Wąż Morski”, który zresztą wygląda jakby połknął wielbłąda, przypomina ich okręty. Po wtóre kierunek naszej żeglugi musi naprowadzić ich na myśl, że sami pragniemy uniknąć spotkania. Będą więc raczej przypuszczali, że chcemy się przedostać do Bayonne i że mamy potężnego stracha. Naturalnie będą tak przypuszczali, póki nie zobaczą, że zwracamy się wprost ku nim. Ale wtedy będzie za późno.

Znów spojrzął w stronę, gdzie spodziewał się ujrzeć hiszpański transport, i rzeczywiście go tam dostrzegł: plamki żagli oświetlone z boku promieniami słońca. Podniósł do oczu lunetę, którą mu podał Stefan, oparł ją na jego ramieniu.

Trzy głęboko zanurzone statki płynęły rzędem w nierównych odstępach. Fregata wyprzedzała je o dobre pół mili, idąc na prawym skrzydle szyku.

Jeśli się czegoś spodziewają, to tylko od lądu – pomyślał.

Obejrzał się na słońce. Miał je dokładnie po prawej ręce. Na prawo w skos balansował lekko, jak tancerka na linie, „Bijou”, dalej zataczała się nerwowo „Berceau”, „Serpent Marin” kiwał się poważnie z boku na bok i z dzioba na rufę, a na samym przedzie długimi szczupakami sadziła „Ł/Abeil-le’V

–Doskonale – mruknął zadowolony. – Oby tylko Gaspard nie zaczął zbyt wcześnie – pomyślał. – Chciałbym, żeby raczej słońce trochę się pośpieszyło. Ale nie można wymagać za wiele od Opatrzności...

W tej chwili Grabiński drgnął i odwrócił głowę, a Marten chwycił nozdrzami znajomy zapach perfum.

–Chcesz ich zobaczyć z bliska, Marie? – spytał nie

odwracając się i kierując lunetę z powrotem na okręty hisz

pańskie.

–Tali, chcę – odrzekła Maria Francesca po krótkim

wahaniu.

Bała się trochę tej czarodziejskiej rury. Bez pomocy szatana nie mogło to przecież działać...

Marten wyśmiewał jej obawy, a ciekawość walczyła ze strachem, ale dotychczas nie odważyła się spojrzeć przez zimno połyskujące szkła. Wyobrażała sobie, że są żrenicami upiora.

Grabiński poczuł teraz jej dłoń na ramieniu. Stała tuż blisko za nim. Jej oddech owiewał mu kark.

–Widzę! ~- wykrzyknęła. – Najświętsza Panno, są zu

pełnie blisko!

Marten ucieszył się jej zdumieniem. Kazał jej oglądać maszty i reje fregaty, dopytywał się, na jaki kolor pomalowane są kasztele holców i czy zauważyła, jakie mają galiony na dziobach.

Stefan milczał zaciąwszy zęby. Palce seniority dotknęły jego odsłoniętej szyi poniżej ucha, pieszczotliwie drażniły skórę, zagłębiły się we włosach. Krew buchała mu do twarzy, waliła młotami w skroniach, burzyła się w piersi jak wrzątek. Czuł, że dłużej tego nie zniesie, lecz nie wiedział, co ma uczynić, aby się nie zdradzić. Aby jej nie zdradzić.

Bóg mi świadkiem, że tego nie chcę – myślał gorączkowo wo. – Nie chcę, żeby mnie dotykała, żeby jej się zdawało, że ja także... Ale niech i on się o tym nie dowie, bo mi nie uwierzy. Wolałbym zginąć, niż żeby mnie podejrzewał, a przecież za nic w świecie nie powiem ani słowa przeciwniej...

–„L'Abeille" wykręca w lewo! – rozległ się okrzyk Hermana Stauffla, który siedział na marsie.

Grabiński doznał wrażenia, że spada w dół z ogromnej wysokości. Mimo to prawie bez wstrząsu stanął na pokładzie. Stało się tak zapewne dlatego, że poprzednio bezwiednie zacisnął powieki, a teraz je otworzył.

Zobaczył przed sobą Tessariego, który utkwiał przenikli-Ave spojrzenie w jego twarzy. Serce zamarło w nim na chwilę: Cyrulik widział!

Wtem usłyszał za plecami głośną komendę Martena do przebrasowania rej na prawy ciąg. Jednocześnie zrozumiał, że „Zephyr” już zaczyna wykręcać w lewo.

Obejrzał się. Maria Franeeśca stała o kilka kroków za nim oparta o poręcz nadburcia. Uśmiechała się czy też może powstrzymywała się od śmiechu.

–Co ci się stało, dziewczątko? – zapytała. – Wyglądasz, jakbyś się dopiero co obudził!

Stefan odwrócił się gwałtownie i znów natknął się na Cyrulika. Ale Tessari patrzył teraz na senioritę. Jego prawa dłoń wolno unosiła się wzdłuż biodra, dotknęła rękojeści pistoletu i nagle opadła w dół. Tessari skrzywił się i splunął, jakby poczuł w ustach coś obrzydliwego.

–Chodźmy! – krzyknął do Grabińskiego i pociągnął go w stronę fokmasztu.

Clemente Orozco, młody kapitan hiszpańskiej fregaty „San Rafael”, nie miał wielkiego doświadczenia, ale był człowiekiem w miarę rozsądnym i odważnym. Ujrawszy pięć okrętów zmierzających na południe, w pierwszej chwili przypuszczał, że stanowią eskortę, której się spodziewał. Wprawdzie zapowiedziano mu w San Sebastian, że spotkanie powinno nastąpić nieco dalej na północ, mniej więcej na wysokości Arcachon, lecz mogło się zdarzyć,

iż okręty admirała Torresa, który dowodził blokadą, wypłynęły wcześniej lub natrafiły na szczególnie sprzyjające wiatry.

Wkrótce jednak ogarnęły go wątpliwości. Dlaczego,; u licha, dowódca domniemanej eskorty nie zmieniał kursu? Musiał przecież zauważyć jego transport, skoro sam został zauważony, i to w warunkach trudniejszych, bo pod słońce, które teraz prawie całkowicie oślepiało kapitana. Ów dowódca miał lekkie, szybkie okręty i powinien był już dawno wykonać manewr, którego po nim oczekiwano, lub przynajmniej wysłać jedną ze swych fregat celem porozumienia się z konwojem. Nie uczynił tego; widocznie wcale nie miał ochoty zbliżyć się do transportu; chciał go raczej ominąć i dlatego ukrył się w blasku zachodzącego słońca. Ale kim był w takim razie i dokąd płynął?

Odpowiedź na te pytania narzucała się sama. Jeśli ktoś omija z daleka Hiszpanów, z pewnością ich się obawia. A zatem nie jest przyjacielem, lecz wrogiem. Wrogiem prawdopodobnie słabym albo tchórzliwym. Może po prostu przemytnikiem, który

próbuję szczęścia. Tak, z pewnością przemytnikiem!

Dokąd płynie? Przecież nie do Hiszpanii! Zapewne chce] się przedostać do Bayonne albo do jakiegoś małego portu powyżej ujścia Adour. Jeśli tak, to wykręci na wschód o zmierzchu, gdy konwój będzie już daleko.

–Tym razem uda mu się – westchnął z żalem. – Nie mogę powstrzymać tych cobardos; nie wolno mi ani wdawać się z nimi w bitwę, ani ich ścigać... Nie mogę opuszczać trans* portu.::

Polecił zwracać baczną uwagę na dalsze manewry podejrzanych okrętów i trochę rozgoryczony na los, który skazał go na beczynność w obliczu wymykającej się łatwej -J jak sądził – zdobyczy, zamierzał zejść do kasztelu, gdy usłyszał okrzyk bosmana siedzącego na marsie.

–Que pasa? * – zapytał głośno.

Bosman odrzekł, iż fregata idąca na czele szyku prze: brasowała reje i wykręca na lewo;

Orozco zaklął. Ta szajka bezczelnych włóczęgów zdawała się wiedzieć o jego bezsilności.

Przedefilują o pół mili za moją rufą – pomyślał. – Como que no! Mogą sobie na to pozwolić... Nie zawadzi jednak dać im do zrozumienia, że uczynią lepiej, jeśli nas ominą w większej odległości.**

Kazał przebrasować reje i wykonać zwrot na fordewind. Manewr wypadł sprawnie, ku jego pełnemu zadowoleniu. „San Rafael” pochylił się pod wiatrem, zwolnił, jakby się nim zachłysnął, i znów pomknął naprzód, tym razem na południe. Wyglądało na to, że zamierza przejść za rufami swoich trzech holków na ich lewe skrzydło, a może nawet wygarnąć z przednich dział do „L'Abeille”, która ośmieliła się zająć na ich tyły.

Owszem, miał taki zamiar, lecz nie bardzo liczył na jego wykonanie. Przypuszczał, że mała fregata odbije dalej na południe, gdy tylko jej szyper zrozumie, co się święci. Ale ów tonto ani myślał ustąpić mu z drogi. Jego okręt pędził teraz na spotkanie „San Rafaela”, wciągając na maszty jakieś szmaty, które zapewne miały reprezentować neutralną flagę.

–. Ciekawe jaką? ~ mruknął Orozco trochę zaniepokojony.

Wietrzył podstęp, ale bynajmniej nie spodziewał się ujrzeć nowej bandery francuskiej z herbami Bourbonów, obok której powiewał korsarski wypel wojenny. Był zaiste zdumiony, lecz nie stracił głowy. Na szczęście nie pozwolił się zaskoczyć:

miął nabite działa i w samą porę znalazł się właśnie tam, skąd jego statkom groziło niebezpieczeństwo.

Gdy dał ognia z trzech żelaznych falkonetów i ujrzał walące się na pokład reje korsarza, przeżył krótką chwilę triumfu. Krótką, bowiem już w następnej sekundzie usłyszał salwę po prawej stronie i w mgnieniu oka zrozumiał, że pozostałe cztery okręty bynajmniej nie płyną śladem pierwszego, lecz wykręciwszy jak tamten pod kątem prostym, nacierają z boku na odsłonięty transport.

Jestem zgubiony – pomyślał, lecz nie uląkł się.

Miał jeszcze dwadzieścia sześć dział gotowych do strzału na pokładzie artyleryjskim, dwa falkonety na rufie pod tylnym kasztelem i kilka oktaw przy burtach. Mógł nadal walczyć i postanowił raczej zginąć, niż ratować się ucieczką, co zapewne by mu się udało, gdyby natychmiast skorzystał z okazji, mając przed sobą tylko jednego, na pół obezwładnionego przeciwnika.

Z wielką przytomnością umysłu kazał gotować zwrot, przeleciał obok ogołoconej z dolnych żagli fregaty korsarskiej, którą wiatr obracał dziobem ku północy, wpakował jej po drodze Jeszcze jeden celny pocisk w sam środek przedniego kasztelu i wykręciwszy znów w prawo, znalazł się za lewym skrzydłem swego nieszczęsnego konwoju.

Musiał teraz na gwałt przebrasować na przeciwny ciąg i zapewne dokonałby tego, gdyby nie morderczy krzyżowy ogień z małej galeony i z brygu. Oba te okręty przeszły; jeden za drugim przed dziobem „San Rafaela” i dobrze użyły swych dział rozbijając w drzazgi wszystko, co było na pokładzie, wraz z przednim kasztelem.

Clemente Orozco nie zdołał już odpalić ani jednej salwy. Był ciężko ranny i czuł, że życie uchodzi z niego wraz z krwawą pianą, która toczyła się z ust i dusiła go, tamując! oddech. Gasnącym spojrzeniem objął trzy statki, które mu powierzono. Były stracone: białe płachty powiewały z ich masztów.

Odwrócił wzrok i ujrzał jeszcze nadlatującą galeonę o zdumiewającej ilości żagli rozpiętych na pięciu rejach. Nad tą wspaniałą piramidą płótna łopotą, zwijała się i rozwijała na wietrze ezarna bandera ze złotą kuną.

Szyprowie hiszpańskich holków transportowych niewiele mieli do powiedzenia podczas przesłuchania, jakiemu ich poddano na pokładzie „Zephyra”. Wiedzieli oczywiście, że wiozą zaopatrzenie dla floty admirała Torresa i znali kurs, jakiego należało się trzymać, aby dotrzeć do miejsca spotkania, lecz nic poza tym. Wszelkie bardziej szczegółowe rozkazy, aż do zmian ciągu włącznie, otrzymywali od swego comodore, kapitana Orozco. Lecz Orozco zginął, a dwaj pozostali przy życiu oficerowie „San Rafaela” na wszelkie pytania Martena odpowiadali pogardliwym

wzruszeniem ramion.

Tonneau, Rouse i Poignard, którzy asystowali przy badaniu jeńców, uśmiechali się ironicznie, zamieniając między sobą znaczące spojrzenia. Ich zdaniem Marten niepotrzebnie cackał się z tymi panami, bo przecież istniały bardzo proste sposoby na rozwiązanie języków. Ale on nie chciał się do tych sposobów uciec i na próżno tracił czas, a w końcu, nie dowiedziawszy się niczego, kazał odprowadzić jeńców do pomieszczenia w przednim kasztelu, zamiast ich przykładowo powiesić.

Zaraz potem Poignard w imieniu całej trójki zapytał, co Marten zamierza zrobić ze zdobytymi holkami.

–Zatopić je – odrzekł.

Poignard obejrzał się na swych kompanów.

–My trzech zdobyliśmy te statki – powiedział twardo. – I

nie zgadzamy się.

–Co takiego? – spytał Marten wstając.

Zbliżył się do niego o krok, a Poignard o krok się cofnął.

–Nie mówię, że ładunek należy tylko do nas trzech

rzekł pojednawczo. – Ale nie chcemy stracić naszej części

Jeżeli mamy stąd natychmiast odpłynąć, to...

.– Nie odpłyniemy stąd, póki Gaspard nie wymieni po-j trzaskanych rej – przerwał mu Marten. – Wybierze sobie nie uszkodzone z fregaty, a gdyby tamte mu się nie nadałyⁱ zdejmie nawet cały takielunek z holków.

–A potem co? – zapytał Rouse zaczepnie.

–A potem zatopimy cały transport z wyjątkiem szalup] i tratw, których będą potrzebowały załogi – odrzekł Marten.

Tonneau, którego okrągła twarz z rumianej stała się szkarłatna, eksplodował jak petarda lub raczej jak cała bateria petard naładowanych przekleństwami. Rouse wtórował mu ochryplym basem, a Poignard na próżno starał się ich uspokoić.

–Widzę, że więcej dbasz o Hiszpanów, którzy są wrorf gami króla i Francji, niż o słuszną nagrodę dla przyjaciół -s powiedział wreszcie, gdy dopuścili go do głosu.

–A cóż wy myślicie zrobić z tymi holkami? – spytał Marten. – Przecież nie możemy ich wlec z sobą aż do Ole-ron czy choćby tylko do Royan. To Jest ponad sto mil, czło-.j wieku, a pod wiatr te saboty nie wyciągną nawet pięciu węzłów!

–Ale do Bayonne jest około czterdziestu mil, a do Arcachon niecałe sześćdziesiąt – odparł Poignard.

Marten wzruszył ramionami.

~ Nie idziemy ani do Arcachon, ani do Bayonne.

–Tylko dokąd? – zapytał Rouse.

–Nie udawaj głupiego – odrzekł Marten. – Dobrze

wiesz, dokąd: na pomoc admirałowi Clisson i flocie króla.

Piousse roześmiał się szyderczo.

–A który z nich wynagrodzi nas za to? – spytał.

Król czy nasz bohaterski admirał?

Marten spojrzał na niego chmurnie, ale w duchu przyznał mu rację: nie można było liczyć na żadną nagrodę w tej rozprawie, a przecież łup wojenny należał się tym, którzy go zdobyli.

–Dobrze – powiedział po krótkim wahaniu. – Możecie

zabrać z holków i fregaty, co wam się podoba, ale pośpieszcie się.

Jak tylko Gaspard doprowadzi do porządku swój takielunek,

ruszamy. Muszę zatopić fregatę i holki, zanim stąd odpłyniemy.

Trzej szyprowie porozumieli się wzrokiem, a Poignard mruknął:

–Niech będzie.

Wiatr, który po zachodzie słońca ustał zupełnie, obudził się przed północą i zaczął dąć z południowego zachodu. Gwiazdy gasły w tamtej stronie Jedna po drugiej, przesłaniane niewyraźnym mglistym nalotem, a niebo ciemniało coraz bardziej, aż stało się czarne jak smoła. Chłodne podmuchy przelatowały nad „Zephyrem”, zrywały z czubów fal ostre, kłujące bryzgi wody, piana syczała u burty, a wanty śpiewały jękliwie, raz wyżej, raz niżej, do wtóru skrzypiącym rejom.

Marten jeszcze przed nastaniem ciemności wysłał był kilku ludzi w szalupie na „San Rafaela”, aby zabrać z hiszpańskiej fregaty zapas prochu i kul. Gdy łódź powróciła, nie pozostało mu już nic innego, jak czekać na ukończenie wymiany i naprawy takielunku „L'Abeille”, która dryfowała opodal. Dochodził stamtąd stuk toporów i młotów, a na masztach widać było sylwetki majtków i bosmanów zajętych wciąganiem rej i zakładaniem tali.

Tymczasem Poignard, Rousse i Tonneau wśród kłótni i przekleństw zajęli się wraz z załogami swoich okrętów

trzema holkami. Wkrótce zapadająca noc okryła nieprze-j niknioną czernią ich poczynania, a wiatr i rosnąca fala za-1 głośzyły wszelkie inne głosy.

Nad ranem, gdy Gaspard Licou uporał się wreszcie z omasztowaniem i olinowaniem „L'Abeille” oraz doprowa-J dzil do porządku nadwerężony przedni kasztel, wiatr znów| przycichł, ale martwa fala nadbiegała nadal z południa i za-?* chodu. Od horyzontu aż do zenitu rozciągała się groźna, ciężka jak ołów, nieruchoma chmura, a druga, północno- \ -wschodnia połowa nieba wyglądała jak zasnutą rudawymi dymem. Świt wstawał żółty, mdłe światło zaledwie rozpraszało mrok, powietrze zdawało się mętne jak zakurzona szyba.

Marlen wyszedł na pokład i rozejrzał się po morzu, ale nie dostrzegł tam ani hiszpańskich holców, ani okrętów! korsarskich, które miały ich strzec podczas nocy. TylkoŁ „fAbeille” z żaglami ustawionymi w dryf kołysała się w po-rf bliżu, połączona liną holowniczą z „San Rafaelem”.

Uciekli! – pomyślał z gniewem o trzech korsarzach.

W pierwszej chwili chciał ich dogonić i dać im porządną * nauczkę za zlekceważenie rozkazów. Ale po namyśle porzuciła ten zamiar: i tak już stracił wiele cennego czasu, a przy tymi nie był pewien, jaki kurs obrali – do Bayonne czy też do Arcachon.

–Niech się z nimi rozprawi Clisson – powiedział do Grabińskiego, który czekał na rozkazy. – Daj znać Gaspar-dowi, żeby ściągnął resztę swoich ludzi z „San Rafaela” Niech przetną hol i podpalą lonty. Hiszpanie mogą już spuszczać tratwy i łodzie. Niech się pośpieszą, bo za kwadrans ich p fregata pójdzie na dno.

Istotnie w piętnaście minut potem rozległ się potężny! huk; prochownia fregaty wraz z pokładem i przednim kasz-| telem wyleciała w powietrze zasypując szczątkami oddala-; jące się szalupy z hiszpańską załogą. „San Rafael” pochylił

się na bok, jego dziób pograżył się w falach, a rufa tonęła bulgocząc wielkimi bąblami powietrza, które woda wytłaczała z kadłuba.

„Zephyr” i „L/Abeille” już od kilku godzin szły prawym ciągiem, niemal wprost na

północ zacierając ku domniemanemu miejscu spotkania z okrętami admirała de Clisson, gdy Stefan Grabiński usłyszał słaby, dochodzący z daleka huk ognia artyleryjskiego. Z początku pomyślał, że to odległy grzmot czającej się burzy, ale wnet pojął, że się myli. Burza nadciągała bardzo wolno od tyłu, z lewej burty, a odgłos dział niósł się od strony lądu, gdzie słońce przeciekało przez zmętniały błękit nieba.

Niewątpliwie toczyła się tam jakaś bitwa, ale przecież nie pomiędzy flotą królewską a eskadrami admirała Torresa?... Do ujścia Girondy pozostało jeszcze co najmniej ze sto pięćdziesiąt lub sto osiemdziesiąt mil i dopiero po przebyciu tej odległości można się było spodziewać generalnej rozprawy, w której „Zephyr” miał wziąć udział. Zatem była to zapewne jakaś potyczka.

Z kim?

Odpowiedź narzucała się sama: „Serpent Marin”, „Ber-ccau” i „Bijou” mogły uprowadzić zdobyte holki hiszpańskie bądź do Arcachon, bądź do Bayonne; prawdopodobnie Poignard, który zdawał się przewodzić tej trójce, wybrał pierwszy z owych portów, ponieważ mógł do niego dopłynąć wprost z wiatrem. Jeśli w drodze natknął się na jakiś hiszpański okręt wojenny...

Grabiński spojrział na Martena, który podobnie jak on sam wsłuchiwał się w odgłosy kanonady.

–To chyba nasi? – zapytał. – Tam jest Arcachon...

Marten skinął głową.

~ Spodziewałem się tego po trosze – mruknął na pół

do siebie. – Nie przyszło im nawet do głowy, że Torres] wyśle eskortę po swój transport. Musieli ją spotkać.

Stefan patrzył na niego wyczekująco, ale Marten nie] wydał żadnego rozkazu. Rysy jego twarzy stężały, brwi zbiegły się nad oczyma, które spoglądały cłódnio i twardo,

–Nie pójdziemy im na pomoc? – spytał Grabiński.

Marten wzruszył ramionami.

–Mają, na co zasłużyli.

–Ależ w takim razie Hiszpanio odzyskają transport! – jn wykrzyknął Stefan.

–Nie sądzę – odrzekł Marten. – Poignard ma dość oleju w głowie, aby w

ostateczności zatopić holki. Sam będzie się starał uciec, ale wątpię, czy mu się to uda. Tylko Rouse ma niejaki szanse: jego „Bijou” jest szybka...

–Jak to? Zostawisz ich własnemu losowi?

Marten skinął głową.

–Mamy jak najprędzej przybyć na lewe skrzydło okrę-j tów królewskich pod Oleron – powiedział z naciskiem. – •' Wprawdzie nasz admirał nie spodziewa się nas tam ujrzeć, ale...

–Nie spodziewa się? Dlaczego?

–Ponieważ liczył na to, że natkniemy się na eskortę, która teraz wykańcza Poignarda i jego kompanów, Rozu-j miesz? Poświęcił nas, aby zyskać na czasie i osłabić siły Torresa. Ale ten cel tak czy inaczej został już osiągnięty. Nie zdołamy uratować tych trzech durniów, możemy nato» miast przydać się tam, gdzie nas nie oczekują – na głów-¹ nej scenie. Spójrz: Licou najwidoczniej myśli tak samo.

Gaspard Licou stawiał resztę swoich kliwrów, aby nie pozostać w tyle za „Zephyrem”; „L'Abeille” żeglowała nie: zmienionym kursem, niemal na fordewind, co dawało jej prędkość około dziesięciu węzłów.

–Jeśli wiatr nie osłabnie, a mam nadzieję, że raczej się

wzmoże, to jeszcze dziś w nocy będziemy na miejscu – dodał

Marten. – Nie sądzę natomiast, abyśmy kiedykolwiek mieli

ujrzeć „Morskiego Węża” zacnego kapitana Ton-neau i „Kołysek”

Simona Poignard... Ale, jeżeli mam być szczery, nie bardzo się

tym trapię.

Bitwa morska pod Oleron nie przyniosła decydującego zwycięstwa żadnej ze stron, jakkolwiek zarówno Francuzi, jak Hiszpanie uważali ją za swoją wygraną. Obiektywnie można stwierdzić, że Torres okazał się lepszym taktykiem od pana de Clisson. Odniosłby zapewne zupełny tryumf nad swym przeciwnikiem, gdyby nie nagła interwencja dwu żaglowców korsarskich, które przeszkodziły mu w zdobyciu flagowego okrętu „Victoire”, mającego na pokładzie francuskiego admirała, i gdyby nie burza rozszałała pod koniec rozprawy. Również wskutek owej burzy Hiszpanie stracili więcej okrętów niż Francuzi, którzy na czas schronili się w przesmyku d'Antioche za osłoną wyspy d'Oleron i w porcie La Rochelle.

W każdym razie nie była to bitwa decydująca, o jakiej marzył Auguste de Clisson. Jego przewidywania o koncentracji wszystkich okrętów hiszpańskich między Oleron

a Les Sables-d'Olonne sprawdziły się tylko częściowo, a w planowanym ataku zabrakło mu eskadry „Nantes”, która żeglując pod wiatr spóźniła się o kilka godzin.

W sumie Francuzi uniknęli klęski, lecz nie zdołali by-: najmniej przełamać hiszpańskiej blokady, udało im się jedynie na pewien czas ją osłabić, i to dzięki sprzyjającym okolicznościom.

Co się tyczy kapitanów owych dwu okrętów korsarskich. to w chwili przybycia na arenę bitwy i podczas skin tecznej interwencji na rzecz „Victoire” nie mieli oni pojęcia, że „ratują honor Francji oraz życie naczelnego dowódcy Floty Zachodniej” – jak o tym później doniósł pan de Beilthune w poufnym raporcie jego zaufany sługa, Tourville, komendant portu i twierdzy La Rochelle. Niemniej jednak B sprawozdanie pana de Tourville odznaczało się rzetelną bezstronnością, w odróżnieniu od samochwalczego elaboratu admirała de Clisson, który wyłącznie sobie przypisywał „rozgromienie głównych sił hiszpańskich pod Oleron”, nie wspominając ani jednym słowem o walecznych czynach „Zephyra” i „L'Abeille”.

Oba te okręty znalazły się w ogniu bitwy podczas jej końcowej fazy, na krótko przed burzą, która szła ich śladem z południowego zachodu.

„Mogło się wówczas zdawać – pisał pan de Tourville -; że czeka nas nieuchronna klęska. Ciężkie karawele Torresa wdarły się pomiędzy nasze okręty liniowe rozbijając flotyllę „Bordeaux” na dwie części, podczas gdy hiszpańskie fregaty oskrzydliły flotyllę „La Rochelle” od północno-zachodu, skąd na próżno spodziewano się przybycia eskadry „Nantes”. Pan de Clisson podniósł flagę admiralską na okręcie „Victoire”, dowodzonym przez kapitana Ludwika de Margaux, znanego osobiście Waszej Ekscelencji. Zamiast jednak użyć tego okrętu we właściwy sposób, po czym nadarzała się niejedna okazja, zwlekał tak długo z decyzją, aż sam zo-

sił ostrzelany przez karawelę „Montezuma”, a następnie zaatakowany przez dwie duże, dwupokładowe fregaty „San Christobal” i „Aaron”. Salwy z „Montezumy” uszkodziły ster „Victoire”, ogień fregat zniszczył grotmaszt i wzniecił pożar w tylnym kasztelu, po czym „Aaron” szepił się z okrętem admiralskim, aby go zdobyć abordażem.

Kapitan Margaux na czele nielicznej pozostałej przy życiu załogi bronił się prawdziwie po bohatersku, lecz odniósłszy kilka ran i wobec przygniatającej przewagi wrogów, musiał się wycofać do przedniego kasztelu. Hiszpanom udało się jednak podpalić i ten ostatni szaniec obrońców, tak że sytuacja stała się po prostu beznadziejna.

W owej tragicznej chwili, kiedy wydawało się, że nikt nie zdoła ocalić życia admirała de Clisson, uratował je znany korsarz, Jan Marten, dowodzący galeoną „Zephyr”. Ten niewielki okręt uzbrojony w dwadzieścia dział zjawiał się w samą porę przy drugiej burcie „Victoire”, a pięćdziesięciu ludzi załogi wtargnęło na pokład opanowany już przez Hiszpanów. Podczas gdy brawurowy atak korsarza zmusił hiszpańską piechotę do panicznej ucieczki, drugi okręt korsarski, „L'Abeille”, rozpoczął celny ogień do „Aarona” i wkrótce zatopił tę fregatę. Chciałbym tu podkreślić – dodawał w nawiasie pan de Tourville – że na pokładzie „Zephyra” znajdowała się podczas bitwy młoda kobieta, która – o ile wiem – jest szczególnie droga kapitanowi Martenowi. Jej obecność i niebezpieczeństwo, na jakie była wystawiona, nie powstrzymały go jednak od bohaterskiego wystąpienia w obronie honoru Francji oraz życia dowódcy Floty Zachodniej.”

W dalszym ciągu swej szczegółowej relacji komendant La Rochelle opisuje gwałtowną burzę, jaka rozszalała się u zachodnich wybrzeży Poitou, Saintonge i Medoc, oraz nader bezstronnie stwierdza, że cztery hiszpańskie okręty zostały rzucone na mielizny, a trzy inne zatoniły na peł-

nym morzu jedynie dzięki tej nawałnicy. Połączone flotylle] „Bordeaux” i „La Rochelle” zdołały zatopić dwie fregaty; i karawelę, a ^'Abeille'¹ – jedną fregatę. Poza tym działa! francuskie uszkodziły kilka innych okrętów hiszpańskich^ które Jednak nie straciły zdolności do Żeglugi.

Straty francuskiej Floty Zachodniej wyniosły ogółem! sześć okrętów zatopionych, w czym dwa duże galeony limo-j we. Jak się później okazało* hiszpańska eskorta, wysłanej przez admirała Torresa na spotkanie transportu płynącego Ł San Sebastian, zatopiła jeszcze trzy francuskie żaglowce] korsarskie w pobliżu Arcachou, nie odzyskując zresztą stała ków-transportowych, które korsarze zdążyli podpalić.

Henryk IV jechał z „małym dworem” na Krótki wypo-1 czynek do dziedzicznego królestwa Bearn. Zamierzał zapo-Jlować w tamtejszych lasach na rogacze i dziki, a następnie^ za rada Du Plessis-Mornaya odwiedzić swych wiernych hu-gonotów także w Bordeaux i La Rochelle* aby ich przekonać, że bynajmniej nie zapomniął o zasługach, jakie położyli dla tronuj mimo iż formalnie koronował się jako prawy syn Kościoła rzymskiego;

Pragnął* aby te odwiedziny odbyły się bez wielkiegffl rozgłosu, ponieważ i tak już ultramontańscy paszkwilanci; starali się rozpowszechnić przekonanie, że akt abjuracji w Saint-Denis był tylko udanym nawróceniem. Lecz z drugiej strony musiał liczyć się z milionową rzeszą wyznawców Kalwina, która dotąd na próżno oczekiwała przyrzeczonego, zrównania w prawach z^katolikami. Chciał ich uspokoić i poi cichu zapewnić, Se przygotowuje edykt *, którego mocą,

wkrótce zagwarantowana zostanie zupełna wolność sumienia i wyznania wiary,

Z tych powodów dwór lub raczej poczet królewski składał się prawie wyłącznie z mężczyzn; nawet madame d'Estrees musiała tym razem zostać w domu.

Oprócz nieodstępного d'Armagnaca towarzyszyli królowi: przyjaciel i powiernik, gubernator wyspy Oleron, Teodor Agrippa d'Aubigne, Maksymilian de Bethune oraz kilkunastu dworaków i szlachty, a między nimi hrabia Oli-vier de Blanquefort. Ten ostatni zresztą nie należał do stałego otoczenia dworskiego, lecz znalazł się tam przypadkiem, przybywszy do Paryża w chwili, gdy Henryk IV gotował się do drogi.

Hrabia zamierzał starać się o wakujący od dawna urząd gubernatora Perigord, uznał więc, że uczyni najlepiej przyłączając się do królewskiego orszaku, zwłaszcza iż liczył na niejake poparcie nadintendenta finansów, dalekiego swego kuzyna, pana de Bethune.

Gdy ów niewielki orszak zatrzymał się w Limoges, aby po drodze zwiedzić niedawno uruchomione warsztaty sukiennicze, odbudowaną hutę szkła i emaliernię, do pana de Bethune zgłosili się dwaj gońcy wysłani do Paryża: jeden przez admirała de Clisson, drugi przez komandora de Tourville. Obaj pędzili co koń wyskoczy, wioząc dwa różne sprawozdania, które nadintendent finansów przeczytał z jednakowym zainteresowaniem, opatrzył kilku mniej lub więcej dowcipnymi komentarzami i wręczył królowi.

h~ Są tu pewne wiadomości, najjaśniejszy panie – rzekł spoglądając z ukosa na Agrippę – które d'Aubigne z wrodzoną skromnością ukrywa przed tobą i przed nami. Byłoby słuszne i sprawiedliwe, aby on właśnie zechciał je głośno odczytać.

Teodor d'Aubigne zmieształ się, choć miał czyste sumienie. Król patrzył na niego z ciekawością i ubawionym zara-

żętem, de Belhune – z udaną powagą, d'Armagnac – wyczuwając kłopot, pan de Blanquefort – podejrzliwie.

–Nie mam nic do ukrywania – bąknął. – To chyba co

chodzi? – spytał zwracając się wprost do wystrój-

niego Maksymiliana, który spuścił wzrok i zdawał się całko-

wicie pochłonięty poprawianiem koronek u rękawów swego

atlasowego kaftana.

De Belhune udał zdziwienie.

–Ależ o twoje gubernatorstwo! – odrzekł z lekkim |

zgorzaniem. – Kto jak kto, ale pan gubernator d'01eron

powinien wiedzieć; CÓ się dzieje, lub raczej co się stało tuż

obok jego wyspy!

D'Aubigne natychmiast odzyskał kontenans; nie zdążył jeszcze formalnie objąć swego urzędu i zresztą bynajmniej nie zamierzał mu się poświęcić, a wyspę d'01eron znał jedynie z nazwy. Zrozumiał, że tym razem de Belhune bynajmniej nie zamierza mu szkodzić, lecz tylko żartuje.

Nie lubił jtego żartów. Nie lubił Maksymiliana – tego robigrosza o zamiłowaniach Drobego kupczyka z przedmieścia, który coraz bardziej wkładał się w łaski Henryka. Lecz właśnie z tego ostatniego względu musiał teraz dostosować się do jego płaskich dowcipów: króla widocznie go bawiło...?

Zaczął czytać raport Augusta de Clisson, podkreślając jego patetyczny styl i pomijając uwagi dopisane przez de Belhime'a.

Jest złośliwy, ale niezbyt dowcipny – pomyślał o nim. – Umie zaledwie stawiać kropki nad „i”, nie zawsze, zresztą tam, gdzie je postawić trzeba.

Sam robił to znacznie lepiej, posługując się jedynie gestem i mimiką, znakomicie naśladowującą admirała.

Król śmiał się głośno, a hrabia de Blanquefort wtórował mu jeszcze głośniejsze, choć nie rozumiał tej zabawy.

Dopiero gdy Agrippa przeszedł do sprawozdania koman-

dora de Tourville, Henryk spoważniał i słuchał z prawdziwym zainteresowaniem, ale pod koniec znów się uśmiechnął, a oczy zabłysły mu wesołością.

–Muszę zobaczyć tego waszego Martena – powiedział do pana de Bethune. – To ten, od którego dostałem szpadę przeznaczoną dla Filipa II?

–Ten sam – odrzekł de Bethune. – Kapitan najszybszego okrętu, o jakim słyszałem. Naprawdę warto mu się przyjrzeć. Podobno ma aż po pięć rej na masztach i osiąga do piętnastu węzłów przy sprzyjającym wietrze.

–Wolałbym przyjrzeć się raczej owej hiszpańskiej czy portugalskiej piękności, o której nawet stary cnotliwy de Tourville wspomina z niejakim uznaniem – zauważył Henryk.

Pan de Blanquefort chrząknął i wystąpił naprzód.

–Znam tę damę, wasza królewska wysokość – oświadczył usłużnie. – Jeśli mi wolno wypowiedzieć swoje zdanie, istotnie godna jest lepszego towarzystwa niż ów nieokrzesany korsarz, który ją więzi.

–Czyżby?! – wykrzyknął król. – Opowiedz nam o niej, hrabio.

Olivier de Blanquefort jak najchętniej uczynił zadość temu życzeniu. W jego umyśle natychmiast zarysował się cały szereg możliwości zmierzających do głównego celu, to jest do uzyskania nominacji na gubernatora Perigord. Wiedział, że takie sprawy zależą bardziej jeszcze od przychylności pięknych kobiet niż od protekcji mężów stanu, a wiedział także, iż pan de Bécune nie miałby nic przeciw romansowi Henryka choćby z Marią Francescą, jeśliby to mogło wpłynąć na ochłodzenie jego stosunku do Gabrieli d'Estrées.

Jeśli mi się uda – pomyślał hrabia olśniony takim zbiegiem okoliczności – zjednam sobie ich obu, a Marie dopomoże mi ze swojej strony. Jest na to dość sprytna i dość

ambitna. Przy sposobności Martenowi dostanie się nauczka, na jaką zasłużył. Ale mniejsza o tego prostaka. Stokroć waż-! niejsze jest to, co będę mógł osiągnąć oddając przysługę Rosny'emu i królowi.

Mówił więc z zapalem – przede wszystkim o urodzie i zaletach umysłu seniority de Vizella oraz o jej wysokim urodzeniu, nie zaniehbując zresztą zjadliwych uwag o Martenie, a także o Armandzie d'Ambar, w którym podejrzewał konkurenta do stanowiska gubernatora.

–Gdyby wasza królewska mość nie pogardził gościną w moim domu – powiedział wreszcie – urządziłbym tak, że seniorita de Vizella znalazłaby się tam zupełnie przypadkowo.

–Przemawiasz z taką pewnością siebie, mój hrabio -a zauważył król z uśmiechem – jakbyś był członkiem przybocznej rady Pana Boga albo czarodziejem kierującym przypadkami. Czyżbyś już zdążył oczarować tę damę?

–Jest moją sąsiadką, najjaśniejszy panie – odrzekł de Blanquefort wymijająco. – Spotygam ją od czasu do czasu w okolicy. Łączą nas wspólne zamiłowania do konnych' przejażdżek.

–I nic poza tym?

Hrabia Olivier zawahał się przez chwilę.

–Może niewinna obustronna sympatia – wyznał skromnie.

–Z mojej strony jest to raczej współczucie dla jej smutnego losu.

Doprawdy nie zasłużyła sobie, aby przez całe życie być niewolnicą

tego przybłądy*

Poniewczasie zrozumiał, że nieco przeholował; Henryk przestał się uśmiechać i zwracając się do pana de Bethune' powiedział:

–Wydaje mi się, że ten przybłąda dobrze się nam

przysłużył, nieprawdaż, Rośny? Chcielibyśmy wynagrodzić go za

to, a także podziękować mu osobiście. Dlatego zatrzymamy się

raczej w Bordeaux i zaprosimy tam kapitana Martena wraz z

sefioritą. Spodziewam się, że i pan, hrabio Oli-vierze, nie odmówił

nam swego towarzystwa.

Blanquefort poczerwieniał i skłonił się w milczeniu.

Jego królewska mość Henryk IV odziany w biały strój z jedwabiu, przepasany błękitną szarfą, z krótką purpurową pelerynką zarzuconą na ramiona zasiadł w rzeźbionym fotelu na podwyższeniu zbitym z desek i zasłanym dywanem u krańca pomostu wybiegającego z nabrzeża w Blaye. Jednocześnie rozległ się huk salw armatnich z szesnastu okrętów zakotwiczonych powyżej portu, po czym „Victoire'S a za nią inne, ustrojone w galę, podniosły kotwice i popłynęły z wiatrem w dół Girondy, aby przedefilować przed królem.

Henryk przyglądał im się od niechcenia, zajęty rozmową z admirałem de Clisson, któremu tegoż dnia przed południem nadał Order Świętego Ducha,

Wiatr łopotał flagami i chorągiewkami gali rozpiętej na masztach, załogi uszykowane na pokładach wołały „Vive le roi!", stada mew krążyły nad rzeką, z kutrów i łodzi rybackich rozlegały się gwizdki, a z tyłu, za pomostem falował tłum złożony ze wszystkich niemal mieszkańców Blaye i okolicznych wsi.

Tuż za krzesłem króla stanęli Armagnac, pan de Bethu-ne, Agrippa d'Aubigne i sędziwy komandor de Tourville dzieląc się po cichu uwagami i słuchając wyjaśnień, których im udzielał ten ostatni w sprawie roli odegranej przez poszczególne okręty w

bitwie pod Oléron.

Gdy „Normandie" zamykająca korowód żaglowców liniowych przepłynęła obok pomostu, admirał de Clisson skłonił się i zapytał, czy jego królewska wysokość zechce teraz zejść do przygotowanej galery, aby spożyć „skromny posiłek" w drodze

do Bordeaux na fali przyływu.

–Jeszcze nie – odrzekł król ku jego wielkiemu zdumieniu i zmieszaniu. – Chcę zobaczyć jeszcze dwa okręty o których widocznie zapomniałeś, mój drogi Clisson. Zdaje się, że jeden z nich już się tu zbliża.

Pan de Clisson spojrział w lewo i poczuł, że krew uderzyła mu do twarzy. Spoza wysepki na środku nurtu szerokiego w tym miejscu rozlanej Girondy wykręcała „L'Abeille”!

–Kto się ośmielił... – zaczął dusząc się z hamowanego gniewu.

–Ja – przerwał mu Henryk. – Twoi korsarze spisali się wcale: nieźle podczas tej rozprawy, o ile mi wiadomo. Nie widzę powodu, dla którego miałbyś się ich wstydzić. Czy to jest ta fregata, która zatopiła „Aarona”?

Admirał zaniemówił na chwilę. Kto mu o tym doniósł? - zadawał sobie pytanie. Jego osłupiałe oczy zaczęły nagle biegać od twarzy do twarzy i zatrzymały się na Tourville'u.

Stary intrygant – pomyślał. - Jeszcze się z nim po liczę

–Widzę, że wasza królewska mość daje posłuch raczej plotkom i zniekształconym pogłoskom niż moim raportom powiedział z westchnieniem. – Ten korsarz istotnie strzelał do

„Aarona”, lecz...

–To wystarczy – przerwano mu krótko.

„L'Abeille” zbliżała się szybko. Na kilkadziesiąt jardów*

przed pomostem złożyła salut opuszczając do połowy i pocmi nosząc z powrotem w górę żagle, po czym – Już poniżej *TL|| wykręciła w lewo, przebrasowała reje na przeciwny ciągły i zaczęła się oddalać.

–Ma sprawną załogę - pochwalił król łaskawie. - Udał jej się ten manewr.

Lecz uznanie królewskie i wszystkich obecnych zmie«niło się w szczery podziw, gdy spoza tej samej wysepki ukazał się drugi okręt korsarski.

Ten leciał jak na skrzydłach, pochylając wysoką piramidę masztów i żagli, wystrojony w podwójną galę, olśniewająco biały, połyskujący miedzią i brązem okuć, ze złożonym galionem pod długim bukszprytem, na którym pęczniało całe stado kliwrów. U szczytów masztów srebrzyły się pięknie wyrzeźbione orły zamiast jabłek, łopotały pod nimi chorągwie królewskie z herbami Bourbonów, a na foku powiewał wypiel wojenny korsarza: czarna bandera ze złotą kuną.

„Zephyr” gnał prosto na kraniec mola, jakby miał się na nim roztrzaskać czy też przeszyć je na wylot. Widać już było załogę – kilkudziesięciu ludzi podzielonych na zwarte szyki u każdego masztu. Mieli na sobie granatowe kaftany ze srebrnymi guzami i obcisłe łosiowe pantalone zapinane na srebrne sprzączki u kolan, a na głowach ciasno związane czerwone chustki. Za plecami sternika stał ich kapitan odziany w krótką kurtkę z delikatnego zamszu ze złotymi szamerowaniami i przepasany szkarłatnym szalem, za którym lśniły rękojeści dwu pistoletów. Jego białe pantalone wpuszczone były w cholewy hiszpańskich butów z czerwonej skóry, a nad głową powiewały pióra kapelusza spięte diamentowym zekierem. Lewą rękę opierał na złożonej głównej rapiera, a prawą obejmował wpół smukłą, dziewczęcą kibić swej kochanki.

Senorita Maria Francesca de Yizella w sukni z jasnego, kwiecistego brokatu, z ogromną koronkową krezą i całą kaskadą bryz i forbotów, miała na szyi kolię z szafirów, a prócz kilku pierścieni na palcach i sadzonych granatami maneli, które dźwięczały za każdym poruszeniem jej dłoni – wpięty we włosy klejnot osobiwej florenckiej roboty, wyobrażający kwiat ze złotych płatków otaczających wspaniały rubin.

Wprawdzie ani król, ani otaczający go panowie nie mogli na razie dostrzec tych szczegółów, niemniej jednak do-

strzegli bez wątpienia, że tym razem fama non crescit eundo *:

sefiorita wydała im się istotnie zachwycająca.

Ten zachwytp, nie został zresztą wyrażony głośno, bowiem prawie natychmiast ustąpił miejsca obawie, a nawet budzącemu popłoch przerażeniu przed zuchwalstwem korsarza. Oto „Zephyr” miast zakręcić w lewo, aby w bezpiecznej odległości wyminąć pomost, w pełnym pędzie zboczył w prawo, kierując się wprost na jego przyczółek. Zdawało się, że teraz nic już nie uratuje go od zguby: jeszcze chwila, a wpadnie w sam kątp utworzony przez molo i kamienne nabrzeże. Rozległy się okrzyki trwogi, ludzie rzucili się w tył przed wyniosłym dziobem, skrzydłata postać młodzieńca wyobrażająca boga łagodnych wiatrów zawisła niemal nad ich

głowami i - stał się cud! Okręt pochylił się, zawinął ciasną pętlę obracając się rufą ku wystraszonemu tłumowi, reje przeleciały na przeciwny ciąg, chlasnęły żagle, woda wzburzyła się u burt gwałtownymi wirami, uderzyła falą o brzeg i wróciła z pluskiem. Wolno, cal po calu skośnie leżące maszty podniosły się na wiatr, a „Zephyr” ukończywszy zwrot zataczał teraz łuk dokoła pomostu.

Nagle trzy pary górnych żagli zjechały w dół jak jeden, opadły wszystkie kliwry, a dolne płótniska wleciały w górę, aż do rej.

–Vive le roi! – rozległo się z pokładu.

Dwie strojne postacie na rufie zgięły się w niskim pokłonie przed królem, który wstał i klaskał w dłonie. Marten zamiótł pokład piórami swego kapelusza. Maria Francesca ująwszy suknię końcami palców złożyła dworski dyg, błysnęły szpady porucznika i starszych bosmanów.

I znowu:

–Vive le roi!

–Vive le roi! – zagrzmiało teraz w tłumie, który ocknął się ze zdumienia i grozy, aby natychmiast zapłonąć entuzjazmem.

Zerwał się huragan oklasków i okrzyków, ludzie pchali się naprzód, powiewali chustkami i kapeluszami, wrzeszczeli jak opętani.

Wtem umilkli. „Zephyr” znów oskrzydlił się płótnem, w mgnieniu oka przebrasował reje i zatoczywszy jeszcze jeden łuk, pomknął wprost na kraniec pomostu.

Tym razem Marten sam stanął przy sterze. Znowu zdawało się, że przeleci wzdłuż mola i wpadnie na brzeg, bo płynąc w pół wiatru odsądził się nieco w lewo; i znów w ostatniej chwili wykonał najmniej oczekiwany, mistrzowski manewr, wykręcając pod prostym kątem, luzując wszystkie żagle i opuszczając kliwry, tak że okręt obrócony pod wiatr i pod prąd stracił pęd, wolno przesunął się przed samą krawędzią przystani, zatrzymał się, nim ją minęła rufa, zdry-fował nieco w tył i znieruchomiał przytrzymany v, pomostu dwiema cumami, których pętle z pokładu zarzucono na skrajne pachołki mola.

Teraz podziw dla zręczności kapitana,– zwrotności „Ze-phyra” i sprawności jego załogi zamienił się w owację, która miała wszelkie pozory napadu zbiorowego szału. Ludzie, którzy patrzyli na to niewiarygodne przycumowanie okrętu pędzącego pod wszystkimi żaglami, byli w większości żeglarzami – rybakami i marynarzami. Żaden z nich nie odważyłby się przecież podejść do brzegu w ten sposób* nawet na małym kutrze. Wrzeszczeli więc co sił, pragnąc dać wyraz swemu uznaniu, póki nie ochrypli zupełnie.

Król, zadowolony i podniecony tym zapierającym dech w piersiach widowiskiem, stał i klaskał w dłonie* a wraz z nim klaskali wszyscy otaczający go panowie, nie wyłączając nawet admirała de Clisson.

Wśród braw i okrzyków po trapie rzuconym z pokładu

„Zephyra” schodził na pomost Jan Kuria zwany Martenem, prowadząc przed oblicze Henryka IV senioritę Marię Frau-ceskę de Vizella. Szedł wolno, z dumnie podniesioną głową, a każdy jego krok i każde poruszenie atletycznej postaci znamionowały pewność sił fizycznych, pewność znamiennej dla ludzi nieustraszonych, jak to określił d'Aubigne, który natychmiast zapalał gorącą sympatią dla tego zuchwalca.

Zatrzymali się oboje o dziesięć kroków przed krzesłem królewskim i raz jeszcze złożyli zgoła poprawny ukłon dworski, co z kolei wprawiło w szczyry podziw pana d'Armagnac i przyczyniło się do wielkiego ukontentowania Rosny'ego, który był głównym sprawcą i reżyserem tych niezwykłych zdarzeń.

Król poczuł się wzruszony, i to tak dalece, że łzy za-, szklily mu się w oczach. Ponieważ zaś kobieta widziana przez łzy wydaje się zawsze piękniejsza, patrząc na zarumienioną senioritę wzruszył się jej urodą jeszcze bardziej. Powstał i podał jej rękę, a gdy pochyliła się, aby ją ucałować, ujął ją za ramiona i sam złożył niemal ojcowski pocałunek na jej policzku.

Potem zwrócił się do Martena, który stał o krok dalej.

–Oddaliście nam i Francji znaczne usługi, kapitanie Marten – przemówi! uroczyście. – Wykazaliście wielką roztropność, odwagę i talent dzielnego dowódcy zagarniając konwój hiszpański w Zatoce Biskajskiej, a następnie – żołnierską karność i poświęcenie, śpiesząc na odsiecz naszej flocie pod Oleron. Wreszcie, nie bacząc na przewagę wroga, zdobyliście z powrotem nasz okręt admirałski „Victoire”, opanowany już przez Hiszpanów. Tym bohaterskim atakiem przyczyniliście się do wygranej, przechylając szalę zwycięstwa na naszą stronę niemal w ostatniej chwili, kiedy już groziła nam porażka. Czyn taki, zwłaszcza spełniony w szczególnie trudnych i niebezpiecznych okolicznościach – tu spojrzął przelotnie na Marię Franceskę i uśmiechnął się nic-

znacznie – w okolicznościach, które są nam znane – dodał – nie może pozostać bez stosownej nagrody.

–Uklęknij – szepnął do Martena pan de Bethune.

Jan spojrzął na niego trochę zdziwiony, ale zastosował

się do tego polecenia, król zaś dobył szpady i odstąpiwszy o krok, dotknął lśniąca klingą jego ramienia.

–Od tej chwili – rzekł – przyjmujemy cię w poczet

szlachty francuskiej jako Jana de Marten, nadając te godność i stan tobie i twoim potomkom dziedzicznie po wszystkie czasy.

–Wstań – szepnął znów de Bethune.

Marten wstał i ku swemu niezmiernemu zdumieniu znalazł

się w ramionach króla, który ucałował go w oba policzki.

–Podziękuj – usłyszał zbawienny szepł de B6thune'a, który przywracał mu przytomność umysłu i kierował jego ruchami.

–Najjaśniejszy panie! – wypalił z głębi serca. – Niech mnie pierwsza kula nie minie, jeśli spodziewałem się jakiegokolwiek nagrody, a tym bardziej czegoś podobnego! Nie wiem, jak dziękować waszej królewskiej mości za ten zaszczyt, ale jeżeli zażądacie, żebym się rzucił sam jeden na całą hiszpańską potęgę na morzu, możecie być pewni, że to zrobię i – Bóg mi świadkiem – zrobię z prawdziwą przyjemnością!

Król raz jeszcze go uściskał śmiejąc się do łez.

–Na razie nie żądam niczego w tym rodzaju – powiedział uspokoiwszy się nieco. – Jeżeli jednak masz na pokładzie swego okrętu parę flaszek znośnego wina, zaprosz nas tam, abyśmy wraz z przyjaciółmi mogli wypić zdrowie pani twego serca i twoje.

Na „Zephyrze” znalazło się nie tylko parę flaszek, lecz parę baryłek wina, i to w najlepszym gatunku, a przewidujący de Bethune kazał przenieść na okręt przekąski, pieczone i deser przygotowane w kuchni admirałkiej galery.

–Czy wasz pomocnik potrafi pożeglować bezpiecz nie w górę rzeki aż do Bordeaux? v- spytał następnie Martena.

–Czy potrafi! – roześmiał się Jan. – Jeśli wasza miłość rozkaże, pożegluje wszędzie, dopóki będziemy mieli stopę wody pod kilem i póki tchnienie wiatru zdoła poruszyć nitkę pajęczyny.

–Dobrze. Niech więc odcumuje i wyruszy zaraz. Galera popłynie za nami.

Marten skłonił się.

–Będą tam musieli tęgo wiosłować, aby nie straci z oczu

rufy „Zephyra” – zauważył jeszcze.

Wydawszy rozkazy, powrócił do swych dostojnych gości w sam czas, aby wypić toast za zdrowie króla wzniesiony przez admirała de Clisson. Potem nastąpił cały szereg innych toastów, a pan d'Aubigné w improwizowanych rymach nadał świeżo obdarzonemu szlachectwem kapitanowi „Zephy-ra” honorowe obywatelstwo wyspy Oleron, jako Jej gubernator.

Maria Francesca Jaśniała urodą i wdziękiem. Była nad wyraz szczęśliwa, a jeśli pragnęła czegoś więcej, to chyba tylko* aby mogły Ją ujrzeć w tym otoczeniu Suzanne del Frontou i Jej wychowawice, a przede wszystkim baronowa i de Trie, głuchawa madame de Chicot i hrabina de Błan-quefort, które z pewnością zżółkłyby do reszty z zazdrości, j Król, obok którego siedziała, pochylał się, aby szeptać jej. do ucha komplementy, panowie z jego orszaku zalecali się] do niej dwornie, Rośny podziwiał jej klejnoty, a d'Aubigne orzekł, iż choć są tak wspaniałe, to jednak ustępują piękno-; ściami i blaskiem jej oczom i olśniewającym zębom. Wypiła; kilka kieliszków wina i czuła lekki, przyjemny zawrót głowy, miała Jednak dość rozwagi, aby nie przebrać miary. Jej] zabawna francuszczyzna, którą posługiwała się odważnie i bez najmniejszego zmieszania, bawiła i zarazem ujmowała jesz-

cze bardziej króla. Śmiali się oboje, a Henryk czuł się, jakby mu ubyło ze dwadzieścia lat.

Po deserze podał jej ramię prosząc, aby go oprowadziła po okręcie, który z pewnością zna równie dobrze jak sam kapitan. Martenowi to życzenie wydało się nieco podejrzanę; przeleciało mu przez głowę, że jeśli jego królewska mość chce znaleźć się sam na sam z Marie, to chyba nie po to, by ją utwierdzać w miłości dla niego. Nie wchodząc bliżej w pobudki kierujące tą królewską zachcianką, już zamierzał przeszkodzić jej spełnieniu i ewentualnym dalszym następstwom, gdy król – dostrzegłszy jego zmarszczone brwi i baczne spojrzenie skierowane na sefioritę – nagle rozmyślił się i wezwał go do swego boku, a d'Aubigné i pan de Bethune pośpieszyli w ślad za nimi trojgiem.

Teraz Marten zawstydził się swej podejrzliwości. Pomyślał, że – być może – istotnie okazał się prostakiem wobec władcy, który pragnął okazać mu swe względy. Aby naprawić błąd, przedstawiwszy królowi przy sposobności Stefana Grabińskiego i znaczniejszych bosmanów, starał się pozostać w tyle, między swymi protektorami, którzy z całym zrozumieniem ułatwili mu tę taktykę.

U zejścia do luku prowadzącego na pokład artyleryjski pan Rośny zatrzymał się, aby rzucić okiem na przystań w Margaux-Medoc, którą „Zephyr” mijał żeglując ostro w beidewind.

–To zdaje się wasza posiadłość, kapitanie – zagadnął z udanym zainteresowaniem.
– Macie tu, jak widzę, władny port wojenny!

Marten potwierdził z dumą, lecz dodał, że przystań została wybudowana przez poprzedniego właściciela, pana Ludwika de Margaux, także marynarza, słynnego podróżnika, a obecnie kapitana „Victoire”.

De Bethune doskonale wiedział, kim jest Ludwik de Margaux, ale bynajmniej nie zależało mu na powstrzyma-

niu Martena od dalszych wyjaśnień i pochwa! dla dowódcy admirałskiego okrętu. Przeciwnie: zapragnął jeszcze usłyszeć z ust bezpośredniego świadka, jak odbył się hiszpański abordaż „Victoi.ro” i zwycięski kontratak załogi „Zephyra”, a Marten połknął ten haczyk i opowiadał chępliwie o krwawej rozprawie, zapomniawszy całkowicie o chwili obecnej i swych niejasnych obawach czy też podejrzeniach co do postępowania jego królewskiej mości.

Tym sposobem, przy zręcznej pomocy swego ministra finansów, kroi zyskał dość czasu, aby przedsięwziąć wstępne działania i zabiegi około zdobycia względów pięknej señority, której wdzięki przyśpieszały bicie jego czterdziestocztero-letniego serca, jakby mu ubyło lat dwadzieścia.

Szlachetny Polichmelle, rycerski poeta i kochanek pięknej Colombiny, odziany w błękitne aksamity, oraz doktor Pantalone w masce z długim nosem, w fioletowym kubraku i czarnym płaszczu, schodzili ze sceny żegnani grzmiącymi brawami. Zwłaszcza damy starały się za pomocą oklasków okazać gorącą sympatię dzielnemu poecie, który je wzruszył i ujął mówiąc o swej miłości i pouczając wyrachowanego

towarzysza, jak ma postępować, aby zapobiec ustawicznym zdradom płochy żony.

Tymczasem z drugiej strony kulis ukazały się dwie ślicznotki, o których była mowa, a tuż za nimi – przeświety zabijaka, uwodziciel i łgarz nad łgarze – capitano Goecodrillo.

Ten nosił się z hiszpańska, w żółtych pludrach, w przyciasnym czerwonym kaftanie, przy szpadzie i w olbrzymim kapeluszu z całą miotłą wylęniałych piór. Miał przy tym wygląd groźny i śmieszny zarazem, a ilekroć otworzył bezczelną gębę, wywoływał bądź salwę śmiechu, bądź piski przerażenia kobiet i zgoła wrogie okrzyki widowni.

Zaraz na wstępie zaczął się przechwalać, że poprzedniej nocy udało mu się wprowadzić w stan pociągający za sobą poważne następstwa aż dwieście dziewic. Mimo wielkiego wysiłku, jakiego ten niezwykły czyn wymagał, bynajmniej nie czuł się wyczerpany.

–Jeśli która z dam obecnych w teatrze pragnęłaby

skorzystać z moich znakomitych usług pod tyra względem, gotów

jestem Jej dogodzić – oświadczył wywracając oczy i kłaniając

się, przy czym wznosił z podłogi chmury kurzu

piórami swego gigantycznego kapelusza.

Rozejrzał się po widowni, Jakby w oczekiwaniu zgłoszeń na tę bezwstydną ofertę, ponieważ jednak odpowiedział mu tylko śmiech i gwizdy mężczyzn, z politowaniem potrząsnął głową.

–Nie wiecie, piękne damy, co tracie wyrzekając się dobrowolnie tej jedynej okazji – powiedział. ~ Jutro wyjeżdżam...

–Dokąd cię diabli niosą? – rozległ się głos z dalszych rzędów.

–Dokąd? – podchwycił capitano. – Do Etiopii! Musicie wiedzieć, że czeka tam na mnie infantka PaOagonii, córka króla Niższej Ingantyny. Śliczna dziewczyna! Tylko –

czarna jak smoła... Mimo to jednak sto trzydzieści sześć razy] piękniejsza od najbielszej Germania. I w dodatku głuchaS

–Tak, głucha ~ powtórzył przeczekawszy wybuch

śmiechu słuchaczy. – Nie ma się czego śmiać. Nil spadająca z

katarakty robi taki hałas, że ogłusza wszystkich Etiopów na sto mil

dokoła, więc już się przyzwyczaili i nawet rodzą się głusi. Moja

infantka skutkiem tego jest również niemato jeszcze większa

zaleta! Zapytajcie tych, co mają gadatliwe żony... Otóż ta czarująca

istota kochała mnie w głuchym milczeniu, ale bardzo gorąco. Do

takiego stopnia, że miała mi powić syna. I wtedy jej rodzice

spostregli się, jak daleko te sprawy pomiędzy nami zaszły

Wzniósł oczy w górę i westchnął tak głęboko, że parę guzików od kaftana przysło w różne strony.

–Chcieli mnie namówić na małżeństwo – plótł dalej – a

dla zachęty skarbnik królewski przytachał zaraz dwa worki złota,

równy sześćdziesiąt sześć tysięcy cekinów¹

na posag. Ale mnie porwał straszny gniew na myśl, że miał bym

czarną żonę. Krew zagotowała mi się w żyłach i zaczęła kipieć,

twarz mi pociemniała jak burza, brwi i włosy na głowie nastroszyły

się jak dzidy, oczy obracały się jak młyńskie kamienie, nos mi się

rozdął jak ogórek, szyja wydłużyła się jak pasztetowa kiszka,

wszystkimi otworami zacząłem wydawać groźne odgłosy podobne

do grzmotów i piorunów...

Wybuchy śmiechu zagłuszyły jego błazeńską tyradę, al nie przeszkodziły mu nadal odtwarzać mimicznie owego nie zwykłego stanu ducha i ciała, co doprowadzało

widzów nie; mai do konwulsji z nadmiaru uciechy.

–Nic dziwnego, że moi niedoszli teściowie przeraża się śmiertelnie i wzięli nogi za pas – powiedział wreszcie podnosząc głos niemal do krzyku, aby można go było usłyszeć. – Skarbnik też uciekł, rozsypując po drodze posąg A infantka... Ach, moi drodzy! Tego nie mogłem przewidzieć... Infantka ze strachu przedwcześnie powiła następcę tronu: gotowego, z berłem i w koronie!

Podczas gdy widownia trzęsa się od śmiechu, dzielny Coccodrillo dostrzegł wreszcie, że nie jest sam na scenie, i najwidoczniej oczarowany wdziękami Colombiny oraz jej przyjaciółki, przystąpił do uwodzicielskich zabiegów, które u płochy żony Pantalone'a znalazły natychmiastowy oddźwięk. Colombina, do której także się zalecał, traktowała go z początku chłodno, ale on zdawał się właśnie ją wyróżniać. Zapewne wskutek tego Arletta Pantalone, podniecona rywalizacją, pa prostu rzuciła mu się na szyję, zresztą w bardzo nieodpowiedniej chwili, bowiem fioletowy kubrak i czarny płaszcz doktora wychyliły się już z kulisy.

Przyłapany na gorącym uczynku capitano okazał dość przytomności umysłu, aby drapnąć, pociągając za sobą Co-lombinę i pozostawiając Arlettę na pastwę rozjuszonego męża. Ale to nie Pantalone przypuścił atak: uprzedziła go urocza kobietka, zmieniając się w Jędzę nawiedzoną przez furię gestów i wymowy. Grad obelg posypał się na jego głowę, a drastyczne szczegóły dotyczące niepowodzeń w sztuce miłosnej zostały ujawnione publicznie, ku wielkiej uciechu audytorium.

–Zasługujesz na to, aby cię otruć, stary niedołęgo! –

wykrzykuje Arletta. – Tak, powtarzam: aby cię otruć albo żeby cię Jak najprędzej diabli wzięli! Zapowiadam ci, że mnie nie upilnujesz. Prędzej czy później capitano przyprawi ci rogi tak wysokie, jak wieże katedry Notre-Dame! Klnę się na moją cnotę, że mu w tym z całych sił dopomogę!

Lecz te pogróżki wydają się na razie niezbyt realne: capitano uporczywie dąży do innego celu; na nic się nie zdał pachnący bilecik, jaki mu wysłała Arletta przez ładną

pokojówkę; on postanowił uwieść Golombinę...

Tu Jednak piętrzą się przed nim przeszkody. Arlekin, wierny sługa Polichinelle'a, sam podkochuje się w kochance

swego pana i nie można go przekupić nawet za pośredni-" ctwem milutkiej pokojówki, która chętnie dodałaby coś nie-] coś od siebie temu zgrabnemu chłopcu. Colombina wprawdzie pozwala się adorować, lecz nie ulega ostatecznie, a zapalczywy poeta gotów jest dobyć szpady i pokieroszować Cocl codrilla, który wcale nie ma ochoty na taką ewentualność.]

Znajduje wreszcie sposób. Ze skwaśniałego wina, kló* rym go raczą w gospodzie, przygotowuje „napój wierności”,] i na wagę złota sprzedaje doktorowi Pantalone, a za uzyskane pieniądze nabywa fałszywe klejnoty dla pokonania] oporu Golombiny.

Ten środek zdaje się skutkuje: Colombina przyjęła kolię] z rubinów i wyznaczyła mu spotkanie.

Nie obywa się jednak bez dalszych trudności. Arlekira wie o miejscu schadzki, a Pantalone podejrzewa, że zostaw oszukany i że to Arletta ma się spotkać z capitanem. Nai tomiast Polichinelle, nieświadom próżności i zmienności koa biecej, szuka swej ukochanej, obawiając się raczej jej po4 rwania niż zdrady. Arlekin waha się, czy mu wyjawic] prawdę; jego pan jest gwałtowny, może zabić nie tylko nief cnego uwodziciela, ale także niewierną kochankę.

Nie, do tego nie można dopuścić! Arlekin z rozpacza w sercu okłamuje poetę: oświadcza, że Colombina w towl rzystwie doktora i jego małżonki pojechała do kościoła.

Polichinelle, uspokojony tą wiadomością, wygłasza odę] na cześć swej bogdanki, Arlekin zaś śpieszy do mistrza Pana lalone, aby go powiadomic, gdzie rzekomo Arletta i capi*] tano pracują nad przyprawieniem mu owych rogów wyspa kich jak wieże Notre-Dame.

Fortel udaje się, i to na czas. Colombina, nie poznana przez doktora Pantalone, ratuje się ucieczką, a capitano Coccodrillo otrzymuje tęgie lanie od obu sprzymierzeńców, po czym zrywa się huragan braw i kurtyna opada.

Gdy znów się podnosi, pośrodku sceny stoją trzy mnie⁴

lub bardziej zadowolone pary: Colombina z Polichinelle'em, Arletta ze swym ślubnym małżonkiem i jej pokojówka 7J Arlekinem. Lecz z boku wysuwa się Coecodrillo, a madame Pantalone spogląda na niego zalotnie. Porozumiewają się wzrokiem.

–Quand ii n'y a pas de grenouilles, on mange les cra-pauds! * – powiada capitano z westchnieniem, jakkolwiek Arletta w niczym nie przypomina ropuchy.

Stefan Grabiński rozśmieszony do łez, a zarazem wzruszony, wyszedł z dusznej sali teatralnej i zaczerpnąwszy w płuca świeżego powietrza, zaczął się rozglądać za Martenem, który wraz z Marią Franceską został zaproszony do jednej z łóż zarezerwowanych dla dworu. Nie dostrzegł ich jednak wśród tłumu opuszczającego teatr; widocznie mieli nadal towarzyszyć królowi, ku zawiści i zgorszeniu tych, którzy nie dostąpili takiego zaszczytu.

Spotkał natomiast Józefinę i Katarzynę de Carnariac w asyście kawalera Iretona i jego dwóch przyjaciół, oraz Luizę, trochę znudzoną zachowaniem się Karola Frontou, który kochał się w niej bez wzajemności, objawiając swe uczucia głównie za pomocą westchnień.

Luiza natychmiast zawładnęła ramieniem Grabińskiego i przestała w ogóle dostrzegać obecność milczącego kuzyna, który włókł się obok niej z miną człowieka skazanego na męki. Ilekroć Stefan zwracał się do Józefiny, a zwłaszcza do Katarzyny, która próbowała na nim czaru swych powłóczyстых spojrzeń i obiecujących uśmiechów, paluszki najmłodszej z panien de Carnariac zaciskały się nad Jego łokciem, a z ładnie wykrojonych ust padało jakieś pytanie na zupełnie inny temat, pytanie lub uwaga sformułowana

tak sprytnie, że odpowiedź i dalsza rozmowa nabierały na-| tychmiast charakteru bardziej poufnego, co z kolei niejako, wyłączało na chwilę ich dwoje spośród reszty towarzystwa

Mimo tej przemyślnej taktyki trzymali się nadal wszy-] scy razem i razem dotarli do nabrzeża portowego, aby podzi-] wiać sztuczne ognie oraz łodzie oświetlone barwnymi lam-j pionami i ustrojone kwiatami. Cała ich flotylla snuła się| po rzece okrążając barkę pirotechników admiralicji, skąd! raz po raz leciały pod niebo kolorowe race, tryskały tęczowe) kaskady iskier, wykwitwały ogniste wachlarze, spirale i wężej migotały spadające gwiazdy.

Gdy się skończyło to widowisko, dali się unieść fali *thiA* mu podążającego na rynek, gdzie już zaczynała się ilumi-j nacja przed ratuszem i naprzeciw pałacu gubernatora,^ Z żelaznych koszu umocowanych na wysokich słupach? strzelały żółte, czerwone, zielone i błękitne płomienie, a dym wznosił się w górę i zawisał w nieruchomym, ciepłym powietrzu nad miastem. Wszystkie okna były oświetlone, ja' kol wiek niewielu mieszkańców pozostało w domach, a chyba nikt w całym Bordeaux nie spał tej nocy. Tłum szumiał przelewał się po ulicach; w bocznych zaułkach, gdzie czekał pojazd, wynikały kłótnie woźniców i służby; po dw przeciwległych stronach rynku rżnęły orkiestry; korowód roztańczonych masek i maszkar porywały za sobą młodych i starych'; gwar buchał z otwartych oberży i gospód, gdzie lało się wino;

ludzie śmieli się, śpiewali, krzyczeli, złodzieje! odcinali mieszki podpitym mieszczanom i tylko straż miej-i ska w odświętnych kaftanach trwała nieruchomo przy bra-j mie ratusza, wartownicy z halabardami u nogi stali u wej-| ścia do pałacu gubernatora, a wspaniały maitre d'hôtel i dwaj odźwierni przed portalem sprawdzali karty wstępu, odprawiając bez ceremonii tych, którzy nie zostali zaproszeni na¹ bankiet.

„Wprawdzie ani kawaler Ireton, ani żaden z jego przyja*

„Jól nie mógł się wylegitymować takim zaproszeniem, lecz okazało się, że parę sztuk srebra może je znakomicie zastąpić, i młode towarzystwo bez przeszkód znalazło się w prześwietnych salonach Jego ekscelencji, w sam czas, aby zaspokoić apetyt i pragnienie *n* obficie zastawionych stołów.

Król ucztował na podwyższeniu w sali audiencjonalnej, wśród znacznych panów katolickich i hugonockich, którzy z początku boczyli się na siebie, lecz pod wpływem wina, a także dzięki staraniom dworaków i zaufanych królewskich, przestali obwąchiwać się nawzajem niczym obce brytany dokoła upuszczonej kości i przynajmniej na tę jedną noc – jakże różną od Bartłomiej owej * sprzed lat dwudziestu pięciu – zaniechali wszelkiej zwady.

Nie obeszło się przecież bez zajścia, które jednak wynikło na zgoła innym tle, a wśród głośnej zabawy pod koniec owej nocy tylko przez niewielu biesiadników zostało zauważone.

Wywołał je nowo mianowany gubernator Perigord, hrabia de Blanquefort, który w towarzystwie pana de La Sauve i barona de Trie natknął się na Martena w przejściu do bocznej izby, gdzie służba zamrażała dzbany z winem. Był już na wpół pijany i usposobiony raczej życzliwie do całego świata, nawet do tych, którymi zwykle pogardzał na trzeźwo. Toteż na widok korsarza, który – jak mniemał – tylko swej kochance zawdzięczał łaskę królewską i szlachectwo najświeższej daty, zdobył się na ton protekcjonalny.

–Myślę, panie de Marten – rzekł z drwiącym uśmiechem – że powinni byśmy wychylić kielich wina, skoro się tu spotykamy ~ i wy, i Ja w nowej godności. Cóż o tym sądzicie?

–Jak wola waszej miłości – odrzekł Marten chłodno ale

bez wyraźnej niechęci.

De La Sauve wzruszył ramionami, lecz baron de Trie; podjął grę 01iviera, przeczuwając jakiś ucieszny żart z jego strony, i zawołał o cztery pucharki.

–Zdrowie pięknej seniority! – powiedział zwracając się do Blanqueforta.

–Nescias, quod scis, si sapiens! – rzekł Blanquefort jakby w odpowiedzi, patrząc jednak w oczy Martena.

–Co to znaczy? – zapytał ten ostatni. – Nie uczono mnie łaciny.

–Jeżeli jesteś mądry, milcz, chociaż wiesz – przetłumaczył nader skwapliwie de Trie.

Marten zmarszczył brwi. Nie był całkiem pewien znał czenia tej aluzji. Wtem spostrzegł, że spojrzenia babiego i barona błędzą po sąsiedniej sali, i instynktownie sam spojrział w tamtą stronę.

Maria Francesea słuchała czegoś, co szeptał jej do ucha pan d'Armagnac, pierwszy kamerdyner jego królewskiej mości. Była zarumieniona i zmieszana. Po chwili podniosła wzrok na króla. Zdawał się tego oczekiwać odpowiadając z roztargnieniem jakiejś damie, która usiłowała zabawić go rozmową, bo w jego oczach zapalił się krótki błysk uśmiechu. Marie opuściła rzęsy i ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

–Zrozumieliście? – zapytał hrabia Olivier. – Nescias,

quod scis.

Nie dokończył: wino z kielicha Martena chlusnęło mu w twarz.

Grabiński nie był świadkiem tej sceny', a krótki tumult, jaki po niej nastąpił, uszedł jego uwagi zajętej wyłącznie wdzięczną osobą Luizy. W owej chwili stali blisko siebie we

wnęce okiennej na pół ukryci za ciężką kotarą i całowali się zapamiętale, przy czym Stefan odkrył nagle i niemal całkiem dla siebie samego niespodzianie, że kilka pocałunków ładnej dziewczyny z łatwością usunęło w cień i rozproszyło jego sentymentalne marzenia i cierpienia, których przyczyną była Maria Francosca. Przez mgnienie oka poczuł się wobec niej winny, jakby się dopuścił zdrady. Ale to przelotne uczucie nawiedziło go jedynie raz, pomiędzy jednym a drugim pocałunkiem. Zaiste miał w tej chwili coś lepszego do czynienia, niż oddawać się roztrząsaniu swych postępów. Luiza patrzyła mu w oczy, a choć widziała w nich tylko siebie, nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Jej usta były zbyt świeże i słodkie, aby odrywać się od nich tracąc czas na obserwacje i rozważania.

To czułe sam na sam tuż obok huczącej gwarem i śmiechem sali nie mogło trwać dłużej nad parę minut. Przerwał je brutalnie jakiś lokajczyk, który chcąc otworzyć okno natknął się w pośpiechu na tę splecioną uściskiem parę i wybałuszywszy oczy stał przez chwilę z otwartą gębą, jakby zdumienie odebrało mu mowę i świadomość tego, co miał zrobić. Ryknął potem krótkim śmiechem i nagle, przypomniawszy sobie

zapewne, po co go tu posiano, rzucił się do okna.

–Konie jaśnie wielmożnego pana d'Ambares! – wrzasnął na całe gardło wychylając się na zewnątrz.

–Uważaj, ośle! – huknął mu nad uchem Grabiński. – Tu nie karczma!

Lecz w tej samej chwili został potrącony przez innego wyrostka w liberii, który darł się o karetę hrabiego de Blanquefort i powóz barona de Trie.

Tego już było mu za wiele; chwycił obu chłopaków za kołnierze i pchnął wzajem ku sobie, że tryknęli się nosami jak dwa barany.

Natychmiast zresztą pożałował tego odruchu: lament,

jaki podnieśli, sprowadził mu na kark Iretona i Karola Fron-tou, a za nimi całą gromadę ciekawych.

–Kapitan Marten pytał o was – rzucił mu spieszniej Ireton.

–Coś się tam stało niezwykłego.

–Gdzie? – spytał Grabiński. – O co chodzi?

Ale rozdzielili ich cisnący się do okna i nie dosłyszał już

odpowiedzi, więc zaniepokojony zaczął się przepychać kuj wyjściu, pozostawiając Luizę jej ponuremu kuzynowi.

Dotarłszy do wielkiego, niemal pustego przedsionka, zobaczył pana d'Ambares i kawalera de Belmont, którzy zdawali się sprzeczać czy też naradzać nad czymś z panem de La Sauve i baronem de Trie. Marten stał opodal, z rękami założonymi w tył i z wyrazem zniecierpliwienia na chmurzonej twarzy.

–Ach, jesteś tutaj! – zawołał ujrawszy Stefana. – To

bardzo dobrze.

Ujął go wpół i odprowadził na bok.

–Muszę zaraz pojechać do Armanda – powiedział cicho.

–A może do La Sauve czy, zresztą gdziekolwiek indziej, dość

daleko od Bordeaux, aby rozprawić się z Blanquefortem bez

obrazy jego królewskiej mości. Chcę, żebyś się zaopiekował senoritą i odprowadził ją na okręt. Powiesz jej to w odpowiedniej chwili, taki aby nie zwrócić niczyjej uwagi. Najmiesz lektykę i będziesz jej towarzyszył aż na?

pokład. Tylko tobie mogę to powierzyć. Czekać na mnie w porcie. Postaram się wrócić jak najprędzej.

Grabiński chciał o coś zapytać, lecz kawaler de Belmont] i d'Ambares zakończywszy pertraktacje naglili do pośpiechu.

–Później ci wyjaśnię – rzucił Marten odchodząc z nimi.

–Teraz zrób, o co proszę.

Spełnienie owej prośby okazało się znacznie trudniejsze, niż Stefan przypuszczał. Stracił prawie godzinę czatując]

na sposobną chwilę, w której mógłby zbliżyć się do Marii Franceski, a gdy wreszcie doczekał się, że w ślad za dwiema damami skierowała się w stronę przejścia ku bocznym schodom, wiodącym – jak przypuszczał – do pokojów przeznaczonych dla pań, dotarłszy tam okrężną drogą ujrzał tylko dwie postaci kobiece wstępujące po stopniach w górę. Żadna z nich nie miała na sobie rezedowej sukni ze złotym połyskiem, której wypatrywał...

Zawrócił i u progu sali audiencjonalnej natknął się na króla, który poprzedzany jedynie przez d'Armagnaca zdawał się wymykać stamtąd chyłkiem, zapewne aby nie przerywać zabawy.

Odskoczył w bok i stanął w ciemnej wnęce okna wychodzącego na zaułek, w którym tłoczyły się powozy i lektyki. Usłyszał słowa d'Armagnaca:

–Tędy, sire; na lewo są drzwi. Lektyka oczekuje na waszą królewską mość u bramy ogrodu.

–A ona? – spytał król.

–Jest tam również, oczywiście.

Drzwi skrzyknęły cicho i zamknęły się, a Stefan z bijącym

sercem wysunął się z ukrycia, aby ostrożnie znów je uchylić i wyrzeć na zewnątrz.

Niewiele mógł zobaczyć: wśród mglistego przedświtów zaledwie odróżniał poruszające się cienie. Dwa z nich zamajaczyły u żelaznych sztachet pałacowego ogrodu i minęły otwartą furtkę, która zatrzasnęła się za nimi z hałasem.

Grabiński zawahał się. Czyżby to, co usłyszał, odnosiło się do Marii? „Ona jest tam również” – te słowa brzmiały chyba dość jasno! Zresztą, gdzieżby się podziała? Znikła mu z oczu tak nagle, jakby zapadła się w ziemię...

Przestąpił próg, zbiegł na dół po kilku stopniach i skradając się pod murem dotarł do furtki. Była zamknięta na zatrask i nie udało mu się jej otworzyć z tej strony. Ale teraz dostrzegł lektykę i pana d'Armagnac, który opuścił

zasłony i dał znak oczekującym tragarzom. Wtem, zanim jeszcze dźwignęli na ramiona pozłacane drążki, zasłona] uchyliła się i król powiedział coś do swego kamerdynera] Ten krótki moment wystarczył, aby upewnić Grabińskiego} w domysłach: na jedno mgnienie oka ujrział rąbek rezedowej sukni, którą tej nocy miała na sobie señorita de Vi* zęła.

Potem lektyka została uniesiona w górę i ruszyła nsi przód, znikając zaraz na zakręcie ścieżki, pan d'Armagnac, poszedł w ślad za nią, a Stefan usłyszał za plecami rubaszny* głos, wzywający go, aby się stąd natychmiast zabierał do wszystkich diabłów.

Obejrzał się zaskoczony i zobaczył dwóch drabów zbrojnych w halabardy, którzy bynajmniej nie wyglądali na skłonnych do żartów. Miał dość rozsądku, aby nie wszczył nać burdy i zejść im z oczu, jakkolwiek przeleciało mu przez głowę, że mógłby spróbować wspiąć się na sztachety i zesko^ czyć po drugiej stronie. Zreflektował się jednak na czas, żej wywołałby tym sposobem zbiegowisko, a także pogoń, co^j musiałoby się źle skończyć, i to nie tylko dla niego samego,! Zaciął więc zęby i odszedł, bliski rozpaczony z powodu własnej bezsilności w obliczu tego, co się stało.

Zapalczywość i pasja opuściły Martena, zanim wrzucił z Belmontem i panem d'Ambares znalazł się na skraju leśnej polany, gdzie już ich oczekiwał hrabia de Blanęforti ze swymi sekundantami. Pozostała jednak chęć pomszczenia zniwagi i zawziętość tak wielka, że tylko przelana krew; mogła ją ugasić.

Warunki spotkania czyniły zadość temu celowi: przeciwnicy otrzymali po dwa nabite pistolety i mogli ich użyć w dowolnej chwili z dowolnej odległości, zbliżając się k\ sobie z obu stron aż do wyznaczonych stanowisk, które dzi

Wilo zaledwie dwadzieścia kroków. Nie mogło się to skończyć aa niczym...

Dwaj doktorzy, z których jeden był nadwornym lekarzem hrabiego, a drugi

chirurgiem admiralicji, rozkładali swoje narzędzia na białych ręcznikach rozścielonych na trawie. Powozy czekały na skraju leśnej drogi.

Dokładnie o wschodzie słońca jego ekscelencja gubernator Perigord, hrabia Olivier de Blanquefort oraz kapitan Jan Kuna zwany Martenem, a od wczorajszego dnia kawalerem de Marten, stanęli naprzeciw siebie rozdzieleni zielenią polanki, której długość nie przekraczała stu jardów.

–Możesz strzelać, kiedy zechcesz – przypomniał Belmont Martenowi. – Ale nie wolno ci się zatrzymywać, póki nie dojdiesz do mety. Pamiętaj, że Blanquefort ma chyba równie celne oko i pewną rękę jak ty; nie będzie cię oszczędzał. Dlatego powinieneś posłać mu pierwszą kulę z jakich czterdziestu kroków, aby go zranić, zanim sam zdecyduje się wypalić. Niech ci szczęście sprzyja!

–Dziękuję – mruknął Marten przez zęby. – Mam nadzieję, że zdążę mu wpakować także drugą kulę, zanim upadnie po pierwszej.

Sekundanci odeszli na bok i baron de Trie zakomenderował głośno:

–En avant, messieurs! *

Ruszyli i dopiero teraz Marlen ujrzał postać hrabiego

poruszającą się na tle drzew. Pan de Blanquefort szedł wolno, jakby musiał pokonywać jakiś fizyczny opór. Rzekłbyś – pora się z silnym przeciwnym wiatrem, usiłując przy tym zachować zwykłą postawę.

Boi się – pomyślał Jan.

Sam nie odczuwał nawet najbliższej obawy: już od dawna uwierzył w powszechne mniemanie, że nie imają się go

kule, a jedyna „rana”, jaką otrzymał niegdyś w pojedynku na szpady z Ryszardem de Belmont, była przecież zaledwfi lekkim draśnięciem.

Nie zamierzał też zastosować się do rady tego ostatniego! Nie ufał zbyt donośności broni, której nie znał, i posta-1 mówił strzelać dopiero tuż przed metą oznaczoną zatkniętymi w ziemię żerdkami. Zbliżał się ku niej pewnym krokiem, bezl zbytniego pośpiechu, ale nie ociągając się jak jego adwersarz* Dlatego też zatrzymał się, zanim tamten przebył połowę! drogi.

Dzieliło ich jeszcze czterdzieści kilka, czterdzieści, trzyj dzieści pięć kroków... Marten stał w swobodnej pozie! z opuszczonymi pistoletami w obu dłoniach, obserwując! bacznie każdy ruch swego przeciwnika. Miał teraz tę prze-1 wagę nad nim, że mógł zmierzyć stojąc nieruchomo, co niea wątpliwie sprzyjało celności

strzału, ale z drugiej strony samf stanowił nieruchomy cel, łatwiejszy do trafienia. Patrzył naj twarz hrabiego, która stawała się coraz bledsza i coraz bar-| dziej zacięta. Kąciaki cienkich warg pana de Blanquefort zda-l wały się lekko drgać, a oczy błyskały szkliście spod przy! mrużonych, nieco obrzękłych powiek.

Boi się – powtórzył w myśli Marten. – Zrobi jeszcze! tylko dwa kroki i już będzie po nim.

Spostrzegł, że hrabia z wolna zgina ramię w łokciu, podjij nosząc broń.

Robi to tak, jakby miał strzelać do tarczy – pomyślał. – I zapewne wydaje mu się, że będę czekał, aż mnie weźmM na cel.

Ubawiło go to przypuszczenie. Mniemał, że starczy ml dziesiąta część sekundy, aby uprzędzić ten strzał.

Wtem usłyszał huk i jednocześnie poczuł szarpnięcH u lewego boku, jak od ukąszenia rozwścieczonego psa.

Strzelił nie podnosząc pistoletu do oka -~ przemknęła mu przez głowę.

Zrozumiał, że popełnił błąd. Niewątpliwie był ranny. Nie jttiał ani chwili do stracenia. Lecz postać hrabiego rozpływała mu się przed oczyma; zasłaniał ją kłęb dymu przeniknięty różowym blaskiem wstającego słońca. Tylko blada twarz Blanqueforta majaczyła nad tą zasłoną.

Zmierzył prosto w nią i pociągnął spust, a potem, czując, że słabnie, wypalił nieco poniżej z drugiego pistoletu.

Stał jeszcze, niepewny, czy trafił, oczekując drugiego strzału z tamtej strony, ale słabł coraz bardziej. Ból wgryzał mu się pod żebra, a gorąca fala szła od bioder w górę oblewając mu potem grzbiet, brzuch, piersi, barki, szyję i policzki. Ogromnym wysiłkiem woli *opanował*. zawrót głowy i jeszcze trzymał się na nogach. Poczuł wreszcie powiew wiatru na skroniach i spostrzegł, że welon dymu odpływa mu sprzed oczu. Upuścił pistolety i oburącz wsparł się na żerdzi oznaczającej metę, aby zachować równowagę.

Teraz ujrzał barona de Trie i pana de La Sauve, którzy biegli przez polanę od strony drogi, gdzie stały powozy. Za nimi podążał lekarz i dwaj forysie z derkami na konie. Zatrzymali się pośrodku polanki i przyklękli nad powalonym na wznak ciałem.

–A więc tak! – westchnął głośno i opuścił głowę, która ciążyła mu nieznośnie.

Jego zmętniały wzrok padł na niewielką kałużę krwi, która utworzyła się w miejscu, gdzie stał. Czerwone strumyki i pojedyncze krople ściekały po lewej nogawce spodni

i kapąły na żdźbła przydeptanej trawy. Pomacał dłonią bok i przekonał się, że jest paskudnie rozszarpany pomiędzy dolnymi żebrami a kością biodrową. Nie wypuszczając z prawej dłoni żerdki, która służyła mu za podporę, osunął się na ziemię i w tej samej chwili usłyszał zbliżające się głosy Armanda i Ryszarda. Chciał zwrócić ku nim głowę i powitać ich uśmiechem, lecz cała chmara czarnych, czer-

wonych i zielonych motyli zatrzepotała mu przed oczami, usłyszał narastający szum ich skrzydeł i zapadł w jakąś otchłań bez dna.

Wieść o nagłej śmierci hrabiego Oliviera de Blanquefort który nazajutrz po nominacji na gubernatora Perigord zginął przeszyty dwiema kulami w pojedynku ze słynnym | korsarzem Janem Martenem, natychmiast obiegła Bordeaux i rozeszła się lotem błyskawicy po dworach szlacheckich Charente, Dordogne, Gironde, Lot-et-Garonne, Landes i Gers, wywołując oburzenie panów hugonockich, którzy w hrabim] upatrywali swego przywódcę w walce z katolikami. Żądano! głowy zabójcy, opierając się na zmyślonych pogłoskach, jafj koby ów pojedynek nie był honorowym spotkaniem, lecz zwykłym morderstwem, przy czym krwiożerczy korsarz miał rzekomo dobić swego wroga, raniwszy go uprzednio i przy-; kładając mu pistolet do serca. Na domiar złego miało się to stać tuż obok Bordeaux, pod bokiem królewskiego majestatu, co tak czy owak groziło ścięciem lub szubienicą.

Król nie uległ tym żądaniom. Szeptano sobie na ucho iż na jego odmowę wpłynęły głównie prośby i łzy pięknej

kochanki Martena, która na krótki czas zawładnęła skłonny do przelotnych miłostek sercem Henryka Dobrego. Romans skończył się zresztą, zanim zaczęto o nim mówić głośno, ponieważ zdobycie Amiens przez hrabiego Fuentesę na czele wojsk hiszpańskich przyspieszyło powrót króla do Paryża, nie mówiąc już o skandalu wybuchłym z powodu owego pojedynku czy też zabójstwa.

Nie ucichła natomiast wrzawa dokoła tego ostatniego faktu. Podsycali ją umiejętnie stronnicy i przyjaciele Blan-nuefortów: baron de Trie, panowie de La Sauve i de Chicot, a nawet katolik Karol cle Valois, księżę Angoulême.

Nazajutrz po wyjeździe jego królewskiej mości z Bordeaux zgraja poduszczonych zabijaków, służby szlacheckiej i włóczęgów oraz pobożnych włościan hugonotów z najbliższej okolicy napadła na chateau Margaux-Medoc. Posiadłość Martena została obrabowana i doszczętnie zniszczona. Dom i wszystkie budynki gospodarcze strawił pożar; nawet brzoskwiniowy sad i winnice legły pod siekierami fanatycznej tłuszczy. Ocalał jedynie „Zephyr”, który podówczas znajdował się w drodze z Bordeaux do La Riochelle pod rozkazami Stefana Grabińskiego, mając na pokładzie ciężko rannego kapitana i jego zrozpaczoną kochankę.

To ocalenie Marten zawdzięczał komandorowi de Tour-ville, który na czas uprzedził

jego porucznika o niebezpieczeństwie grożącym ze strony innej bandy, zebranej naprędce w porcie przez wysłanników pewnej oficjalnej osobistości pozostającej w cieniu, a kryjącej głęboką urazę do sławnego korsarza. Mimo dyskrecji komendanta portu i twierdzy La Rochelle można się było domyślać, że tą osobistością był dowódca Floty Zachodniej, admirał Auguste de Clisson...

O wszystkich tych zdarzeniach Marten dowiedział się znacznie później, po wielu, bardzo wielu dniach, których

nie pamiętał i nie mógłby policzyć. Jego wrażenia z tego długiego okresu ograniczały się do niejasnych przywidzeń i majaczeń zawisających i rozplywających się w nieprzeniknionej mgle.

Czasem zdawało mu się, że widzi pochylającą się nad; nim postać Marii Franceski, i wówczas jej bliskość oszałamiała go niejako, przenikając mu serce aż do bólu i pochłaniając całkowicie jego zbłąkane myśli. Chciał do niej przemówić, lecz wtedy kładła mu delikatną, pachnącą dłoń na ustach, nakazując milczenie. Poddawał się temu nakazowi bez protestów; czuł się ogromnie zmęczony, tak zmęczony, że trud wypowiedzenia choćby jednego słowa urastał do rozmiarów gigantycznego wysiłku.

Widział także inne postaci i twarze, które wydawały; mu się znajome, jakkolwiek nie pamiętał, do kogo należą-;; ty. Nie starał się nawet przypomnieć sobie nazwisk tych ludzi lub wywołać z zamroczenia faktów i okoliczności, jakie się z nimi wiązały, bowiem wszystko to tkwiło gdzieś niezmiernie daleko, tak daleko, że przebycie tej przestrzeni przez ospałą, leniwą myśl stawało się pracą ponad siły jego umysłu.

Potem przez jakiś czas, którego trwania w żaden sposób nie umiałby określić, obrazy, przywidzenia i dźwięki (bądź powstające w jego podświadomości, bądź też dochodzące] go z zewnątrz i wyolbrzymione w gorączce do potwornych rozmiarów) tworzyły nieopisany chaos, to falując jak spie-; nione morze podczas sztormu, to wirując dokoła niego niby.] olbrzymie rozpędzone koła, to znów rozpryskując się z hu-j kiem na wszystkie strony i łącząc się znowu w niezrozumiałą całość, czemu towarzyszył przeciągły łoskot rozsadzający czaszkę.

Dominującym uczuciem, jakiego doświadczał w tymj okresie, była niezrozumiała trwoga. Niezrozumiała tym bardziej, że dotychczas nigdy jej nie doznawał. Bał się poruszyć,

krzyknąć lub choćby odetchnąć głębiej, a zarazem nie mógł odwrócić wzroku od tego, co się działo pod jego zamkniętymi powiekami. Strach trzymał go za gardło żelaznymi kleszczami, krew zdawała się krzepnąć w żyłach, a serce zamierało ze zgrozy.

Te ataki przerażenia powtarzały się często i zaczynały się prawie zawsze

jednakowo: szarżą jakiejś bezkształtnej ciemnej masy, ni to czarnego pyłu miecionego wihrem po pustej przestrzeni, ni to wysokiej aż pod niebo fali powodzi zrywającej tamę. Bystry, skłębiony nurt owego żywiołu ogarniał go ze wszech stron, porywał z sobą i niósł nie wiadomo dokąd. Nagłe z ciemności wyłaniała się na jego drodze jakaś przeszkoda, kamienna wieża czy też skała, o którą rozbijał się z szumem, a jęk dzwonów dochodzących spoza niej rósł, zbliżał się, boleśnie tętnił w mózgu, jakby miał poszarpać i zmiążdżyć jego zwoje. Wtem w owej skale ukazywała się brama o zielonych na wściąg otwartych wrotach, prąd niosący Martena rozwiewał się i znikał, otaczała go natomiast jak gdyby procesja czarno odzianych, zakapturzonych postaci z zapalonymi gromnicami w rękach.

Marten szedł w pierwszych szeregach na jej czele, wiedząc, że za bramą czeka na niego śmierć. Czuł się nieskończenie znużony, stary, złamany i opuszczony. Przekraczał wrota, podnosił wzrok i napotykał bezbrzeżną pustkę. Lecz po chwili w owej pustce zaczynało się dziać coś zdumiewającego i budzącego zgrozę. Kamienie, którymi był wybrukowany olbrzymi, sięgający aż po horyzont plac, puchły jak potworne bąble i wreszcie pękały tryskając krwią. Wtedy gdzieś bardzo daleko zrywał się wicher, a rozlana krew czerniała i straszliwe, niepojęte zjawiska z poprzedniego nawrotu gorączkowych majaczeń powtarzały się po raz nie wiadomo który.

Lecz wreszcie kiedyś, w chwili gdy się to wszystko miało zacząć od nowa, cwałujący tuman ciemności z wolna zmie-

nil się w szeroko rozlaną srebrzysłą rzekę, która z mrocznych czeluści wypłynęła między łąki, gaje i winnice zalane słonecz- | nym światłem. Marlen w jakiś cudowny sposób unosił się l na jej powierzchni, kołysany łagodną, ciepłą falą, a błogi spokój kołł jego umęczoną duszę. Było mu tak dobrze, jak ił chyba jeszcze nigdy w życiu. Niemal całkiem świadomie zapadał w głęboki sen, który otulił go tkliwie i osłonił przed pogonią halucynacji.

Kiedy – znów po wielu dniach – ocknął się z tego snu, natychmiast zdał sobie sprawę, że leży w swojej własnej ka- A jucie na „Zephyrze”. Miał umysł zupełnie jasny i rozkoszne l uczucie, że otacza go rzeczywisty świat, o ustalonym porząd-?) ku zjawisk. Uświadamiał sobie także, iż jest bardzo osłabiony i na szczęście nie potrzebuje ani wstać, ani się poruszać. Pamiętał, że został raniony w pojedynku, i bez trudu przypomniał sobie, jak do tego doszło, ale te zdarzenia wydały mu;Ł się w tej chwili mało ważne, z wyjątkiem jednego tylko szcze- f голу. o który pragnął zapytać swego porucznika.

Zauważył tymczasem, że w kajucie panuje łagodny pół mrok od opuszczonych zasłon w oknach, a błędząc wzrokiem po ścianach i zbytkownym urządzeniu, dostrzegł l w przejściu do sąsiedniego salonu jakąś postać kobiecą,; która jednak z pewnością nie była Marią Franceską.

Leonia – pomyślał. – Co ona tu robi?

Była to istotnie Leonia, canierista Marii. Usłyszał jej przyciszony głos:

–Seflorita zasnęła przed chwilą w swojej sypialni. Czuwała

nad nim znowu przez całą noc, choć od paru tygodni to nie jest

wcale potrzebne.

Od paru tygodni! Więc to trwa więcej niż parę tygodni? – pomyślał Marten.

–Kto tam jest? – zapytał i z wielkim zadowoleniem

przekonał się, że wypowiedzenie tych kilku słów przyszło i

mu zupełnie łatwo.

Portiera przy framudze poruszyła się. Stefan Grabiński stanął w progu, z twarzą napiętą i wzrokiem utkwionym w łóżko, na którym leżał Marten. Ich spojrzenia spotkały się i porucznik „Zephyra” natychmiast pojął, że jego kapitan jest przytomny.

–Janie! – zawołał, po czym radosne wzruszenie odebrało

mu głos na dobrą chwilę.

W dwóch susach znalazł się przy nim i nie mogąc powstrzymać łez, ścisnął mu dłonie.

–Traciliśmy już nadzieję – mówił przerywanym głosem. – I ja, i lekarze...Tylko ona... Mój Boże! Uparła się, że musisz żyć i – czy ja wiem?.– chyba wyblagała to u swojej Madonny!

–Naprawdę? – szepnął Marten, a oczy błysnęły mu uśmiechem. – Jak długo to trwało?

Grabiński zastanowił się chwilę.

–Chyba z pół roku – odrzekł. – Mamy teraz koniec

listopada.

Marten zdumiał się.

–Nigdy bym nie przypuszczał – powiedział wolno. –

Musiąłem porządnie oberwać. A on? – spytał.

Stefan spojrział nań spod oka, jakby wahając się, czy ma powiedzieć prawdę.

–Widziałem, że upadł – mruknął Marten jakby do siebie.

–Dostał dwie kule – odrzekł wreszcie Grabiński. ~ Jedną w szyję, drugą w samo serce.

Marten przymrużył oczy.

–Nescias, quod scis, si sapiens – szepnął, a Stefanowi,

który nie rozumiał znaczenia tych słów, wydało się, że zasypia.

Chciał już oddalić się po cichu, gdy powieki Martena drgnęły. Poczł lekki uścisk jego dłoni.

–Zaczekaj. Jeszcze jedno... – usłyszał.

Pochylił się nad posłaniem, a Marten z niespodziewaną siłą zmusił go, aby usiadł na skraju łóżka.

–Chciałbym wiedzieć – zaczął i przerwał na chwilę, a

Stefan mimo woli wstrzymał oddech, przeczuwając, że teraz

padnie pytanie, na które będzie musiał odpowiedzieć.

Jak? Niejednokrotnie zastanawiał się nad tym, lecz, dotąd jeszcze nie powziął ostatecznej decyzji; odkładał ją na później. I oto zostanie nagle przyparty do muru.

Ujrzał się w myśli na pokładzie „Zephyra” w ową letnią noc w Bordeaux, na krótko przed świtem, gdy zgnębiony niepowodzeniem swojej misji nie wiedział, co ma począć dalej. Jakże nienawidził wówczas tej kobiety! Wydawała mu się potworem, demonem zła i przewrotności. A potem ujrzł ją w południe, jak wysiadała z wynajętego powozu w towarzystwie szwaczki, która wyniosła za nią pudło zawierające nową suknię.

Wracała od krawczyni! Pojechała do niej wprost z bankietu u gubernatora, ponieważ nie warto już było wracać przedtem na okręt...

Kłamała bezwstydnie lub raczej bezwstydnie omijała prawdę!

Zapytała o Martena: czyżby jeszcze nie wrócił?

–Nie! – odrzekł Stefan. – I może w ogóle nie wróci –

dodał, nie wierząc ani przez sekundę we własne słowa, które

jednak omal się nie sprawdziły.

Potem w dwóch zdaniach powiedział jej, co zaszło między hrabią Olivierem a Martenem, pomijając zresztą szczegóły, których się domyślał. Zauważył, że pobladła, a z jej orzechowych oczu wyjrzała obawa.

Zostawił ją na progu tylnego kasztelu, odwrócił się i odszedł udając, że ma coś do roboty przy grotmaszcie. Nie wytrzymał jednak długo i obejrzał się. Maria Francesca stała nadal w tym samym miejscu, jak zamieniona w słup

solu, a panna z pudłem od krawczyni oczekiwała cierpliwie opodal, rozglądając się ciekawie po pokładzie. Dopiero po dłuższej chwili obie weszły do kasztelu, a wkrótce szwaczka ukazała się z powrotem i spieszenie zbiegła po trapie na nabrzeże, aby wsiąść do oczekującego powozu i odjechać. Wyglądała na przestraszoną czy też bardzo poruszoną. Tes-sari, który od początku przyglądał się jej podejrzliwie, zauważył, że jak na pannę do posyłek lub podręczną jest może nieco zbyt strojnie ubrana, ale Grabiński był zbyt przejęty, aby zwrócić na to uwagę. Tak czy owak wizyta u krawczyni wydawała mu się nędznym wybiegiem dla ratowania pozorów.

Wiadomość o wyniku pojedynku nadeszła dopiero w dwie godziny później. Przesłał ją pan d'Ambares przez umyślnego, uprzedzając, że przewiezie rannego na okręt pod opieką lekarza, który uznał, iż w Bordeaux będzie mógł lepiej doglądać Martena niż gdziekolwiek indziej. Nie ukrywał przy tym, że rana jest ciężka i budzi poważne obawy.

Stefan zgnębiony i przybity przez dłuższą chwilę nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że ziemia zapada mu się pod nogami. Nie umiał sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby zabrakło Martena. Nie chciał o tym myśleć, ale najgorsze przeczucia i przewidywania opadły go jak stado kruków. Poszedł wreszcie powiadomić senioritę i zastał ją we łzach, klęczącą przed obrazem Madonny. Na ten widok poczuł, że serce stajało w nim jak воск, a cała nienawiść, jaka się tam nagromadziła od wczorajszego dnia, rozplynęła się pod działaniem obudzonej litości, współczucia czy może czegoś więcej, co wracało jak echo lub jak fala odbita od brzegu.

Temu nawrotowi sentymentu nie stanęła na przeszkodzie nawet scena, jaką Maria Francesca zrobiła swej patronce usłyszawszy złą nowinę. Zerwała się z kolan i z pałającą

gniewem twarzą, na klórej nie obeschły jeszcze łyzy, zaczęła bluźnić, grożąc zaciśniętą pięścią i tupiąc nogami.

–Jesteś niewdzięczna i zła, Santa Maria! Zapomniałaś, co

uczyniłam dla ciebie. Dałaś się przekupić kacerzom i

hugonotom! Jak mogłam ci zaufać! Nie dostaniesz nic z tego,co ci

obiecałam! Cofam wszystkie przyrzeczenia! Wszystkie!

Wiedz o tym, ty...

Łkania zatamowały jej oddech i nie pozwoliły dokończyć. Odwróciła się gwałtownie ku zdumionemu i zgorzono-emu Stefanowi.

–Gdzie on jest? – zapytała przerywanym głosem.

Chcę być przy nim zaraz! Natychmiast!

Nie mógł uczynić zadość temu żądaniu i oczekiwał nowej burzy gniewu, ale żaden wybuch już nie nastąpił. Senoria przestała płakać i spojrzawszy przelotnie w lustro wydał] lekki okrzyk, po czym spiesznie przypudrowała twarz i po-i prawiwszy włosy zwróciła się ku Grabińskiemu, już niemal zupełnie spokojna i opanowana.

–On będzie żył – powiedziała stanowczo. – Nie pozwolę

mu umrzeć. Przywrócę mu zdrowie. Pomożesz mi prawda?

Podeszła do niego i oparła mu dłonie na ramionach.

–Pomożesz mi, choćbyś mną pogardzał – powtórzyła^ patrząc mu wprost w oczy.

–Chyba wiesz sama! – odrzekł wzruszony. – I wiesz także – na pewno lepiej ode mnie – że... że to nie pogar- j da, tylko...

Dotknęła palcami jego ust.

–Nie mów o tym teraz – powiedziała przejmującym

szeptem.

Obdarzyła go jeszcze jednym spojrzeniem, od którego | zakręciło mu się w głowie, odepchnęła go lekko od siebie, J jakby tym gestem odrzucała jakąś pokusę, i zawoławszy Leonię, kazała jej przygotować świeżą pościel dla Martena.

Stefan wypadł na pokład, jakby go ktoś ścigał, i zderzył się z Tessarim, który czekał na niego przed kasztelek.

–Wyglądasz, jakbyś zobaczył diabła – powiedział

chwytając go za ramię. – Co ci się stało?

Grabiński odetchnął głęboko.

–Może i zobaczyłem – odrzekł niechętnie.

–Miał zapewne rude włosy i wcale gładką buzię? – zakpił Cyrulik. – Uważaj, żeby cię nie wciągnął do piekła, skąd nie ma powrotu. Podobno znalazł się tam już pewien nieosłowny hrabia, choć miał w tych sprawach więcej praktyki niż ty...

–Przezań – mruknął Slef. – Nie pora na drwiny.

Tessari pokiwał głową, jakby się z tym zgadzał. Ilekroć

zamykał usta, aby zamilknąć, w jego wyglądzie objawiało się coś złowieszczonego. Rzucił przeciągłe, znaczące spojrzenia spod czarnych brwi, które ścigał w bardzo diabelski sposób, i garbił się nieco – niczym ptak drapieżny gotujący się do lotu. Nie odleciał zresztą, jakby się tego można było spodziewać, tylko zaklął siarczyście po włosku, dając tym wyraz swemu żalowi i trosce o zdrowie Martena, po czym wolno odszedł po trapie na nabrzeże i znikł we drzwiach najbliższej winiarni.

Grabiński został sam ze swymi myślami i skłóconymi uczuciami. Rozterka, która opuściła go, jak sądził, trzymając w ramionach ładniutką Luizę de Carnariac, wracała z fatalną siłą, aby znów omotać mu serce i napęlić je niepokojem.

Jestem jak ów Arlekin z teatru – pomyślał. – Błazen zakochany w Colombinie!

Wszystkie te wspomnienia, wzruszenia i myśli nawiedziły go teraz w ciągu paru sekund, gdy ze wstrzymanym oddechem oczekiwał na pytanie Marlina siedząc na krawędzi jego łóżka.

–Chciałbym wiedzieć – powtórzył Marten – czy Maria

wtedy wróciła na okręt, czy też...

Zawiesił głos i to nie dokończone zdanie zdawało się również zawisać nad ich głowami, jak wązka nić napięta nadmiernym ciężarem.

Stefan ogromnym wysiłkiem przewyciężył skurcz gardła.

–Wróciła – odrzekł prawie zwykłym głosem. – Po

wiedziałem jej, dlaczego musiałeś tak nagle odjechać z

Belmontem i panem d'Ambares – mówił prędko dalej, w obawie,

aby Marten nie zapytał o inne szczegóły owego powrotu. –

Płakała i modliła się, póki nie nadeszła wiadomość, że jesteś

ranny. Potem d'Ambares przywiózł cię tutaj, a raczej do Bordeaux.

Przewieźliśmy cię na okręt i – Boże, jakże to długo trwało! –

zaczęły się te zmagania ze śmiercią... Dopiero na początku

listopada przestałeś bredzić

w gorączce i spałeś, spałeś, spałeś, jakby to miał być letarg, lecz

ona nadal ciągle tu była przy tobie albo przed obrazem swojej

Madonny.

Umilkł i wstał ostrożnie, bo Marten znów przymknął powieki, jakby zapadł w sen.

Lecz w tej samej chwili ciężka jedwabna zasłona od sypialni Marii Franceski drgnęła,, a potem rozsunała się z lekkim szelestem. Sefiorita de Vi-zella w ciemnej sukni przypominającej zakonnej habit stanęła na progu i nagle z okrzykiem radości przypadła do wezglowia, aby scałować dwie łzy, które staczały się po wy-j chudłych policzkach Martena.

Podczas gdy Jan Kuna, zwany kawalerem de Marten,! walczył ze śmiercią, a następnie dzięki swemu wspaniałe-} mu organizmowi oraz tkliwej opiece Marii Franceski z wolna powracał do zdrowia i nabierał sił, we Francji

i w Europie zachodziły liczne mniej lub bardziej ważne wypadki, zdarzenia i zmiany.

Jedną z nich, blisko obchodzącą Martena, był awans starego, zasłużonego komandora de Tourville na kontradmirała i objęcie przez niego dowództwa nad flotyllą „La Ro-chelle”. Tym sposobem Marten znalazł się pod bezpośrednimi rozkazami człowieka, który mu sprzyjał, podobnie jak Ludwik de Margaux, dowodzący obecnie eskadrą okrętów liniowych.

Tymczasem w Bordeaux i wśród tamtejszych hugonotów zapomniano już o nim. Burza z powodu pojedynku z Blan-quefortem ucihła, wyladowawszy się doraźnie w spaleni posiadłości korsarza. Mimo to „Zephyr” nadal stał przy nabrzeżu La Rochelle: nie było po co wracać do Margaux-Medoc: nie pozostał tam kamień na kamieniu...

Marten z właściwą sobie beztroską machnął na to ręką, Henryk Schultz natomiast, który znów przyjechał z Gdańska, omal nie płakał nad tą ruiną, a Piotr Carotte, dowiedziawszy się o zagładzie chateau, istotnie oblał ją szczerymi łzami, co prawda ze znaczną przymieszką wina, jakie wypił na pokładzie „Zephyra”.

Wygłosił następnie dłuższe przemówienie, w którym między innymi powiedział:

–Kocham cię jak brata, nieznośny wartogłowie, i niech mnie obedną ze skóry, jeśli nie dałbym się za ciebie porąbać, a nawet więcej – jeśli nie pożyczyłbym ci paru franków w potrzebie! Cenię twoje wspaniałe zalety, a nade wszystko twoją przyjaźń. Ale właśnie jako twój przyjaciel muszę ci powiedzieć, że masz jedną wadę: zbyt mało dbasz o zdobytą fortunę, zbyt hojnie-rzucasz pieniędzmi. Pieniądze, Janie, tym się różnią od ciosów zadawanych wrogom i pocałunków rozdawanych pięknym kobietom, że trzeba się z nimi trochę liczyć!

~ Tego niestety nie potrafię. Pieniądze są na to, aby je

wydawać, wrogowie ~ aby ich zwalczać, a piękne kobiety -aby je całować- odrzekł Marten, a Carotte przyznał, że nie' można temu zdaniu całkowicie odmówić słuszności.

Henryk Schultz zauważył jednak, że jeśli chodzi o wrogów, przynajmniej o wrogów Francji, to w najbliższym cza-, sie nie będzie komu zadawać ciosów.

Istotnie, król jeszcze we wrześniu obiegł i zdobył Amiens, lecz był to bodaj ostatni jego wysiłek wojenny w tym okre-^ sie. Obie strony musiały nieco wypocząć po wielkim upuście krwi. W wojnie domowej i hiszpańskiej legła niemal czwarta; część Francuzów, a Hiszpania nadal nie mogła uporać się z Niderlandami i z Anglią. Henryk IV, zwany wówczas Dobrym, a później także Wielkim, pragnął pokoju.

Za pośrednictwem legata papieskiego Aleksandra Medici podjęto rokowania, które jednak utykały wielokrotnie z różnych powodów. Przyczyniały się do tych trudności intrygi angielskie i holenderskie, podziemne knowania takich przywódców hugonockich, jak Bouillon czy La Tremoille, a wreszcie wydanie w kwietniu roku 1598 edyktu nantej-skiego, który został potępiony przez Klemensa VIII.

Legat papieski, a także niektórzy wyżsi przedstawiciele katolickiego kleru francuskiego próbowali nakłonić króla do.' słuchania odbywających się w Fontainebleau dysput religijnych, mniemając, iż tą drogą pozyskają go dla swych celów...! Lecz Henryk nie myślał im ulegać.

–Bóg tego nie słucha – odrzekł pogardliwie. – Jestem przekonany, iż te sprawy go nudzą, tak jak i mnie.j Z pewnością nie obchodzi go, czy ktoś wyznaje taką lub inną wiarę. Założyłbym się, że waszą gorliwość uważa za dzieciństwo, a czystość potępia jako zwykłą pychę!

Takie wolnomyślne, niemal bluźniercze stanowisko katolickiego władcy nie sprzyjało rzecz prosta rokowaniom prowadzonym pod egidą Rzymu z wysłannikami arcykatolickiego monarchy, Filipa II, a protestantka Elżbieta również

jjie próżnowała i ze swej strony czyniła wszystko, aby zostały zerwane. Jej poseł groził wojną i karą boską za zerwanie umowy z roku 1596, według której Francję. Anglię i niderlandy obowiązywała solidarność w stosunkach z Hiszpanią.

–Wiem, że lubicie mieć Boga po swojej stronie – powiedział mu król na to. – Jest to jedyny sojusznik, któremu nie trzeba płacić lub dawać subsydiów. Ale ja nie jestem tak bogaty jak on, a jej królewska wysokość ani myśli mi dopomóc. Mogę zatem uczynić tylko to, na co mnie stać.

Uczył to istotnie: w dniu drugim maja roku 1598 między Francją a Hiszpanią stanął traktat podpisany w Ver-vins, przywracający stan pokojowy sprzed lat trzydziestu.

Był to niewątpliwie sukces Henryka IV. Niepodległość i całość granic jego odradzającego się państwa zostały utwierdzone wbrew przewidywaniom licznych wewnętrznych i zewnętrznych wrogów.

Natomiast Filip II przeżywał jeszcze jeden zawód, bodaj że ostatni w życiu. Zawód tym bardziej gorzki, że jego marzenia o zwierzchnictwie nad całą Europą zachodnią rozpadły się teraz w gruzy. Gdyby miał koronę francuską, jego potęga zgniotłaby Anglię, nie mówiąc już o przywróceniu hiszpańskiego władztwa nad całymi Niderlandami; zaciążyłaby nad Austrią; w sojuszu z Polską sięgnęłaby do Szwecji; decydowałaby o wszelkich poczynaniach Rzymu...

Ta korona wydawała się już tak bliska! Filip czuł się niemal protektorem Francji; liczył co najmniej na zagarnięcie lwej części jej terytorium przy nieuniknionym – jak sądził – rozpadzie.

Spotkało go rozczarowanie, a postępująca choroba powaliła go na łożo, którego nie miał opuścić aż do śmierci. Jego ciało gniło, zanim jeszcze wyzionął ducha: pokrywały je okropne, cuchnące wrzody, na które nie pomagały nawet święte relikwie. W dodatku dręczyła go wątpliwość, czy oka-

zał się dość pilny w paleniu heretyków. Wprawdzie spalił ich bardzo wielu, ale mógł spalić jeszcze więcej... Może właśnie ta opieszałość była przyczyną ostatnich niepowodzeń?

Henryk Schultz przybył do filii swojej firmy w Bordel aux powodowany bieżącymi interesami handlowymi, lecz odwiedził Martena w La Rochelle z myślą o planach politycznych, jakie sobie układał od dawna i którym poświęcał coraz więcej uwagi, w miarę jak możliwość ich realizacji zał rysowywała się wyraźnie w jego umyśle.

Jeszcze w roku 1594 Zygmunt III koronował się w Upsali na króla Szwecji, ale zanim stamtąd powrócił do Polski, już nie był pewny dziedzicznego tronu. Jego stryj Karol, książę Sudermanii, mianowany regentem, zyskiwał coraz więcej stronników i sięgał po rzeczywistą władzę. Szwedzi słusznie uważali swego katolickiego króla, wychowanka jezuitów, za narzędzie papieża. Obawy o wolność wyznania napęłniły ogromną większość narodu nieufnością i niechęcią do tego dumnego, zamkniętego w sobie i fanatycznego władcy, który – jak mówiono – więcej dba o interesy Rzymu niż o swoje oba królestwa.

Ten stan rzeczy pogarszał się stale dla Zygmunta i prędzej czy później musiał doprowadzić do konfliktu zbrojnego. Król przemyślał o sojuszu z Hiszpanią, a poseł Filipa II, Mendoza, nalegał na szybkie zajęcie Elfsborga i obsadzenie go silną załogą, obiecując przy tym pomoc swego monarchy.

Lecz Karol Sudermański był dość przewidujący i czujny, aby nie dać się zaskoczyć: mianował tam namiestnikiem jednego ze swych najbardziej zaufanych ludzi i wzmocnił garnizon warowni.

Nie powiodła się też Zygmunta próba pozyskania macierzystej floty szwedzkiej, którą wezwał do Gdańska pod pretekstem nowej podróży do Sztokholmu. Wierny księciu

Sudermanii admirał Scheel przysłał tylko osiem okrętów pod dowództwem Karlssona Gyllenhjelma. Eskadra szwedzka przez dwa tygodnie oczekiwała na przyjazd króla, a gdy wyszło na jaw, że Zygmunt wcale do Szwecji się nie wybiera, odplynęła z powrotem. Karol przejrzał prawdziwe intencje swego bratanka, zajął Kalmar usuwając stamtąd jego stronników, w połowie lipca roku 1597 nakazał koncentrację floty w pobliżu Bornholmu, a posłowi polskiemu, Samuelowi Łaskiemu, oświadczył, że nie przyśle do Gdańska okrętów, póki król nie rozpuści zaciągów przygotowanych na wyprawę zbrojną. Zygmunt liczył jeszcze na wierną sobie flotę finlandzką, pozostającą pod rozkazami admirała Arveda Stolarnia, lecz gotowe do boju eskadry Scheela i Stolpego wiązały ją u Wysp Alandzkich blokując wyjście z Zatoki Botnickiej.

Wszystkie te okoliczności sprzyjały ambitnym zamiarom Schultza, którego stosunki i koneksje z jednej strony sięgały dworu i rady królewskiej, a z drugiej działały niby ukryte sprężyny w senacie gdańskim. Między innymi zaprzętała go sprawa urządzenia własnej stoczni w Elblągu lub w Pucku – stoczni, w której można by budować co najmniej takie okręty jak „Zephyr” lub nawet większe, podobne do holenderskich barków i angielskich fregat. Rozumiał, że jeśli jurysdykcja od wieków wykonywana in orientale mari przez Szwecję ma przejść do Polski, flota wojenna Rzeczypospolitej musi być stała, liczna, silna i nowoczesna, nie improwizowana, jak dotychczas, w przypadkach nagłej potrzeby. Lecz realizacja takiego przedsięwzięcia wymagała dłuższych przygotowań i wielkich nakładów, a czas naglił. Trzeba było, na

razie przynajmniej, uciec się do innych sposobów zorganizowania morskiej siły zbrojnej.

Z Warszawy poszły wezwania królewskie do miast pomorskich, do Strzałowa, Szczecina, Lubeki, Wismaru i Rostoku o wstrzymanie żeglugi do Szwecji, o areszt szwedzkich

statków i pomoc w okrętach. Gdańsk i Ryga również otrzymały rozkaz zatrzymywania wszelkich statków pod banderą szwedzką, a władze portowe miały dbać o to, aby zboże i broń nie przeciekały drogą morską do nieprzyjaciela.

W samym Gdańsku, za zgodą senatu, już w końcu roku 1597 stanęły na kotwicach cztery pinki * wprowadzone ze Szwecji przez zwolenników Zygmunta oraz dwa duże statki zakupione w Szkocji i przerabiane teraz na okręty liniowe. Jeden z nich – „Sokół” – stanowił własność Schultza, lecz został wydzierżawiony i był utrzymywany wraz z całą^ załogą przez skarb królewski.

Dowodził tą małą eskadrą wiceadmirał Tonnes Maidel, rodem z Estonii, a kapitanami okrętów zostali: Jakub Kónig na „Białym Orle” i gdańszczanin Jan Nikiel, na „Sokole”.

Wreszcie wczesną wiosną roku 1598 sejm warszawski wyraził zgodę na wyprawę króla do Szwecji i przyznał mu na ten cel trzysta tysięcy złotych, a Henryk Schultz na krótko przed swym wyjazdem do Francji zdołał jeszcze przeforsować w radzie miejskiej posłuch dla rozkazów królewskich upoważniających Maidla do rekwizycji statków cudzoziemskich. Ponad sześćdziesiąt żaglowców holenderskich i angielskich obłożono aresztem, Gdańsk i Toruń miały dostarczyć dział, kuł i prochu, umacniano nabrzeże por-^ towe i Latarnię, zaciągano knechtów, marynarzy i rusznikarzy, gromadzono zapasy żywności, a z Elbląga, Królewca, Prus Książęcych i Rygi zaczęła nadchodzić pomoc w pieniądzu, statkach, sprzęcie i ludziach obeznanych z morskim rzemiosłem.

Schultz przewidywał jednak, że przygotowania do wyprawy potrwać jeszcze kilka miesięcy. Armada zagarnięta w Gdańsku, a później uzupełniona kilkunastu angielskim

statkami z Rygi i Elbląga, była wprawdzie liczna, ale po pierwsze niedostatecznie uzbrojona, po wtóre zaś – dowodzona przez niepewnych kapitanów i niechętne załogi, nie zaprawione do walki na morzu. Tylko królewskie okręty liniowe i większe żaglowce kaperskie mogły się równać z przestarzałą, lecz bitną flotą Sudermańczyka. Należało więc za wszelką cenę sprowadzić jeszcze bodaj kilka nowoczesnych fregat lub galeonów, które wraz z flotyllą Maidla mogłyby stanowić bojową eskortę całego konwoju.

Henryk Schullz założył w tym celu spółkę ze znacznym udziałem króla, panów polskich, a nawet pewnych osobistości cudzoziemskich, zakupił kilka okrętów angielskich i zakontraktował załogi, a teraz pragnął wciągnąć w to przedsięwzięcie także Martena, obiecując mu nie tylko znaczne zyski, lecz także dowództwo nad nowo utworzoną eskadrą.

Marten wahał się, mimo iż wiele okoliczności zdawało się nakłaniać go do tego kroku. Stracił Margaux-Medoc wraz ze zbyt kochanym urządzeniem, z meblami, dywanami, obrazami i kryształami, z końmi i powozami, ze wszystkim, co stanowiło o uroku tej posiadłości. Nie chciał i po prostu nie mógłby wrócić tam i zaczynać od nowa, bo nie starczyłoby mu pieniędzy, a poza tym miał dość tamtejszego sąsiedztwa i związanych z nim wspomnień. Nie wierzył wprawdzie w długotrwały pokój i w jego ścisłe przestrzeganie na morzu, ale bądź co bądź na razie musiał się liczyć z zakazem atakowania okrętów hiszpańskich.

Jednak decydując się na propozycję Schultza, nie mógłby swobodnie czerpać z pozostałych jeszcze zasobów, ponieważ zostałyby uwięzione w okrętach i uzbrojeniu, które dopiero po dłuższym, bliżej nie określonym czasie zaczęłyby przynosić dochody.

Myśl o budowie stoczni, wizja polskiej potęgi morskiej roztaczana przez Schultza, a także przez Grabińskiego, który od razu zapalił się do jego planów, pociągała Martena.

Gdyby wrócił na Bałtyk i zawinął do Gdańska prowadząc własną eskadrę bojową, gdyby miał taką fortunę, jaką już dwukrotnie zdobył – raz w Indiach Zachodnich wspólnie z Franciszkiem Drake'em, a drugi raz przychwyciwszy na-j ładuwaną srebrem karawelę „Santa Cruz” po ataku na Ka-dyks – nie wahałby się ani chwili. Lecz teraz pozostały mu” tylko resztki, zaledwie wystarczające na skromny udział w tej imprezie.

Tymczasem Gaspard Lieou doniósł mu, że hiszpańska] Złota Flota już w kwietniu minęła Cieśninę Bahamską i zbliża | się do Wysp Azorskich. Licou miał wielką ochotę spróbować szczęścia. Kusił Martena, a o traktacie pokojowym w Vervins wyrażał się pogardliwie i nader nieprzyzwoicie, przewidując, w jaki to sposób i do jakiego celu król najdalej za parę ty«,| godni użyje „tego papierka”, jeśli okaże się przydatny po udałym stolcu.

Ostatecznie w połowie maja Marten zdecydował siei uczynić jedno i drugie: najpierw raz jeszcze zdobyć majątek! napadając z dala od brzegów na transport hiszpańskiego złota, potem w aureoli sławy i bogactwa wrócić do Gdańska,) by w służbie polskiego króla sięgnąć po godność admiralską] na czele potężnej floty, jaką postanowił stworzyć przy pomo-yj cy Henryka Schultza.

Pewne okoliczności znów zdawały się sprzyjać jego planom. Pan de Tourville zamierzał wysłać patrol w kierunku Zatoki Biskajskiej celem powiadomienia wszystkich pozostających na morzu okrętów francuskich o zaprzestaniu działań wojennych przeciw Hiszpanii, a Marten prosił, aby powierzono mu tę misję wspólnie z fregatą kapitana Licou, na co otrzymał zgodę.

Tu jednak natrafił na niespodziany opór Marii Frańceski oraz na pewne skrupuły ze strony swego porucznika. | Seniorita oświadczyła stanowczo, że nie weźmie udziału] w wyprawie po złote runo. Ma już dość widoku bitew, przelewu krwi, huku dział i zapachu prochowego dymu. Ma dość morza i rzemiosła, jakie Marten na nim uprawia, zwłaszcza że teraz z korsarza króla Francji zamierza przedzierzgnąć się w zwykłego pirata, którego nie chroni żadne prawo. Gotowa jest udać się do Gdańska, choć dotąd nie pytano jej o zdanie; może pozostać nawet w La Rochelle czy też w Bordeaux pod opieką Schultza, lecz ani myśli towarzyszyć Martenowi w jego zbójckich poczynaniach.

Jan był zaskoczony takim jej stanowiskiem. Podejrzewał, że namówił ją do tego Schultz, który z początku odradzał mu ów ryzykowny wypad, a później, widząc, że Marten nie da się odwieść od swych zamiarów, pragnął mieć jakąś gwarancję, iż zostaną wykonane bez rozgłosu, w czasie jak najkrótszym, tak aby „Zephyr” powrócił i odpłynął do Gdańska, zanim wieść o naruszeniu traktatu pokojowego dotrze do Madrytu, a stamtąd do Paryża i La Rochelle.

Marten po namyśle doszedł zresztą do wniosku, że pozostawiając Marię w domu Henryka w Bordeaux w gruncie rzeczy podwójnie by zyskał. Po pierwsze – pozbywał się w ten sposób wszelkich obaw o jej zdrowie i życie narażane na niebezpieczeństwo w każdej bitwie. Po wtóre – nie miał najmniejszych wątpliwości, że Schultz nie mógłby pokusić się o intymne zbliżenie z Marią Franceską, choćby ze względu na swą surową pobożność i niezbyt pociągający wygląd zewnętrzny. Można też było zaufać jego sumienności i roztropności, jeśli chodziło o innych przyjaciół i znajomych seniority, którzy próbowaliby wykorzystać w podobnych celach nieobecność Martena.

Zgodził się.

To przecież nie potrwa dłużej niż kilka tygodni – pomyślał.

Co się tyczy Stefana Grabińskiego, to bynajmniej nie sprzykrzyły mu się przygody i bitwy. Przeciwnie, pragnął ich nadal; ale to, o czym Maria Francesca zaledwie wspo-

niała, dla niego stanowiło problem najbardziej zasadniczy. Chciał być korsarzem, czy też kaprem, nie piratem. Godził się w swym sumieniu na służbę wojenną i na wojenne zdobycze pod sztandarami króla Francji, który – jak mniemał – walczył o słuszną sprawę. Tym chętniej gołów był walczyć o sprawę polską przeciw wrogom

Zygmunta lii. Lecz wzdragał się przed rabunkiem, przed rozbojem wyłącznie dla własnej korzyści.

Zwierzenie tych wątpliwości Martenowi nie przyszło mu łatwo. Obawiał się, że nie zostaną zrozumiane lub -co gorsze – będą mu poczytane za obłudę. Ale Marlen wysłuchał go cierpliwie i przyjaźnie.

–Sam zastanawiałem się nad tym – powiedział kładąc mu rękę na ramieniu. – Możesz mi wierzyć, że mając na widoku wyłącznie własną korzyść, nie podjąłbym tej wyprawy. Dlatego cały mój udział w zdobyczy z góry przeznaczyłem na zakup i wyposażenie okrętów, które chcę przyprowadzić do Gdańska albo tam zbudować. Schultz utrzymuje, że jego królewska mość Filip II zostanie pono sprzymierzeńcem

naszego Zygmunta. Mam zamiar uszczknąć mu nieco złota na poczet tego przymierza, bo nie bardzo ufam, aby sam pokwapił się z taką pomocą. Jeśli chcesz, możesz zrobić tak jak ja.

Będziesz walczył nie o hiszpańskie złoto, lecz o polskie okręty. Jeśli to nie uspokaja twego sumienia, zostań z Schultzem. Bardzo by mi cię brakowało na pokładzie, „Zephyra”, ale nie miałbym o to żalu.

Grabiński był już na pół przekonany. Ani przez chwilę nie myślał o wycofaniu się z jakiegokolwiek przedsięwzięcia, któremu Jan przewodził. W żadnym wypadku nie rozstałby się z „Zephyrcm”. Nawet gdyby miał to okupić roz-j terką we własnym sumieniu. Lecz w głębi duszy czuł, że Jan stara się oszukać lub przynajmniej uspić jego wrażliwość.

–A Gaspard? – zapytał jeszcze.

Marten wzruszył ramionami.

–Nie jestem spowiednikiem Gasparda – odrzekł. – Wydaje mi się, że ma dość porachunków z Hiszpanami, aby się usprawiedliwić we własnym mniemaniu. Uważa ich zresztą za wrogów króla i chyba w gruncie rzeczy ma rację.

Tym lepiej dla niego – pomyślał Stefan, ale nie wypowiedział na głos tych słów. Zapytał tylko, kiedy Marten chce wyruszyć, a usłyszawszy, że już pojutrze, odetchnął z ulgą. Bezczyenne wyczekiwanie w porcie sprzyjało powstawaniu nowych

wątpliwości, którym nie chciał już więcej podlegać.

Oba okręty były gotowe do drogi. Osiemnastego maja – po raz pierwszy od jedenastu miesięcy – na maszcie „Ze-phyra” znów załopotiała czarna bandera, wiatr wydał żagle, a Marlen stojąc na tylnym pokładzie przesłał ostatnie pożegnanie swej kochance i przyjacielowi,, któremu wciąż jeszcze tak bardzo ufał.

„Zephyr” i „L'Abeille” od czterdziestu ośmiu godzin lawirowały za długim, rozciągniętym na dziesiątki mii ogonem Złotej Floty, która podążała z zachodu ku Azorom. Trzymały się z daleka, poza zasięgiem bystrych oczu hiszpańskich marynarzy, slrażujących na marsach karawel,

i znikwały w porę, gdy na horyzoncie pojawiały się żagle któregoś z okrętów eskorty. Czarodziejska rura o szlifowanych szklach, sporządzona w warsztacie mistrza Lippersheya, i tym razem oddawała Martenowi nieocenione usługi: za jej pomocą rozpoznawał bez trudu każdy okręt na taką odległość, z której Hiszpanie bądź wcale nie mogli dostrzec „Ze-phyra”, bądź też – w najlepszym razie – dostrzegali go jako maleńką plamkę na jasnym tle widnokręgu.

Nie wzbudzało to z pewnością podejrzeń, bo Marten nie zauważył żadnych zmian w postępowaniu kapitanów konwoju. Transport płynął wolno, nieporządnie, zapewne skołatany długą podróżą, w której napotkał niejedyn sztorm i niejedyn okres nieruchomej ciszy. Podczas gdy czołowe karawele prawdopodobnie rzucały już ciężkie kotwice w porcie Terceiry, ostatnie wlokły się pomiędzy Pico a San Miguel,; zbaczając z kursu na wschód, aż po Santa Maria, pod wpływem wzmagającego się północno-zachodniego wiatru.

Mimo to aż do południa drugiego dnia Marten nie próbował zaatakować żadnej z nich. Dowódca eskorty widocznie miał się na baczności, bo jego lżejsze żaglowce okrążały raz po raz rozpierzchłe stado, niczym psy pasterskie, i nie można było przewidzieć, kiedy pojawią się w pobliżu. Dopiero ów wiatr, który przed zachodem słońca podniósł wysoką falę i spienił jej grzywy, zdawał się zwiastować nadejście bardziej sprzyjających okoliczności dla korsarzy.

Istotnie, tuż przed zmierzchem na zachodzie zbiegł siei wielki tabun obłoków, zgęstniał, zbił się w jednolitą ołowianą] chmurę, która zaczęła pomrukiwać basowym grzmotem,! a morze odpowiadało szumem i sykiem, pieniać się i rycząc coraz groźniej.

„Zephyr”, mając za sobą „L'Abeille”, znajdował sięl wówczas za prawym skrzydłem konwoju, a Marten w gasnącym świetle dziennym obserwował przez lunetę dwa okręty hiszpańskie, które ciężko walczyły z wichurą, starając się

widocznie za wszelką cenę dotrzeć do wysokich brzegów Santa Marii, w nadziei, że

znajdą tam schronienie przed burzą. Jeden z nich, o wyglądzie dużej karaweli, z beczkowatą rufą i niezgrabnym, pękatym kadłubem, był z pewnością obciążony cennym ładunkiem. Wiatr i prąd, a może po prostu niezbyt poprawna nawigacja kapitana czy też jakieś uszkodzenia, odniesione w ostatnich dniach żeglugi, przyczyniły się do odosobnienia karaweli i do znacznego zbcoczenia z kursu. Santa Maria – najdalej na wschód położona ze wszystkich dziewięciu wysp archipelagu – stanowiła teraz dla załogi ostatnią przystań.

Jeżeli im się nie uda podejść do podwietrznej i zakotwiczyć w jakimś osłoniętym miejscu, zniesie ich na pełne morze – myślał Marten. – Wtedy albo zatoną, albo wpadną w nasze ręce.

Skierował lunetę na drugi okręt, który – jak sądził – należał do eskorty.

Ten trzyma się znacznie lepiej – pomyślał z niejakim uznaniem – ale zdaje się, że ma dość i nie będzie ryzykował. Nie można mu się zbyt dziwić: o ile pamiętam, trudno tu znaleźć grunt dla kotwicy; za to znacznie łatwiej zdry-fować i nadzieć się na skały Dollabarát o parę mil dalej...

Odwrócił się i błysnął zębami w uśmiechu.

–Będziemy musieli sami zaopiekować się tą starą balią – powiedział do Grabińskiego. – Jej anioł stróż odlatuje w bezpieczniejsze okolice.

Stefan wziął lunetę z jego rąk i spojrział przez szkła. Duża dwupokładowa fregata przebrasowała reje, aby zawrócić i pożegłować w beidewind. Po chwili zakrył ją przelotny deszcz niesiony na skrzydłach gwałtownego szkwału.

Gdy poryw wiatru minął, zrobiło się prawie ciemno, lecz Marten zdołał jeszcze raz dojrzeć osamotnioną karawelę. Zataczała się jak człowiek, którego zdzielono po głowie obuchem. Mogło się wydawać, że łada chwila zwali się na bok

i więcej nie wstanie. Ale na jej pokładzie nie opuszczono rąk. Wielki żagiel z czerwonym krzyżem zosta) ściągnięty, a reje obróciły się na wiatr. Fale przelewające się przez szkafut i szturmujące oba wyniosłe kasztele omal jej nie wywróciły do góry dnem, lecz podniosła się wreszcie i z wolna, cal po calu skryła się za podwietrznyin cyplem Santa Marii.

–Opatrzność uratowała ją dla nas – rzekł Marten naśladowując ton i sposób wyrażania się Henryka Schultza. – O świcie będzie nasza.

W ciągu nocy wiatr zmienił kierunek na północn-wschodni i uspokoił się znacznie, a o świcie chmury zaczęły rozpełzać się i zanikać.,,1/AbeilJe" i „Zephyr”, które jak dwa wilki krążyły z dała za podwielrzną stroną Santa Marii pilnując upatrzonej zdobyczy, ukrytej zapewne w jakiejś zacisznej zatoce, teraz śmiało zbliżyły się do

brzegu. Gaspard Licou pożeglował obszernym łukiem w kierunku wschodniego skalistego krańca wyspy, aby odciąć odwrót hiszpańskiej karaweli, a Marlen pod skróconymi żaglami lawirował wzdłuż wybrzeża, wypatrując jej na tle zielonych wzgórz porośniętych bujną roślinnością.

Wtem, gdy „Zephyr” był w połowie drogi, a „L'Abeille” szykowała się do zwrotu osiągnąwszy najdalszą pozycję, nie wiadomo skąd huknął strzał armatni i odbity echem od skał potoczył się w przestrzeń. Marlen drgnął i spojrzał w stronę cypla. W tej samej chwili dwa falkonetki na dziobie „L'Abeille” błysnęły ogniem, rozległ się podwójny huk i kłęb dymu spowił sylwetkę małej fregaty.

Nie było czasu zastanawiać się długo, kto strzelał pierwszy, Licou czy Hiszpanie ukryci jeszcze przed wzrokiem Martena. Ta druga ewentualność wydała mu się dziwna, choć bliższa prawdy, bo wszak i przy pierwszym strzale musiałyby widzieć dym. Po cóż jednak Hiszpanie mieliby strzelać,

zdradzając swe ukrycie, skoro nie zostali jeszcze zaatakowani?

Tak czy owak ocalała karawela najwidoczniej znalazła schronienie znacznie dalej, niż Marten przypuszczał, zapewne dopiero za owym skalistym grzbieciem, do którego zmierzał Licou i gdzie rozpoczął był zwrot. Trzeba było jak najprędzej tam podążyć, aby wziąć ją w krzyżowy ogień i unieruchomić, a następnie zdobyć abordażem.

Marten wydał szybkie rozkazy. Żagle „Zephyra” właśnie wzdęły się wiatrem, gdy o niespełna trzy mile przed nim rozległ się krótki grzmot salwy z całej burty.

Licou nie traci czasu – pomyślał.

Spojrzał w przód, lecz to, co tym razem ujrzał, zgasiło mu uśmiech na ustach. To nie była salwa odpalona przez kanonierów Gasparda Licou, lecz wymierzona przez Hiszpanów w maszty i w kadłub „L'Abeille”... Wymierzona celnie, bo oto grotzagieli dwa ciężkie płótniska fokmasztu wraz z rejami runęły na pokład, a w chwilę potem kłęby dymu i płomienie objęły okręt.

Marten zaklął. Kie spodziewał się tego po załodze starej karaweli i po jej artylerii. Musieli tam mieć sporo dział i dobrych puszkarzy. A kapitan tej „balii” umiał ich użyć.

Te refleksje nie ostudziły jego gniewu. Lecz głowę miał chłodną i myślał logicznie. Hiszpanom pozostały teraz prawdopodobnie baterie gotowe do strzału tylko na jednej burcie; może także kilka dział w kasztelach. Ich dowódca nie mógł przewidzieć, że fregacie, którą tak poważnie uszkodził, śpieszy na odsiecz drugi okręt, ponieważ jeszcze go nie widział. Cóż zatem uczyni? Powinien wymanewrować w ten sposób, aby umożliwić sobie prowadzenie dalszego ognia do nieruchomego celu z drugiej burty, jeśli „L'Abeille” nie podda się natychmiast lub nie wyleci w

powietrze, gdy pożar dotrze do prochowni. A zatem „Zephyr” musi tak manewrować, aby zaskoczyć go od strony baterii, które zostały odpa-

lone i których oczywiście nie zdążono powtórnie nabić. Ale jak odgadnąć, która to strona: lewa czy prawa?

Muszę go zobaczyć – pomyślał, – Muszę poczekać, aż się ukaże. Lecz muszę także być dość blisko, aby zaatakować, nim zdoła zwrócić się przeciw mnie.

Znów kazał skrócić żagle i skierował „Zephyra” pod sam brzeg, aby wypaść stamtąd niespodzianie i od razu zniszczyć tę przeklętą karawelę. Już jej nie nazywał balią, nawet w myśli. Zasługiwała na szacunek. Trzeba było się 55 nią liczyć.

Wtem ujrzał jej maszty wylaniające się wolno spoza cypla wyspy. Miała reje ustawione w dryf i można było przewidzieć z całą pewnością, że zaraz do reszty straci pęd. Lecz w wyglądzie tych masztów i rej było coś uderzającego. Coś, co go zaskoczyło, zanim Jeszcze sformułował domysł, który następnie potwierdziła jakże dramatyczna rzeczywistość!

To nie było omasztowanie starej karaweli transportowej, lecz dużej fregaty liniowej, należącej bez wątpienia do eskorty...

W mgnieniu oka zrozumiał, co zaszło. Fregata bynajmniej nie porzuciła na pastwę losu zabłąkanej karaweli, jak przypuszczał wczorajszego wieczora. Okrążyła tylko wyspę od zachodu i północy, aby zakotwiczyć w dogodniejszym miejscu. A teraz wyszła na spotkanie tamtej.

Kto wie, czyśmy jej przed chwilą nie minęli! – przeleciało mu przez głowę. – Jeśli tak, gotowa nam umknąć.

Tknięty tą myślą, obejrzał się na brzeg, który leżał po lewej burcie „Zephyra” i poza nim. Lecz panował tam niczym nie zmacony spokój. Natomiast na wprost rozgrywał się bodaj ostatni akt dziejów małej, zgrabnej „L'Abeille”. Załoga opuszczała ją w panicznym popłochu na łodziach i tratwach, a grzechot hiszpańskich muszkietów skłonił Martena do porzucenia wszelkich innych myśli i działań poza odsieczą dla Gasparda Licou i jego ludzi.

Ta sprawa bynajmniej nie wydawała mu się w owej chwili przegrana. Ujrawszy maszty hiszpańskiej fregaty Marten zorientował się, że zaatakowała okręt Gasparda z lewej burty, ponieważ obecnie dryfowała zwrócona ku niemu prawą. Taka wskazówka wystarczała mu w zupełności. Wiedział, co ma uczynić, i był przekonany, że za kilka minut rozprawi się z Hiszpanem odwracając obecną sytuację. Wtedy będzie czas pomyśleć także o karaweli i jej skarbach.

„Zephyr” raz jeszcze oskrzydlił się wszystkimi żaglami. Marten chciał jak najszybciej

przelecieć pozostałe półtorej mili, odpalić lewoburtowe działa celując w maszty nieprzyjaciela, ostrzelać z ręcznej broni załogę na pokładzie i wykonać nagły zwrot, aby użyć wszystkich dział z prawej burty przeciw obu kasztelom fregaty. Reszty miał dokonać abordaż i szturm wsparty ogniem muszkieterów.

Lecz cały ten plan runął w ciągu paru sekund. Oto w chwili gdy „Zephyr” w największym pędzie mijał niemal prostopadłą skałę, spoza urwiska jak lis wyparty z nory wychynęła ukryta w małej zatoczce karawela i przed samym dziobem przecięła mu drogę. Tessari, który stał za kołem sterowym, nie zdążył już wykręcić. Bukszpryt z okropnym trzaskiem wbił się w przedni kasztel hiszpańskiego okrętu, wygiął się jak drzewce kopii i pękł w połowie długości. Zderzenie było tak silne, że ludzie runęli pokotem na pokłady, maszty zachwiały się, a najwyższe reje karaweli zerwały więźby i zawisły na topenantach uwikłane w olinowaniu.

Podczas gdy Marten opanował natychmiast zamieszanie i wydawał krótkie, jasne rozkazy, Hiszpanie zupełnie potracili głowy. Zanim się opamiętali, Stauffl i Worst ze swymi ludźmi zdołali odepchnąć bosakami składające się burty okrętów, a Pociecha odrąbał toporem splątane liny.

„Zephyr” z wolna dryfował, niespokojnie łopocząc żaglami, póki reszta załogi z Grabińskim na czele nie przebra-

sowała rej, a potem zaczął wykręcać na wiatr, prawie doty-;ii kając rufą brzegu.

Wszystko to odbywało się w milczeniu, które zaległo™ po pierwszych okrzykach trwogi i krótkiej wrzawie powsta-«łej przy kolizji. Marynarze hiszpańscy i korsarze spoglądał™ ku sobie poprzez powiększającą się smugę wody, jakby nie mogąc ochłonąć ze zdumienia, a Marten ciągle Jeszcze miał nadzieję, że uda mu się wymanewrować z tej pułapki, zanim 9 się ockną.

Chodziło mu przede wszystkim o to, aby nie zdradził swej obecności przed kapitanem i załogą fregaty eskorto-«wej, którą w owej chwili zasłaniała płonąca „L'Abeille”.

Jeżeli ci tutaj nic złączą strzelać – pomyślał – nikt się| lam nie spostrzeże, co zaszło.

Przez krótką chwilę mogło się zdawać, że istotnie „Zephyr” oddali się bez strzału. Żagle już chwyciły wiatr i okaleczony dziób okrętu ze strzaskanym bukszprytem zaczął | rozpieńać wodę, gdy wtem z tylnego kasztelu obezwładnio- 9 nej karaweli, którą prąd odwrócił rufą ku morzu, błysnął czerwony język ognia i buchnął kłęb dymu. Jednocześnie | rozległ się huk, a u lewej burty „Zephyra” trysnęła w górę H woda i kaskadą kropel opadła na pokład. Tępe uderzenie -| wstrząsnęło kadłubem. Towarzyszył mu odgłos podobny do 1 chrupnięcia łamanej kości.

Marten zacisnął szczęki. Po drgnięciu pokładu i po owym charakterystycznym odgłosie poznał, że pocisk przebił | poszycie burty.

–Odpowiedz im – rzucił przez zęby Worstowi, któryffl stał. przy falkonetach.

Rudy olbrzym pochylił się nad tylcem działa, zmierzył,TM dał znak kanonierowi. Zapalony lont dotknął tulei z pro- 1 chem, żelazna lufa odskoczyła w tył, szarpnęła linami, gruchnął strzał i obłok dymu spowił rufę „Zephyra”. Lecz już | przemówił i drugi falkonet, a gdy wiatr rozwiął gęstą, czar- '

ojawą zasłonę sprzed oczu patrzących, w miejscu, gdzie przedtem piętrzył się wysoki kasztel hiszpańskiego okrętu, I pozostał tylko bezładny stos belek i wiązań objętych pożarem.

Broer Worst przygląda! się swemu dziełu zdrowym okiem, przestępując z nogi na nogę. Był widocznie zadowolony, bo wyjął z kieszeni prymkę i odgryzł z niej spory kęs, zanim zabrał się do odwrócenia i nabicia obu dział.

–Zostaw to – powiedział Marten. – Zobacz, co się dzieje

na dole. Z pewnością mamy niegorszą dziurę pod linią wodną.

Mówił spokojnie, Jakby chodziło o drobnostkę, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że uszkodzenie jest pc-: ważne.

Było znacznie większe, niż przypuszczał. W otworze laku ukazał się wystraszony, poblady Percy Burnes i wrzasnął, że woda zalewa ładownie.

Worst chwycił go za kark i wyciągnął na pokład.

–Stuł pysk – mruknął, – Sprowadź tu trzech ludzi

z mojej wachty i bierzcie się do pomp. Żywo!

Sam zjechał w dół po poręczach prostopadłej schodni, ominął podest pokładu artyleryjskiego i zręcznie zwiśł na rękach, aby nie tracąc czasu na przebycie kilkunastu krętych stopni, skoczyć na samo dno okrętu. Mimo swych pięćdziesięciu kilku lat zachował fizyczną sprawność i siłę, jakiej mógłby mu pozazdrościć niejeden młody atleta. A przecież miał już sporą gromadkę wnuków!

Ta myśl przeleciała mu przez głowę, gdy wpadł po kolana w wodę, która trysnęła mu na twarz, zalewając oczy. Myśl przyjemna, lecz zgoła niedorzeczna w takich okolicznościach. Pozbył się jej czym prędzej, przecierając dłonią powieki, i oswoiwszy się z półmrokiem zaczął brnąć w kierunku lewej burty, gdzie dostrzegł bulgocący, wartki strumień przecieku.

Macając rękami zbada! otwór wybity przez pocisk i zajm sępił się. Grube na cztery cale sosnowe deski zewnętrzne i wraz z wewnętrznym oszalowaniem zostały strzaskane i sterczały do środka wielkimi dwulokciowymi zadrami, a dębowiM wręga była pęknięta i nadłupana. Od biedy mógłby się tamS tedy precisnąć szczupły człowiek.

Woda napierała, waliła szumiącym potokiem, tryskałaH na wszystkie strony przez szpary i szczeliny powstałe po wyrwaniu pakuł i smoły. Jej poziom podnosił się przeraźliwie szybko, tak iż żadna pompa nie zdołałaby go obniżyć lub nawet przez dłuższy czas utrzymać w obecnym stanie.

Trzeba było jednak pompować jak najprędzej, aby zachować bodaj dostęp do owej dziury i załatać ją choćby J prowizorycznie,

Percy Burne^ przezywany Slovenem, zjawił się wreszcie prowadząc kilku młodszych marynarzy. Cieśla kazał im uruchomić dwie pompy kołowe, a sam w największym pośpiechu wydostał się zpowrotem na pokład, aby zawiadomić Martena, skłonić go do natychmiastowego odwrotu i ratować okręts zanim będzie za późno.

Lecz Marten sam powziął taką właśnie decyzję, i to jużB w chwili., gdy padł ów fatalny, zapewne przypadkowy strzał z rufowege działła hiszpańskiej karaweli. Huk tego strzału I zdradził obecność „Zephyra”; dwa następne, które padły | z jego falkonetów, nie miały właściwie żadnego znaczenia: 1 tak czy owak dowódca fregaty dryfującej w odległości pół-1 torej mili został zaalarmowany. Nie można było liczyć na zaskoczenie go znienacka.

Mając groźny przeciek pod linią zanurzenia i ^trzaskafi«bukuszpryt, a co za tym idzie ograniczoną idolność manewro-1 wą wskutek braku kliwrów na dziobie okrętu, Marten nie mógł! nawet marzyć o zaatakowaniu w pojedynkę tak silnego 1 przeciwnika. Byłoby to po prostu samobójstwem.

Nie mógł też, ku swemu wielkiemu żalowi, dopomógł w jakikolwiek sposób Gaspardowi Licou i jego ludziom. Musiał pozostawić ich własnemu losowi i wycofać się jak najprędzej, rezygnując z nierównej walki, która bez wątpienia skończyłaby się zupełną klęską.

Dlatego to Broer Worst, wyrzawszy z mrocznego wnętrza, zamiast hiszpańskiej fregaty i „L'Abeille" objętej dymem pożaru u wyniosłego cypla Santa Marii, zobaczył przed „Zephyrem" tylko pustą roztoz morza i wschodzące słońce, niemego świadka dramatu, którego pierwszy akt dobiegi już końca.

Marten nie odzywał się do nikogo ani słowem. Stał nieruchomo, jak wrośnięty w pokład, z zaciętą twarzą i zmarszczonymi brwiami, nasłuchując odgłosów siekier przy wbijaniu klinów, kołków i stempli na dnie okrętu, a zarazem szamocząc się wewnątrz z gniewem i upokorzeniem.

Nie znosił niepowodzenia. Miał uczucie, że złośliwy, podstępny los wymierzył mu policzek, a teraz naigrawał się z jego bezsilności. Jedyłą, zresztą bardzo nikłą pociechą mogło mu być to, że „Zephyr” mimo odniesionych uszkodzeń na razie uchodził przed pogonią hiszpańskiej fregaty, która ścigała go zaciekle od dwóch godzin, pozostając jednak coraz bardziej w tyle.

Zaiste marna to była pociecha, skoro musiał wracać do 'ta Róchelle pokonany, z próżnymi rękami, straciwszy dzielnego sojusznika i towarzysza, jakim okazał się Gaspard Licou...

Postanowił, że najpierw zajdzie do Arcachon, aby tam naprawić szkody. Liczył, że zdoła bardzo znacznie wyprzedzić Złotą Flotę i nawet jeśli postój w Arcachon potrwa trzy lub cztery dni, zdąży dopłynąć do La Róchelle, zanim dotrze tam wieść o tym, co zaszło pod Santa'Maria.

Nie wątpił, że Hiszpanie podniosą krzyk z powodu

pogwałcenia dopiero co zawartego pokoju, ale niezbyt się tym przejmował. Po pierwsze zarówno „L/Abeille”, jak i „Zephyr” płynęły nie pod znakami Bourbonów, lecz pod banderami korsarskimi, jakich już wówczas używano na Morzu Karaibskim i w Zatoce Meksykańskiej, a przy tym i zostały ostrzelane z hiszpańskich okrętów, zanim same roz- i poczęły ogień. Można więc trzymać się wersji o działaniu w obronie własnej. W braku postronnych świadków tego i faktu cała załoga z czystym sumieniem może przysiąc, że tak było istotnie.

Gdyby nawet nie dano wiary tym zeznaniom (a mogło się i tak zdarzyć ze względu na niczym nie usprawiedliwioną obecność korsarzy w rejonie Azorów), to przecież nikt J we Francji nie będzie zbyt surowo sądził sprawców poza- J ru na karaweli, która zapewne ocalała i nie została obra-1 bowana.

I kogóż to miałyby spotkać kara? Jana de Marten, człowieka, który „uratował honor Francji” w bitwie pod 016- ^ ron?! Tego samego Jana Martena, którego król Henryk Dobry ścisnął i całował jak przyjaciela?! Nie, nie warto było M zaprzętać sobie głowy tą głupią sprawą.

Pozostawała jednak inna sprawa, stokroć ważniejsza. Ta mianowicie, dla której Marten przedsięwziął całą wyprą- i wę; ta, która zawiodła jego nadzieje.

Nie zdobył nic, poniósł zaś poważne straty. A przecież-i tak czy inaczej musiał wracać do Gdańska, jeśli nie miał zostać po prostu piratem.

Wprawdzie Anglia była nadal w wojnie z Hiszpanią, ale nie mógł już liczyć na patent korsarski i łaskę Elżbiety. 1 Nie mógł też zaciągnąć się do służby niderlandzkiej, i to / z dwóch powodów: gdyby pozostał w niej na wodach euro- i pejskich, nie osiągnąłby ani szybkich, ani wielkich zdobyczy i zysków; gdyby natomiast chciał wyprawić się na dalekie szlaki, do Indii Wschodnich i Wysp Korzennych, pod rozkazami admirała Houtmana lub Warwieka, napotkałby niewątpliwie stanowczy opór Marii. Wiedział, że nie potrafi go pokonać.

Gdańsk i perspektywa uzyskania wysokiego stanowiska we flocie wojennej Zygmunta III nęciły go coraz bardziej. Ale teraz te marzenia straciły wiele ze swego blasku, skoro miałby wrócić na Bałtyk niemal tak, jak go opuszczał przed dwudziestu pięciu laty, bez owej wielkiej fortuny, która pozwoliłaby mu na zakupienie i wyposażenie bodaj paru okrętów.

A może raz jeszcze spróbować szczęścia?

Necierpliwie wrzucił ramionami, jakby odrzucając tę myśl.

Kiedy i gdzie miał go próbować? Zanim w Arcachon naprawi wszystkie uszkodzenia, Złota Flota będzie w pobliżu Kadyksu, 2 pewnością uporządkowana i chroniona przez dodatkową eskortę, która bądź jest już w Terceira, bądź też płynie z Hiszpanii na spotkanie konwoju.

Poczuł się osamotniony i zniechęcony. Gdybyż tu z nim byli dawni towarzysze, z którymi wspólnie zdobywał sławę i hiszpańskie złoto! Ryszard de Belmont, Salomon White, William Hoogstone, Piotr Carotte, a także Henryk Schultz, nie ten dzisiejszy, bogaty kupiec gdański, lecz tamten, z owych czasów, kiedy żył jeszcze Francis Drake i kiedy czarna bandera ze złotą kuną budziła postrach na wodach Campeche, wśród Wysp Antylskich i Bahamskich, u wybrzeży Nowej Kastylii i Nowej Hiszpanii. Z nimi mógłby ważyć się na największe ryzyko i zuchwalstwo. Teraz był sam, tylko z własną załogą, która pracowała ciężko u *pomp*, aby utrzymać „Zephyra” w stanie

zdatnym do żeglugi i doprowadzić do najbliższego przyjaznego portu. Za sobą miał jedynie wroga, który go ścigał z godną podziwu wytrwałością. Przed sobą...

Odruchowo spojrzął przed siebie, a potem uniósł głowę,

aby sprawdzić, co robi majtek siedzący na marsie przedniego masztu.

–Hej tam na fok! – zawołał gniewnie. ~ Oślepliście czy

wam odjęło mowę?

Marynarz opuścił dłoń, którą osłaniał oczy przed blaskiem słońca.

–Żagle na horyzoncie przed nami! – zaśpiewał przeciągle.

–Bardzo wiele żagli!

Marten podszedł do sterówki i sięgnął po lunetę. Wyjął] Ją ze skórzanego futerału, przetarł szkła, spojrział.

Okolo dwudziestu okrętów z czeiwonymi krzyżami na wzdętnych żaglach odcinało mu drcgę na północny wschód.

Eskorta z Kadyksu – pomyślał.

W tej chwili daleko za rufą „Zephyra” zagrzmiał pojedynczy huk działa. Pocisk nie doniósł, ale Martea wiedział, że kapitan fregaty nie łudził się bynajmniej * iż z tej odległości go dosięgnie. Strzał był tylko sygnałem dla hiszpańskiej eskadry, która płynęła na zachód, ku Azorom, aby wzmocnić ochronę konwoju, W minutę po. nim huknął drugi, a następnie trzeci i czwarty.

Usłyszano Je: okręty zmieniły szyk i kierunek; zwróciły' się frontem ku „Zephyrowi” tworząc ogromny sierp czy też włok zagarniający go w matnię.

Nawet przy zmniejszonej prędkości i zdolności manewrowania Marten zapewne potrafiłby je ominąć, lecz rozglądając się uważnie, dostrzegł dalej ku wschodowi drugą eskadrę, a potem jeszcze jedną którą rozpoznał tylko po szczytach masztów wyłaniających się ponad horyzontem.* Mogło się zdawać, że cały Atlantyk pomiędzy Wyspami' Azorskimi a brzegami Portugalii jest nimi usiany.

Nie przejdę – pomyślał. – Nie mogę zanadto ryzykować.

Obejrzał się na ścigającą go fregatę. Żeglowała ostro do wiatru, o jakie trzy mile za nim. Wiedział, że gdy tylko

„Zephyr” wykręci w lewo lub w prawo, aby zawrócić, hiszpański kapitan natychmiast spiobuje przeciąć mu drogę po cięciwie zataczanego łuku. Nawet jeśli mu się to nie uda, zbliży się znacznie, być może na odległość skutecznego ognia. Lecz innego wyjścia nie ma – stwierdził w myśli. *- Trzeba tylko, o ile się da, odebrać mu ochotę do walki na zbyt krótką metę.

Zniechęcenie i apatia opuściły go zupełnie. Był podniecony, jak zwykle w obliczu trudnego, ryzykownego zadania, a jego umysł pracował sprawnie i logicznie. Zawołał Grabińskiego i Pocięchę, aby ich powiadomić o swoich zamiarach. Wydał szczegółowe rozkazy. Podzielił ludzi: do pomp, do obsługi dział, do wykonywania manewrów.

Jedyną uboczną refleksją, na Jaką sobie pozwolił w związku ze wspomnieniami o

dawnych przygodach i towarzyszach, była myśl, że już raz znajdował się w podobnej sytuacji uchodząc z Tampico w Zatoce Meksykańskiej przed okrętami wicekróla, a potem błakając się wśród Małych Antyli i po Morzu Karaibskim, ze strzaskanym grotmasztem, pozbawiony dział, tropiony i ścigany przez Flotę Prowincjonalną o parę tysięcy mil od bezpiecznej Przystani Zbiegów. Ostatecznie wymknął się wówczas, lecz u końca tej przygody spotkało go Jeszcze gorsze rozczarowanie: zgliszcza niepodległego królestwa Amaha – ruina młodzieńczych marzeń i wielkich planów, klęska moralna i materialna.

Czyżby los znowu miał tak dalece obrócić się przeciw niemu?

Poczuł przeciągłą falę gorąca, jakby go objął powiew z rozpalonego pieca.

–Dość tego – powiedział głośno.

Rzucił Grabińskiemu rozkaz do zwrotu i dał znak Cyrulikowi, który stał za sterem.

„Zephyr” wykręcił w pół wiatru na lewo i natychmiast zwiększył prędkość. Ale kapitan fregaty uczynił to samo i teraz oba okręty szły niemal równolegle, zachowując tę samą odległość, jaka dzieliła je podczas pościgu w ślad.

Nie dał się skusić – pomyślał Marten. – Wie, że muj nie ucieknę ani na wschód, ani na północ. Czekam na następny zwrot w lewo. Wtedy będzie miał szansę przeciąć mi drogę. Ale tymczasem zostawimy go nieco w tyle.

Istotnie fregata nie mogła sprostać ręczości „Zephyra” który pod wszystkimi żaglami i z pomocą trzech kliwrów umocowanych na kikucie bukszprytu zdobywał się teraz naj dziesięć do Jedenastu węzłów.

Nie mogło to jednak trwać długo. Wskutek pochyle-¹ nia na lewą burtę pod naporem wiatru i przy zwiększonej prędkości dopiero co zatamowany przeciek wzmógł się znacznie. Woda wyrывała pakunki, wdzierala się przez szpary, szturmowała założoną łatę grożąc jej wyłamaniem. Worst i jego ludzie umacniali stemple i kołki pracując po kolana, a potem po biodra w kipiącym żywiole, który nie pozwalał się okiełznać i lada chwila mógł zdobyć nad nimi przewagę. Pompy stękały głucho, żłopaty zmaconą wodę i rzygały nią w morze, ale nie nadażały. Poziom podnosił się, a przy każdym przechyle okrętu na jego dnie powstawała wielka fala, uderzała aż pod strop ładowni, przewracając i zmywając ludzi, tratując ich, rzucając deskami i belkami o burty, które odpowiadały przeraźliwym dudnieniem i łoskotem.

„Zephyr” pod jej ciężarem kładł się coraz głębiej i wsta-wał z coraz większym trudem, zarywał dziobem, szamotoł się jak

wielki ptak znienacka chwycony w sidła i nagle, gdy woda przelewała się z szumem i bulgotem na drugą burtę, zataczał się w przeciwną stronę, by znów ugrzęznąć

bezwładnie, Jak nadmiernie załadowany wóz, gdy jedno koło zapadnie w głęboką wyrwę na bagnistej drodze.

Marten nie mógł znieść tego dłużej. Męka okrętu przenikała go na wskroś. Czuł ją wszystkimi nerwami, jakby

to nie sztagi i wanty „Zephyra”, lecz żywe włókna jego własnych mięśni i ścięgien szarpały się w straszliwych wysiłkach.

Obejrzał się na fregatę. Orała szeroką bruzdę w lśniącej od słońca powierzchni morza idąc z bocznym wiatrem o niespełna trzy mile w lewo i nieco z tyłu za „Zephyrem”. Trzymała się teraz na tej odległości bez żadnych zmian, jak holowana na długiej, niewidzialnej linii.

Na prawo zaś zza horyzontu wyłaniały się coraz nowe żagle i maszty z powiewającymi na wietrze złoto-czerwo-nyymi flagami Hiszpanii.

Marten kazał przebrasować reje na przeciwny ciąg i sterować tak, aby „Zephyr” – ciągle wyprzedzając fregatę – przeszedł możliwie jak najprędzej pized jej dziobem. Zyskał skutkiem tego jeszcze pomyślniejszy wiatr, niemal forde-wind, co dawało mu dodatkową przewagę, a przede wszystkim przyczyniało się do odciążenia lewej burty i zmniejszenia przecieku.

Dowódca fregaty, ufny widać w pDtęgę i zasięg ognia swych ciężkich dział, nie zareagował na tę zmianę kursu. Oba okręty płynęły teraz po zbieżnych torach. Tam gdzie owe tory miały się skrzyżować, musiała nastąpić decydująca rozgrywka, bowiem wówczas odległość pomiędzy- fregatą a korsarzem przy okolicznościach najbardziej sprzyjających Martenowi nie mogła przekroczyć trzech czwartych mili.

Tak się też stało, lecz zanim padły pierwsze strzały, * Marten, a następnie także jego ludzie, zgromadzeni na pokładzie „Zephyra”, mogli przekonać się naocznie, jaki los spotkał Gasparda Licou oraz kilku marynarzy „L'Abeille”. Wisieli podciągnięci za ręce na szlagach fokmasztu, kołysząc się miarowo tuż nad bukszprytem, a na ich obnażonych i pokrwawionych ciałach nawet z tak daleka widać było ślady loru, jakie im zadawano.

Ży może dla nich uczynić, Jest przyśpieszenie ich śmierci. Nie mogli

li mieć żadnych złudzeń i zapewne dlatego Gaspard przynagłał

jeszcze. Martena do rozpoczęcia ognia.

Licou Jakoż pierwsze strzały muszkietarów i arkebuźników

wykrzy „Zephyra” położyły kres ich męczarniom, a celnie wymierzony kiwał

dwunastofuntowy pocisk z ćwierćkartauna strzaskał górną coś, comarsreję, która spadła z łoskotem na pokład zrywając po drodze brzmiał sztagi.

o jak, Hiszpańskie hakownice i działa odezwały się niemal

tirez", równocześnie, rażąc paru ludzi i dziurawiąc żagle, jednak

czy teżwiększość bomb i kartaczy chybiła, nie wyrządziwszy żadnych

„Łuez", szkód. Natomiast salwa Tomasza Pociechy, odpalona z całej lewej

a młodyburty, tak dalece spustoszyła ożaglowanie fregaty, że na

jasnowł grotmaszcie nie pozostał nawet strzęp płótna, a przedni wielki

osy żagiel zwisał jak bezużyteczny łachman, wy-prószając wiatr z

chłopak rozdartego brzucha. Kilka następnych pocisków z obu stron

, zwisa-dosięło jeszcze celu bądź przebijając ściany kaszteli, bądź

jący odłupując drzazgi z pokładów i burt, ale żaden z nich nie zdołał

powyże unieruchomić ani „Zephyra", ani fregaty, ponieważ odległość

j, między okrętami rosła teraz z każdą sekundą zmniejszając

nadare niszczącą siłę kul.

mnie Wkrótce zresztą fregata poniechała dalszego pościgu.

usiłowa Korsarz oddalał się z wiatrem, a jej żagle i reje były w tak

ł oplakany stan, że zaledwie mogła utrzymać się na kursie.

dosięgn Należało je wymienić lub naprawić, i to jak najprędzej, aby

ąć wiadomości zdobyte od jeńców na czas dotarły do jego

stopami ekscelencji admirała Torresa. Jakiejś

poprzec Złe przeczucia, jeszcze tuż przed rozpoczęciem pojedynku

znej artyleryjskiego z hiszpańską fregatą nawiedziły Martena w

liny, związku ze wspomnieniami o klęsce poniesionej niegdyś na

aby Morzu Karaibskim i w Zatoce Meksykańskiej, sprawdziły się w
znaleźć całej pełni. Hiszpanie tym razem mieli pod dostatkiem okrętów
na niej dla ochrony Złotej Floty. Eskadry Torresa, zwolnione po
oparcie uchyleniu blokady zachodnich wybrzeży Francji na skutek pokoju
i ulżyć zawartego w Vervins, wyruszyły na spotkanie konwoju i w,
umę- poblizu Wysp Azorskich skoncentrowała się niemal połowa całej
czonym floty wojennej Filipa II. Gdy jej dowódca otrzymał raport jednego
ścięgną z kapitanów o potyczce z dwoma okrętami u brzegów Santa Marii
m i dowiedział się, iż rzekomi piraci pozostawali w służbie
ramion. francuskiej, urażone poczucie prawa i rycerska cnota ryknęły w

Grnim wielkim głosem. Niefortunny kapitan zamiast spodziewanych abiński pochwał
i nagrody otrzymał tęgiego kopniaka za to, że dopuścił zagryźć do wybuchu
prochowni i zatonięcia szczątków „L'Abeille”, oraz wargi iza śmierć jeńców, których
zwłoki lekkomyślnie wyrzucił za burtę. odwróci Zaraz potem z rozkazu admirała
flotylla złożona z dziesięciu ł wzrok.najściglejszych fregat ruszyła w pogoń za
„Zephyrem”, a Torres Wiedziazapowiedział jej dowódcy, żeby mu się nie pokazywał
na oczy ł równie bez owego bezczelnego korsarza w pętach i bez jego przeklętego
dobrze okrętu holowanego na linie.

jak ci Tym dowódcą był komandor Blasco de Ramirez. Usły-nieszcz szawszy
nazwisko Jana Martena, pobladł z furii i zgrzytnął ęsnicy, zębami tak głośno, że
admiral spojrzal na niego zdziwiony; że

jedyną rzeczą, Jaką Marten

–Go u diabla! – warknął. _- Nie podoba się wam la sprawa?

–Na rany Chrystusa – wybełkotał komandor chwytając z trudem oddech – na rany
Chrystusa, niczeg© bardziej nie pragnę, jak właśnie tego!

I znowu los odwrócił się od Martena. Ramirez ścigał go z mściwością i zaciekłością
rozjuszonego bawołu. Nadarzała mu się wreszcie sposobność, o jakiej marzył od
chwili, gdy pokonany i zhańbiony uchodził z pokładu „Zephyra” na oczach swej
własnej narzeczonej, która wybrała tego prostaka. W uszach dotąd brzmiały mu
szydlercze słowa rywala: „Nie będę cię więcej ścigał, jeżeli nie wejdziesz mi w drogę.
Ale jeśli byś jeszcze kiedykolwiek próbował zabić mnie zdradziecko, jak tym razem,

po prostu każę cię powiesić i obetnę ci drugie ucho".

Odruchowo dotknął miejsca poniżej prawej skroni, gdzie pozostała mu haniebna blizna od cięcia rapiera.

Teraz ja ci obetnę uszy – pomyślał. – Odplacę ci za wszystko.

Istotnie, mając tak przygniatającą przewagę, mógł tego dokonać i wyłaził ze skóry, aby spełnić otrzymane rozkazy. Wytropił Marlana u południowych brzegów wyspy Fayal, a następnie usiłował osaczyć go pomiędzy San Jorge a Gracjozą, co mu się jednak nie udało. Zyskał przecież tyle, że Marten musiał porzucić wszelką myśl o przedostaniu się krótszą drogą do jakiegokolwiek portu francuskiego i zdecydował się okrążyć Azory od zachodu, aby zatoczywszy wielki łuk ku północy, żeglować z dala od szlaku Złotej Floty.

I tam zresztą nie dane mu było zaznać spokoju. Fregaty Ramireza ścigały go nadal, dzień po dniu i noc po nocy. „Zephyr” przeciekał, ładzie przy pompach opadali z sił, zaczynało brakować wody do picia, a niezwykle upały i długotrwałe cisze sprzysięgły się przeciw wyczerpanej załodze.

Dopiero dwudziestego czwartego lipca Marten ujrzał zielone brzegi Oleron, nazajutrz zaś, w sześćdziesiąt osiem dni od podniesienia kotwicy w La Rochelle, wprowadził swój okaleczony okręt do portu, wymijając zakotwiczoną u wejścia „Victoire”, z której nie odezwał się ani jeden powitalny okrzyk.

Nie był to zaiste powrót triumfalny i słusznie mogło się zdawać, że nikt nie oczekuje kapitana oraz załogi korsarskiego okrętu, jak te bywało zwykle, gdy wracali z bogatym łupem. Portowe traktiernie, gospody i winiarnie zapełniały się wówczas proszonymi i nie proszonymi gośćmi, przyjaciółmi, znajomymi i znajomymi znajomych, przygodnymi awanturnikami i zwykłą gawiedzią. Kto żyw śpieszył do portu, aby wypić i najeść się do syta na rachunek zwycięskich korsarzy, a każdy z majtków miał po dwie dziewczyny uwieszone u muskularnych ramion. Tym razem tylko sześćcio-wiosłowa szalupa wojennego urzędu morskiego wyszła na spotkanie „Zephyra”, a jej sternik, wskazawszy pilotowi miejsce zacumowania u nabrzeża w głębi portu, zawołał, że kapitan ma jak najprędzej zgłosić się w dowództwie floty,

Marten, zmoczony i chmurny, zszedł na brzeg pozostawiając Grabińskiemu i Tomaszowi Pocieszę nadzór nad ZWP nięciem żagli i należywym uwiązaniem lin cumowniczych. Zamierzał najpierw coś zjeść i ugasić pragnienie, a dopiero potem stanąć przed obliczem admirała. Lecz gdy tylko oddalił się nieco i skręcił w długą ulicę, gdzie zgrupowały się najlepsze oberże, spotkał dwóch znanych sobie z widzenia oficerów floty królewskiej, którzy grzeoznia uchyliwszy kapeluszy zastąpili mu drogę. Starszy z nich, kapitan muszkietarów, przemówił suchym, służbowym tonem:

–Kawalerze de Marten, z rozkazu jego ekscelencji kontradmirała de Tourville arestuję pana w imieniu jego królewskiej mości. Proszę mi oddać szpadę i pistolety.

Marten oniemiał na dobrą chwilę. Spoglądał to na jed"

nego, to na drugiego, Jakby ich podejrzewał, że albo są pijani, albo postradali zmysły.

–Czy to ma być żart? ~ zapytał wreszcie, marszcząc brwi.

–Niestety nie – odrzekł kapitan. – Jest pan oskarżony o

niesubordynację i, co gorsze, o napaść na okręt hiszpański w

czasie pokoju – dodał mniej oficjalnie.

A potem, widząc, że tamten nie jaa zamiaru się opierać, *uż zgoła po koleżeńsku:

–Niech mnie diabli porwą, kapitanie Marten, jeśli z ochotą spełniam rozkaz naszego admirała. I możecie mi wierzyć, że on sam jest czczerze -martwiony takim obrotem sprawy... Nawarzyliście piwa, poseł hiszpański wniósł skargę i protest do króla, a Clisson zaciera ręce z uciechy, że powinęła się wam noga. Dc czasu ukończenia śledztwa kazał was trzymać w twierdzy. Mam nadzieję, że nie zechcecie nam utrudniać tej przykrej misji. Wasz opór na nic by się nie zdał; a ucieczka jest niemożliwa; u wejścia do portu?toi okręt, który ma wyraźny rozkaz do tego nie dopuścić.

–Widziałem go – mrukną* Marten. – Pan de Clisson dc pilnowania mnie wybrał moich przyjaciół, zapewne aby mnie tym bardziej upokorzyć – powiedział z pogardliwym uśmiechem. – Ale jego królewska mość też nazywał mnie swoim przyjacielem; myślę, że tej przyjaźni mogę zaufać.

Odpiął rapcie, wręczył oficerom swój rapier i pistolety.

–Proszę o dobrą opiekę nad tą bronią – rzekł z lekkim

ukłonem. – Chciałbym ją niebawem odzyskać i mam nadzieję, że

to wkrótce nastąpi.

Szczerze wam tego życzę – powiedział kapitan. – Chodźmy.

Król Henryk IV po zawarciu traktatu w \fervins miał do wyboru bądź utrwalenie pokoju z Hiszpanią i sojusz

z Filipem II, bądź dalsze porozumienie z państwami protestanckimi przeciw

Madrytowi. Za pierwszą z tych dwu możliwości opowiadało się katolickie duchowieństwo francuskie, dawni zwolennicy Ligi oraz papież Klemens VIII. Drugą popierali hugonoci i najrozumniejsi mężowie stanu z rady królewskiej. Henryk skłaniał się ku ich koncepcji politycznej, lecz przynajmniej na razie musiał zachować pewne pozory.

Wiadomość o wybryku Martena, p@parta zeznaniami wymuszonymi od nieszczęsnego Gasparda Licou i d»wodami rzeczowymi, jakie przedstawił poseł hiszpański przy swym proteście, rozgniewała króla. Miał dość wewnętrznych kłopotów z malkontentami, z „ligowcami”, katolikami i hugonotami, którzy nieustannie waśnili się między sobą, grożąc mu zdradą i odstępstwem, a nawet knując przeciw niemu spiski podsycane przez agentów Filipa. Na zewnątrz groził mu konflikt zbrojny z Karolem Emanuelem Sabaudzkim, a Franche-Comte, Lotaryngia i Flandria – ziemie, których ludność dotąd mówiła po francusku – oczekiwały na przyłączenie do Francji.

Zajęty polityką, zwalczaniem przeszkód piętrzących się na obranej drodze i łagodzeniem sporów, król łatwo tracił cierpliwość i wpadał w gniew, nawet jeśli przyczyną dodatkowych kłopotów byli wierni jego poddani o niewątpliwych zasługach dla tronu.

Śmierć hrabiego de Blanquefort w pojedynku z Martenem wywołała już dość zamieszania. Trzeba było nie lada wysiłków, aby osłonić zabójcę, nie ulegając naciskowi opinii baronów i szlachty hugonockiej, która żądała jego głowy. Teraz domagali się tego samego panowie katolicy, biskupi i poseł hiszpański w imieniu swego monarchy.

–Twój Marten za wiele sobie pozwala –~ powiedział król do Maksymiliana de Bethune ochłonąwszy nieco z pierwszej pasji, o jaką przyprawiała go ta sprawa. – Najpierw strzela do świeżo mianowanego przeze mnie gubernatora jak do królika, potem narusza świeżo zawarty przeze mnie pokój, a jutro być może przyjdzie mu do głowy zburzyć Louvre albo wypowiedzieć wojnę Elżbiecie! Należy go przykładowie ukarać, jeśli tylko wróci, bo zdaje się, że Torres ściga go po całym Atlantyku. Pomyśl nad tym, mój Rośny, a tymczasem każ go zamknąć, jak tylko pokaże się w porcie, żeby przypadkiem nie zawładnął całą naszą Flotą Zachodnią i nie wyprawił się z nią na Kadyks. To naprawdę do niego podobne...

Pan de Bcthune wysłał odpowiednie rozkazy do Bordeaux i La Roehelle, a ponieważ myślał szybko i praktycznie, na wszelki wypadek polecił nie tylko zamknąć w twierdzy niesfornego korsarza, lecz również obłożyć aresztem jego okręt i cały majątek.

W związku z tym w kantorze Henryka Schultza zjawili się urzędnicy skarbowi i

zażądali okazania ksiąg handlowych, zawierających wszelkie rachunki bieżące wierzycieli] a w szczególności konto Jana Kuny, zwanego Janem Martenem vel Janem de Marten. Saldo tego konta opiewało na sumę znacznie mniejszą, niż można było przypuszczać, co z początku wzbudziło niejakię podejrzliwość. Lecz dokładna kontrola wykazała, że Marten istotnie zdążył w ciągu dwóch lat wydać i roztrwonić ogromną fortunę zdobytą podczas słynnego abordażu hiszpańskiej karaweli „Santa Cruz” po ataku na Złotą Flotę zakotwiczoną w Kadyksie. To, co mu pozostało, stanowiło niemal całe jego mienie, jeśli nie liczyć posiadłości Margaux-Medoc.

Rachmistrze kontroli finansowej udali się tam, zabezpieczywszy na rzecz skarbu gotówkę w złocie wypłaconą przez filię Schultza w Bordeaux, ale przybywszy na miejsce zastali tylko ruiny i zgliszcząca porastające chwastami, bluszczem i powojem. Nie było na czym położyć pieczęci, a sędzia z Pauillac, niejaki pan de Castelnau, w którego okręgu

leżała owa posiadłość, wyraźnie powątpiewał, Czy ktokolwiek zechce ją kupić, jeśli zostanie wystawiona na licytację. Pozostawał więc jeszcze tylko okręt, lecz tym miała się zająć admiralicja, a raczej dowódca floty „La Rochelle”, kontradmirał de Tourville. Tymczasem zresztą okręt i jego kapitan nie powrócili jeszcze do portu: ich losy rozstrzygały się gdzieś na oceanie, pomiędzy Wyspami Azorskimi a zachodnim wybrzeżem Francji.

Henryk Schultz po wizycie urzędników pana de Bethune w swojej filii pomimo ich dyskrecji natychmiast domyślił się, o co chodzi, i przedsięwziął dalsze śledztwo na własną rękę, chcąc się dowiedzieć całej prawdy i wszystkich jej szczegółów. Przyszło mu to bez wielkich zachodów; dzięki swym stosunkom i znajomościom już nazajutrz otrzymał wyczerpujące informacje dotyczące nie tylko meritum sprawy, lecz również wszelkich ubocznych jej aspektów. Wiedział na przykład, że Martenowi nie grozi kara śmierci (czego obawiał się Ludwik de Margaux), i przewidywał, że prędzej czy później król puści w niepamięć jego przewinienia.

Marten straci wprawdzie resztki fortuny lub raczej już je stracił -• myślał zastanawiając się nad sytuacją – bo przecież nikt nie zdoła wydrzeć panu de Bethune pieniędzy wyciśniętych dla skarbu. AJe nie odbiorą mu „Zephyra”. Ma to swoje dobre i złe strony. Dobre, ponieważ gdyby „Zephyr” przeszedł na własność floty królewskiej, nigdy nie udałoby mi się go wykupić. Złe, ponieważ Martenowi może przyjść fantazja innej wyprawy, na przykład na podbój Nowej Francji z Samuelem Champlain. Ja zaś chcę go mieć w Gdańsku, i to jak najprędzej. Jego, okręt i tę kobietę. Lub może na odwrót: ją, okręt i jego. W ostateczności mógłbym go pozostawić własnemu losowi, byle Maria Francesca i „Zephyr” mogły do mnie należeć. Mam przecież Grabińskiego.

Tak byłoby najlepiej. Marten nie jest mi już niezbędny. Zabrakło mu łaski bożej. Łaski i fortuny, ale to prawie jedno i to samo, albowiem Bóg miłuje ludzi bogatych.

Pokrzepiony tą wzniosłą maksymą, wrócił myślami do Gdańska, a raczej do swoich spraw rodzinnych, które tylko tam były znane szerszemu ogółowi miejskich notablów.

Miał żonę. Utrzymywał to w tajemnicy przed Martenem i przed senioritą de Vizella, ponieważ wydawało mu się, że w ten sposób łatwiej pozyska jej względy. Ożenił się oczywiście dla wielkiego majątku, a także po to, aby wejść w pokrewieństwo z najbogatszym i najbardziej wpływowym rodem gdańskim Zimmermanów. Panna Gertruda Zimmer-man była jedynaczką i dziedziczką ogromnych kapitałów, wielu kamienic, licznych przedsiębiorstw i statków. Lecz nie odznaczała się ani inteligencją, ani urodą. Te braki doraźnie wynagradzał jej posag, a w przyszłości – wspaniała fortuna Rudolfa Zimmermana.

Tak, przyszłość roztaczała przed oczyma duszy Henryka Schultza ponętne obrazy. Natomiast terażniejszość, zwłaszcza terażniejszość jego pożycia małżeńskiego, budziła w nim raczej niechęć i wzdargę. Ilekroć mijał marmurowe przed-proże swego nowego domu obok Zielonej Bramy u końca Długiego Targu, myśl o Gertrudzie, z którą miał zasiąść do stołu lub przy której boku miał się ułożyć do snu w ogromnym rzeźbionym łożu, zatruwała mu chwile odpoczynku po pracy. Odwlekał przekroczenie progu, błędził wzrokiem po misternie kutej balustradzie, spoglądał na złocone rozety gzymsów owej kamienicy, która tak mu się podobała, gdy miał ją otrzymać na własność jako podarunek ślubny od teścia, a która teraz kryła w swym bogatym wnętrzu to wszystko, czym c kupy wał dobra nabyte przez ów związek. Wreszcie z ciężkim westchnieniem wchodził do przedsiionka, a potem, pozbywszy się kapelusza i płaszcza, szedł ciężkim krokiem dalej, aby powitać żonę milczącym skinieniem głowy

i chłodnym, konwencjonalnym pocałunkiem złożonym na jej nadmiernie wysokim czole.

Nie rozmawiał z nią prawie wcale; raczej mówił do siebie lub myślał głośno w jej obecności, przekonany, że ta ograniczona, milcząca kobieta niewiele rozumie z jego monologów.

Gertruda uśmiechała się blado i ostrożnie, aby nie ukazywać przy tym popsutych, żółtawych i wyszczerbionych zębów, lub też wzdychała, gdy jej się zdawało, że Henryk ma jakieś zmartwienia i kłopoty.

Była apatyczna i – przynajmniej z pozoru ~ bezmyślna. Jej chuda, koścista i płaska figura, rzadkie włosy i okrągłe, ptasie oczy bez żadnego wyrazu składały się na postać, która zaiste nie mogła budzić tkliwych uczuć, z wyjątkiem może litości.

Ale Henryk Schultz wcale nie litował się nad nią. Jeśli wracał późno i zastawał ją już w nocnym stroju, oczekującą cierpliwie w małżeńskiej sypialni, na widok jej głowy przybranej papilotami i długiej, cienkiej szyi wystającej jak łodyga georginii ze

skromnego wycięcia koszuli – nachodziła go zbrodnicza pokusa, aby ukręcić ten zwiędły kwiat i cisnąć go do śmietnika.

Nie ulegał oczywiście takim igraszkom wyobraźni, jakkolwiek myśl o pozbyciu się tej kobiety nawiedzała go często. Zwłaszcza wtedy, gdy we wspomnieniach jawił mu się zgoła odmienny wizerunek – seniority de Vizella. Zresztą nie mógł nawet marzyć o czymś podobnym: Gertruda musiała przeżyć swych rodziców, jeśli miał odziedziczyć majątek Rudolfa Zimmermana, poza tym zaś wątpił, czy starczyłoby mu zimnej krwi i odwagi na popełnienie takiej zbrodni, nawet gdyby się uciekł do użycia trucizny lub gdyby znalazł jakiś inny sposób zgładzenia żony.

Ilekroć prześladowały go podobnie natrętne wizje, pocił się obficie niż zwykle, a mięśnie brzucha dygotały mu pod skórą, jakby w żołądku miał kawał rozpalonego żelaza. Jęczał przewracając się pod pierzyną, a Gertruda wstawiała i przynosiła mu napar z rumianku, sądząc w swej naiwności i głupocie, że dostał niestrawności po wieszce spożytej we Dworze Artusa.

Nie potrzebował rumianku i jej troskliwości! Trzeba mu było czegoś zgoła innego: takiej towarzyszki jak Maria Francesca. Jej pałających spojrzeń, jej ramion otaczających mu szyję, jej pocałunków!

Rozmyślając nad losami Martena i „Zephyra” doszedł do wniosku, że teraz istnieją niejaki szanse spełnienia tych wszystkich pragnień. Wstał i zaczął się przechadzać po pustych izbach swego kantoru. Nie zapalił światła; krążył w zapadającym mroku między wysokimi pulpitemi niczym posępne widmo o bladej, zawziętej twarzy, w której wyrazie na próżno szukałbyś śladów litości, współczucia lub wahań sumienia. Z wolna, rzeczowo i logicznie rozpatrywał pewien plan działania, to znów przeżuwał i smakował niepokojące, a zarazem ponętne myśli, oblizując koniuszkiem języka wysychające wargi, aż w końcu uznał swe zamiary za mądre i godne pochwały. Jego obrotny umysł podpowiedział mu usprawiedliwienie namiętnych pożądań, którymi się kierował, a zarazem wynalazł sposób ich zaspokojenia.

Henryk Schultz, gorliwy syn kościoła, zamknął od zewnątrz drzwi, zostawił klucz u dozorczy i uczyniwszy znak krzyża, skierował swe kroki w stronę przedmiejskiej dzielnicy Bordeaux, gdzie w małym dworku należącym do wdowy po zamordowanym fabrykancie likierów zamieszkała se-fiorita de Vizella z nieodstępną Leonią.

Maria Francesca po długiej rozmowie z Schultzem, który spożył z nią kolację i odszedł dopiero przed północą, nie mogła usnąć. Była wstrząśnięta wiadomościami, jakie jej

przyniósł, a wszystko to, o czym mówił później, zapewne chcąc ją uspokoić i pocieszyć, wydało jej się niejasne i niepewne.

W gruncie rzeczy przestraszył ją tylko jeszcze bardziej. Czuła się bezradna, osamotniona, zdradzona przez przyjaciół i niemal już osaczona przez fałszywego, bezwzględnego pana de Bethune, tego samego Maksymiliana de Bethune, który jeszcze tak niedawno jej nadskakiwał i okazywał szczególną przychylność.

Udawał! Grał wobec niej komedię, aby przypodobać się królowi! Przy pierwszej sposobności ograbił Jana z pieniędzy, a teraz czyhał na jej klejnoty... Tak przynajmniej utrzymywał Schultz.

Uwierzyła mu, bo pokazał jej kwity skarbowe i kopię polecenia konfiskaty całego mienia Martena.

Nie mogła natomiast lub raczej nie chciała uwierzyć z początku, aby się to miało stać na rozkaz króla. Lecz Schultz ją przekonał. I na to miał dowody, a znał się na tych sprawach jak nikt inny.

Król... – wyduła pogardliwie usta. – Ciekawe, czy rozkazał także odebrać jej kolczyki i pierścień z szafirem, które dostała od niego po owej nocy miłosnych zaklęć i obietnic.

Żadnej z nich nie dotrzymał. Czuł się urażony, gdy przyszła go prosić o ochronę przed rozwścieczonymi hugonotami, którzy domagali się śmierci Martena po fatalnym pojedynku z hrabią Ojvierem.

Znienawidziła go teraz równie łatwo, jak mu wówczas uległa. Stał się w jej oczach zwykłym lubieżnikiem, który w dodatku cuchnął jak stary koziół.

Schultz ostrzegał ją, by nie liczyła na względy jego królewskiej mości. Były to zbędne ostrzeżenia. Czuła się upokorzona tą przelotną przygodą i pragnęła o niej zapomnieć.

Pomyślała o Armandzie d'Ambares. Me widziała go od wielu miesięcy. Zapewne też niewiele dbał o nią; zapomniał... A Ryszard de Belmont?

–Belmont Jest w Paryżu – powiedział Schultz – A może w Amsterdamie. Zajmuje się dyplomacją jak dawniej, gdy służył Essexowi. Czy ufasz mu bardziej niż mnie?

Spojrzała na niego zdziwiona. Przeniknął ją lekki dreszcz. Małostkowa cnota, chciwość i pożądanie wyryły piętno na Jego bladej twarzy, wzierając spod maski rękawic i lancholii. A jednak on jeden nie opuścił jej w potrzebie.

Wyciągnęła do niego rękę, którą podniósł do ust. Poczowała dotknięcie suchych warg na dłoni.

–Żrebię wszystko, aby nie dopuścić do katastrofy
powiedział.

Potem przedstawił swój plan działania, który w zasadzie wydał Jej iść nadzwyczaj prosty, i nalegał, aby się zgodziła, na Jego spieszna realizację.

Była już zdecydowana pójść za tą radą, ale żądała dwóch dni do namysłu. Musiała to jeszcze rozważyć w spokoju i oswoić się z nową sytuacją.

Dopiero gdy Henryk wyszedł, ogarnęły ją wątpliwości i obawy, a gdy się położyła, sen uleciał od jej zmęczonych powiek. Przewracała się z boku na bok w miękkiej pościeli, z okropnym zamętem w głowie i niepokojem serca, które to trzepotało się Jak motyl w pajęczynie, to znów słabło opadając z sił, aż przeszyte nagłym bólem ścisnęło się gwałtownie jakby w śmiertelnym skurczu.

Wstała i otworzyła okno. Błady świt wkradał się już do ogrodu i rozpraszał nocne ciemności. Prąd świeżego powietrza orzeźwił ją, ale nie rozwiął dręczącego uczucia niepewności i lęku.

Usiadła przed lustrem i łzy potoczyły się po jej pobladłych policzkach.

Płakała, nie wiedząc właściwie z jakiego powodu, ale z pewnością nie z obawy przed śmiercią, o której pomyślała przez chwilę poczuwszy ów kłujący ból w sercu. Nigdy nie bała się śmierci nawet w połowie tak, jak starości i biedy; jak tego, że mogłaby stracić gładkość lic, blask włosów i olśniewającą biel zębów albo że zabrakłoby jej strojów, że musiałaby wyzbyć się klejnotów dla zaspokojenia jedynie najprostszych potrzeb.

Nie myślała o tym zresztą w tej chwili. Płakała tak jak niegdyś, kiedy była małą dziewczynką, rozżaloną bez widocznej przyczyny, z której zdawałaby sobie sprawę. I jak wówczas – płacz przynosił jej ulgę.

Otarła łzy i spojrzała w lustro. Odbicie własnej postaci napełniło ją nowym zwątpieniem. Wydało jej się, że nie jest już ani świeża i młoda (miała lat osiemnaście!), ani piękna, lecz raczej wygląda na rozczochraną znużoną kobietę dobiegającą średniego wieku.

Czy to naprawdę ja? – zapytała się w duchu. – Niemożliwe!

Zamknęła oczy i otworzyła je znowu. Wpatrywała się we własną twarz podejrzliwie, w napięciu, szukając niedostrzegalnych zmarszczek. Nie znalazła ich wprawdzie, ale cóż z tego?

Co będzie, jeżeli Jan nie wróci? – myślała upinając włosy,

przecierając powieki wodą różaną i pudrując nos. – Co, będzie, jeżeli zostanę sama w tym okropnym kraju na zawsze? Jeżeli moja uroda zwiędnie, cóż będę mogła ofiarować mężczyznom? – Nic! – powiedziała głośno. – Muszę stąd uciec póki czas. Póki pan de Bethune nie zacznie *maią* szukać przez swoich egzekutorów skarbowych...

Mniej więcej o tym samym czasie Henryk Schultz ocknął^{S1}? z błogiego *snu* i stwierdziwszy, że słońce jeszcze nie wzeszło, przeciągnął się rozkosznie, a potem odwrócił się na drugi bok.

Zdaje się, że już co najmniej w połowie wygrałem tę grę – pomyślał przed ponownym zaśnięciem. – Jeżeli Marlen wymknie się Torresowi i wróci do La Rochelle, wygram ją w całości. Bardzo bym tego pragnął – wymamrotał już na wpół przez sen.

Co się tyczy Martena, który oczywiście nie mógł w owej chwili nawet w najmniejszym stopniu domyślać się zamiarów Schultza i rozterki swej ukochanej, to istotnie wymykał się Torresowi, a raczej Ramirezowi, żeglując pod omdłe* wającym wiatrem o jakieś tysiąc mil morskich w linii prostej na zachód od Bordeaux.

Pragnienia Henryka co do jego powrotu spełniły się dopiero w parę tygodni później, wówczas gdy Maria Francesca odbywała podróż do Gdańska na pokładzie statku płynącego pod handlową banderą spółki kupieckiej „R. Zimmerman i II. Schultz”.

Termin przybycia „Zephyra” do La Rochelle 'oraz wszy* stko, co nastąpiło potem, jak najbardziej dogadzało planom współnika i

zięcia Rudolfa Zimmermana, oddanego przyjaciela Jana Martena i troskliwego opiekuna jego kochanki.

Arcykatolicki monarcha[^] podpora Kościoła, nieprzejednany wróg heretyków, Filip II, konał. Zaraził się niegdyś, w kwiecie swych lat męskich, straszliwą chorobą od pewnej kurtyzany, którą dostrzegł przypadkiem przez okno swego gabinetu, jak wysiadała z lektyki, i do której zapłonął grzeszną namiętnością, choć nie była ani szczególnie piękna, ani młoda. Zaspokoiwszy cielesną żądzę, wyświadał się, otrzymał rozgrzeszenie i z pewnością zapomniałby o tej kobiecie, gdyby nie wrzody, które utworzyły się w jakiś czas później i zaczęły mu ją przypominać o wiele natarczywiej i boleśniej niż oczyszczone z grzechu sumienie.

Z czasem rozprzestrzeniły się po całym ciele, przeżarły je na wskroś i przyczyniały mu okropnych cierpień, aż wreszcie powaliły go na łożo śmierci.

To wspaniałe królewskie łożo cuchnęło teraz trupią zgnilizną, choć codziennie zmieniano w nim pościel i cienką bieliznę, a także okadzano je i skrapiano wonnościami. Na życzenie króla stało teraz w kaplicy, aby mógł stamtąd do ostatniego tchnienia widzieć główny ołtarz wielkiego kościoła. Od pięćdziesięciu dni i nocy otaczali je księża i zakonnicy modląc się i śpiewając nabożne pieśni, litanie i psalmy. Święte relikwie, które co prawda nie zdały się na nic jako remedium przeciw syfilisowi, leżały nadal u wezgłowa, aby z kolei zapewnić duszy umierającego prostą i łatwą drogę do nieba.

Tak nadszedł dzień trzynasty września roku 1598, a wraz ze wstającym słońcem przybył do Escorialu goniec z wiadomością o

zwycięstwie Tyrone'a i niebywalej klęsce oraz

śmierci na polu bitwy Bagenala, który dowodził armią Elżbiety w Irlandii.

Filip dźwignął się na łokciach i oparty o poduszki, które podłożono mu pod plecy, kazał odczytać sobie zwinięte w rulon pismo. Jego wychudła twarz, żółta jak воск, promieniała; w fanatycznych oczach znów zabłysło życie. Oto Opatrzność wynagradzała Jego cnotę i żarliwość wiary!

Zdumiewająco silnym głosem zaczął dyktować gratulacyjny list do Tyrone'a. Obiecywał pieniądze, pomoc wojskową, utworzenie nowej Wielkiej Armady. Przepowiadał rychłą zgubę heretykom i ich królowej.

Nagle opadł z sił, a oczy stanęły mu w słup. Stracił mowę i zapadł w półsen czy też odrętwienie, z którego ocknął się dopiero późnym wieczorem. Jak przez watę w uszach usłyszał śpiew zakonnego chóru, ujrzał przed sobą chwiejny płomień i zrozumiał, że ktoś usiłuje wetknąć mu w bezwładną dłoń zapaloną gromnicę. Chwycił ją kurczowo i ścisnął mocno, jakby w ten sposób chciał powstrzymać ulatują* ce życie.

Lecz to był już koniec. W jakiejś chwili targnął nim dreszcz, palce, chude i wyschłe jak szpony, rozluźniły się, a świeca z hałasem upadła na marmurową posadzkę.

Na wieść o śmierci Filipa dwór francuski przywdział oia cjalną żałobę. Była to jednak żałoba nader krótka i... radosna. Henryk IV nawet przed posłem hiszpańskim nie mógł zdobyć się na smutną minę, a wobec dworzan i przyjaciół nie ukrywał swego

zadowolenia.

Stał się przystępny i łaskawy, z czego skorzystał Agrippa I d'Aubigne, aby mu przedstawić prośbę o uwolnienie kawalera Jana de Marten osadzonego w twierdzy La Rochelle pod zarzutem pirackiej napaści na Złotą Flotę.

O tę amnestię dla znakomitego korsarza zabiegał głównie Jego wierny porucznik, Stefan Grabiński, za pośrednictwem Ryszarda de Belmont. Już od kilku tygodni przebywał w Paryżu i zdołał nawet pozyskać niejaką przychylność, a przynajmniej życzliwą neutralność w tej sprawie ministra finansów, pana de Bethune, co zresztą nie obeszło się bez kosztownych podarunków.

B'Aubigne wiedział, że u Maksymiliana wiele można wskórać tą drogą, i wiedział również, że Rośny otrzymał znaczną łapówkę od swego protegowanego, Henryka Schul-tza, za to, że „Zephyr” nie został skonfiskowany po przybyciu do portu. Nie spodziewał się zatem dywersji z jego strony. Sam działał zupełnie bezinteresownie, ponieważ po pierwsze brzydził się i pogardzał wyciskaniem złota z ludzi w tarapatach, po wtóre zaś żywił dla

awanturniczego i romantycznego kapitana szczerą sympatię.

Istotnie król zgodził się na darowanie winy Martenowi, pod warunkiem, że on i jego okręt opuszczą Francję bądź udając się do Nowego Świata pod rozkazy Samuela de Champlain, bądź też dokądkolwiek, lecz już bez królewskiego patentu korsarskiego i bez prawa azylu w portach francuskich.

Pan de Bethune zastrzegł rękę tylko, że kapitały korsarza[^] zabezpieczone na rzecz skarbu, nie zostaną zwolnione i zwrócone. Poza tym nie stawiał żadnych przeszkód.

Dzięki takiemu obrotowi sprawy piątego października Marten opuścił celę w kazamatach twierdzy La Rochelle i znalazł się na Wolności, bez pieniędzy, natomiast w długach. Te długi powstały z pożyczek pozaciąganych przez Grabińskiego na koszty naprawy „Zephyra”, nie mówiąc już o wydatkach, jakie porucznik poniósł z własnej kieszeni, aby jak najprędzej uwolnić swego umiłowanego kapitana.

W obecnej trudnej sytuacji były to sumy znaczne, a charakter pożyczek tyleż wzruszał, ile zobowiązywał Martena, pochodziły bowiem z oszczędności jego własnej załogi. Złożyli się na nie szturman Tomasz Pociecha, Herman Stauffl,

Broer Worst i Tessari zwany Cyrulikiem, a jeśli nie stanowiły one całego ich mienia, to w każdym razie wszystko, co posiadali przy sobie.

Było to jednak jeszcze za mało. Za mało, aby zaopatrzyć okręt na drogę do Gdańska, bowiem Marlen pragnął teraz znaleźć się tam jak najprędzej. W dodatku musiał opuścić La Rochelle w

ciągu czterech dni; taki bowiem termin wyznaczył mu admirał de Clisson, który zdawał się wiedzieć o jego trudnym położeniu i z góry cieszył się na nieuchronnie grożącą mu katastrofę.

Marlen zwrócił się przede wszystkim o nową pożyczkę do prokurenta Schultza zarządzającego jego filią w Bordeaux. Stracił na to dwie cenne doby i nie uzyskał prawie nic.

Prokurent, monsieur Tige, który rzeczywiście przypominał wysoki, uschły badył, przyjął go z oznakami udanej życzliwości i szacunku, pod którymi ukrywał obojętność i pogardę. Miał głos cienki, wysoki i skrzypiący, jakby przeżuwał w zębach piasek.

Niestety nie otrzymał od pana Schultza żadnych poleceń"* w sprawie udzielenia Martenowi kredytu po zlikwidowaniu jego konta. Nie miał też dostatecznych pełnomocnictw, aby taki kredyt otworzyć. Wiedział natomiast, że pan Schuitz już od dawna gotów byłby odkupić od Martena jego piękny okręt...

–O tym nie może być mowy – przerwał mu Marten.

–Ha, w takim razie... – wyskrzypiał Tige rozkładając ramiona jak chudy strach na wróble. – W takim razie – powtórzył nieoczekiwanie – mógłbym wam, kapitanie, udzielić pewnej rady. Oczywiście zupełnie prywatnie – zastrzegł się natychmiast spuszczać oczy jak skromna dziewczica, której wstyd nie pozwala na zbyt jawne okazywanie obudzonego uczucia. – Prywatnie i niemal bezinteresownie, to znaczy za drobną prowizję, jeśli tę radę przyjmiecie i skorzystacie przy tym z moich usług.

z* Cóż to za rada? – spytał Marlen podnosząc na niego chmurny wzrok, ponieważ przypuszczał, że chodzi po prostu o lichwiarskie

pośrednictwo.

Monsieur Tige zniżył głos i zaczął mówić, rzucając na prawo i na lewo niespokojne spojrzenia, jakby się obawiał, aby go kto nie podsłuchał.

Zapytał przede wszystkim, czy Martenowi wiadomo, że pewien awanturnik nazwiskiem Champlain przygotowuje nową wyprawę do „Północno-Zachodnich Indii”, gdzie za zgodą i przy poparciu pana Laffemas, generalnego kontrolera handlu jego królewskiej mości, chce założyć kolonię i miasto u ujścia rzeki \$w, Wawrzyńca.

–Owszem – odrzekł Marten. – Słyszałem o tym. Ale wybieram się w przeciwną stronę, na Bałtyk.

–Och, to nic nie szkodzi! – wykrzyknął Tige. – Przeciwnie – zaskrzypiał znowu, – Pan Schultz przewidział tę mądrą decyzję i nawet przygotował w tym celu odpowiednie certyfikaty do pośrednich portów niderlandzkich, duńskich i niemieckich dla „Zepbyra”, nawet gdyby nie doszło do jego kupna.

–Zapomniał tylko, że jestem bez pieniędzy – wtrącił ironicznie Marten.

Tige skłonił głowę z wyrazem ubolewania.

–Staram się to naprawić – zgrzytnął. – Pan Laffemas...

–Przecież ani pan Laffemas, ani Champlain nie interesują się Gdańskiem i Bałtykiem – przerwał znów Marten, nieco już zniecierpliwiony.

–Rzeczywiście – potwierdził Tige. – Ale gotowi są wyposażyć każdy dobry okręt i odpowiedniego kapitana, który chciałby udać się do Nowego Świata.

Marten wzruszył ramionami.

.– Powtarzam panu, że się tam nie wybierani.

–Ale, o ile dobrze zrozumiałem,,',Zephyr" na zaw-

sze opuszcza Francję. A Ja mógłbym wam ułatwić, kapitanie Marten, otrzymanie pełnego zaopatrzenia z kredytów przeznaczonych przez generalnego kontrolera handlu na wy» i prawe Champlaina. Podpisałibyście kontrakt, „Zephyr" zo- i stałby wyposażony we wszystko, czego wam trzeba, a potem... – monsieur Tige wykonał pożegnalny gest dłonią i gwizdnął przeciągle. – Któż by doścignął „Zephyra" na 1 otwartym morzu, gdyby zniecka zmienił kurs i pożegłował i w stronę La Manche!

Marten zrozumiał wreszcie, do czego zmierza zacny prokurent Henryka Schultza.

Dobrali się w korcu maku – pomyślał.

–Pomyliliście się, panie Tige – powiedział niemal bez

gniewu, a raczej z niesmakiem. – Jestem korsarzem, nie oszustem.

Nie skorzystam z waszej mądrej rady, nawet gdyby mi przyszło zdychać z głodu i pić tylko wodę. Mnie i mojej załodze. Jego

królewska mość nie postąpił ze mną zbyt wspaniałomyślnie, ale bądź co bądź w ciągu dwóch lat udzielał mi tu gościny i swojej flagi

na morzu. Nie mam zwyczaju odpłacać szalbierstwem za taką przychylność, tym bardziej że ani pan Champlain, ani Laffemas nic

złego mi nie uczynili.

Monsieur Tige widocznie poczuł się dotknięty.

–Wobec tego – zaczął z wyniosłą miną – nie pozostaje mi nic innego...

–Jak wręczyć mi owe certyfikaty przygotowane przez I Schultza – powiedział Marten wstając. – Mogą mi się przydać.

Tige wstał również. Jego zapadnięte, niesłychanie chude I policzki ubarwił ceglasty rumieniec, a badyłowata postać chwiała się w tę i ową stronę, jak wyschnięta łodyga pokrzy- I wy pod tchnieniem wiatru.

–To jest... to jest żądanie zgoła dziwne – wyskrzypiał. –

Wcale nie mam zamiaru...

–Dość! – huknął Marten. – Dość tych wykrętów,

monsieur Tige. Nie wiem, co lepiej: rozbić tę waszą makówkę, w

której lęgną się złodziejskie sztuczki, czy donieść o nich panu

Laffemas.

Czerwone wypieki znikły z lic prokurenta, jakby je zmroził lodowaty podmuch strachu.

–Nikt by wam nie uwierzył, kapitanie Marten – wyszeptał. – Nie zrozumieliście mnie – dodał pewniejszym głosem, przełknąwszy z trudem ślinę. – Chciałem tylko powiedzieć, iż nie mam zamiaru odmawiać wydania certyfikatów, o które pan Schultz wystarał się dla waszej miłości.

–To bardzo rozsądnie z waszej strony – mruknął Marten. – Im prędzej je otrzymam, tym dla was lepiej i zdrowiej.

Tige, przynaglony tą uwagą, wyciągnął jakąś szufladę i pogrzebawszy w niej, wyjął trzy formularze wypełnione własnoręcznie przez Henryka Schultza pięknym kaligraficznym pismem, po czym, oddając je Martenowi, wyjaśnił swym zwykłym, suchym, skrzypiącym głosem ich zawiałą treść.

„Zephyr” miał udać się przez La Manche, Morze Północne i Cieśniny Sundajskie na Bałtyk jako gdański statek Handlowy. Mógł wziąć ładunek win i sukna w Bordeaux lub porcelany i „korzeni” w Scheveningen w Holandii, przy czym zaliczka na fracht miała być wypłacona kapitanowi po załadowaniu towaru. Certyfikaty dotyczyły zarówno tych spraw, jak swobodnej żeglugi wskazaną trasą i azylu w kilku portach po drodze, gdyby zaszła tego potrzeba.

Martenowi błysnęły oczy.

–Ach, więc jest przecież mowa także o zaliczce! ~- zawołał.

–Po załadowaniu towaru – uzupełnił monsieur Tige. – Wątpię, czy uda wam się to zrobić w Bordeaux...

Jan zaklął. Pozostało mu czterdzieści osiem godzin. Powrót do La Rochelle, przejście „Zephyra” do Bordeaux, załadunek, konieczne zakupy... *Kie*, nie mógłby zdążyć. Termin wyznaczony przez admirała de Clisson paraliżował wszelkie wysiłki zdobycia kredytu lub zaliczki. Mógł na nią liczyć dopiero w Scheveningen. Ale z La Rochelle do; Seheveningen było osiemset mil, do których należałoby dodać co najmniej drugie tyle na lawirowanie przy średnio pomyślnych wiatrach. Byłoby szaleństwem wyruszać w taką podróż bez zapasów żywności, bez wymiennych lin i żagli, a także kul, prochu, pakuł, smoły i wszelkich innych materiałów, z których opróżniono kabelgat * okrętu zużywając je na naprawę szkód ostatnio poniesionych.

Błędne koło zamykało się. Marten nie widział żadnego wyjścia.

Szedł w stronę placu Quinconce, skąd odchodził dyliżans pocztowy do Rochefort. Wściekłość miotająca nim od chwili, w której dowiedział się o wyjeździe Marii Franceski z Schul-tzem, rozsypała się w proch jeszcze w więziennej celi, pozostawiając po sobie gorycz i znękanie. Teraz wibrowała w nim znowu przez jakiś czas, póki nie rozstał się z obmierzłym prokurentem Henryka. To, co odczuwał wyszedłszy z jego kantoru, nie było już ani gniewem, ani pragnieniem zemsty. Czuł się nie tyle osamotniony, ile po prostu ogołocony, wyzuty ze wszystkiego przez podstęp złośliwego losu, a to wrażenie budziło w nim więcej urazy niż bólu, i to urazy nie do Marii lub Schultza, lecz do samego życia, do tej pułapki, w jaką dał się schwytać.

Cóż z tego, że zdawał sobie sprawę ze spisku uknutego przez ów los do spółki z paru durniami: z Schultzem, który mu nie dowierzał i dlatego namówił Marię na wyjazd, z jego prokurentem, który mu czynił nikczemne propozycje, i z panem de Clisson, który mu chciał dokuczyć? Nic na to nie mógł poradzić. Nie przychodziła IDU do głowy żadna myśl ratunku, a świadomość zupełnej porażki zubożyła go chwilowo tak dalece, że stał się nieczuły na bezlitosny, wyjątkowo zimny wiatr z deszczem, który wypłoszył przechodniów z ulic.

Omijając błotniste kałuże i wzgórki końskiego nawozu na pustym placu, zmierzał ku podcieniom zajazdu i gospody „Sous le Prompt Cheval”, gdy wtem, przeskoczywszy wezbrany potok płynący ściekiem u skraju chodnika, wpadł prosto w objęcia kapitana Piotra Carotte, który zbliżał się % przeciwnej strony.

Spojrzeni na siebie, obaj jednakowo zaskoczeni, i obaj uradowali się z tego niespodziewanego spotkania.

Carotte pierwszy zaczął mówić.

Wrócił był właśnie z jakiejś podróży handlowej po dłuższej nieobecności we Francji i posłyszał coś niecoś o niepowodzeniach Martena, a dowiedziawszy się, że „Zephyr” stoi na kotwicy w Ła Rochelle, wybierał się tam, jak zawsze gotów dopomóc przyjacielowi w potrzebie.

~ Wyglądasz jak panna po urodzeniu dwojaczków – oświadczył przyjrząwszy się Janowi. – Niech mnie diabli porwą, jeśli nie masz jakiegoś poważnego kłopotu, z którego być może

potrafiłbym cię wybawić! Mów, ile ci trzeba?

Marten był tak wzruszony tą jego bezpośrednią gotowością, że przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.

–Niebo mi cię zsyła ~ wyrzekł w końcu. ~ Byłem już bliski rozpaczy.

Oparł mu dłonie na barkach i odsunawszy go na odległość wyciągniętych ramion, patrzył nań zamglonym wzrokiem, jakby oczekiwał, że zza pleców Piotra wyrośnie para anielskich skrzydeł, rumiana jego twarz przecięta głęboką blizną nabierze subtelnych rysów cherubina, a gruba, sękata laska, którą Carotte trzymał pod pachą, zamieni się w kwitnącą lilię ~ i jakby pragnął, aby żaden szczegół tego cudownego przeobrażenia nie uszedł jego uwagi.

Żadne przeobrażenie jednak nie nastąpiło. Zesłany przez! niebo Carotte niczym nie zdradził swego nieziemskiego-| pochodzenia. Przeciwnie: zaklął zgoła nie po anielsku, po-| nieważ deszcz zaciekał mu za kołnierz.

–Może byśmy poszli coś zjeść i wypić – zaproponował jak najzwyczajniejszy śmiertelnik.

–Nie, nie tu! – zaprotestował, gdy Marten ochoczo ruszył w stronę otwartych drzwi zajazdu. – Po śniadaniu „Pod Rączym Koniem” nawet struś dostałby niestrawności.

Znam tu niedaleko małą, dosyć obskurną gospodę, taki raj dla

much, ale i ludzie mogą się w niej pożywić. Jadam tam już od roku,

ilekroć jestem w Bordeaux, i wcale nie narzekam. Przypuszczam, że wybierasz się do La Rochelle? –

zapytał wskazując drogę. – W takim razie jedziemy razem, bo „Vanneau” stoi w Rochefort. Mamy dość czasu na przepłukanie gardła i pogawędkę.

Zaprowadził Martena do owego „raju dla much”, który zresztą nosił niezbyt romantyczną nazwę „Au Rat Effronte”, i wdał się w poufną rozmowę z oberżystką, veiiive Pois, mło- j dą kobietą o szerokich biodrach i wydatnym biuście.

Jan zauważył, że przystojna wdowa uśmiecha się do jego przyjaciela nader zalotnie, a Carotte zagląda jej w oczy ze szczerym zapałem.

Byłaby to dobrana para: marchewka z groszkiem! – po-, myślał ubawiony tym spostrzeżeniem. – Piotr powinien się % nią ożenić. Wygląda na to, że przyciąga go tu nie tylko j dobra kuchnia...

Carotte wyzwolił się wreszcie spod czaru uśmiechów pa- j ni Pois i powróciwszy do stołu, przy którym Marten go ocze- j kiwał, oświadczył z promieniejącą miną:

–Dostaniemy pieczoną gęś!

–To już jest coś – odrzekł Marten z uznaniem, nalewając do

kubków czerwonego wina, które tymczasem podano im w glinianym dzbanku.

1 Carotte spróbował, wzniosł brwi w górę, mlasnął językiem i posłał jeszcze jedno wymowne spojrzenie oberżyst-_ce, a następnie z uwagą wysłuchał historii, jaką Marten mu opowiedział.

–Przede wszystkim – rzekł zabierając się z kolei do smakowitego jadła – przestań się kłopotać o pieniądze. To szkodzi na żołądek, zwłaszcza w połączeniu z młodą gęsiną. pożyczę ci naturalnie tę sumę. Mam ją przy sobie. I proszę cię, żadnych podziękowań! – wyciągnął przed siebie pulchną dłoń, jakby chciał je powstrzymać. – Stary Carotte nie zapomniał jeszcze, że w zatoce Tampico uratowałeś mu życie, a później dopomogłeś w zdobyciu niezgorszej fortuny. Ech, Janie! – westchnął sięgając po kubek z winem. – To były czasy!... ›

–Nie skarżysz się chyba na obecne? – spytał Marten.

–Nie – odrzekł Piotr. – Nie skarżę się, *ho* to nic a nic

nie pomaga. Zresztą czasy i teraz z pewnością nie są najgorsze. To tylko ja się starzeję. Ale o tym lepiej nie mówić i nie myśleć.

–Zwłaszcza przy gęsinie i przy pani Pois – wtrącił

Marten.

Carotte skinął głową z pogodnym uśmiechem.¹

–Dobra, co? – spytał oblizując palce.

–I przystojna – powiedział Jan niewinnie.

Piotr rzucił szybkie spojrzenie w stronę szynkwasu, skąd

spłynął nań nowy uśmiech madame Pois, po czym pogroził Martenowi palcem.

–Nie próbuj mi jej odbić, bezczelny zabijako! – rzekł

groźnie. – Ledwie na nią spojrzaleś, już mi nie daje spokoju wpytując o ciebie. A teraz przygląda ci się, jakbyś był z trzema twarzami i siedmiu parami ramion, złożony od stóp do *głów* i z rubinami zamiast oczu!

Marten roześmiał się, a Carotte mu zawtórował.

–Nie myśl, że plotę trzy po trzy – zastrzegł się, – Sam

widziałem kiedyś w Indiach Wschodnich takiego potężnego cielca.

Byłem wtedy młody i naiwny, więc starzy wyjadacze wmówili we

mnie, że ten jegomość jest żywy. Zobaczyłem go w jakiejś świątyni

i... no, nie powiem, żeby mi krew zakrzepła w żyłach, ale że mną wstrząsnął zimny dreszcz, to pewne. Wcale nie chcę przez to powiedzieć – mówił dalej – że Catherine na twój widok doznała czegoś podobnego. Jeśli to nawet był jakiś dreszczyk, to z pewnością nie zimny. N'est-ce-pas, Catherine? * – zwrócił się do niej.

Veuve Pois uśmiechnęła się błyskając równymi zębami. – Vous plaisantez, Pierre ** – powiedziała rumieniąc się i spuszczając oczy.

–Wcale nie! – zaprzeczył żywo Carotte. – Pas pas on va bien loin *** – westchnął z komiczną powagą. – Ale ten nicpoń za godzinę wyjeżdża, więc i tak nic z tego nie będzie.

–A ty jedziesz z nim razem – zauważyła jakby z wyrzutem, co jednak zdawało się tylko pochlebiać próżności Piotra.

–Jadę, ale wrócę tu na „Yanneau”, więc nie ma powodu do urazy – odrzekł.

–Ach, les femmes! – powiedział do Martena podkreślając szpakowatego wąsa. – Elles ont toujours besoin qu'on les rassure, surtout lorsqu'il s'agit de l'amour et de ses se-quelles...

** * Z pewnością sam to musiałeś zauważyć.

–Tak, do pewnego stopnia – odrzekł Marten z niejakim roztargnieniem, ponieważ przyszło mu na myśl, że zbliża

* Nieprawdaż, Katarzyno? (franc). ** Żartujesz, Piotrze (franc).

*** Krok za krokiem można zejść daleko (franc). *** Ach, kobiety! Muszą być ciągle zapewniane, zwłaszcza jeśli chodzi o miłość i jej następstwa (franc).

się termin odjazdu i że powinien zostawić Piotrowi nieco czasu na owe konieczne zapewnienia, wymagające raczej gestów niż słów, i to najlepiej bez świadków.

–Pójdę zobaczyć, czy już zaprzęgają – powiedział. •%

Zatrąbimy na ciebie.

Wstał i chciał zapłacić, ale Carotte zaprotestował. Sam przecież zaprosił Martena pod „Bezczelnego Szczura”, a zresztą był tu nieomal gospodarzem. Jan pożegnał więc tylko panią Pois, chwając jej kuchnię i urodę, po czym skierował swe kroki w stronę zajazdu.

Deszcz ustał i nawet blade październikowe słońce przedarło się przez obłoki rozpędzone wiatrem. Na podwórku stał wytoczony z szopy dyliżans o wysokich kołach, do którego zaprzęgano cztery kościotrupy obciążone wylewną skórą, żywo przypominające konie. Marten powątpiewał, czy te zwierzęta zdołają w ogóle ruszyć z miejsca olbrzymią, ośmioosobową łandarę z pasażerami, ze stangretem i konwojentem poczty oraz z niewiarygodną stertą bagażu. Wyglądało na to, że stoją na nogach tylko dzięki temu, iż wspierają się wzajemnie bokami o sterczących żebrach. Ale zain-terpelowany w tej sprawie dostoyny

woźnica w długim zielonym kubraku oświadczył, że w dwie godziny dojedzie do St-Andre, a tam otrzyma „prawdziwe” konie i wtedy żaden prywatny pojazd go nie wyprzedzi.

–Nad ranom będziecie z całą pewnością w Rochefort, wielmożny panie – zapewniał Martena. – Zmieniamy zaprzęg pięć razy, a ta czwórka jest rzeczywiście najgorsza, ale jeszcze pociągnie.

Marten uspokojony tym zapewnieniem dał mu sztukę srebra, a gdy w chwilę palem Carotte odwołany trąbką pocztową z pulchnych ramion Catherine usadowił się obok niego, aby natychmiast znowu dać upust sw^rej płynnej wymowie, cztery kościste szkapy istotnie pociągnęły i dyliżans potoczył się po wyboistej drodze w kierunku mostu na Garonnie.

Zielon

a

Brama

Część druga

Król Zygmunt III Waza, panujący miłościwie Rzeczypospolitej szlacheckiej od lat jedenastu, ani z usposobienia i charakteru, ani z powierzchowności i obyczaju nie podobał się swym poddanym. Był Jagiellonem tylko po kądzieli. Dopóki żyła jego ciotka, Anna, wdowa po Batorym, dwór wawelski przypominał jeszcze czasy Zygmunta Augusta i króla Stefana. Ale po pożarze

w roku 1595. gdy Zygmunt III przeniósł się do Warszawy i gdy wkrótce potem zabrakło ostatniej świątłej Jagiellonki, wpływy austriackie i niemieckie wyparły tę tradycję.

Zygmunt wychowany przez jezuitów, przesadnie pobożny, a nawet skłonny do bigoterii, zdawał się Polakom zimny, sztywny i dumny. Istotnie był zamknięty w sobie i milczący, zwłaszcza gdy przychodziło mu rozmawiać po polsku. O wiele chętniej posługiwał się niemieckim, a ludzi władających tym językiem wyraźnie wyróżniał

Ubierał się na co dzień nader skromnie, również niemiecką modą. Był przykładnym w swej wierności i cnocie mężem i ojcem. Nie lubił zbytków i zabaw, nad które przekładał życie rodzinne oraz artystyczne. Celował w snycerstwie i złotnictwie: własnoręcznie robił i ozdabiał kielichy,

monstrancje i krucyfiksy, a także zegary. Trochę malował, a w tajemnicy zajmował się po amatorsku alchemią i astrologią.

Ulubioną jego rozrywką była gra w piłkę, przysłuchiwanie się poważnej muzyce i chórom kościelnym. Sam też popisywał się czasami śpiewem, lecz tylko w najbardziej zaufanym gronie rodziny i kilku dworzan.

Wśród tych ostatnich przeważali cudzoziemcy, a przed innymi – jezuici. Król nie lubił Jana Zamoyskiego, a choć nie mógł obejść się bez niego w sprawach wojennych, to jednak odsunął go od władzy i coraz mniej liczył się z jego radą w polityce. Ulegał natomiast dewotom i intrygantom, których cele osobiste łączyły się raczej z celami politycznymi Habsburgów i Kościoła katolickiego niż z interesami Rzeczypospolitej. Miał poza tym

przed oczyma sprawy dynastyczne w Szwecji, a także pragnął – wzorem Filipa II -! dla chwały papieżstwa wyplenić w Polsce i w całej Europie reformację.

Nie posiadał ani talentów wodza, ani polityka. Był uparty, a zarazem niezdecydowany; pragnął być monarchą niemal absolutnym, lecz brakowało mu siły ducha i energii w stanowczych chwilach.

Temu brakowi cnót rycerskich należało w znacznej mierze przypisać niepowodzenie drugiej wyprawy Zygmunta do Szwecji.

Król przybył do Gdańska Wisłą, aby dopilnować ostatnich przygotowań, i mianował naczelnym dowódcą ekspedycji pułkownika Jerzego Farensbacha, wojewodę wendejskiego, lecz od początku sam wtrącał się do wszystkiego] krzyżując jego rozkazy. Podobne kłopoty miał ze swym monarchą Sten Axelsson Baner, radca królewski i komodor floty, oraz wiceadmirał Tonnes Maidel, odsunięty od dowództwa i przeniesiony na stanowisko intendentu artylerii. Zygmunt uważał, iż zna się lepiej od nich na flocie wojennej, na

morskiej strategii i taktyce, o których w rzeczywistości nie jiniał pojęcia.

Jego „armada” licząca ponad osiemdziesiąt najróżnorodniejszych statków, w czym tylko sześć dobrze uzbrojonych okrętów wojennych, podniosła kotwice trzeciego sierpnia roku 1598 i wyruszyła z Gdańska na morze. Prócz wojska, głównie zaciężnego, towarzyszyli królowi liczni dygnitarze duchowni i świeccy, kilkunastu możnych panów polskich i szwedzkich, sporo szlachty, pacholców i młodzieży ciekawej zamorskich

przygód.

Przygody, i to niezbyt przyjemne dla ludzi nieprzywykłych do żeglugi, zaczęły się, zanim jeszcze brzeg polski znikł im z oczu. Silny wiatr i wysoka fala zatrzymały flotę królewską do piątego sierpnia koło Helu, a większość szczerów lądowych wisiała przez cały ten czas u burt, oddając Neptunowi niestrawne polskie jadlo.

Lecz tego dnia pod wieczór bóg słonych wód ulitował się widać nad szlacheckimi żołądkami lub sam miał dosyć ich zawartości, bowiem uciszył nieco wzburzone bałwany i szóstego „armada” minęła Bornholm, potem Hanó, a ósmego stanęła pod Olandią.

Szczęście zdawało się sprzyjać Zygmuntowi. Dziesiątego sierpnia poddał się Kalmar, a Samuel Łaski zajął Sztokholm.

Król, nieco oszołomiony takim powodzeniem, a bardziej jeszcze zmęczony podróżą, postanowił – wbrew radom admirałów – odpocząć nieco w Kalmarze. Marudził tam aż dwa tygodnie, po czym dopiero pożeglował dalej na północ, z zamiarem zdobycia Stegeborga, ważnej pod względem strategicznym twierdzy, położonej na pół drogi do stolicy Szwecji.

Ta zwłoka okazała się fatalna w skutkach'. Koniec sierpnia i początek września obfitowały w burze, a jedna z nich rozproszyła polską „armadę”, przyprawiając ją o poważne straty.

Zygmunt znalazł się w zatoce Stegeborg dopiero drwa giego września z dwudziestu ośmiu okrętami; do dziewiątego admirał Baner zdołał pościągać i przyprowadzić tam jeszcze dwadzieścia dwa ocalałe, lecz mocno skołatane.

Mimo tak osłabionych sił desant pod Stegeborgiem udół się, a pierwsza potyczka na lądzie została wygrana przez wojska królewskie. Stało się tak zresztą po części za sprawą artylerii okrętowej wiceadmirała Maidla, który na rozkaz króla przez cały czas wspierał polskie natarcie ogniem dział z morza.

Zygmunt bardzo był dumny z tego swojego pomysłu, tym bardziej że Baner pragnął użyć okrętów raczej do zaskoczenia floty Karola Sudermańskiego u Wysp Alandzkich, celem wzięcia jej we dwa ognie wspólnie z wierną królowi flotyllą finlandzką, niż do przewlekłego bombardowania szwedzkich sił lądowych. Upór Zygmunta wkrótce okazał się zgubny dla całej kampanii. Karol rozkazał admirałowi Scheelowi cichaczem opuścić Alandy i zamknąć okręty królewskie w zatoce pod Stegeborgiem, co też nastąpiło dwudziestego dziewiątego września.

Flota szwedzka liczyła dwadzieścia pięć okrętów, w tym sześć dużych galeonów z dwustu czterdziestu działami i dwie galery po szesnaście dział. Wraz z artylerią pozostałych mniejszych jednostek Scheel rozporządzał prawie trzykrotną przewagą ogniową.

Król przeraził się tej potęgi, ale nie mogąc utrzymać twierdzy i nie widząc innego wyjścia kazał Banerowi przebić się z powrotem do Kalmaru. Dzielny admirał ruszył do ataku i rzeczywiście wywalczył drogę odwrotu dla swej zdziesiątkowanej flotylli: dwadzieścia kilka okrętów przedarło się przez szwedzki kordon. Część z nich zamiast do Kalmaru uciekła do Gdańska, a w ręce Scheela wpadł „Biały Orzeł” oraz wiele statków transportowych i wśród nich hołk „Åruiitts” z całym królewskim bagażem.

.W kilka dni później, piątego października, nastąpiła bitwa pod Stangebros, w której wojska królewskie poniosły decydującą klęskę. Zygmunt musiał przyjąć haniebne warunki rozejmu: Karol między innymi zażądał wydania Stena Banera i wierny sługa prawowitego monarchy stracił wolność, a później także głowę na szafocie w Norrköping.

Dowództwo nad resztkami polskiej „armady” objął Gent Ameling. Król zrezygnował z podróży do Sztokholmu w asyście osiemnastu okrętów szwedzkich, nie dowierzając tej eskorcie przydanej przez stryja. Amelingowi udało się uprowadzić kilka z nich do Kalmara obsadzonego załogą polską. Ale nie był to już odwrót, tylko ucieczka...”

Dwudziestego ósmego października Zygmunt zaokrętował się na pokład „Fińska Svan” i ruszył z powrotem do Gdańska. Jedynymi jego zdobyczami w szwedzkim królestwie były: Kalmar, w którym pozostawił silny garnizon, oraz Sztokholm opanowany przez jego zwolenników. Lecz Sztokholm został wkrótce zdobyty przez Karola, a Kalmar nie mógł bronić się długo bez pomocy z Polski.

Tymczasem na Bałtyku trwały jesienne sztormy. Okręty królewskie borykały się z nimi tracąc żagle i przeciekając coraz bardziej. Drugiego listopada „Fiński Łabędź” rzucił kotwicę u pomorskich wybrzeży opodal Żarnowca, a król, znękany niepowodzeniem, strachem i trudami podróży, poczuł wreszcie ziemię pod nogami. Nie chciał już powierzać swej osoby okrętom; drogę do Gdańska odbył łądem i siódmego listopada stanął na gdańskim Ratuszu, aby, doczekać się powrotu swej „armady”.

Był to zaiste żalony powrót: przy Latarni stanęły na kotwicy

zaledwie dwadzieścia cztery żaglowce spośród osiemdziesięciu pięciu, które przed trzema miesiącami opuszczały Gdańsk. Były podobniejsze do wraków wyrzuconych na brzeg przez morze niż do okrętów i statków. Poczerniałe, podarte żagle zwisały na rejach, które jakimś cudem utrzy-

mywały jeszcze przetarte, obluzowane topenanty; maszty chwiały się w gniazdach, burty ciekły, trapy, nadbureia i oszańcowania kaszteli zostały zniszczone, połamane lub zgoła rozbite przez fale.

Mimo tej klęski Zygmunt nie całkiem upadł na duchu. Nie przypisywał sobie żadnej winy, a jego upór wziął tym razem górę nad zwątpieniem. Nawet po upadku Sztokholmu miał przecież Kalmar, znakomitą bramę wypadową, przez którą mógł wtargnąć do Szwecji, byle tylko zdołał zebrać dość silną i liczną flotę na przewiezienie świeżych wojsk.

Tymczasem postanowił przeprowadzić spieszną naprawę lulku ocalałych okrętów, aby wesprzeć i zaopatrzyć załogę Kalmaru, bronionego przez dzielnego komendanta, Jana Sparrego. Powierzył to zadanie panu Władysławowi Bekeszowi, a sam pociągnął z wolna do Warszawy.

Henryk Schultz od początku śledził z wielką uwagą losy szwedzkiej wyprawy, bowiem od jej powodzenia zależało wiele jego dalszych operacji finansowych, a także „prywatna polityka” wobec króla z jednej, a senatu gdańskiego z drugiej strony. Mimo swych sympatii dla katolickiego monarchy, nie chciał angażować się zanadto w tę awanturę, póki szale zwycięstwa ważyły się na morzu i na lądzie. Wiedział aż nadto dobrze, iż większość rajców jest niechętna poczynaniom Zygmunta z

obawy, aby Gdańsk nie utracił swego uprzywilejowanego stanowiska, jeśli królewska marynarka wojenna miałaby w nim stale przebywać po odniesionym zwycięstwie. Uznawał słuszność tych obaw. Wygrana Zygmunta Wazy byłaby zarazem wygraną Rzeczypospolitej; wzmocniłaby władzę państwową nad miastem, a kto wie, czy w następstwie nie zachwiałaby monopolem gdańskiego ku-piectwa i jego prawami do otwierania i zamykania żeglugi.

W takim przypadku dobrze byłoby uchodzić za stronnika i sojusznika królewskiego, mającego za sobą pewne zasługi około spraw koronnych, a w szczególności wojennych. Schultz w tych okolicznościach widział dla siebie drogę do zdobycia ogromnych wpływów i dochodów.

Lecz gdyby Zygmunt spotkało niepowodzenie, wszystko zostałoby po dawnemu. Gdańsk z pewnością nie zgodziłby się na odegranie roli portu wojennego Rzeczypospolitej, co zawsze zagrażało jego interesom i żegludze handlowej. W konflikcie z pokonanym królem senat miałby wszelkie szanse postawienia na swoim i wtedy lepiej było zachować dobre stosunki z rajcami.

Schultz wystrzegał się zbytniego ryzyka. Działał z ukrycia, a jeśli okoliczności zmuszały go do jawnych czynów, asekurował się na obie strony i lawirował tak, aby żadnej z nich się nie narazić. Czekał na chwilę decydującą, gotów zarówno do ataku, jak do odwrotu.

Wiadomość o zablokowaniu floty polskiej pod Stegebor-giem przez admirała Scheela była pierwszym ostrzeżeniem dla praktycznego marzyciela: Henryk natychmiast wprowadził odpowiednie poprawki do swych rojeń o potęgę, choć jeszcze

ich się nie wyrzekł. Nie porzucił ich także po klęsce pod Stangebrow, choć wiedział już z pewnością, że ich realizację trzeba odłożyć na czas dłuższy. Zmienił front i uzbroił się w cierpliwość.

Umiał być cierpliwy. Ta właściwość przydawała mu się w życiu bardzo często. Zawdzięczał jej niemal tyle, co sprytowi handlowemu i brakowi wszelkich skrupułów.

Jego przewidywania sprawdzały się teraz szybko: król przegrał, a Gdańsk podnosił głowę. Lecz on, Henryk, nic na tym nie stracił. Wszystkie jego ciche wkłady pieniężne oparte były na zastawach, które tak czy owak przynosiły zyski. Mógł spokojnie czekać bardziej sprzyjającej chwili.

Tymczasem pochłaniały go rozliczne sprawy osobiste, a przede wszystkim pasjonująca gra o zdobycie i utrzymanie względów señorily de Yizella.

Schultz wierzył tylko w Boga i w potęgę pieniądza. Te dwa bóstwa uzupełniały się na Ayzajem w jego mniemaniu. Dla pozyskania łask pierwszego wystarczały praktyki religijne przepisane przez Kościół: modlitwy, przestrzeganie świąt i obrzędów oraz częste spowiedzi w celu oczyszczenia duszy od grzechów przeciw przykazaniom, a także pewne ofiary materialne na rzecz świątyń i księży. W zamian za to Opatrzność najwidoczniej sprzyjała mu w życiu doczesnym i miała zapewnić wieczne po nieuniknionej śmierci cielesnej.

Taki układ wydawał się Schultzowi sprawiedliwy i wygodny. Tylko ludzi ubogich obowiązywała bezwzględna uczciwość i czystość,

ponieważ nie mieli środków na okupienie sobie zbawienia. On mógł grzeszyć i dopuszczać się nawet pewnych występków, bez których trudno jest zdobyć i pomnażać wielką fortunę; nie tylko spowiadał się z tych wykroczeń, lecz przecież także zakupywał msze, wspomagał duchowieństwo i przyczyniał się do upiększenia kościołów Pańskich. Nie wątpił, że i Bóg jest z niego zadowolony. Czyż w przeciwnym razie pozwoliłby mu opływać w dostatki i bogacić się nadal?

Wiara w drugie bóstwo znajdowała potwierdzenie swej słuszności i prawdziwości niemal na każdym kroku. Znalazła je raz jeszcze, gdy Henryk użył pieniędzy w celu nakłonienia Marii Franczki do uległości swym namiętnym pożądaniam. Señorita kochała klejnoty i stroje. Nie umiała im się oprzeć, a Schultz nie szczędził wydatków na ten cel.

Dokoła Gdańska, tuż za jego murami i wałami obronnymi, w byle jak skleconych szałasach, szopach i chatach krytych strzechą gnieździła się podmiejska biedota. Byli to po

największej części drobni rzemieślnicy, nie należący do cechów, robotnicy portowi i przekupnie, którzy przywędrowali z innych stron Polski i nie otrzymali prawa zamieszkania w mieście. Panowały tam brud i nędza. Lecz nieco dalej zaczynały się już uprawne pola, a w stronę Wrzeszcza i Oliwy ciągnął się piękny las podchodzący ku północy aż nad urwiste brzegi morza. Przez ów las, podobny do wielkiego parku, prześwietlony uroczymi polankami, biegł szeroki, bity trakt wysadzany po bokach topolami i lipami. Na północny zachód od miasta zbliżał się ku Wiśle, potem skręcał w lewo, przecinał Wrzeszcz, mijał Oliwę i przez rybacką wsię Sobotę dążył do Pucka. Na prawo i na lewo

odłączały się od niego polne drogi wiodące do wsi i osiedli gburskich, a także do folwarków, dworów i dworków, stanowiących ukrytą lub Jawną własność bogatych mieszczan gdańskich.

Jeden z takich dworków, na tak zwanych Holendrach,' należał do Henryka Schultza.

Nazwa Holendry powstała od kolonii niderlandzkich ogrodników emigrantów, którzy osiedlili się w pobliżu na małych dzierżawach lub nabyli na własność sąsiednie grunty. Również i Schultz puścił im w dzierżawę swoje pola, które wkrótce zamieniły się w sady i ogrody warzywne. Pozostawił do swego użytku tylko dom i niewielki, ładnie utrzymany park otoczony wysokim murem z cegły.

Zarządzała tą posiadłością pani Anna von Heltbark, osoba niegdyś bardzo światowa, o bujnej przeszłości i niezbyt korzystnej reputacji. Jako młoda panna uzupełniała swą edukację na dworze królowej Bony, a później stała się towarzyszką i przyjaciółką słynnej rozpustnicy, Doroty Dzierżgowskiej, siostry niesławnej pamięci arcybiskupa gnieźnieńskiego, Piotra Gamrata. Pół życia spędziła w podróżach do Włoch, Austrii i Niemiec. Była piękna, miała licznych kochanków i niedołęznego męża, który stracił duży majątek na poszukiwania „kamienia filozoficznego”.

Obecnie dobiegała sześćdziesiątki, lecz bynajmniej nie robiła wrażenia poważnej matrony. Przeciwnie: jej wesołe usposobienie, skłonność do zabawy, spryt do interesów, wrodzone zamiłowanie do intryg, a przede wszystkim ogromna żywotność czyniły ją o wiele młodszą, niż była w rzeczywistości.

Ubierała się nader wykwintnie, włoską modą, nosiła przeważnie fałszywe, lecz dobrze podrobione klejnoty, umiejętnie barwiła włosy, brwi i rzęsy, różowała gładkie policzki, a karmin ust, biel zębów i blask czarnych jak węgiel oczu nadawały jej twarzy niemal naturalną urodę.

Schultz bał się jej trochę i trochę jej nie dowierzał, ale była mu potrzebna. Musiał od czasu do czasu gościć różnych ludzi, nie zawsze takich, których mógłby wprowadzić do Dworu Artusa. Miewał przelotne przygody i stosunki z kobietami najróżniejszego autoramentu, z czym krył się przed żoną, a także przed cnotliwymi notablami gdańskimi, wśród których zażywał nieposzlakowanej opinii pod tym względem. Co prawda i między nimi, a zwłaszcza pośród młodszej ich generacji miał zaufanych kompanów, którzy potajemnie bywali na Holendrach, gdzie przy takich okazjach grano w karty i kości, pito i folgowano sobie w towarzystwie dziewcząt. Anna von Heltbark umiała to urządzić i za cichą zgodą Henryka potrafiła ciągnąć z tego procederu dość znaczne osobiste korzyści. Można było saufać jej dyskrecji i umiarkowaniu.

Z Henrykiem mówili sobie po imieniu na podstawie jakiegoś dalekiego pokrewieństwa czy też powinowactwa. Tylko podczas wizyt niektórych cudzoziemców frau Anna uchodziła za jego ciotkę, a wobec gdańskiego senatu i znaczniejszych obywateli – także za właścicielkę posiadłości na Holendrach.

W Gdańsku nie pamiętano jej skandalicznego prowadzenia się za młodych lat na wiejkopańskich dworach. Była znów zamożna, jak powszechnie mniemano, więc należało jej wiele wybaczyć, tym bardziej że nie mieszkała w mieś-

cie i nie podlegała formalnie tamtejszym prawom, przepisom i obyczajom.

Przyjeżdżała powozem zaprzężonym w parę rosłych koni, ze stangretem w samodziałowej kapocie i hajdukiem w kaftanie z tego samego materiału, często w towarzystwie gospodyni lub dziewczki służebnej. Odwiedzała kościoły, czyniła zakupy, spędzała wiele czasu na przymierzaniu nowych sukien, oglądała kryształ i porcelanę, wyroby złotnicze i jubilerskie, drogie futra, cienkie płótna flamandzkie i koloń-skiej weneckie koronki, zamorskie aksamity i jedwabie, targowała się o wina i likwory, o „korzenie” i owoce południowe dla uświetnienia stołu. Potem zajeżdżała do niektórych domów mieszczańskich, aby odebrać lichwiarskie długi od lekkomyślnych gdanszczanek lub w tajemnicy przed ich mę«żami i ojcami udzielić im nowych pożyczek na wysoki procent. Była dyskretna, ostrożna, wytworna i taktowna. Można było powierzyć jej załatwienie spraw najbardziej intymnych i delikatnych. Nie zawiodła się na jej poufnych usługach żadna para kochanków i żadna z ładnych kobiet lub dziewcząt, które zgrzeszywszy pod nieobecność męża czy też rodziców, pragnęły za wszelką cenę ukryć fatalne skutki takiego kroku, a potem pozbyć się ich po cichu.

W niektórych domach, zwłaszcza cudzoziemskich, przyjmowano ją z honorami, ponieważ znała świat, miała dworską ogładę, doskonałą prezencję i władała biegle obcymi językami. Imponowało to również wyższym urzędnikom królewskim, a także możnej szlachcie zjeżdżającej do Gdańska ze zbożem na doroczne jarmarki.

Gdy Henryk Schultz powrócił ze swej ostatniej podróży,

przywożąc sefioritę de Vizella, właśnie zaczynał się ów zjazd sierpniowy, spotęgowany jeszcze obecnością króla, który lada dzień miał wyruszyć ze swą „armadą” do Szwecji. W zamieszaniu i przy niebywałym napływie ludzi przybycie gdańskiego statku z Francji nie zwróciło szczególnej uwagi. Henryk wylądował prawie niepostrzeżenie i odwiózł Marię Franceskę do Anny von Heitbark, na Holendry.

Dwie kobiety – stara i młoda – zaprzyjaźniły się szybko. Mimo bardzo dużej różnicy wieku miały podobne upodobania, a śliczna sefiorita swym temperamentem i skłonnością do romansów przypominała Annie młodzieńcze lata. Frau Heitbark szczerze ją polubiła i zapragnęła przekazać jej całe swoje 'doświadczenie życiowe w stosunkach z mężczyznami, a trzeba przyznać, że trafiła na grunt wielce podatny.

Maria Francesca ze swej strony została oczarowana wesołością, dowcipem i ujmującym sposobem bycia tej niezwyklej towarzyski i przewodniczki. Nigdy dotąd nie miała przyjaciółki, z którą mogłaby stale obcować i która nie starałaby się z nią rywalizować. Tym chętniej otworzyła serce przed Anną, powierzając jej wszystkie swe troski, niepokoje i wątpliwości.

Gdańsk podobał się senoricie. Nie przypuszczała, że miasto jest tak bogate, piękne i ludne. Gwar, ruch, ścisk na ulicach i placach, różnojęzyczny barwny tłum przyjezdnych, sklepy pełne zamorskich towarów, wspaniałe poczty możnych panów, kapiące od złota ich stroje z diamentowymi guzami, z sobolowymi kołpakami i kitami czaplich piór, spiętych drogocennymi zekierami, port pełen statków, gospody i zajazdy kipiące wesołymi okrzykami ucztujących przy brzęku kielichów,

wystrojone mieszczki w oknach i na przed-prożach – wszystko to bawiło ją nadzwyczajnie i oszałamiało po trosze.

Przy okazji jakiegoś bankietu na Ratuszu przedstawiono jej kilku młodych dworzan i rycerzy z otoczenia króla. Był między nimi Łukasz Opaliński, pan na książęcej fortunie, oraz Stanisław Opacki, krewny Gamratów i Dzierzgowskich, spowinowacony z Anną von Hel (bark. Obaj potracili głowy dla pięknej señority i prześcigali się w okazywanych jej hoł-

dach, ona zaś pozwalała się uwielbiać, nie ulegając zresztą oorącym zapałom pierwszego, a darząc niejaką zachętą drugiego, któiy okazał się mniej śmiały. Była w swoim żywiole: bałamuciła obu, posługując się także innymi dla w\ wołania tym większej zazdrości i niepewności w sercach swych wielbicieli.

Henryk Schultz nie narzucał jej się ze swą zmysłową miłością. Rzadko kiedy mógł znaleźć czas na odwiedziny swej wiejskiej rezydencji, a jeśli się to zdarzało, przyjeżdżał w towarzystwie jakiegoś gościa, zwykle cudzoziemca, którego podejmował wystawnym obiadem, pragnąc go sobie zjednać lub popisać się przed nim pięknnością i wdziękiem Marii Fran-ceski oraz wytwornością i dowcipem Anny.

Nadal zresztą nie szczędził pieniędzy na zaspokojenie kapryków señority, co w znacznej mierze łagodziło niechęć czy też chłód, z jakim przyjmowała jego dorywcze pieśczęty.

W skryłości ducha tęskniła już za Martenem. Gdy królewska flota wojenna odpłynęła, a w kilka tygodni później, po św. Grzegorzu, skończył się jarmark i szlachta tłumnie opuściła Gdańsk wracając do swych siedzib, ta tęsknota w sercu Marii usadowiła się na

dobrze. Nie zdołały jej usunąć całkowicie ani wyjazdy do miasta z Anną, ani zaciekawienie rozlicznymi znajomościami i konszachtami przyjaciółki, ani rozrywki, które pani Heltbark wymyślała.

Jedynie przy hazardowej grze w karty Maria Francesca ożywiała się tak dalece, że zapominała o Martenie. Ta namiętność opanowywała ją coraz bardziej, ale szczęście jej nie sprzyjało. Parę razy przegrała dość znacznie do Gothar-da Wedecke, który był hafenmeisterem, czyli starszym nad strażnikami wodnymi portu i Latarni, oraz do Wilhelma Schultza, stryjecznego brata Henryka.

Przegrane gniewały ją. Nie chciała pogodzić się z takim wyrokiem losu. Uważała go za grubiański. ponieważ przy-

wykła, że we wszystkich innych sprawach ustępowano jej pierwszeństwa; była przecież piękna i młoda; obaj gdańscy bogacze – Gothard i Wilhelm – zalecali się do niej. Powinni byli przegrać, aby jej zrobić przyjemność. Tymczasem bezwstydnie zgarnęli pieniądze nie mrugnawszy nawet okiem.

–Nie licz na ich rycerskość w grze – powiedziała do niej

Anna z pobłażliwym uśmiechem. – Nie żądaj za wiele od losu,

który przecież w innych sprawach jest dla ciebie łaskawy. Trzeba mu raczej trochę dopomóc w tym przypadku.

–W jaki sposób? – spytała nadąsana sefiorita.

–• W bardzo prosty. Siadając do gry wybierz odpowiednie

miejsce przy stole.

–Skąd mogę wiedzieć z góry, na którym miejscu mi się powiedzie?

–Zawsze naprzeciw lustra – odrzekła niewinnie pani Heltbark. – Jeśli w nie ukradkiem spojrzysz, nie zobaczysz wprawdzie swojej ładnej buzi, ale prawdopodobnie dostrzeżesz karty pana Wedecke lub pana Schultza, zależnie od tego, który usiądzie naprzeciw ciebie. To ogromnie ułatwia wygraną...

Maria Francesca roześmiała się.

–Teraz rozumiem, dlaczego ty nie przegrywasz! Ale... skąd weźmiemy drugie lustro? – zapytała po chwili zastanowienia. – I czy to nie będzie nazbyt... nazbyt...

–Prostackie – dokończyła Anna. – Oczywiście! Jeżeli chcesz, nauczę cię jeszcze innych sposobów i będziemy grały do spółki. Trzeba tylko zachować pewne umiarkowanie. Zbytne szczęście w grze może wzbudzić słuszne podejrzenia.

–Jesteś bardzo mądra! – powiedziała Maria ze szczerym uznaniem. – Muszę się od ciebie nauczyć jeszcze bardzo wiele, aby ci dorównać.

„Zephyr” obciążony tylko balastem podniósł kotwicę w La Rochelle dziewiątego października i złożywszy należny salut okrętowi królewskiemu „Victoire”, wyszedł z zatoki na pełne morze niosąc na grotmaszcie gdańską banderę z dwoma równoramiennymi krzyżami uwieńczonymi ko-roną»

Trzynastego pod wieczór minął wyspę d'Ouessant u północno-zachodniego cypla Bretanii, prawie cztery doby walczył ze wzburzonymi falami La Manche, o świcie prześliznął się między Dovrem a Calais i dziewiętnastego zawinął do Scheveningen.

Był to niewielki port, lecz za nim w głębi lądu rozrastała się Haga, tonące w zieleni miasto pięknych pałaców i gmachów publicznych, ponad którymi wznosił się wspaniały czternastowieczny kościół Sw. Jakuba. Tak's Gravenhage, jak ją tu nazywano, budziła podziw i zazdrość mieszkańców innych prowincji, ale ów port... Nie było tam ani murowanych nabrzeży, ani falochronów, jak w Rotterdamie lub Brailli. „Zephyr^B stanął na redzie osłoniętej tylko podczas odpływu inulistą ławicą, na której załamywały się fale, a Marten przeklinał Schultza za wybór takiego miejsca załadunku. Kotwice pełzły w błocie po płytkim dnie, orząc w nim głębokie bruzdy, zdradliwa mielizna wyłaniała się na kilka godzin i znów zni- / kała pod wodą, okręt kołysał się i szarpał łańcuchami, jakby ostrzegał, że pierwszy lepszy sztorm czy nawet silniejszy wiatr mógłby go wyrzucić na brzeg.

Trzeba było opuścić szalupę i dostać się na ląd, aby odnaleźć agenta, który miał załatwić formalności i opłaty

za postój oraz dostarczyć zafradelowane towary, przewieźć je licitugami pod burtę „Zephyra” i załadować.

Marten obawiał się, że będzie z tym miał sporo zachodu, ale wbrew obawom nie napotkał żadnych trudności. Urzędnik portowy uprzedzony przez pilota oczekiwał go u stopni drewnianej przystani, rzucił okiem na certyfikat podpisany przez Henryka Schultza, kiwnął głową, jakby już o wszystkim wiedział, i wskazał mu dom, w którym mieściła się agencja handlowo-

spedycyjna i maklerska Ernesta Zandela.

Tam przyjęto Martena, jeśli nie jak dawnego znajomego i przyjaciela, to w każdym razie jak uprzywilejowanego klienta, któremu należy oszczędzić wszelkich kłopotów. Nazwisko Schultza sprawiało tyleż, co gdzie indziej sowite opłaty i napiwki, albo nawet więcej. Marten nie musiał się o nic troszczyć: zarówno transport kołowy do przystani, jak wodny do stojącego na kotwicy okrętu, załadowanie skrzyń i worków, ułożenie, wyważenie i zamocowanie ich przez sztaue* rów należały do agentów i spedytorów.

–Załatwimy to w ciągu dwóch dni – obiecał mu szef firmy. – Ale jeżeli potrzebujecie pieniędzy – dodał – mógłbym wam jeszcze dziś wypłacić zaliczkę na fracht.

Martenowi potrzebne były pieniądze, ponieważ prawie całą pożyczkę otrzymaną od Carotte'a zużył był w La Rochelle na konieczne zakupy. Wprawdzie „Zephyr” został dzięki temu zaopatrzony na dłuższy czas w prowiant i wszelkie materiały okrętowe, ale Haga słynęła z wyrobów jubilerskich, a zwłaszcza z pereł, na równi i Rotterdamem, on zaś pragnął przywieźć Marii jakiś upominek, aby nie uchodzić w jej oczach za biedaka.

Usłużny agent, posłyszawszy o perłach, pojechał z nim do miasta i zaofiarował mu się za przewodnika. Jego znajomości i bezinteresowne pośrednictwo nie tylko umożliwiły Martenowi kupno bardzo pięknej bramki sadzonej białymi perłami o niezrównanym blasku, lecz także zaoszczędziły rau

sporo złotych guldenów, ponieważ Holender utargował prawie trzecią część ceny. Wzbraniał się przed jakimkolwiek

wynagrodzeniem za tę przysługę, ale chętnie przyjął zaproszenie na obiad i zaprowadził Martena do podmiejskiej oberży w Bosch van Haag, gdzie – jak utrzymywał – można zjeść najlepszą w całych Niderlandach polędwicę wołową z różną.

Polędwica okazała się godna swej reputacji, a dobbel-kuyt, który do niej pili, przywiódł Martenowi na myśl dawno minione czasy i pierwszą młodzieńczą miłość w Antwerpii. Ten sentymentalny nastrój podnosiły rzewne to znów ogniste melodie wygrywane przez kwartet cygański w odległym kącie oberży. Zandel spostrzegł zadumę swego klienta i z wielkim poczuciem delikatności nie starał się bawić go rozmową. Dopiero w przerwie, gdy Cyganie odłożyli instrumenty, zapytał, czy ich muzyka mu się podobała.

Marten odpowiedział twierdząco i ożywił się. Spojrzał na kobietę, która grała na gitarze, a teraz obchodziła stoły zbierając datki. Miała na sobie czerwony stanik naszywany cekinami i przybrudzoną jaskrawą spódnicę w kwiaty. Jej wychudła, pomarszczona twarz o smutnych oczach i bardzo jasnej jak na Cygankę cerze wydała mu się znajoma, a raczej podobna do czyjejś znajomej twarzy sprzed lat. Nie mógł sobie przypomnieć, do czyjej, i nie zastanawiał się nad tym, bo to przelotne wrażenie zaledwie dotarło do jego świadomości.

Ale i ona go zauważyła; może dlatego, że poczuła na sobie jego wzrok, a może tylko dlatego, że siedział z Zandelem, który widocznie był tu częstym gościem. Podeszła do ich stołu i skinęła głową agentowi, a potem ujmując dłoń Marlana szepnęła pytająco:

w- Forebode, sir? Forebode your destiny? *

~~ Dlaczego mówisz do niego po angielsku? – zdziwił się Zandel.

–Bo Jest Anglikiem – odrzekła spokojnie, z wielką pewnością siebie.

Marten uśmiechnął się.

–Jeżeli twoje wróżby są równie prawdziwe jak to, że jestem Anglikiem... – zaczął, ale nie dokończył i nie cofnął ręki.

–Jesteś cudzoziemcem – poprawiła się spiesznie. -A Ale długo przebywałeś w Anglii. A także w innych krajach. Jesteś żeglarzem – mówiła teraz prędko. – Byłeś bardzo bogaty. Bardzo, bardzo bogaty! Teraz – oh! – już po raz drugi straciłeś niemal wszystko. Został ci tylko okręt.

–To już jest podobniejsze do prawdy – mruknął Marten.

–Twój okręt jest piękny i szybki jak wiatr – cią-?] gnęła dalej wpatrując się w linie jego dłoni. – Kochasz go bardziej, niż kochałeś kobiety... Może z wyjątkiem Jednej – dodała po chwili wahania. – Teraz masz przed sobą drogę. Drogę na wschód, bo twoja ukochana jest tam, daleko od ciebie, na wschodzie, na brzegu Wschodniego Morza. Ale nie powinieneś tam płynąć. Nic dobrego cię tam nie czeka. Twoja droga kończy się u bramy. Kończy się krwią. Dużo, dużo krwi u bramy...

–U jakiej bramy, do licha? – spytał, przejęty niespodzianym dreszczem.

–U bramy nad wodą – szepnęła cicho. – • Nie powiem ci nic

więcej. Lepiej o tym nie mówić. Daj mi guldena. Albo lepiej, nie! Nie wezmę nic od ciebie za taką wróżbę. Może się nie spełni, jeżeli mi nie zapłacisz... Daj mi zatem guldena tylko na pamiątkę. Nie wydam go. Możesz mi wierzyć... Daj mi pięknego, złotego guldena.

Marten patrzył na nią przenikliwie. Wydawała mu się trochę niespełna rozumu. Unikła jego wzroku, jakby się go bała. Jej przywiedłe usta drgały jak od powstrzymanego płaczu.

Wyjął złotą monetę i położył jej na dłom.

–Dziękuję za wróżbę, Gipsy Bride – powiedział, nie spuszczać oczu z jej twarzy. – Nie przypuszczałem, że cię kiedykolwiek spotkam.

Rzuciła mu przerażone spojrzenie i teraz upewnił się, że to ona, ta sama Gipsy Bride, która wystawiła go na pośmiewisko przyjaciół i znajomych kawalera de Vere w Dept-ford. Odjechała wówczas z Henrykiem de Vere własnym powozem Martena, powozem i czwórką koni, które Henryk wygrał w zakładzie o zwycięstwo lub porażkę swego psa walczącego z wilkiem.

To było przed jedenastu laty – pomyślał Marten. – Ani los, ani te lata nie obeszyły się z nią łaskawie.

Litował się nad nią, mimo iż wówczas opuściła go ha[^] niebnie, przyczyniwszy się uprzednio, do roztrwonienia jego fortuny. Ale bynajmniej nie pragnął zagłębiać się w tamtych wspomnieniach i

nie był ciekaw, jak to się stało, że znów znalazła się w położeniu podobnym do tego, w jakim ujrzał ją po raz pierwszy.

Dał jej jeszcze kilka guldenów i odwrócił się do Zandela, aby jakoś wytłumaczyć mu swoje postępowanie, ale Gipsy Bride chwyciła go za ramię.

–Nie jedź tam! – zawołała gwałtownie. – Tam jest twoja śmierć! Pamiętaj, co ci powiedziałam: zginiesz za królewską bramą!

–Ha, trudno! – odrzekł z niezupełnie szczerym uśmiechem. – Przecież jeżeli ta twoja brama okaże się dla mnie jedynym miejscem zdatnym do umierania, prędzej czy później będę musiał tam skończyć.

Gipsy chciała jeszcze coś dodać, a może przestrzec go przed czymś, ale tęgi oberżysta zaniepokojony tą sceną uznał za wskazane uwolnić swych gości od zbyt natarczywych, na-

gabywań i kazał jej odejść. Marten pośpieszył zapewnić go, że sam z własnej woli rozmawiał z Cyganką, ale nie próbował jej zatrzymać. Zapłacił za obiad i nie spojrzawszy *Ju%* nawet w stronę kapeli, wyszedł wraz z Zandelem, który ofiarował się odwieźć go do portu i odesłać swoją łodzią na okręt.

„Agencja handlowo-spedycyjna i maklerska” Ernesta Zandela wywiązała się bardzo sprawnie i punktualnie ze swych obowiązków. Balast „Zephyra” został wyładowany na jednomasztowe barki, które odpłynęły poza ławicę, aby tam

wyrzucić go w morze, po czym do okrętu podeszły dwie duże, płaskodenne lichtugi pełne skrzyń z porcelaną i worków z korzeniami. Dwudziestego pierwszego października załadunek został ukończony, dwaj piloci na swoich łodziach z pomocą szalupy Martena wyholowali okręt z mulistej redy i „Zephyr” pod wszystkimi żaglami ruszył w dalszą drogę na północny wschód, ku Skagerrakowi.

Podróż nie obfitowała w szczególne zdarzenia lub przygody. Tylko burzliwa jesienna pogoda, chłód i uporczywe wichry dawały się we znaki załodze przywykłej do łagodniejszego klimatu. Mimo to Marten był dobrej myśli. Cer? tyfikaty podpisane przez Schultza miały moc żelaznych glejtów wobec hanzeatyckich i duńskich okrętów strażniczych. Nigdzie nie rewidowano „Zephyra” i nie czyniono mu żadnych trudności. W ciągu sześciu dni żeglugi Marten minął Skagerrak i Kattegat, wszedł do Sundu i został bez przeszkód przepuszczony przez podwójny kordon floty wojennej Christiana IV pod Helsingór i Kopenhagą.

Znalazł się na Bałtyku po raz pierwszy od roku 1573, kiedy to w konwoju pod dowództwem kapitana Figenowa żeglował z ojcem, Mikołajem Kuną, do Francji, aby odprowadzić posła francuskiego Gelais de Lansaca. „Zephyr” był

jedynym okrętem, któremu udało się wówczas uniknąć zdradzieckiej zasadzki Duńczyków i ujść przez Sund na Morze Północne. Od tego czasu minęło dwadzieścia pięć lat i wiele zmieniło się na świecie, a także na Bałtyku, Dania była teraz niemal że sojuszniczką Rzeczypospolitej i udzielała azylu okrętom Zygmunta III walczącym ze szwedzkim uzurpatorem...

Co prawda wiadomości o tych walkach i o wyprawie do Szwecji

nie były pomyślnie. W Kopenhadze wiedziano już o porażce floty króla polskiego pod Stegeborgiem i o klęsce pod Stangebrom. Lecz Polska była bogata i potężna, o ileż potężniejsza i bogatsza od Szwecji! Marten ufał, że wojna skończy się zwycięsko, a on sam zdąży wziąć w niej udział i powetować sobie choćby część strat poniesionych ostatnio w służbie Henryka Dobrego.

Snuł już dalsze projekty i plany. Nie myślał bynajmniej pozostać na stałe w Polsce, nawet gdyby miały się spełnić nęcące obietnice Schultza; nawet gdyby go tu czekała wielka sława i admirałskie stanowisko w królewskiej flocie.

Maria Francesca z pewnością wkrótce uprzykrzy sobie monotony tryb życia w Gdańsku czy gdziekolwiek na lądzie. Zapraśnie znów przygód na szerokim świecie, na innych, ciepłych morzach, w nie znanych, egzotycznych krajach. Wtedy wyruszą razem, może do Indii Wschodnich, do Wysp Sundajskich i Moluków albo do Zatoki Perskiej, gdzie rodzą się najwspanialsze perły.

Perły... – przywiodło mu to na myśl klejnot zakupiony w Hadze. Obejrzał go raz jeszcze i przekonał się, że dzięki Zandelowi nabył go bardzo tanio. Perły były rzeczywiście nadzwyczaj piękne. Maria Francesca powinna być zachwycona takim niespodziewanym upominkiem. Znała się na klejnotach. Przepadała za nimi. Wyobrażał sobie, jak się ucieszy. Nie tylko z powodu pereł, oczywiście! To przymusowe rozstanie przedłużyło się ponad miarę. Zapewne tęskni

za nim, a biedny Schultz musi znosić jej zły humor i dąsy, których po części sam jest przyczyną.

Uśmiechnął się wyobrażając sobie kłopoty Henryka i jego nieszczęśliwą minę..

Nie ma złego, co by nie wyszło na dobre – pomyślał.

Znów z wdzięcznością wspomniął Ernesta Zandela. Ten agent Schultza bardzo mu się podobał. Można będzie na niego liczyć w przyszłości, zwłaszcza jeżeli „Zephyr” uda się do Indii Wschodnich, które admirałowie Houtman i War-wick pragną zdobyć dla Zjednoczonych Prowincji.

Co się tyczy ponurych przepowiedni Gipsy Bride, niewiele sobie z nich robił. Oczywiście poznała go od razu. Widocznie mało się zmienił w ciągu tych jedenastu lat; nie bardzo się postarzał. Dlatego tak trafnie „odgadła”, że jest żeglarzem, że był bardzo bogaty i że stracił fortunę. Pomyliła się tylko co do jego narodowości, zapewne zapomniała, że nie jest Anglikiem.

To, co mu powiedziała o jego najbliższych zamiarach i o „Zephyrze”, mogła posłyszeć przypadkowo bądź w Scheveningen, bądź nawet od Zandela, którego zapewne dobrze znała. Może Zandel sam zainscenizował ten drobny epizod, po prostu dla rozrywki? Tak czy owak nie mogło to przecież mieć żadnego znaczenia.

Z całej tej wróżby w podświadomości Martena utkwił tylko jeden wyraz, a raczej jego wyobrażenie: brama. W Jakiś sposób kojarzyło się to z gorączkowymi majaczeniami, które nawiedzały go podczas zmagania ze śmiercią po pojedynku z hrabią de Blanquefort. Było zagadkowe i niepokojące, jak przykry sen, który pozostawia po sobie uczucie niepojętej grozy.

Marten zapamiętał tę wizję: żałobny kondukt zakaptu-rzonych postaci w czerni, z zapalonymi gromnicami, zmierzający ku rozwartym wysokim wieżom w murze, i siebie na czele tej dziwacznej procesji, a potem bezbrzeżną

pustkę ogromnego dziedzińca brukowanego polnym kamieniem i krew, krew, krew...

Gniewało go, że jeszcze teraz podlega tym wspomnieniom. Wspomnieniom snów – niczym zabobonna mieszczka! Nie przywiązywał do nich żadnej wagi, podobnie jak do mętnych „przepowiedni” mających na celu wyłudzenie od niego paru guldenów.

Jakoż przed końcem podróży zapomniiał całkowicie zarówno o Gipsy Bride, jak o jej wróżbach.

Gdy „Zephyr” rzucił kotwicę na rozległej redzie gdańskiej i wywiesił białą flagę wzywającą pilota* cała załoga wyległa na pokład. Zaledwie kilku starszych bosmanów pamiętało ten port, a tylko Tomasz Pociecha, Herman Stauffil i Klops pochodzili z Polski i od początku służyli na „Ze° phyrze” pod rozkazami Mikołaja Kuny. Stefan Grabiński* który opuścił Gdańsk przed niespełna trzema laty, miał go w świeżej pamięci. On też wskazywał im widoczne z daleka wieże i szczyty budynków: Starej Latarni w Wisłoujściu, Żurawia i Baszty Łabędź nad Motławą, Baszt Stągiewnych, „Jacka”, Ratusza Głównomiejskiego oraz kościołów: Mariackiego, Sw. Katarzyny, Sw. Mikołaja i Sw. Trójcy, Był wzruszony i podniecony; miał przecież znów zobaczyć matkę⁵ upaść jej do kolan, uściskać ją i wreszcie spełnić to, o czym oboje marzyli: nabyć niewielki dom z ogrodem w pobliżu kościoła Sw. Barbary za Kamienną Groblą,

by już do końca życia miała własny dach nad głową.

Tymczasem od strony Latarni wypłynęła już mała, jednomasztowa barka i zmierzała ku „Zephyrowi”, aby wskazać mu drogę przez głębię pomiędzy ławicami piasku. Jej szyper, brodaty Kaszub, wymachiwał biało-czerwona chorągiewką na krótkiej żerdce, żądając w ten sposób potwierdzenia swego pierwszeństwa do pilotowania okrętu. Marten

kazał opuścić białą, a podnieść biało-czerwona flagę sygnałową, aby go w tym upewnić, po czym wachta Broera Worsta wyciągnęła kotwicę, postawiła kilka żagli i okręt wolno wykręcił ku wejściu do portu.

Szli za bałingerem * pilota wzdłuż południowo-wschodniego wybrzeża przez wyznaczony wiechami Ostfahrwasser aż ku Weichseltiefe, a potem, wyminąwszy kamienny obelisk z herbową flagą miasta, skręcili w lewo pomiędzy brzegi Martwej Wisły obmurowane wielkimi głazami i umocnione palami wbitymi w dno.

Koryto rzeki, a raczej kanał portowy o leniwym, ledwie dającym się zauważyć prądzie rozszerzał się o parę staj dalej, tam gdzie zaczynały się mury twierdzy i okalające 5ą głębokie fosy wypełnione wodą i gdzie pośrodku wznosiła się wieża z wielką latarnią, którą zapalano o zmroku.

Tu sprawował władzę pan hafenmeister, Gothard We-decke, a do czasu załatwienia formalności w Komorze Palo-wej tylko do tego miejsca docierały statki płynące do Gdańska od strony morza. Jeden ze strażników wodnych wyznaczał im czasowy postój przy lewym brzegu, na wprost twierdzy, po czym

szyprowie lub ich zastępcy udawali się do miasta, aby uiścić opłaty portowe.

Urząd Komory Palowej mieścił się w Ratuszu Główno-miejskim, na Długim Targu, a ogólną kontrolę nad prowadzeniem ksiąg i wymiarem opłat sprawowali trzej „panowie palowi”, podlegający królewskiemu komisarzowi polowemu, który w imieniu króla odbierał od nich przysięgę wierności.

W roku 1598 pełnił tę zaszczytną (i bardzo intratną) funkcję sędziwy Zygfryd Wedecke, ojciec Gotharda, a jednym z panów palowych był Wilhelm Schultz, brat stryjeczny Henryka.

Bezpośrednio załatwiali wszelkie formalności dwaj pisarze - starszy i młodszy. Oni to prowadzili księgi i sporządzali odpisy tzw. „ról”, czyli bardzo szczegółowych wykazów wszelkich towarów znajdujących się na statku. „Rolę” wypełniał szyper lub właściciel ładunku, dostarczał ją pisarzom i na jej podstawie opłacał „palowe” i cło od towarów na rzecz miasta oraz „zulagę” dla skarbu królewskiego, po czym uwierzytelniony odpis „roli” wracał do Starej Latarni. Tam z kolei następowała rewizja ładowni dla sprawdzenia zgodności danych przedstawionych przez szypra. Dokonywali jej rewidenci pana hafenmeistra, a on sam kontrolował pojemność statku, od której zależała wysokość opłat portowych.

Po zakończeniu wszystkich tych czynności jeden ze strażników wodnych zabierał podpisaną przez hafenmeistra „rolę” wraz z ewentualnymi poprawkami i uzupełnieniami, wchodził na pokład, a statek odcumowywał i żeglował ku Motławie, aby stanąć przy Długim Pobrzeżu w miejscu wyznaczonym na wyładunek.

Zanim jednak można było przystąpić do otwarcia luków i opróżnienia ładowni, szyper wraz ze strażnikami raz jeszcze musiał stawić się w Komorze Palowej i uzyskać tam odpowiednie zezwolenie, wydawane po stwierdzeniu zgodności odpisu „rol” z oryginałem, a jeśli odpis zawierał jakie-

kolwiek uzupełnienia rewidentów – dopiero po uiszczeniu dodatkowych opłat.

Taka procedura, dość uciążliwa dla kapitanów i ich armatorów, stwarzała sposobność do nadużyć, popełnianych głównie przez rewidentów (na mniejszą skalę) i przez samego hafenmeistra (na znacznie większą), zwłaszcza jeśli istniało w tych sprawach ciche porozumienie pomiędzy Latarnią a Komorą Palową. Szyper chętnie dzielił się różnicą w opłatach „palowego” i „zulagi” z Gothardem Wedecke, który sam określał ładowność statku i mógł jej ująć kilkanaście **lub kilkadziesiąt łasztów ze szkodą miasta i króla. Podobnie też zarabiali do spółki z szyperem komisarz królewski i panowie palowi, którzy mogli stosować wyższe lub niższe taryfy taksacyjne do cłonnych towarów lub nawet za pomocą sprytnych kombinacji w ogóle ich nie clić.**

Oczywiście przy tego rodzaju interesach należało zachować daleko posuniętą ostrożność, dyskrecję i umiar, zasady, którym – podobnie jak Anna von Heltbark – hołdowali również ojciec i syn Wedecke oraz Wilhelm Schultz i dwaj współurzędujący z nim panowie palowi.

Stefan Grabiński wiedział o tych szachrajstwach. Wiedział też, że nieliczni uczciwi kapitanowie, którzy nie chcieli w nich brać udziału, musieli wyczekiwać po kilka dni na zezwolenie wejścia

do portu. Sam nigdy dotąd nie miał bezpośrednio do czynienia z tymi sprawami, ponieważ przed zaokrętowaniem na „Zephyrze”, zanim został sternikiem, pływał na Bałtyku tylko jako bosman. Teraz cierpła na nim skóra z obawy, że Marten zleci mu załatwienie formalności i że będzie/ musiał wdać się w owe brudne i śliskie machinacje.

Po pewnym w*ahaniu powiedział mu o tym po prostu. Ale Marten, dzielając zresztą jego niechęć do przekupstwa, wcale nie zamierzał zajmować się" formalnościami, których przebieg zależał od Zygfryda i Gotharda Wedecków,

;- Niech się o to zatroszczy pan Henryk Schultz – zdecydował. – Znajdziesz go z pewnością albo w kantorze, albo w składach na Powroźniczej. Niech sam potrudzi się na Komorę Pałową, a także tutaj, do nas. Możesz wstąpić do pani matki, tylko nie ugrzęźnij tam na dobre – dodał z uśmiechem. – Pozdrów ją ode mnie.

Pan Zygfryd Wedecke miał lat siedemdziesiąt. W ciągu swego czynnego życia zdołał znacznie pomnożyć odziedziczony majątek oraz osiągnąć kolejno coraz wyższe stanowiska w zarządzie miejskim. Już w roku 1567 został rajcą i piastował ten urząd przez ćwierć wieku, zagarniając przez ten czas inne. Był panem pałowym, kapitanem Wasserbaili, zarządcą spichrzów i wreszcie królewskim komisarzem pałowym, Z biegiem czasu

drogą układów i zabiegów w Senacie przekazywał te stanowiska ludziom, którzy pochodzili, jak on sam, z patrycjuszowskich rodzin gdańskich, a przy tym mieli dość pieniędzy, aby mu się odpowiednio opłacić. Dla ukochanego jedyne go syna, Gotharda, zatrzymał urząd hafenmeistra i wyjednał mu oprócz tego zwierzchnictwo nad Starą Latarnią.

Nie zajmował się już teraz Komorą Palową. Zastępował go tam Wilhelm Schultz, przyjaciel Gotharda, któremu można było zaufać nawet w tak delikatnych sprawach, jak pobieranie łapówek i ich sprawiedliwy podział. Z nawyku jednak przesiadywał w Ratuszu, zagłębiony w wygodnym krześle z poręczami i wyściełanym siedzeniem, opuściwszy na piersi drżącą siwą głowę z opadniętą szczęką i nieruchomym, łzawym, jakby szklistym spojrzeniem wyblakłych oczu. Nadawało mu to wyraz skupienie i czyniło wrażenie,

iż jest pochłonięty jakimś ważnym problemem. W rzeczywistości Zygfyrd Wedecke nie rozwiązywał żadnych problemów i nawet o niczym nie rozmyślał. Po prostu trwał w kontemplacji ostatnich przeblysków swego życia.

Wiadomość o przybyciu „Zephyra” w pierwszej chwili; nie wywarła na nim najmniejszego wrażenia. Zdawało się, że powrót Jana Kuny nic go nie obchodzi. A Jednak i to nazwisko, i nazwa okrętu nie były mu obce. Zaczął je obracać w głowie, jakby im się

przyglądał ze wszystkich stron, aby je rozpoznać.

„Zephyr”? Tak. Wróciwszy z wielkim mozolem pamięcią w odległą przeszłość, ustalił, że był to okręt kaperski. Niezwykle piękny okręt. Tak, tak! Należał do Kuny. Ale nie do Jana, tylko do Mikołaja.

Teraz nagle ujrzał wszystko od razu, jakby na pierwszym planie, tuż przed oczyma, tak że nie mógł uchwycić właściwych proporcji i zależności między ludźmi i zdarzeniami. Porządkował z trudem ten skłócony obraz.

A więc, Mikołaj Kuna. Kaper gdański, a później królewski. Dowodził starą kogga „Czarny Gryf”, należąca do Gotlieba Schultza, który był ojcem Wilhelma i Rudolfa, a stryjem Henryka. Mikołaj był żonaty z Katarzyną Skó-rzanką, córką Wincentego, szkutnika z Elbląga czy też z Pasłęka, który zbudował „Zephyra” na swojej małej stoczni.

Katarzyna, podobnie jak jej matka niegdyś spalona na stosie, uchodziła za znachorkę i czarownicę. Miała z Mikołajem Kuną dwóch synów: Karola i Jana. Starszy z nich, Karol, był truxmanem na „Czarnym Gryfie”.

Tak, tak... Działo się to wszystko jeszcze za panowania Zygmunta Augusta, za czasów burmistrzów: Ferbera i Proj-tego, chyba w roku 1568; wkrótce po tym, jak on, Zygfyrd Wedecke, objął urząd rajcy.

Kilkunastu truxmanów admirała Sharpinga dopuściło się wówczas rabunku na folwarcznych woźnicach, którzy wie-

żli do Gdańska drób, Jaja, masło i sery, a między innymi został uszkodzony także wóz z folwarku pana Wedecke. Gągle były kłopoty z tymi kaprami...

Ale tym razem schwytano winnych. I – za sprawą rajcy Zygryda Wedecke – ukarano ich przykładnie: śmiercią. Spadło tam Jedenaście głów. Między nimi głowa Karola Kuny.

Później, pewnie w roku 1573, podczas bezkrólewia, stary Mikołaj Kuna i niejaki Wolf Munkenbek – obaj kapitanowie kapersey ~ zostali zatrzymani w Gdańsku ze swymi okrętami. Kuna dowodził już wtedy „Zephyrem”, a Zygryd Wedecke był zarządcą Wasserbaili. Kazał ich aresztować, ponieważ napadali statki duńskie, na czym cierpiał spokojny handel morski. I wówczas okazało się, że Katarzyna Kuna istotnie jest czarownicą: ona to wywołała dwa wielkie pożary w porcie, aby ułatwić kaprom ucieczkę do Diamentu. Przyznała się do tego na torturach, po czym wyzionęła ducha. Pewien pobożny zakonnik widział, jak porwali ją diabli i przeniknąwszy przez mury lochu unieśli, zapewne do piekła. Mikołaj Kuna i jego młodszy syn poprzysięgli zemstę panu Wedecke; wiedział o tym, bo ostrzegali go przyjaciele i krewni. Lecz nie dbał o te groźby. Czuł się w Gdańsku bez-pieczny, oni zaś najpierw błakali się ze swym okrętem pomiędzy Parnawą a Diamentem na wodach inflanckich,¹ a wreszcie wyruszyli pod wodzą Figenowa do Francji.

Od tego czasu minęło dwadzieścia pięć lat. Pan Zygryd Wedecke słyszał, że Mikołaj Kuna zginął w bitwie z Hiszpanami u południowo-wschodnich wybrzeży Anglii, a Jego syn pożeglował do Indii Zachodnich. Nie warto było zaprzętać sobie

nim głowy i cała ta sprawa utonęłaby w niepamięci, gdyby w Gdańsku nie pojawił się znowu bratanek Gotlieba Schultza, Henryk. Wrócił do rodzinnego miasta bodaj że w roku 1586

i wkrótce rozpoczął ożywioną działalność handlową. Nie był już tylko ubogim krewnym spadkobierców Gotlieba. Zdobył za morzem wcale pokaźny kapitał, a po kilku latach stał się jednym z najbogatszych kupców i bankierów gdańskich. Początek tej fortuny zawdzięcza! niezwykłemu powodzeniu w wyprawach korsarskich pod dowództwem Jana Kuny, z czego zresztą nie robił tajemnicy. Ponieważ pochodził ze znanej rodziny, dopuszczono go bez trudności do najwyższych sfer towarzyskich. Wreszcie ożenił się bardzo bogato i zaczął wywierać dominujący wpływ także na politykę Senatu.

Od niego właśnie pan Zygfryd Wedecke dowiedział się o przybyciu „Zephyra”, a uporządkowawszy w pamięci wszystko, co dotyczyło Jana Kuny, zapragnął uzyskać jeszcze inne informacje o tym „chłopcu”, jak go sobie wyobrażał, nie uwzględniając upływu lat.

Uzyskał je. I poczuł się zagrożony. Ogarnął go lęk przed groźnym, niepohamowanym korsarzem, o którym Henryk Schultz wyrażał się z mieszaniną pobłażania, zawiści i podziwu, opisując go jako romantycznego awanturnika.

Potrafił go omotać i ciągnąć korzyści nawet z Jego wad, to prawda. Przechwalał się tym, szydził z Jego naiwności, gorszył się rozrzutnością, wyśmiewał nieudolność w interesach, ale ufał w Jego niesłychane szczęście i mimo woli podziwiał zuchwałą odwagę. Jednak z całej tej relacji przebijała obawa, Obawa, którą podzielał stary Wedecke, pomny krzywd, jakie za Jego sprawą

wyrządzono Mikołajowi Kunie.

–Po co go tu sprowadziłeś? – zapytał wpatrując się w Henryka.

•- Jest mi potrzebny – odrzekł Schultz. – I on, i jego okręt.

Zygfyrd Wedecke milczał przez chwilę, a potem pokiwał głową. Wywnioskował z tej lakonicznej odpowiedzi, że ostrożny, a zarazem przebiegły gracz, za jakiego uważał

Henryka Schultza, nie zdradzi mu swych planów. Pomyślał, że mogą to być zamiary bardzo śmiałe i hazardowe. Od pewnego czasu podejrzewał, że Schultz knuje coś ze starostą puckim, panem Janem Weyherem. Coś, czego nie potrafi! odgadnąć i przeniknąć, ale co mogło zagrażać nawet władzy Senatu, a także interesom kupiectwa.

Schultzowi nie można było niczego dowieść lub choćby zarzucić. Jeśli istotnie działał i spiskował, czynił to nader przezornie. A jednak...

Na co mu jest potrzebny Jan Kuna? – zastanawiał się Zygfryd Wedecke. – Do czego chce go użyć? Czy nie knuje wrogich zamysłów przeciw mnie i Gothardowi?

Nie lękał się o swoje życie, niewiele mu już pozostało. Ale Gothard! Jedyny syn, duma i podpora jego starości..., Czy nie jest możliwe – ba, więcej! – czy nie jest prawdopodobne, że ów korsarz przybył pomścić śmierć brata i matki?

Gothard śmiał się z tych obaw. Schultz, nawet wspólnie z panem Weyherem i przy pomocy Jana Kuny, nie mógłby wywrócić raz

na zawsze ustalonego porządku gdańskiej społeczności. Jeśliby chciał sięgnąć po władzę w Radzie, zapewne by ją otrzymał. Nie potrzebował używać do tego celu ani gwałtu, ani gróźb, a już najmniej „Zephyra” i Jego kapitana. Może miał na względzie utworzenie własnej flotyli kaperskiej, a Martena upatrzył sobie na jej dowódcę i o tym pertraktował z panem Weyherem? A może po prostu zamierzał kupić ów zgrabny i szybki okręt, aby sprowadzać na nim cenniejsze Sowary wprost z ich odległych źródeł?

Go się tyczy zemsty ze strony samego Jana Kuny* to czyżby czekał z jej dopełnieniem aż dwadzieścia pięć czy też trzydzieści lat?! Po takim okresie największe urazy i krzywdy idą w zapomnienie. Ich żar wygasa jak ognisko nie podsycane świeżym paliwem. Gdyby Marten chciał się mścić, przybyłby do Gdańska o wiele wcześniej. Miał po

temu sposobność choćby w roku 1577, gdy król Stefan Batory toczył wojnę z Gdańskiem i oblegał Starą Latarnię.

—• Rozmawiałem z nim na pokładzie jego okrętu – powiedział Gothard do ojca. – Jest dość mrukliwy i dumny, ale nie zdaje się, aby miał wobec nas jakieś złe zamiary. Nie wygląda ani na człowieka niespełna rozumu, ani na skrytobójcę. O Henryku mówi jakby z lekką ironią. Wątpię, czy; tak bardzo mu ulega, jak Schultz to przedstawia. Interesuje się przede wszystkim sprawą wojny ze Szwecją i myślę, że przybył tu po to, aby w niej wziąć udział jako kaper królewski.

Mówiąc ojcu, że Jan Kuna. nie wygląda na pomyłonego czy też niespełna rozumu, Gothard Wedecke zataił pewien drobny szczegół swojej rozmowy z kapitanem „Ze-phyra”. Szczegół,

który go zastanowił i nawet w pierwszej chwili obudził w nim przelotną wątpliwość, czy aby Marten jest przy zupełnie zdrowych zmysłach. Mianowicie gdy mu wyznaczył na wyładunek jedno z najdogodniejszych miejsc przy Długim Pobrzeżu, tuż u wylotu Długiego Targu zamkniętego Zieloną Bramą, Marten zachnął się i spioru-nował go wzrokiem, po czym gniewnie oświadczył, że nie chce nawet słyszeć o Zielonej Bramie i nie myśli zacumować okrętu w jej sąsiedztwie. Ten jego niezrozumiały wybuch minął zresztą prędko, ale tak czy owale hafenmeister nie zdołał go przekonać o swych najlepszych intencjach i w końcu, wzruszywszy ramionami, dał temu pokój.

W rezultacie „Zephyr”- stanął pomiędzy Żurawiem a Świętojańską, ku wielkiemu niezadowoleniu Henryka Schultza, do którego składów na ulicy Powroźniczej było stąd znacznie dalej niż od Zielonej Bramy.

Marten czuł się niemal zupełnie szczęśliwy. Powitanie z Marią Franceską i pierwsze dwa dni spędzone z nią we dworze na Holendrach nie zawiodły jego nadziei, a perły, które przywiózł, wzbudziły szczery jej zachwyt. Tęskniła za nim, to pewne, a teraz oboje nie mogli dość nacieszyć się sobą.

Ani Schultz, ani jego „ciotka” nie zakłócali tej sielanki. Pani von Heltbark usunęła się do Gdańska, gdzie miała rozliczne interesy, a Henryk, pożerany zazdrością, załatwiał sprawy „Zephyra” i listów kaperskich dla jego kapitana, pragnąc jak najprędzej wyprawić go znów na morze.

Wśród namiętnych uniesień nie uszły jednak uwagi Martena pewne szczegóły i symptomy, które go dziwiły, a także niepokoiły po trosze. Tak na przykład odkrył przypadkiem, że oprócz

sypialni zajmowanych przez Marię i panią Heltbark na piętrze są jeszcze trzy inne mniejsze pokoje z szerokimi łóżami, zwierciadłami i ze sprzętami, których zwykle używają kobiety. Wiedział, że zarówno Leonia, jak reszta służby mieszka w oficynach. Zresztą kosztowne urządzenie tych alkierzy zaprzeczało takiemu ich przeznaczeniu. Dla kogo więc były przygotowane?

Gdy o to zapytał, Maria Francesca wzruszyła ramionami.

–Na piętrze są pokoje gościnne – powiedziała. – Czasem nocuje tam Henryk, czasem ktoś z jego przyjaciół.

Ta odpowiedź nie zadowoliła Martena. Sypialnia Henryka i dwie przylegające do niej izby miały zgoła inny charakter i znajdowały się w przeciwnej stronie domu. Czyżby Maria nie wiedziała o tym?

–Cóż mnie to obchodzi! – odrzekła z lekkim zniecierpliwieniem. – Nie jestem tu gospodynią. Rozmieszczaniem gości zajmuje się Anna. Może tamte pokoje w ogóle teraz nie są używane.

Marten uśmiechnął się.

~ Dawniej były – zauważył. – Wygląda na to, że nasz cnotliwy Henryk miał tu mały haremik.

–Och, nie sądzę – bąknęła niechętnie, wydymając usta, po

czym zaczęła mówić o czym innym, jakby ten temat ją drażnił.

Marten bynajmniej się przy nim nie upierał, lecz tego samego dnia mimo woli poczynił jeszcze inne drobne odkrycia, które utwierdziły go w mniemaniu, że Henryk Schultz nie był ani tak bardzo cnotliwy, ani też nie oddawał się wyłącznie gromadzeniu pieniędzy, jak można było przypuszczać znając go dawniej. Przeciwnie: używał tu widocznie zarówno rozkoszy stołu i łoża, jak innych przyjemności doczesnych, na co zdawały się wskazywać dobrze zaopatrzone piwnice, stosy butelek po winie i likworach, talie zużytych i zapasy nowych kart do gry, a także zwietrzała, lecz jeszcze uchwytna woń pachnideł, wody różanej i pudru, unosząca się w owych alkierzach na piętrze.

Gdy znów o tym wspomniał w żartobliwy sposób, Maria Francesca rozgniewała się.

Gzy chciałby ją zamknąć w klasztorze i odmówić jej wszelkich rozrywek? Czy miała wdziać zakonny habit i odmawiać zdrowaśki, w czasie gdy Henryka odwiedzali jego znajomi i przyjaciele? Nie mieszkała tu przecież sama! Anna – dama dworska królowej Bony! – również brała udział w przyjęciach i niewinnych zabawach, jakie się tu odbywały. Anna grywała też w monte, w pikietę i w pamfila; jeździła z nią razem do Gdańska, towarzyszyła jej wszędzie i zawsze, opiekowała się nią jak starsza siostra albo jak przybrana matka. Obecność Anny, jej przyjaźń i doświadczenie, a także pokrewieństwo z Henrykiem Schultzem stanowiły chyba dostateczną rękojmię dobrych obyczajów na Holendrach.

–Ależ wcale w to nie wątpię! – wykrzyknął Marten. –

Muszę przyznać., że Henryk okazał się o wiele bardziej bezinteresowny, niż przypuszczałem. Jestem mu doprawdy wdzięczny za wszystko, co dla nas uczynił, a ty powinna być także podziękować mu od siebie.

Maria Francesca popatrzyła na niego z nieprzeniknionym uśmiechem.

–Myślę – powiedziała jakby na pół do siebie – że otrzymywał wystarczające dowody mojej wdzięczności.

W ciągu drugiej połowy listopada i pierwszych dni grudnia cieśle, skutnicy, powroźnicy, smolarze i kowale z Brabancji i z Lastadii mieli pełne ręce roboty przy naprawie królewskich i kaperskich okrętów, które powróciły ze Szwecji. Rotmistrz Władysław Bekesz, wprawdzie nie marynarz, ale człowiek rozumny i energiczny, sam pilnował tej pracy wspomagany radą i pomocą starosty puckiego, pana Jana Weyhera. Żądał pośpiechu, więc stuk siekier, jęk młotów, chrobot pił i zgrzyt żelaza od świtu do nocy rozlegały się nad Motławą, a szóstego grudnia, w sam dzień świętego Mikołaja, dwa statki transportowe i trzy okręty spłynęły Wisłą i gotowe do drogi stanęły na ankrach* w głębokiej fosie Starej Latarni.

Tegoż dnia przyłączył się do nich „Zephyr” wyposażony w królewski list kaperski wystawiony na nazwisko Jana Kuny, zwanego kawalerem de Marten, którego francuskie szlachectwo

uznawał i potwierdzał. Wieczorem pan Bekesz przysłał po Martena szalupę i zaprosił go na swój flagowy okręt „Vulture”, aby wraz z kapitanem Haienem ułożyć plan działania.

„Vulture” była to duża angielska fregata handlowa, która została przerobiona w Elblągu na okręt wojenny. Kosztem zmniejszenia bardzo pojemnych, przestronnych ładowni dodano jej pokład artyleryjski i uzbrojono w trzydzieści dwa działa sprowadzone z Torunia. Jej dawny kapitan po bitwie pod Stangebrosz uciekł z częścią załogi do Karola Sudermańskiego, a Gierd Haien, który w owej rozprawie stracił swój holc, niemal-bez rozlewu krwi opanował fregatę i w nagrodę za ten czyn stał się jej dowódcą.

ów Haien był to człek olbrzymiego wzrostu i niedźwiedziej siły. Pochodził z Inflanct i na swoim holku miał pięćdziesięciu tamtejszych matrosów, którzy uzupełnili załogę angielskiego „Sępa”, jak odtąd go przezwano za zgodą nowego kapitana.

Tych pięćdziesięciu ludzi pod wodzą Gierda Haiena utrzymywało w ryzach niezbyt pewną resztę – około stu siedemdziesięciu Anglików, Szkotów, Niemców i Holendrów,” a sam Gierd budził w nich postrach brutalnością i nadludzką siłą, którą chętnie się popisował.

Miał jasne włosy i takiż zarost, który golił na policzkach, pozostawiając go tylko na dolnej stronie szczęki od; ucha do ucha. Bładoniebieskie jego oczy patrzyły zimno i nieruchomo jak głązy, a zacięte usta i rysy twarzy, o białej, lekko zaróżowionej cerze, wyrażały nieustraszoną od-.wagę i chłodny spokój.

Rotmistrz Bekesz był jego przeciwieństwem. Miał twarz j pogodną, usta skore do uśmiechu, a oczy ciemne, żarzące

się jak węgle. Mówił żywo, nieco z cudzoziemska, ponieważ pochodził z Węgier i dopiero w roku 1593 został przypuszczony do indygenatu polskiego. Nosił się też z węgierska, bogato i strojnie, jak jaki królewicz. Istotnie zresztą omal nie został królewiczem, bo jego ojciec, Kacper Bekessy de Korniat, był niegdyś współzawodnikiem Batorego do tronu siedmiogrodzkiego. Mimo to pan Władysław ani się puszył, ani wywyższał nad innych, a Martenowi od początku okazywał szczególną przychylność.

Spotkawszy go przy trapie, wyciągnął ku niemu obie ręce i powitał jak przyjaciela, po czym dokonał prezentacji pomiędzy nim a Haienem, dodając kilka pochlebnych zdań o każdym z nich. Kapitanowie patrzyli na siebie nieco spode łba, jakby wahając się przed podaniem sobie dłoni, lecz w końcu uczynili to zupełnie jednocześnie, przy czym Marten doznał wrażenia, że bierze do ręki ciepły bochen chleba, który nagle zamienia się w żelazne imadło. Musiał wyteńczyć całą siłę mięśni, aby odpowiedzieć uściskiem na uścisk zdolny zgruchotać palce słabszego mężczyzny. Na swoje szczęście zdołał objąć ogromną mięsistą łapę Gierda równie mocno jak tamten jego suchą, węższą, lecz za to dłuższą dłoń, i nie zmieniając wyrazu twarzy ścisnąć ją tak, że Haien szybko zamrugał swymi kamiennymi oczyma o białych rzęsach.

Bekesz natychmiast zauważył ten długi, tylko z pozoru serdeczny uścisk oraz wrażenie, jakie siła Martena wywarła na Inflantczyku.

Trafiła kosa na kamień – pomyślał i uśmiechnął się gładząc zwisającego wąsa. – Nie chciałbym dostać w pysk od żadnego z was – powiedział głośno.

Marten roześmiał się, ale Gierd wydawał się nieco zgorszony.

~ Uchowaj Boże – mruknął – abym ja coś takiego...

–Niech was to nie trapi, panie Haien ~L uspokoił go

rotmistrz, – Spodziewam się po was zgoła innych czynów, i to nie contra mojej personie.

Weszli wszyscy trzej do przestronnej izby w tylnym kasztelu i zasiedli przy okrągłym dębowym stole, na którym niebawem pojawiły się pucharki i odstale węgierskie wino. Gierd Haien, który znał cały Bałtyk nie gorzej chyba niż pokład swego okrętu, wezwany przez Bekesza obznajmił Martena z sytuacją pod Kalmarem.

Mury zamku zbudowanego na skalnych upłazach wysepki Quarnholm wznosiły się nad samą wodą niewielkiej zatoki, a działa ustawione w wieżach i na blankach panowały nad nią broniąc wejścia z cieśniny, oddzielającej wyspę Oland od brzegów stałego lądu. Miasto, również otoczone murami, z barbakanem i z trzema mniejszymi wieżami, łączył z zamkiem most zwodzony. Dwa inne, dłuższe mosty, dobrze oszańcowane, ze środkowymi przęsłami podnoszonymi na łańcuchach za pomocą kołowrotów, przerzucone były nad wstęgą wody opasującą zewsząd Quarnholm. Twierdza uchodziła za niezdobytą; można ją było wziąć tylko głodem, stosując bardzo ścisłe oblężenie lądowe i blokadę morską.

Cieśnina Kalmarska była głęboka, lecz wąska – najwęższa właśnie w pobliżu Kalmaru, gdzie odległość pomiędzy brzegami nie sięgała trzech mil. Żegluga nastęrczała tam sporo trudności,

zwłaszcza w strefie północno-zachodniej, najeżonej Bcherami *. Wyspa Dland, długa na siedemdziesiąt mil, a tylko na dziesięć szeroka, osłaniała Ją wprawdzie od wschodu, więc tylko północne sztormy mogły wtargnąć w tę wąską gardziel, ale poszarpane, skaliste wybrzeże, mgły i zmienne porywiste wiatry stwarzały wiele niebezpiecznych niespodzianek dla obcych żeglarzy. Marten tylko raz w życiu, jako młody chłopiec pod dowództwem Mikołaja Kuny, przebył ową cieśninę. Mniemał jednak, iż nadzwyczajna pamięć, jaką był obdarzony* wystarczy mu za przewodnika w braku map i szczegółowych opisów. Ciekaw był natomiast szwedzkich sił morskich i ich rozmieszczenia między Bornholmem i Gotlandia a brzegami Danii i Szwecji. O tym jednak ani Haien, ani Bekesz nie wiedzieli nic pewnego. Można tylko było przypuszczać, że flota Sudermańczyka nie jest obecnie zbyt liczna i że większość jej okrętów przebywa w północnej części Cieśniny Kalmarskiej, mając tam stosunkowo dogodne schronienie w zatoce Oskarshamn.

–Bardzo pięknie -' powiedział Marten – ale jeżeli oni blokują Kalmar, to przecież muszą stale przechodzić także na południową stronę cieśniny, przynajmniej do Forn-hamnsudde?

–Przechodzą – mruknął Gierd. – Kręcą się nawet koło

Bornholmu, a także między Gotlandia a stałym lądem, a jakże

Marten spojrzał na niego, a potem przeniósł wzrok na Bekesza.

–W takim razie dostęp do Kalmaru trzeba zdobywać siłą? – zapytał.

Rotmistrz uniósł brwi w górę z wyrazem powątpiewania czy też

wahania.

.– Niekoniecznie – odrzekł po chwili. – Pojedynczy okręt może się prześliznąć, zwłaszcza mając wiatr po sobie, od południa. Jeżeli dojdzie do zatoki pod zamek, jest już bezpieczny, bo osłoni go ogień dział z murów twierdzy. Ale w sześć okrętów...

–Właśnie! – przytwierdził Haien. – W tym sęk...

Marten rozumiał to doskonale. Niepodobna nie dostrzec

sześciu żaglowców lawirujących między Gdańskiem a Szwecją...

W wąskiej cieśninie w pobliżu Kalmaru parę dobrze uzbrojonych okrętów mogło bronić przystępu całej flocie. Poza tym zarówno brzeg lądu stałego, jak i zachodnie wybrzeże wyspy Oland obfitowały w głębokie zatoki, bardzo dogodne dla blokady. Można w nich było urządzić niejedną zasadzkę; można było przepuścić transport z zaopatrzeniem dla Kalmaru, a następnie wziąć go we dwa ognie i zniszczyć paru salwami w ciągu niewielu minut.

Pan Bekesz myślał zapewne o tym samym, bo po chwili milczenia rzekł:

–Trzeba by tam wejść od duńskiej strony, bo cieśnina od południa jest szersza i do Kalmaru o dobre dziesięć mil bliżej. Ale płynąć nie kupą, tylko wysyłając przodem jeden czy dwa okręty, aby się nie dać zaskoczyć. Cóż o tym myślicie? – spytał zwracając się do Martena. – Macie w tych sprawach więcej doświadczenia niż ktokolwiek, więc wasza rada będzie tu chyba najmądrzejsza.

Marten nie był obojętny na pochlebstwa; jego próżność została mile pogłaskana, lecz nie chcąc wydać się zarozumiałym, odpowiedział oględnie, że plan jest w zasadzie dobry.

–Jednakże – dodał – nawet tak przedsięwzięte

ostrożności nie zapewnią dotarcia transportu do Kalmaru, jeśli w

drodze napotkamy silny opór. Co gorsza, gdyby nawet Stolpemu

nie udało się nas powstrzymać od wejścia do zatoki, to z całą

pewnością będzie przy niej warował jak pies, aby nam

uniemożliwić powrót. Dlatego – mówił dalej -i trzeba myśleć

raczej o ataku niż obronie. Można by na przykład uprzedzić

Szwedów i zwabić ich w pułapkę, zamiast unikać ich zasadzek,

–Mamy tylko cztery okręty – zauważył Haien.

–A spośród nich tylko „Sęp” ma trzydzieści dwa działa – dodał

Bekesz. – Nasze dwa holki – „Dawid

i „Emma” – niosą po sześć lekkich armat; to razem czterdzieści cztery...

–„Zephyr” ma ich dwadzieścia, to w sumie sześćdziesiąt cztery – uzupełnił Marten. – Wcale nieźle – uśmiechnął się pod wąsem.

–Wcale nieźle, póki będziemy w kupie – mruknął Gierd Haien.

–To prawda – odrzekł Marten. – Ale najpierw musimy się rozdzielić, a dopiero później uderzyć razem, z dwu stron: od południa i od północy.

–Jakże to myślicie zrobić? – zapytał Haien, trochę już zniecierpliwiony.

Marten ożywił się. Dopiero teraz ogólny plan taktyczny zarysował się wyraźnie w jego umyśle.

Na południowym wybrzeżu Blekinge, o dwadzieścia mil od wejścia do Cieśniny Kalmarskiej, była Karlskrona, duńska twierdza z portem wojennym, w którym mała polska flotylla mogła znaleźć kilkudniowe schronienie. Postój okrętów pana Bekesza w tym porcie z pewnością nie uszedłby uwagi wiceadmirała Stolpego, dowódcy szwedzkiej blokady Kalmaru, a co za tym idzie' jego flota zajęłaby stanowiska obronne w cieśninie z pewnością pomiędzy jej południowym wejściem a Kalmarem. Peer Stolpe był oczywiście dość przezorny, aby pozostawić jakiś odwód również na północ od oblężonego miasta i, być może, także w okolicach Bornholmu, a nawet Gotlandu. Ale nie mógł zbyt rozpraszać swych sił, więc jego działania z dala od cieśniny miałyby charakter raczej zwiadowczy, o dość ograniczonym zasięgu. Marten proponował, aby dwa statki transportowe pod eskortą „Sępa” i obu holców z zachowaniem wszelkich ostrożności weszły w umówionym dniu do Cieśniny Kalmarskiej od południa i jak najspieszniej podążyły na północ, do Kalmaru. Tymczasem „Zephyr” opłynąłby wyspę Yland od wschodu i północy, aby dostać się na tyły szwedzkiej eskadry, i zaatakowałby ją z nienacka. Huk dział stanowiłby sygnał do ataku również dla „Sępa” oraz dla „Emmy” i „Dawida”, a Szwedzi, znalazłszy się w potrzasku, musieliby prawdopodobnie ulec.

Gdyby nawet los bitwy pozostał w tych okolicznościach nie rozstrzygnięty lub miał się obrócić na niekorzyść polskiej eskorty (w co Marten wątpił), to i tak oba statki transportowe miałyby dość czasu na wejście do zatoki i schronienie się pod osłonę dział zamkowych. Tym sposobem główny cel wyprawy – dostarczenie zapasów załodze Kalmaru – zostałby osiągnięty, co się zaś tyczy okrętów eskortowych, mogłyby one wycofać się bądź na północ, bądź na południe i powrócić do Gdańska.

Bekesz słuchał tego wywodu w napięciu, ze zmarszczonymi brwiami i błyszczącymi oczyma, a w miarę jak przebieg opisywanych przez Martena działań przesuwiał mu się przed oczyma wyobraźni, jego twarz zdawała się rozjaśniać. W końcu nie wytrzymał, trzasnął dłonią w stół, zerwał się z krzesła, które z hałasem upadło na podłogę, i chwyciwszy sławnego korsarza za szyję, ucałował go w oba policzki.

–Niech mnie obedrą ze skóry! – r zawołał. •- Niech mnie uczynią mnichem, jeżeli to nie Jest plan godny Cezara! Czemuż cię nie było wśród nas, panie bracie, gdyśmy pod Stegeborgiem Szweda wojowali?

–Nie wiem, czybym tam miał takiego dowódcę jak wasza miłość – odrzekł Marten. – Nie każdy potrafi poznać się na dobrej radzie, a choćby Jej wysłuchać Jak wy. Skoro się wam ten mój plan z grubsza podoba, moglibyśmy zaraz omówić i ustalić jego szczegóły.

–I modyfikacje na wszelki wypadek – wtrącił zgryźliwie

Gierd Haien. – Co na przykład wypadnie nam czynić, jeżeli

Peer Stolpe zaraz na początku bitwy albo Jeszcze wcześniej
wyśle

„Zephyra” na dno morza? Bo przecież stamtąd kapitan Marten
nie

udzieli nam już żadnej mądrej rady! – c Ale wtedy wy
pozostaniecie na powierzchni i z pew-

nością wymyślicie coś mądrzejszego – odpalił Marten. ~ Możecie
to zresztą zrobić i teraz – dodał mniej zapalczywie. – Jeśli dobrze
zrozumiałem, mamy się naradzić wspólnie.

Haien z lodowatym spokojem powoli skinął głową. Jego ciężkie,
nieruchome spojrzenie osunęło się po twarzy Martena i padło na
duży zwój pergaminu, który leżał przed nim na stole. Rozwinął
go i podsunął Martenowi. Była to piękna, ręcznie malowana kopia
geograficznej karty morskiej Gerharda Kremera * przezywanego
z łacińska Merca-torem. Znakomity kosmograf księcia Jttlicha
von Duisburg wyobraził na niej całą środkową część Morza
Wschodniego, czyli Bałtyku, od Wysp Alandzkich i południowych
wybrzeży Finlandii po Prusy i Pomorze oraz od zatoki Hand i
Sztokholmu po brzegi kurlandzkie i estońskie. Gdańsk, Puck i
Kołobrzeg, Karlskrone, Kalmar i Sztokholm, wyspy Bornholm,
Dland i Gotland, cała wielka arena przyszłych działań morskich
leżała przed Martenem jak na dłoni.

–Czegoś takiego jeszcze w Życiu nie widziałem! – wyrzekł z
podziwem. ~ Wszystko się tu zgadza i niczego nie brakuje.

–Chyba tylko okrętów Stolpego – uśmiechnął się Be-kesz.

–One same nas znajdą –• mruknął Haien.'

Pochylili się we trzech nad mapą i przesiedzieli nad nią

aż do wieczery, a potem jeszcze prawie do północy roztrząsali wszystkie szczegóły zamierzonej wyprawy.

Gdy Marten wracał na swój okręt, lekki mróz ściał noc-

ną mgłą i osadził ją na osprzęcie „Zephyra”, który w świetle księżyca wyglądał jak wykuty z matowego srebra i omotany pajęczyną. Warty na murach Latarni otrąbiły północ. Zaczął się siódmy grudnia roku 1598.

O świcie konwój z zaopatrzeniem dla załogi Kalmaru wyruszył spod Starej Latarni pod przewodnictwem „Sępa”, którego holowały cztery łodzie wiosłowe. Wyjście przez zachodnią odnogę Weichseltiefe było szczególnie trudne z powodu szybko wzmagającego się północno-zachodniego wiatru, który nawet tu podnosił grzywiastą falę i pędził ją przeciw szalupom, jakby usiłował nie dopuścić okrętów na morze. Wysoki kadłub „Sępa” z piętrowymi kasztelami na dziobie i rufie stawiał silny opór, liny holownicze drgały wyskakując raz po raz z wody, wioślarzom omdlewały ramiona, a rezultat ich wysiłków był tak nikły, że w końcu Marten, zniecierpliwiony oczekiwaniem na swoją kolej, kazał opuścić dwie własne szalupy i wysłał je na pomoc Haienowi.

Dopiero około południa „Sęp”, a za nim „Dawid” i „Emma” oraz oba statki transportowe dotarły do redy poza płycizną i stanęły na kotwicach. Wtedy też na pokład „Zephyra” powrócili zmordowani wioślarze, w ubraniach ciężkich i sztywnych jak z ołowiu,

ociekających wodą niby lodowate zbroje topniejące i parujące od ciepła spoconych ciał, które teraz chwycił przenikliwy ziąb.

Pan hafenmeister Wedecke, który tymczasem przyjechał z Gdańska, aby na własne oczy ujrzeć niezwykle zdarzenie, jakim było wyjście na morze sześciu okrętów w zimie – gdy każdy rozsądny szyper, a nawet najodważniejszy rybak siedział w domu przy piecu – przyglądał się owym zmaganiom, zamieniając uszczypliwe uwagi ze swym zastępcą, kapitanem Erykiem Sasse. Pochwalił go za odmowę otwarcia wschodniej odnogi głębi, która stanowiła wejściowy szlak

główny, Jakkolwiek było rzeczą oczywistą, że flotylla kroje wska mogłaby tamtędy przepłynąć szybko i bez wysiłku, nie wchodząc w drogę żadnemu statkowi zdążającemu do portu, ponieważ takich statków nie widziano tu już od kilku tygodni.

–Niech się trochę pomęczą – powiedział ze złośliwym uśmiechem. – Nauczy ich to poszanowania naszych praw i porządku.

Sasse z uznaniem skinął głową.

–Gdyby to zależało ode mnie – rzekł – nie wpuszczalbym ich nawet do Wisłoujścia. Mają swój port w Pucku, niechże sami pogłębią wejście tak, aby mogli tam zachodzić.

Dawniej...

–Patrz! – przerwał mu Wedecke. – Ten chyba oszalał!

Dotyczyło to Martena, który widocznie zdecydował się wyjść pod żaglami, bo na rejach „Zephyra” zatrzepotały białe płótna, a dwa trójkątne kliwry podjechały w górę na sztagach między fokmasztem a bukszprytem.

–Zaraz będzie siedział na mieliźnie, jeżeli wiatr nie rzuci go przedtem na nabrzeże – powiedział Sasse. – Oho! Już zrywa boje! – wykrzyknął, gdy okręt lekko zdryfował podczas brasowania rej na beidewind.

Lecz ani boje nie zostały pozrywane, ani manewr nie zawiódł Martena. Gdy tylko wiatr wypełnił i wygładził drgające nerwowo żagle, „Zephyr” usłuchał steru i skierował się na środek nurtu, a potem nabierając prędkości minął Latarnię, wypadł poza kamienny słup u krańca prawostronnego nabrzeża Wisły, wykonał szybki zwrot, podniósł się jeszcze ostrzej na wiatr i pożeglował przez Westfahrwasser, jakby go holował wóz samego Neptuna zaprzężony w konie o spiżowych kopytach i złotych grzywach, wraz z pięćdziesięciu Ne-reidami.

Gothard Wedecke i Eryk Sasse, stojąc na pokładzie okrętu strażniczego „Jowisz” patrzyli na to z podziwem i zawiścią. Zaiste nawet „Jowisz” nie dokazałby takiej sztuki. „Jowisz”, duma gdańskiego portu, dzieło niemieckich mistrzów skutniczych, przed rokiem spuszczone na morze w Lubece...

–I cóż, panie Diinne? – powiedział wreszcie Gothard do kapitana, który z zapartym tchem śledził końcowy manewr „Zephyra”, nie mogąc oderwać oczu od jego niebotycznych masztów. – Potrafilibyście w ten sposób wyjść z portu na naszej karaweli?

Fryderyk Diinne skrzywił się z udaną pogardą.

–Nie ryzykuję dla poklasku – odparł rzucając oczy-1 ma na prawo i na lewo, jakby nie mógł czy też nie chciał zatrzymać wzroku na hafenmeistrze. – Nie jestem ani cyrkowym linoskoczkiem, ani synem i wnukiem czarownicy jak tamten.

–Cóż to ma do rzeczy? – zapytał Wedecke.

–Phi, co? – odburknął Diinne. – Alboście nie wra dzieli? Żaden prawdziwie chrześcijański okręt nie mógłby że-| głować tak ostro do wiatru jak ten. Kuna nie bywa w kościele, możecie o to zapytać pana Schultza. Nie ma ani jednego krzyża na żaglach, jak inne okręty. Podobno nie imają się go kule. Matka nauczyła go swojej czarnoksiężskiej sztuki, a w In-J diach tamtejsi diabli uzupełnili tę edukację. Tfu! – splunął] i przeżegnał się pobożnie. – Źle się to skończy – dodał – skoro król Zygmunt przeciw swemu stryjowi takich sobie dobiera ludzi.

–Ba! Sudermańczyk też pono z diabłem się kuma -.

wtrącił Sasse.

Wedecke wzruszył ramionami. Nie wierzył w czary.

–Słyszałem – powiedział – że Marten był ciężko ranny, i to właśnie kulą. Ledwie się z tej rany wylizał. A jestem pewien, że dobrze wymierzona salwa z „Jowisza”, zmiotłaby ten jego zgrabny okręcik z powierzchni morza

jak skrzynię po mydle. On też musi dobrze o tym wiedzieć, skoro nie próbował przejść przez Ostfabrwasser.

–Niechby się ważył! – warknął Dunne. – i Mieliby diabli w piekcie uciechę z jego czarnej duszy!

Tymczasem Marten, nieświadom owych rozważań i uwag pana Gotharda Wedecke i kapitana Dunne, z niecierpliwością oczekiwał na sygnał Haiena do podniesienia kotwic i sformowania szyku podróznego. Nastąpiło to dopiero koło godziny drugiej, gdy wiatr nieco przycichł, jakby dla zachęty. „Sęp” znów ruszył przodem pod skróconymi żaglami, za nim kolejno dwie jednomasztowe koggi, po bokach zaś i nieco w tyle – „Emma” i „Dawid**”. Cały ten konwój poruszał się wolno, z prędkością nie przekraczającą trzech mil morskich na godzinę, choć płynął teraz w pół wiatru, aby ominąć niewidoczny w oddali cypel Helu. Nawet tu, w zatoce, przysadziste koggi kołysały się z boku na bok, niczym gdańskie przekupki spod staromiejskiego Ratusza dziwujące się czemuś niezmiernie.

A co będzie na pełnym morzu? – myślał Marten. – Dlaczego nie zmuszono Gdańska do wypożyczenia królowi innych, lepszych statków? Dlaczego taki „Jowisz” beużytecznie tkwi pod Latarnią, zamiast wziąć udział w wyprawie ze swymi trzydziestu czterema działami i czterdziestu hakownicami na pokładzie?

Przygryzł węża. Gdańsk pilnował wyłącznie własnych interesów, jak zawsze. Widać nawet Schultz nie potrafił odmienić tej polityki, choć snuł tak śmiało projekty zmian, które przecież nie nastąpiły.

Nic się tu nie zmieniło – pomyślał Jeszcze. – I chyba nieprędko się zmieni, jeśli tacy jak Zygfryd i Gothard Wedecke będą pozostawali przy władzy.

Na wspomnienie tych dwóch krew napłynęła mu do

twarzy. Wprawdzie nie widział starego, ale pamiętał go dobrze, a Gothard był niezwykle do ojca podobny. Wyglądał właśnie tak, jak Zygfryd przed trzydziestu laty. Miał tę samą, nieco przygarbioną postawę z wysuniętą w przód głową o rzadkich, rudawych włosach, co przywodziło na myśl wyłysiałą czapkę, choć wydatne szczęki i krótki nos o szerokich nozdrzach nie czyniły go bynajmniej podobnym do ptaka. Oczy mieli obaj szare, nieduże, ruchliwe, łatwo nabiegające łzami, o pożytkowanych białkach. Wargi blade i wąskie, lepkie, z wyrazem wzgardy w opuszczonych kącikach, gdzie wilgotno błyszcząły pęcherzyki śliny. Zygfryd zawsze ubierał się czarno, z małą rurkowaną kryzą dokoła szyi. Syn naśladował go poniekąd, lecz pozwalał sobie także na ciemnofioletowe kaftany z najprzedniejszego aksamitu; na szyi pod krezą nosił gruby złoty łańcuch z wysadzonym granatami krzyżem,, a na palcach – dwa czy trzy kosztowne pierścienie.

Obaj byli jednakowo butni i obaj potrafili zdobyć się na obłudną uprzejmość lub nawet uniżoność i pokorę w razie potrzeby. Gothard tym różnił się od ojca, że nie był dotąd żonaty i prowadził dość hulaszczce, rozwiązłe życie, nie skąpiąc sobie uciech i nie bardzo się z tym kryjąc. Mimo to był wyrachowany i

umiał dobrze pilnować swych interesów; chętnie bawił się i pił na cudzy koszt, a jeśli sam wydawał pieniądze, żądał za nie najprzedniejszego towaru i najlepszych usług, z pewnością ich nie przepłacając.

Marten czuł do niego odrazę, głównie z powodu owego, podobieństwa pomiędzy nim a starym Zygfrydem Wedecke, który wraz z burmistrzami Ferberem i Projtem walnie przy- czynił się do wydania wyroku śmierci na Karola Kunę.

Dotąd go nie pomściłem – myślał wspominając ukor chanego brata. – Ani jego, ani matki...

Ślubował tę zemstę będąc dziesięcioletnim dzieckiem, a później ponowił przysięgę nad zwłokami ojca, gdy obejmował po nim dowództwo „Zephyra”. I oto upłynęło trzy:

dzieści lat od tych dzieciennych ślubów, a Zygfryd Wedecke jeszcze żył, choć okrutni sędziowie Karola i Katarzyny Kuny dawno już pomarli.

Ferber, Kleefeld, Projte, Sander i Giese... Dosięgła ich karząca ręka sprawiedliwości jeszcze za panowania Zygmunta Augusta. Tylko Wedecke – główny zbrodniarz – uniknął hańby i śmierci.

Lecz dziś był już starcem. Marten wiedział, że nie zdobędzie się na to, aby stanąć mu do oczu i wypowiedziawszy to wszystko, co niegdyś był sobie ułożył, pchnąć go rapie-rem lub strzelić mu w serce z pistoletu. Na samą myśl o takim zakończeniu porachunków z tym człowiekiem przejmował go dreszcz wstrętu i zgrozy. Nie, nie był zdolny do tego czynu, a zarazem nie widział innego sposobu spełnienia przysięgi-Te myśli nawiedzały go za

każdym razem, gdy widział Gotharda. Najchętniej z nim by się policzył. Ale za co? Got-hard Wedecke nie miał na tamte sprawy żadnego wpływu. Był wówczas kilkunastoletnim chłopcem i być może nie wiedział nawet, za co skazano na śmierć Karola Kunę i dlaczego jego matkę wzięto na tortury w Katowni. Zaiste były to daremne rozmyślenia.

Na szczęście Marten nie miał na nie zbyt wiele czasu, zwłaszcza teraz, gdy zajmowały go sprawy bieżące i gdy w jego umyśle odżywały także inne wspomnienia z lat dziecięcych i młodzieńczych, spędzonych w Gdańsku oraz na pokładzie „Zephyra” w tych odległych czasach, kiedy nim dowodził Mikołaj Kuna.

Oto i dziś w czerwonej łunie zachodu ujrzał znów Hel, co jak złocista kosa leży na morzu zagarniając Zatokę Pucką. Pamiętał ten widok oglądany tylekroć i przyszło mu na myśl, że Haien – ostrożny kaper bałtycki – z pewnością zatrzyma się na noc w rybackim porcie na samym cyplu półwyspu.

Trocbę go to niecierpliwiło. Na Atlantyku przywykł do innych okrętów i do innego tempa żeglugi. Lecz z drugiej strony spoglądał z pewnym sentymentem i pobłażaniem na stare jednomasztowe koggi o klinkowym obiciu burt i ogromnych żaglach z potężnie wydętymi brzuchami, a zarazem w głębi ducha oddawał sprawiedliwość odwadze i wytrwałości załóg, które na tych niezgrabnych okrętach puszczały się na pełne morze.

Przyszedł mu na myśl „Czarny Gryf” – okręt kaper-1 ski należący niegdyś do Gotlieba Schultza. Był zupełnie podobny do tych dwu, które teraz wiozły zaopatrzenie dla Kalmara; może nawet

mniejszy... Dowodził nim Mikołaj Kuna, póki „Zephyr” nie został spuszczonej na wodę w Elblągu. „Czarny Gryf” był uzbrojony zaledwie w kilka sześćofuntowych oktafów i dwa ćwierćkartauny, a przecież chodź pod Rewel* osłaniał Magnusa duńskiego przed atakami] Szwedów na Ozylii, zdobywał abordażem szwedzkie okręty j.

Karol Kuna, wówczas piętnasto- lub szesnastoletni młodzienc, brał udział w tych wyprawach pod dowództwem ojca. Jan pamiętał doskonale uwielbianego brata. Pyszał się nim wobec rówieśników, czyścił mu srebrne guzy przy marynarskiej kurcie i sprzączki u pludróf* z zapartym tchem słuchał jego opowiadań o bitwach i sztormach, uczył się od niego fechtunku na szpady i władania toporem, pod jego opieką wspinał się na marsy, gdy „Czarny Gryf” stał) w porcie.

Na szczęście nie był świadkiem jego kaźni, lecz wiedział o niej i wielokrotnie ją sobie wyobrażał. Mimo to Karol pozostał w jego pamięci pełen życia i werwy – taki, jakim widywał go w domu i na pokładzie owej kaperskiej koggi: prosty i smukły jak młody dębczak, o pięknej junackiej twarzy i pewnych, harmonijnych ruchach.

Wtem, spojrzawszy wzdłuż pokładu ku przodowi „Ze-phyra”, ujrzzał go tam pod grotmasztem!

Przy widu je mi się – pomyślał poruszony do głębi.

Przetarł oczy i spojrzzał znowu, ale przywidzenie trwało nadal. Karol Kuna stał pośrodku okrętu w swej zwykłej pozie, rozstawiwszy szeroko długie nogi, z dłońmi wspartymi na biodrach i sterczącymi łokciami. Patrzał w górę na zaróżowione

obłoki, które pędziły z wiatrem ku wschodowi, i na białe, krzykliwe mewy, jakby sobie wróżył pogodę z ich lotu.

Trwało to chyba z minutę, a przez cały ten czas Marten wstrzymywał oddech, aby nie spłoszyć zjawy. Wreszcie chłopak obejrzał się, jakby tknięty jego wytężonym wzrokiem, i ruszył wprost ku niemu.

Dopiero wtedy Jan uświadomił sobie, że ma przed sobą Grabińskiego. Odetchnął głęboko i machinalnie rozpiął kołnierz kaftana, który uciskał mu gardło.

Nie po raz pierwszy dostrzegł to uderzające podobieństwo między Stefanem a Karolem, lecz jeszcze nigdy tak dalece nie uległ złudzeniu.

Może dlatego, że prawie go nie widywałem ostatnio -: pomyślał z niejakim uczuciem winy i żalu.

Gdy Stefan stanął obok niego, objął go wpół i uścisnął w przyływie serdecznego uczucia.

–Dobrze opiekowałaś się „Zephyrem” – powiedział ciepło. – Nikomu innemu nie mógłbym go powierzyć tak jak tobie.

–A ja nikomu innemu nie chciałbym służyć – odrzekł Grabiński odwzajemniając uścisk.

Trwali przez chwilę w milczeniu spleceni ramionami, jakby nie znajdując słów na wyrażenie tego, co przepętniało ich serca.

–Matka kazała cię pozdrowić – powiedział Stefan. –

Chciała ci podziękować za wszystko, ale... – umilkł nagle, teując niezręczność tego zdania.

Marten zrozumiał go natychmiast i zawstydział się. Prze-

bywając tyle dni w pobliżu, na Holendrach, nie znalazł ani jednej wolnej chwili dla Jadwigi; nie odwiedził jej, choć dobrze wiedział, gdzie mieszka. Mogła pomyśleć, że umyślnie unika spotkania.

Niegdyś, kiedy miała lat dwanaście i swą anielską urodą przypominała wizerunek św. Agnieszki z Salerny, serce młodego Janka Kuny było dla niej pierwszą dziecięcą miłością i zyskało jej wzajemność. Lecz drogi ich się rozeszły, a w kilka lat później Jadwiga została żoną Jana z Grabin. Mogła przypuszczać, że teraz Marten dlatego nie chce jej widzieć i znać. On zaś po prostu zapomniał, jakkolwiek nieraz wspominał ją mile i z rozrzewnieniem.

–Nie starczyło mi czasu, aby ją zobaczyć, choć miałem na to wielką ochotę – skłamał. – Jak tylko wrócimy z Kalmaru, musisz mnie do niej zaprowadzić.

–Doprawdy? – spytał Stefan jakby zaskoczony tą zapowiedzią.

Marten spojrzał mu w oczy.

–Rozumie się! – odrzekł z uśmiechem. – Przypuszczam, że i ja w jej pamięci mam swoje miejsce, jak ona w mojej.

–Ucieszy się, gdy to posłyszysz – powiedział Stefan. – Chyba czas zapalić latarnie? •- spytał po chwili, rozejrzawszy się znów po niebie.

–Ankrowe – dorzucił Marten. – Nie zdaje mi się, abyśmy mieli dzisiaj wyjść poza Hel. Każ je przygotować.

Jego przewidywania. sprawdziły się: wśród zapadających ciemności Gierd Haien skierował „Sępa” do płytkiej zatoki i pierwszy rzucił kotwicę, a za nim, nieco bliżej brzegu, stanęły na ankrach obie koggi, z „Dawidem” i „Emmą” po zewnętrznej stronie.

„Zephyr” zakotwiczył jeszcze bardziej w prawo, aby zachować swobodę manewru na wszelki wypadek, po czym na masztach zabłyśły podciągnięte w górę latarnie postojowe.

Dalsza żegluga polskiego konwoju pomiędzy Helem a Karlskroną trwała niemal dwa tygodnie. Sterane wiekiem koggi przeciekały haniebnie i każda wachta musiała pracować przy pompach co najmniej dwie godziny, aby utrzymać te stare pudła na powierzchni wzburzonego morza. Morze zaś było białe od piany, jak kipiące mleko pod ciemnoszarą, jednolitą pokrywą chmur. Wiatr dął z zachodu dzień po dniu i noc po nocy. Był lodowato zimny, wilgotny, przejmujący do szpiku, uparty i bezlitosny. Nie tylko płaskodenne koggi, ale także oba holki dryfowały tarzając się w głębokich brzdach między falami, zalewane wodą, która szorowała między kasztelami niczym wezbrana górską rzeka, zrywająca tamy i piętrząca rozhukane nurty nad progami.

Ludzie, nieprzywykli do zimowych warunków żeglugi, marzli w przemoczonej odzieży, opadali z sił, zaczęli chorować. Nie można było ugotować stawy i zaznać bodaj paru godzin wypoczynku na dobę, bo statki i okręty miały się jak oszalałe ze strachu, a majtkowie leżąc na kojach musieli nieustannie trzymać się ich krawędzi, aby nie wypaść stamtąd w czasie nieprawdopodobnych przechyłów.

Wkrótce do tej udręki fizycznej dołączyła się niepewność i obawa z powodu całkowitej niemożności określenia pozycji konwoju. W ciągu wielu dni i nocy nie było widać ani słońca, ani gwiazd, ani skrawka jakiegokolwiek lądu. Zbłąkane okręty rozpraszały się coraz bardziej i tylko „Zephyr” utrzymywał jeszcze jaką taką łączność pomiędzy nimi, aby szyprowie wiedzieli, że nie są pozostawieni samym sobie.

Dziesiątego dnia od opuszczenia przez transport Helu sztorm osiągnął szczytowe natężenie. Oba przeciekające frachtowce straciły żagle i leżały na boku rozpiąwszy na nawietrznych burtach płócienne osłony, przez które co chwila przelewały się grzywiasłe bałwany. Poza tymi osłonami ludzie – raczej sine widma przywiązane linami do masztu i dzwoniące zębami – podczołgiwali się do kołowrotów pomp i kręcili korbami aż do utraty tchu w piersiach, podczas gdy woda sięgała im po pas, po ramiona, powyżej głów... Mieli tylko dwie rzeczy do wyboru: pompować wśród lodowatej kipieli wodnej lub pójść na dno. Więc pompowali. Po cztery godziny na zmianę! Potem wlekli się do kubryku, aby wyjąć przemoczone odzienie, wciągnąć na skostniałe ciało wilgotne, jeszcze nie przesuszone łachy, które zdjęli ukończywszy poprzednią wachtę, i znów oczekiwać na swoją kolej przy pompach.

Niewiele lepiej działało się załogom „Dawida” i „Emmy”. Tę ostatnią wichurę zniósł daleko na wschód, a szturmujące fale porwały jej łodzie i nadwerężyły tylny kasztel, przy czym jedno z dział tam umieszczonych wyskoczyło z łoża i zaczęło szerzyć straszliwe spustoszenie, miażdżąc i tratując ludzi, rozbijając grodzie *, niszcząc sprzęty i urządzenia kapitańskiej kajuty, póki nie wyleciało za burtę przez potrzaskaną boczną ścianę.

„Sęp” trzymał się lepiej, ale Gierd Haien nie ośmielił się na nim żeglować inaczej niż ustawivszy go dziobem skośnie do fali i wiatru, tak aby przeciwdziałać dryfowi unika-kając zarazem gwałtownego kołysania na boki.

Jedynie „Zephyr” skutecznie stawiał czoło wichurze i falom, krążąc dokoła konwoju rozrzuconego na przestrzeni kilku mil wzdłuż i wszerz, co napawało dumą jego młodego sternika. Stefan Grabiński przeżywał ów długotrwały sztorm w stanie patetycznego uniesienia. Prawie nie schodził z pokładu, aby nie stracić ani na chwilę widoku rozwścieczonego morza i grozy posępnego nieba. Walka z szalejącym żywiołem podniecała go jak wspaniałe widowisko, którego był zarazem niepoślednim aktorem i widzem. Nie wyrzekłby się za nic w świecie udziału w tej przygodzie, która wydawała się stanowić próbę jego młodych sił duchowych i fizycznych. Czuł, że wychodzi z niej zwycięsko. Dreszcz, który go przenikał, gdy „Zephyr” skłaniał się przy zwrotach – tak nisko, że noki * rej niemal dotykały grzy-wiastych czubów fal – nie był dreszczem strachu, lecz podziwu dla okrętu i jego zalet. Sprawiało mu ogromną radość, że sam potrafi zdobyć się na taki manewr stojąc za sterem. Czuł na sobie niespokojne spojrzenia młodszych marynarzy zamustrowanych w Gdańsku, dostrzegał przychylnie uśmiechy starszych bosmanów i pełen aprobaty wzrok Martena, gdy pewnym ruchem koła sterowego wprowadzał dziób okrętu na grzbiet fali lub w mgnieniu oka zręcznie unikał Jej podstępного uderzenia. Był zawsze pierwszy u lin i na wantach, ilekroć groziło to zmyciem za burtę lub upadkiem podczas gwałtownych ataków wiatru i rozhukanych bałwanów; porywał za sobą mniej odważnych, zagrzewał ich do walki, drwił z niebezpieczeństwa, z uśmiechem szedł tam, gdzie cofali się inni, a junacka młodość szumiała mu w sercu i w głowie jak wino.

Ta ekstaza nie opuszczała go aż do końca dziesięciodniowej burzy. Dopiero gdy pewnej ciemnej nocy wiatr ucichł, a nad ranem morze uspokoiło się nieco i gdy spoza pierz-

chających obłoków wyjrzało blade grudniowe słońce, poczuł się wyczerpany i senny. Marten zabronił mu pokazywać się na pokładzie, póki go sam nie wezwie, i Stefan rzuciwszy się w przemoczonym ubraniu na koję przespał cały dzień aż do zachodu słońca.

Zbudził go Tessari, przyniósłszy mu miskę parującej pożywnej zupy. Był to pierwszy gorący posiłek od wyjścia z Helu.

–Wiesz, dokąd nas zagnało? – zagadnął powstrzymując

kaszel, który mu. widocznie dokuczał, i siadając na skraju

wilgotnego posłania. – Prawie pod samą Mierzeję Kirońską!

Jesteśmy dalej od Karlskrony niż dziesięć dni temu,

Jeszcze dwie doby takiej wichury, a cały konwój leżałby na piasku.

Zakaszłał znowu, a Grabiński przestał jeść i rzucił mu baczne spojrzenie.

–Nie wracamy chyba do Gdańska? – spytał z niepokojem.

–Nie – odrzekł Cyrulik. – Wprawdzie szyprowie „Dawida” i „Emmy” mieli wielką ochotę zawrócić do Królewca albo do Elbląga, lecz węgierski rotmistrz odwiódł ich od tego zamiaru, a widok naszych odsłoniętych dział zniechęcił ich do reszty. Co prawda trudno im się dziwić -ciągnął dalej. – Im, a jeszcze bardziej załogom tych dziurawych szaflików, które eskortujemy. Musieli w nich namoknąć jak śledzie. Sam zapomniałem, co to jest sucha odzież, i dopiero dziś poczułem się bardziej człowiekiem niż węgorzem. Aha – przypomniał sobie – wysuszyłem i twoje rzeczy. Zaraz je tu przyniosą z kambuza *.

Stefan uśmiechnął się.

–Dziękuję, amigo. Opiekujesz się mną jak rodzony brat.

Tessari skrzywił się. Czuł lekki zawrót głowy, ale przypisywał to działaniu kilku łyków rumu, którym poczęstował o kucharz okrętowy.

–Nie rozczulaj się – mruknął. – Abel leż miał brata...

–To prawda! – roześmiał się Grabiński. – Tylko tamten w zupełnie inny sposób okazywał mu swoje uczucia. Więc idziemy prosto na Karlskronę? – upewnił się.

Cyrulik skinął głową.

–Mamy prawie fordewind, z południowego wschodu.

Nawet koggi „pędzą” pod nim z prędkością pięciu węzłów! Jeśli się to nie zmieni, pojutrze będziemy w Karlskronie.

Grabiński skończył jeść i ściągnąwszy wilgotną odzież, przebrał się w suchą, jeszcze ciepłą od rozpalonego pieca, za czym przygładził włosy i wraz z Tessarim wyszedł na pokład

Suchy, mroźny wiatr dął od pruskich wybrzeży. Pierwsze gwiazdy zapalały się na wschodzie, a z przeciwnej strony horyzontu stygnąca, ciemnoczerwona tarcza słoneczna opierała się o krawędź stalowego morza, jakby zatrzymana w swym odwiecznym ruchu przez masywną, nieugiętą zaporę. Po chwili jednak purpurowy odblask rozlał się tam szeroko, a ogromny, ciężki, na pół już spopielały dysk zaczął

się wtapiać w stalową płaszczyznę i wreszcie cały w niej zatonął, pozostawiając po sobie jedynie gasnącą łunę, która z purpury przeszła w fiolet, a potem rozpuściła się w mroku.

Coraz więcej gwiazd ukazywało się w górze, coraz bardziej ciemniało niebo pomiędzy nimi, aż gdzieś hen, spoza litewskich i kurlandzkich borów wynurzył się olśniewająco biały księżyc, wzbił się w górę, i wyłowił z ciemności na morzu srebrne żagle sześciu okrętów, kładąc ich czarne zataczające się cienie na rozkołysane pokłady.

Wschodnia bryza wzmagała się stopniowo i w końcu stała się tal? ostra, jakby wiała wprost z tego zamarzniętego na lodowaty kamień globu.

Tessari zakaszał i tym razem długo nie mógł powstrzymać ataku bolesnej duszności.

–Przeziębłeś się – powiedział Grabiński. – Kłuje cię w piersiach?

Cyrulik lekceważąco machnął ręką.

–Trochę – mruknął chrapliwie. – To nasz kucharz tak mi dogodził. Napoił mnie gorącą wodą z rumem i domieszką jakiegoś gorzkiego świństwa. Dotąd mnie od tego drapie w gardle, jakbym przełknął garść żwiru z piaskiem, a pocę się jak ruda mysz, bo wyciągnął ze swojej skrzyni grubą wełnianą koszulę i kazał mi ją wdziać. Nigdy w życiu czegoś takiego nie miałem na grzbiecie i oto skutki! Zaraz ją muszę zdjąć, bo się uduszę. Musiałem mieć źle w głowie słuchając jego rady.

–Zdaje się, że ciągle jeszcze masz źle w głowie – rzekł Grabiński, widząc, że Tessari zabiera się do wprowadzenia w czyn swoich zamiarów. – Rzęzisz jak upiór łaskotany przez pijane czarownice, ale to nie z powodu rumu i ciepłej koszuli. Jesteś chory; teraz ja muszę się tobą zająć. W naszym kraju nie ma z tym żartów.

Tessari oburzył się. Tego jeszcze brakowało, żeby nim ktokolwiek miał się zajmować!.

Ale Stefan był surowy i nieubłagany. Posunął się tak daleko, że przypomniał mu o swojej władzy na „Zephyrze” i osobiście dopilnował wykonania swych rozkazów. Tym sposobem Tessari – znów po raz pierwszy w życiu – został zmuszony do wylegiwania się pod stosem kołder, i to nie w pomieszczeniu bosmańskim, lecz w kajucie sternika na zapasowej koi, jak jaki gentleman albo zgoła szczur lądowy nie mający najmniejszego pojęcia, jak znosić zimno i niewygody, jak przewycięzać bolesne zmęczenie i własną słabość i jak walczyć ze śmiertelną chorobą nie sprawiając innym kłopotu i nie zabierając im czasu.

Czuł się upokorzony, dotknięty do żywego, niemal zhań-

biony. Z początku usiłował protestować, lecz na nic się to nie zdało: gwałtowna gorączka zaćmiewała mu umysł, głowa zdawała się pękać, tętna waliły w skroniach, przenikały go zimne dreszcze, to znów biły nań poty, po których opadał z sił jak jesienna mucha. Poddał się. Pozwalał karmić się i pić oraz cierpliwie znosił nacierania piersi i pleców terpentyną, którą to kurację zaaplikował mu główny bosman, Tomasz Pociecha. Na szczęście na „Zephyrze” nie było innych ówczesnych leków, a środek zastosowany przez kucharza okazał się niewinną mieszaniną mięty z pieprzem. Istniały więc niejaki szanse zwalczenia choroby i Cyrulik zapewne powróciłby szybko do zdrowia, gdyby nie dramatyczne okoliczności, które skłoniły go do czynów bynajmniej nie wskazanych rekonwalescentom po zapaleniu płuc.

Dwudziestego grudnia konwój przy pomocy duńskich pilotów szczęśliwie przeszedł między licznymi wysepkami otaczającymi Karlskronę od południa i stanął u kamiennego nabrzeża portu. Pan Bekesz pragnął zatrzymać się tu przez dwie lub trzy doby, aby naprawić szkody poniesione podczas żeglugi, i wyjednał na to zgodę komendanta twierdzy, wiceadmirała Lauridsena. Dowiedział się też od niego, że szczupła załoga Kalmaru broni się nadal mężnie, jakkolwiek jej dowódca, Jan Sparre, nie mając dość ludzi do obsadzenia murów i szańców, musiał wycofać się z miasta do zamku. Mimo to Szwedzi nie posunęli się naprzód i miasto nie zostało przez nich zajęte, ponieważ panowały nad nim zamkowe działa. Sparre miał pod dostatkiem kul i prochu; brakowało mu tylko prowiantu i żołnierzy, których pozostała zaledwie setka przeciw paru tysiącom piechoty i jazdy Karola Karlssona Gyllenhjelma, naturalnego syna księcia Sudermanii.

Niestety Bekesz tylko w niewielkim stopniu mógł we-/] sprzeć ludźmi dzielny garnizon. Wprawdzie wyruszając] z Gdańska miał na pokładzie trzech okrętów około stu pięć- I dziesięciu zaciężnych Niemców i Szwajcarów, a także garści Szwedów, którzy powiadali się być stronnikami prawowitego | króla, ale już pierwszej nocy podczas postoju w Karlskro- i nie wszyscy ci „wierni poddani Zygmunta” uciekli wraz ze j swym dowódcą, niejakim Forathem, który namówił także j do przejścia na stronę Gyllenhjelma większość zaciężnych knechtów, obiecując im podwójny jurgielt *. Pozostało więc zaledwie pięćdziesięciu nieprzekupnych i kilkunastu ochotników Polaków.

Ucieczka owych zdrajców miała przecież tę dobrą stro-1 nę, że Karlsson z pewnością dowiedział się od nich o przybyciu transportu do graniczących ze Szwecją brzegów duńskich, a co za tym idzie, ścigał już zapewne swoje okręty pod Kalmar i zamykał południową część cieśniny, tak właśnie, jak sobie tego życzyli Marten i Bekesz układając plan działania.

Według danych, jakie posiadał Lauridsen, flota szwedz- j ka admirała Stolpego składała się z trzech dużych okrętów, kilku sześćdziesięciolasztowych krajerów i nie

znanej bliżej ilości balingerów, nazywanych tu pinkami lub espingami. Zdaniem duńskiego wiceadmirała było to aż nadto, aby uniemożliwić polskiemu konwojowi wtargnięcie w głąb cie- I śniny i przebicie się do Kalmaru.

Porywczy Bekesz usłyszawszy tę opinię, wyrażoną w sposób beznamiętny, lecz raczej przyjazny, już miał na końcu języka argument, że przecież Stolpe będzie musiał pilnować obu wejść do Cieśniny Kalmarskiej, ale Marten w samą porę powstrzymał go znaczącym spojrzeniem.

–Gdy zbyt wielu osobom znany jest plan bitwy, nie sprzyja to jej pomyślnemu

rozstrzygnięciu – szepnął mu ostrzegawczo na uboczu. – Ale z tego, co nasz Duńczyk tu powiedział, wynika jasno, że ów plan jest dobry.

–A to dlaczego? – zapytał Bekesz.

–Dlatego, że Stolpemu również nie przyjdzie do głowy obsadzić północny wylot cieśniny, jak nie przyszło Lauridgenowi. Zostawi tam tylko niewielki odwód, tak jak to prze widywaliśmy. Moja w tym rzecz, aby go nigdy nie mógł użyć.

Rotmistrz spojrział na niego z uznaniem.

–Głównie to waszą będzie zasługą, jeśli przy pomocy

boskiej dotrzemy z odsieczą do Sparrego – powiedział. _____

Możecie mi wierzyć, że jego królewska mość miłościwy nasz pan dowie się o tym ode mnie.

W przeddzień Wilii Bożego narodzenia nastąpiła odwilż. Dzień był mglisty, lekki wiatr wiał z południowego zachodu, prawie nie podnosząc fali, morze barwy popiołu o jedwabistych, łagodnych lśnieniach leżało gładkie i ciche zlewając się niedostrzegalnie z popielatym niebem, na którym nisko zawieszone poranne słońce rozlewało jaśniejszą, rozmazaną plamę.

„Zephyr” ogołocony z żagli sunął wolno za dwiema łodziami holującymi go na krótkich linach. Sylwetki wysp i wysepek rozrzuconych pomiędzy Ronneby a Torhamn-sudde wylaniały się z mgły jak ciemne duchy stojące na straży zatoki i

znikały po

chwili bez śladu. W powietrzu snuł się zapach jałowcowego dymu z wędzarni ryb; z daleka, jak przez warstwę jakiejś miękkiej tkaniny, dochodziło stłumione ujadanie psów, któremu towarzyszyły jednostajne odgłosy dulek klekocących i zgrzytających przy każdym poruszeniu wiosł na szalupach. Gdy rufa okrętu minęła z bliska cypel przylądka, roz-

legły się okrzyki i rozkazy, piloci odrzucili hol, łodzie umknęły w lewo, pod wysoki brzeg, a „Zephyr” wolno przepłynął obok nich i znalazłszy się na pełnym morzu, natychmiast oskrzydlił się żaglami.

Marten, rzuciwszy ostatnie komendy: „Tak zamocować” i „Prosto ster”, odetchnął głęboko, z prawdziwą ulgą. Nie mógłby wymarzyć sobie lepszych warunków żeglugi niżi obecne. Mglista pogoda jak najbardziej sprzyjała jego zajmiarom. Pozostawiała mu wystarczające pole widzenia, a zarazem ukrywała okręt przed wzrokiem niepożądanych przypadkowych obserwatorów. Przy odrobinie szczęścia „Zephyr” powinien w ciągu dziesięciu godzin opłynąć wyspę Dland od wschodu i wśród zapadających ciemności wejść od północy do Cieśniny Kalmarskiej, przez nikogo nie dostrzeżony.

Tylko w ten sposób można było całkowicie zaskoczyć główne siły szwedzkie zgromadzone w pobliżu Kalmaru i wziąć je w dwa ognie równoczesnym atakiem poprowadzonym frontalnie przez „Sępa”, „Dawida” i „Emmę” od południa, a przez „Zephyra” od tyłu, z północy.

Było to jasne i proste. A jednak Marten nie mała się; natrudził, aby nakłonić Gierda Haiena i kapitanów obu hol-ków do zgody na natychmiastowe rozpoczęcie działań. Nawet Bekesz długo się wahał, zanim stanął po jego stronie.

Przyczyną owych wahań były nadchodzące święta; W mniemaniu szyprów nie godziło się walczyć i przelewać krwi w dzień wigilijny. Chcieli z tym poczekać do dwudziestego siódmego grudnia, a rotmistrz zdawał się podzielać ich skrupuły.

Lecz Marten uparł się. Wigilia nie była świętem, a odwilż i mgła mogły szybko minąć, narażając całe przedsięwzięcie na niepowodzenie, gdy tymczasem można by odprawić pasterkę w kaplicy zamkowej Kalmaru.

Jego argumenty, a wreszcie nawet groźby, że sam po-

dejmie akcję, wzięły ostatecznie górę i po omówieniu wszelkich szczegółów, sygnałów i czasu rozpoczęcia bitwy „Zephyr” podniósł kotwicę, aby rzekomo udać się z powrotem do Gdańska po posiłki, jak to oświadczone duńskim pilotom.

W rzeczywistości tylko przez krótki czas żeglował ku wschodowi, po czym,

minąwszy trawers Sodra Udde, wykręcił na północny wschód i przebrasowawszy reje na for-dewind, sunął cicho jak widmo niespełna trzy mile od brzegów Olandii.

Tuż po zachodzie słońca opłynął północny kraniec wyspy, pod skróconymi żaglami wszedł do cieśniny i, korzystając z wieczornej bryzy, aż do późnej nocy lawirował niemal na oślep w kierunku Kalmaru, by wreszcie rzucić kotwicę w jakiejś maleńkiej zatoczce o stromych brzegach porośłych sosnowym lasem.

Świt wstawał wolno, ociągając się nad miarę," jakby słońce uwięzło we mgle, która podczas zimnej nocy zgęstniała i zawisała ciężką warstwą nad cieśniną. Leniwe podmuchy wiatru, jak senne westchnienia lądu, wzdymały ją raz po raz i wówczas można było dostrzec na krótką chwilę strome, ciemne i tajemnicze brzegi, przeglądające się w spokojnej wodzie zatoczki, a także jej wąski wylot otwarty ku południowemu zachodowi. Wysokie sosny, jodły i świerki rosły tam po obu stronach, wspinając się po urwistych zboczach w górę, a mgła okrywała ich wierzchołki na podobieństwo wielkiego, falującego baldachimu z szarej, powiewnej gazy. Dalej, poza tą bramą o ciemnozielonych otwartych wrotach, nie było nic widać. Mogło się zdawać, że w ciągu minionej nocy cały świat rozplynął się i znikł, a tylko mały krąg ziemi zamykający zwierciadło ciemnej wody pozostał nienaruszony wśród owej mgły, która go zewsząd otaczała.

Zielone wrota prowadziły donikąd. Chyba w jakąś bezdrożną; pustkę rozciągającą się w nieskończoność...

Marlen patrzył w nie jak urzeczony, póki nowa fala mgły skroplonej w mżawkę nie ukryła ich przed jego wzrokiem. Wciągnął głęboko w płuca wilgotne powietrze przesycone słonym zapachem morza i lekkim aromatem żywicy!

Staję się przesądny jak stara baba – pomyślał z rozdrażnieniem. – To przecież tylko mgła i trochę drzew!

Obejrzał się na Grabińskiego, który stał za nim czekając na rozkazy.

–Podciągniemy się wolno na łańcuchu kotwicznym -i

powiedział do niego stłumionym głosem. – Potem opuścimy

szalupę. Weźmiesz kilku ludzi i małą zapasową kotew na linie.

Zawieszysz ją aż poza ogólną linię brzegu i tan* rzucisz w

dogodnym miejscu, tak żebyśmy mogli wyjść na cieśninę

podciągając się z kolei na niej.

–Rozumiem – odrzekł Stefan.

Marten patrzył na niego nieco roztargnionym wzrokiem, jakby nie był jeszcze zupełnie przekonany o słuszności swoich zarządzeń.

–Nie mogę ryzykować wyjścia pod żaglami – mruknął na pół do siebie. – Tu są jakieś miejscowe prądy, o których nic nie wiem – mówił dalej z przerwami. – W tej diabelskiej mgle trudno się rozeznać, a wiatr jeszcze się nie ustalił. Tak, musimy się znaleźć w cieśninie dość daleko od brzegu, zanim postawimy żagle. Może przez ten czas trochę się przetrze...

Grabiński nie był pewien, czy ma uznać te rozważania za wskazówkę do natychmiastowych działań. Przywykł do krótkich rozkazów bez żadnych komentarzy.

–Już zaczynamy? – spytał, gdy Marten umilkł, a nie otrzymawszy natychmiast odpowiedzi, spojrzał najpierw na niego, a potem na wyjście z zatoki, w które Jan wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami.

Nic szczególnego tam nie ujrzał. Pełznąca nad wodą zimna i mokra mgła zwinęła się pod tchnieniem jakiegoś silniejszego powiewu, odsłaniając oba przeciwległe, zbliżające się ku sobie brzegi owalnej zatoczki. Szary, skłębiony tuman uniósł się wyżej, zaczepił o wierzchołki ogromnych chojarów i strzepił się na nich, póki inny podmuch wiatru nie przepędził go stamtąd dalej.

Marten zdawał się tylko na to czekać, bo nagle znów zwrócił się do swego sternika.

–Zaczynajcie. Niech Pociecha dopilnuje kabestanu, a Worst przygotuje łódź. Sprawiajcie się jak najciszej. Jesteśmy chyba nie dalej niż o trzy mile od Kalmaru; mogą się tu kręcić balingery Stolpego.

Grabiński ruszył na dziób, do głównego bosmana, który tam na niego czekał, a

Marten stanął za plecami Klopsa przy sterze. Po chwili dał się słyszeć stłumiony, przypominający jednostajne gruchanie gołębi chrobot łańcucha na Ari-janego na walec windy i „Zephyr” zaczął wolno sunąć naprzód, ku środkowi zatoki, gdzie leżała kotwica.

Stefan, rozplaszczony na samym skraju przedniego kasztelu, patrzył w dół. Podłużne żelazne ogniwa podnosiły się jedno za drugim z wody, ociekając jasnymi kroplami, coraz dalej i dalej przed dziobem okrętu, który płynął ich śladem, a potem pełzły skośnie w górę i z lekkim zgrzytem znikwały w otworze kluzy. Gdy „Zephyr” połknął w ten sposób około dwudziestu sążni, Grabiński dał znak ręką i kabestan zatrzymał się, a łańcuch zwisał pionowo. Okręt sunął teraz własnym rozpędem, lecz zwalniał stopniowo, aż jego ruch naprzód stał się prawie niedostrzegalny.

–Kręcić! – powiedział Grabiński zataczając koło
wzniesioną dłonią.

Kołowrót zaskrzypiał. Obracał się teraz łatwo, bo łańcuch leżał na dnie i nie ciągnął. Dopiero po chwili szarpnął i wyprężył się znowu.

–Dość! – zawołał stłumionym głosem Grabiński.

Wystarczy.

Zerwał się na nogi i pobiegł z powrotem na szkafutj gdzie Broer Worst przygotował szalupę z ogromnym zwo- jem liny i zapasową kotwicą uwiązaną u jednego jej końca, I podczas gdy drugi przewleczono przez szpigat i zamocowano! na wale ręcznej windy do poruszania bomów.

–Pośpieszcie się – powiedział Marten. – Nie będziemy
czekali na wasz powrót; zaczniemy się podciągać jak tylko
zobaczymy, że wracacie. Po drodze weźmiemy łódź na hol, a
podniesiemy ją na pokład później, w cieśninie.

~ Rozumiem – odrzekł Grabiński siadając u steru.

Worst już opuszczał szalupę. Po chwili jej płaskie dnofl klasnęło o wodę, a sześciu wioślarzy kolejno zjechało do niej po linie.

Pióra długich wiosel cofnęły się łukiem, pociągnęły, j Lina zaczęła się odwijać i spełzać z rufy w takt ich rytmicz- nych ruchów. Łódź parła naprzód pozostawiając za sobą dwa rzędy drobnych wirów rozchodzące się na obie strony i białawą, nie

tonącą smugę manili * pomiędzy nimi. Wkrótce znalazła się u wylotu zatoki, już ledwie widoczna we mgle. Potem jej sylwetka zatarła się i znikła zupełnie.

Marten stał nadal za plecami Klopsa, ze wzrokiem™ utkwionym w miejsce, gdzie spodziewał się ujrzeć powraca- j ącą szalupę. Niecierpliwił się już: zbyt długo to trwało. W ciszy, jaka ogarnęła samotny okręt pośrodku zatoki, słychać było tylko lekki szmer łańcucha ocierającego się i o burtę tuż przy kluzie i dobywający się z tylnego kasztelu piersiowy kaszel Tessariego. Ludzie u kabestanów, przy windzie bomu, u zamocowanych brasów, u fałów i szotów mil-

czeli, zastygli w oczekiwaniu. Herman Stauffl i Broer Worst, każdy przy swojej wachcie, a także Percy Burnes, który zastępował Cyrulika, spoglądali po sobie, gotowi na pierwsze słowa komendy odkołkować liny i talie, postawić żagle, przeprasować reje. Tomasz Pociecha patrzył na zwisającą ze szpi-o-a tu manilę, której łagodne skręty prostowały się w wodzie, Niedostrzegalny prąd znosił ją w prawo, aż utworzyła na powierzchni zatoki długi, równy łuk pomiędzy dziobem „Zephyra” a ujściem do cieśniny, gdzie łódź pod dowództwem Grabińskiego znikła we mgle.

Wszyscy nasłuchiwali w napięciu, czy nie odezwie się stamtąd jakiś głos lub znajomy klekot dulek i plusk wiosła. Lecz cisza trwała nadal i mogło się zdawać, że nigdy żaden głośniejszy dźwięk jej nie zakłóci. Szalupa przepadła i nie wracała, jakby ją pochłonęła jakaś przepaść rozwartą poza zielonymi wrotami zatoki.

Marten miał tego dość. Przyszło mu na myśl, że po prostu Grabiński źle zrozumiał jego rozkazy i czeka na niego w cieśninie zamiast wracać. Kazał więc wybrać do reszty łańcuch i podnieść kotwicę, a potem wolno podciągać się na linie, która powinna stawiać należyty opór, jeśli ów domysł okazałby się słuszny.

Pociecha wykonał te jego polecenia szybko i sprawnie. Kotwica wstała, podjechała w górę, pod kluzę, a potem czterej ludzie zaczęli obracać korbami windy, na którą wolno, zwój po zwoju nawijała się ociekająca wodą manila.

Trzyma – pomyślał Pociecha spoglądając na zmarszczki powstające u burt i za rufą okrętu.

Dał znak, że można przyspieszyć obroty. Lina wyprężyla się, zaczęła drgać, siepiąc powierzchnię wody, a „Zephyr” sunął naprzód, prosto ku wyjściu na cieśninę.

Wszystko to odbywało się niemal w zupełnym milczeniu, wywołując tylko nikłe odgłosy i szmery tłumione przez mołęj jak przez grubą warstwę puchu. Cisza nawet nie drgnęła w obliczu poczynań ludzi, którzy porzucali jej przybytek wśród stromych brzegów.

Wtem przeniknął ją daleki okrzyk, a w ślad za nim podniosła się krótka gwałtowna

wrzawa i nagle jeden po drugim gruchnęły dwa strzały.

Dreszcz przeszedł po załodze, a Marten zaklął głośno.

Natknęli się na Szwedów – pomyślał.

–Prędszej! – zawołał. – Zwijajcie się! Żywo!

Nie trzeba im było zachęty: kręcili teraz korbami jak szaleni,

a okręt przyśpieszał biegu i mijał już wylot za-1 toki.

–Jeżeli nie zdążymy poderwać kotwicy, przetniecie linę!

–rozkazał Marten. – Podacie ją Grabińskiemu, jak tylko

nadarzy się sposobność.

Obejrzał się na Tomasza Pocięchę, ale jak zwykle stwierdził, że główny bosman sam wie, co ma robić, jego puszka-; rze i ceigwarcie biegli już do dział.

Tymczasem wrzawa w cieśninie ucichła; nie było też słychać więcej strzałów, co Martenowi wydało się dziwne.

Nie zatopili przecież łodzi dwiema kulami z muszkietówj czy nawet z hakownic! – pomyślał. – Może znikła im z oczu w tej przeklętej mgle...

Niemal w tej samej chwili ujrzał ją na wprost przed! dziobem „Zephyra” i zboczył nieco w lewo, aby minąć ją z bliska prawą burtą.

–Uważaj, Percy! – krzyknął. – Szalupa!

Sloven dostrzegł również łódź, która teraz przyhamowała i

obróciła się w miejscu, aby podjąć hol w biegu, rów-j nając się z okrętem. Wioślarze czekali pochyleni w przód, gotowi zagarnąć wodę piórami cofniętych wiosel. Na głośną komendę Grabińskiego pociągnęli raz i drugi, nie dając siej wyprzedzić. Sloven zamachnął się i rzucił im cienką linę, a majtek siedzący najbliżej dziobu chwycił ją w locie i obłożył na haku u wierzchołka sztaby.

–Ankier leży o pół kabla * prosto przed wami! –

zawołał Grabiński.

–Kto do was strzela!?, – zapytał Marten niecierpliwie.

Stefan już wspinał się po grubej linie, którą podano mu z

rufy.

–Jakiś mały kraj er – odrzekł zdyszany stając na pokładzie. – Chcieli, żebyśmy się zatrzymali. Wpadli na nas we mgle całkiem niespodzianie i ledwie wyminęli szalupę, narobili wrzasku, a potem dwa razy palnęli prawie na oślep, bo już traciłem ich z oczu.

–Ankier jest teraz całkiem blisko! – zawołał zwracając się do ludzi przy kabestanie.

–Ja pilnuję! – uspokoił go Stauffl.

–W którą stronę płynął ten krajer? – zapytał Marten.

–Ku południowi – odrzekł Grabiński. – Musieli lawirować i właśnie przechodzili na przeciwny ciąg, bardzo ostro do wiatru. W każdym razie nie widziałem, żeby zawrócili.

Marten rozejrzał się. Żegluga w tej mgle już sama przez się była nad wyraz ryzykowna. Utrudniał ją słaby wprawdzie, lecz niepomyślny wiatr południowo-zachodni oraz bliskość brzegów w wąskim przesmyku. Rozsądek nakazywał w tych warunkach postój na kotwicy do czasu poprawienia się widoczności. Ale to mogło trwać równie dobrze kilka, jak kilkanaście godzin, a przecież o piętnaście czy dwadzieścia mil dalej na południe, w stronie Hanó i Sódra Udde, mgła nie musiała być aż tali gęsta i co za tym idzie, okręty pana Bekesza zapewne dawno już wyruszyły.

Może zbliżają się do Kalmaru? – myślał Marten. – Może już za chwilę natkną się na główne siły Stolpego?

Kazał postawić żagle i sterować w poprzek cieśniny,

skośnie ku przeciwnemu brzegowi, pod którym zamierzał wykonać zwrot i położyć się na przeciwny ciąg. Posłał na przedni kasztel jeszcze dwóch marynarzy, aby wypatrywali cwego brzegu i uprzedzili na czas o jego ukazaniu się.

Niezbyt przejmował się teraz alarmem spowodowanym;] strzałami z patrolującego krajera. Szyper nie mógł dostrzec j „Zephyra” i zapewne nie bardzo wiedział, jaką łódź ostrzelał. Jeśli nawet doniesie o tym admirałowi Stolpemu lub kapitanowi któregoś z okrętów liniowych strażujących praw- i dopodobnie w pobliżu Kalmara, wiadomość ta wywoła co naj-1 wyżej pewną konsternację i zamieszanie, ale nie skłoni chyba; Szwedów do opuszczenia stanowisk i do poszukiwania nie rozpoznanej szalupy. Okoliczności wiązały i utrudniały działania zarówno jednej, jak i drugiej strony. Stolpe spodziewał się konwoju od południa, mógł więc w ostateczności

przeznaczyć do tej zabawy w ciuciubabkę na północy jakieś pomocnicze pinki, nie mając przy tym pewności, czy odnajdą podejrzaną łódź.

Gdyby mi się udało pochwycić choć jedną, miałbym przewodników – pomyślał Marten.

–O-hej! – rozległ się przeciągły okrzyk z dzioba. –

Ląd! Trzy kable przed nami ląd!

Ciemny, niski brzeg wylaniał się z mgły – o wiele wcześniej, niż można się go było spodziewać, i Martenowi zaświtało w głowie, że „Zephyr” znajduje się znacznie bliżej Kalmara, niż dotąd przypuszczał, bowiem najwidoczniej cieśnina przewężała się już tutaj.

Biały, skłębiony tuman przed okrętem, wprost na jego drodze, unosił się pod tchnieniem wiatru, lecz dalej na lewo, tuż nad powierzchnią wody, przewalał się gęsty, mleczny, bezkształtny obłok, którego nie mógł przeniknąć wzrok.

Może się rozwieje, zanim zmienimy hals – myślał Marten zwlekając z wydaniem rozkazu do zwrotu. – Jeśli rzeczywiście jesteśmy tak blisko Kalmara, powinien tu być gdzieś niedaleko diabelnie zdradliwy cypel lądu, sterczący prawie prostopadle do linii brzegu. Nie chciałbym się na niego nadziać... Cóż za piekielna mgła! Jeżeli teraz każę przebrasować reje, wpakujemy się w to paskudztwo i oślepi nas zupełnie, a kto wie, czy to nie tu właśnie?... Przejdzie czy nie przejdzie? Ech, cóż bym dał za tęgi powiew bryzy!

Bryza nie nadciągała. Przeciwnie: wiatr ucichł niemal zupełnie, brzeg zbliżał się, a gruby wał mgły stał w miejscu, jakby zapragnął być świadkiem decyzji kapitana i jakby prowokował go do niej.

Marten nie miał zresztą żadnego wyboru; mógł tylko zwlekać do ostatniej chwili, w nadziei na ów zbawczy powiew.

–O-hej, ląd przed nami! – darł się marynarz na dziobie

wysokim z podniecenia głosem. – Jeden kabel przed nami!

Najdalej za minutę muszę wykręcić – myślał Marten. – Tu jest wszędzie dość głęboko i nie ma skał, o ile dobrze pamiętam. Lecz jeśli ta ściana mgły stoi nad cypłem... Ba, wejdziemy w nią tak czy owak. Przy takim wietrze nie da się wykonać zwrotu na fordewind, więc mogę liczyć tylko na moje szczęście.

–Gotuj zwrot – powiedział zwykłym, spokojnym głosem.

–Pół kabla do lądu! – piał z dziobu przerażony majtek. – Pół kabla!

Zagłuszyły go natychmiast komendy i gwizdki starszych bosmanów. Tupot nóg rozległ się na pokładzie, brasy zaklekotały blokami, reje obróciły się dokoła masztów i „Zephyr” z wolna

wykręcił w lewo, zaledwie o rzut kamieniem od brzegu, po czym jego lekko wydęte żagle zaczęły się rozpląwać w nieprzeniknionej mgle, która stopniowo przesłaniała je od góry coraz niżej, aż wionęła przez przedni kasztel i osnuła cały okręt od dziobu po rufę.

Niemal w tej samej chwili jądro białego tumanu rozjarzyło się podwójnym szeregiem krótkich czerwonych błysków, przeciągły basowy grzmot targnął powietrzem, całe stado kartaczy z diabelskim chichotem przeleciało za rufą okrętu i rozprysło się gdzieś pod samym brzegiem.

W dziesięć sekund później Pociecha odpowiedział z prawej burty salwą wymierzoną w miejsce, z którego – jak mu się zdawało – trysnął ów strumień ognia i żelaza. Jednocześnie od strony lądu zerwał się pierwszy podmuch długo oczekiwanej bryzy i uchylił zasłonę mgły zmieszanej z dymem. Wielka czteromasztowa karawela o dwu pokładach artyleryjskich zbliżała się z wiatrem, przecinając skośnie kurs „Zephyra”. W jej tylnym kasztelu widać było świeżą wyrwę, powstałą niewątpliwie od celnego pocisku.

„Zephyr” bronił się. Jego załoga zdziesiątkowana morderczym ogniem hakownic i muszkietów admirałkiej kara-, weli „Yasteras” po bohatersku odpierała ustawicznie ponawiane szturmy szwedzkiej piechoty morskiej, którą Stolpe rzucał do natarcia poprzez burty szcepionych okrętów, a Marten doskonale zdawał sobie sprawę, czym się to skon-

ggy, jeśli Bekesz i jego okręty najdalej za pół godziny nie nadciągną z odsieczą. ”

Zagrzewał swoich do wytrwania, podnosił ich na -duchu wystawiając się na kule i z rapierem w ręku prowadząc gwałtowne wypady spoza osłony kaszteli na otwarty pokład zalewany raz po raz przez hurmę szwedzkich żołnierzy, ale sam tracił już nadzieję: Bekesz nie przybywał... Zapewne ostrożny Gierd Ilaien wytłumaczył mu, że „Zephyr” także nie podejmie zbyt ryzykownej żeglugi w cieśninie zapchanej mgłą i że do czasu jej ustąpienia należy wstrzymać się z rozpoczęciem działań. Wprawdzie mgła przerzedziła się znacznie, ale nawet jeśli konwój minął już Sódra Udde, to przecież nie można go się tu było spodziewać wcześniej niż za parę godzin. Tymczasem potężny grzmot salw armatnich i gęsty ogień broni ręcznej musiał zaalarmować szwedzkie okręty pilnujące wejścia do Zatoki Kalmarskiej o niespełna trzy mile dalej na południe i zwabić tu przynajmniej jeden z nich. Oznaczałoby to ostateczną zagładę dla „Zephyra”, a być może także klęskę całej wyprawy.

Nigdy do tego nie dopuszczę – pomyślał Marten.

Wiedział, że w ostateczności potrafi zdobyć się na czyn rozpaczliwy, który jednak zapewni Bekeszowi zwycięstwo. Miał dość prochu, aby wysadzić w powietrze „Zephyra”, niszcząc zarazem każdy okręt stykający się z nim burta w burtę.

Chwila, w której byłby zmuszony do tak desperackiej decyzji, zdawała się nadchodzić: spojrzawszy ku południowi po odparciu kolejnego ataku Szwedów, dostrzegł w oddali nieco jeszcze zamglone sylwetki dwóch okrętów. Na pierwszy rzut oka rozpoznał w nich Liniowe galeony szwedzkie i ostatnia nadzieja zagasała w jego nieustraszonym sercu. Koniec zbliżał się nieuchronnie. Trzeba było jednak przygotować śmiertelną niespodziankę dla admirała Stolpego.

Postanowił powierzyć to proste zresztą zadanie głównemu bosmanowi. Rozejrzał się za nim i ujrawszy go klęczącego u pnia fokmasztu, dał mu znak, że chce z nim mówić.

Tomasz Pocięcha, porzuciwszy odpalone i bezużyteczne w tych warunkach działa, już od pewnego czasu na czele swych puszkarzy uzbrojonych w muszkiety osłaniał go od strony przedniego kasztelu. Teraz sam także dostrzegł szwedzkie galeony nadciągające z wiatrem pod wszystkimi żaglami i po raz pierwszy zaniepokoił się

poważnie. Nie przewidział takiego obrotu sprawy; w prostocie ducha ufał dotychczas niewzruszenie w geniusz taktyczny Martena, w jego nieomyślność i szczęście wojenne, których był świadkiem od lat dwudziestu pięciu. Spodziewał się ujrzeć z tamtej strony maszty i żagle, ale nie przychodziło mu do głowy, aby miały to być żagle szwedzkie. A jednak tak właśnie było! Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości...

Widząc, że Marten go wzywa, oddał swój muszkiet najbliższemu sąsiadowi i wyczekawszy odpowiedniej chwili, tuż po gwałtownym nasileniu bezładnej strzelaniny zaczął biec w stronę rufy. Kilkakrotnie to z prawa, to z lewa usłyszał przejmujący krótki świst kul, które go ominęły z bliska, lecz nietknięty dopadł schodni, a potem wspiął się po stromych stopniach w górę i już miał ukryć się za osłoną sterówki, gdy poczuł jedno po drugim dwa uderzenia w bok i w plecy, jakby go kto zdzielił ciężką, okutą pałąką. Nie upadł wprawdzie, choć natychmiast okrutny, szarpiący ból przewiercił mu płuca, lecz zatrzymał się na mgnienie oka i znalazłszy pod ręką oparcie na polerowanym narożnym słupie sternicy, mimo woli obejrzał się w tył. To go zgubiło. Następną kulą przeszła mu gardło i strzaskała kręgi. Przez ułamek sekundy pokład, maszty, niebo i morze wykręciły potężnego młynca przed jego zdumionym wzrokiem. Potem runął na twarz u stóp swego oniemiałego z żalu kapitana.

Marten po raz drugi w życiu znalazł się w obliczu śmierci kochanego, bliskiego sobie człowieka podczas bitwy, którą *chcąc* nie *chcąc* musiał nadal kierować; przeżywał to podobnie jak wtedy, choć za pierwszym razem miał zaledwie lat siedemnaście. Stracił wówczas ojca, który padł ugodzony w *głowę* reją zerwaną przez pocisk w bitwie u południowo-wschodnich wybrzeży Anglii, w pobliżu przylądka North Foreland.

I dziś, jak wówczas, ogromnym wysiłkiem woli zdołał opanować dojmujący ból po tym ciosie. Jak wówczas, tak i teraz – w jakże zbliżonych okolicznościach! – nie poddał się rozpacz.

Tym razem jednak miał przed sobą jeszcze trudniejsze zadanie, a przy tym musiał także wpłynąć na Grabińskiego, wyrwać go natychmiast z osłupienia i żalu oraz natchnąć do roli, jaką mu przeznaczył stłumiwszy głos własnego serca.

–Nie pora na łzy – powiedział potrząsając go za ramię. – Zostało nam niewiele czasu, więc słuchaj mnie uważnie. Mamy dwa wyjścia: poddać się lub zginąć. Dopóki żyję, nie wywieszę białej flagi. Za żadną cenę nie chciałbym oddać „Zephyra” Szwedom. Nawet za cenę życia. Jeżeli uda się odeprzeć szturm, do którego znów się szykują, chcę zaraz potem skorzystać z zamieszania, odrąbać liny i bosaki, wypłatać reje i wanty z ich takielunku i rozdzielić oba okręty tak, abym mógł pożeglować naprzód, wykonać zwrot i odpalić salwę z lewej burty. Jeśli nie zdążę tego wszystkiego dokonać, zanim któryś z tych dwóch galeonów rozniesie nas swymi

kartaczami lub dobije do „Zephyra”, żeby go wziąć abordażem z drugiej strony, rozkazuję ci założyć lont do beczek z prochem i podpalić go. Sam musisz wybrać na to najbardziej odpowiednią chwilę, gdy wybuch będzie mógł zniszczyć zarówno karawelę, jak okręt przybyły jej z pomocą. Nie sądzę, aby dowódcy galeonów odważyli się strzelać do nas ² dział, póki jesteśmy szczepieni z „Yasteras” – wyjaśnił.

Ich pociski mogłyby razić ten okręt i jego załogę. Dlatego wydaje mi się, że raczej zdecydują się na abordaż z dwu stron jednocześnie. Wtedy jeszcze będziesz mógł strzelać.

Stefan słuchał go w milczeniu, przejęty do głębi dramatyczną sytuacją, której sens dopiero teraz dotarł do jego świadomości. Dokoła nich gwizdały kule, resztki szyb ze sternicy wylatywały z brzękiem na pokład, zmieszana wrzawa i zgiełk unosiły się i opadały jak fale, huk muszkietów i arkebus zagłuszał pojedyncze słowa, dym płynął krętymi welonami w powietrzu cuchnącym siarką i prochem.

–Mogę ci dać do pomocy tylko dwóch puszkarzy –

mówił spieszenie Marten. – Reszta będzie mi potrzebna tutaj. Lecz

jeśli się to uda, przyślę ci wszystkich pozostałych, abys mógł

obsłużyć całą baterię.

Spojrzał mu prosto w oczy,

–Liczę na ciebie, jak na siebie samego – powiedział. – ~ Pamiętaj: póki ja żyję, „Zephyr” się nie podda; gdybym zginął, zrobisz, jak zechcesz.

–Zrobię jak ty – odrzekł Stefan, a Marten chwycił go w ramiona, i uścisnął serdecznie.

Leonardo Tessari przezywany Cyrulikiem na próżno usiłował wydostać się z kajuty, którą od kilku dni dzielił z Grabińskim, bowiem Stefan wychodząc z niej opuścił zewnętrzną zasuwę, jak to czynił zwykle, aby drzwi nie otworzyły się i nie trzaskały wskutek kołysania się okrętu. Dbał o spo* kój chorego i nie wyręczał się nikim w opiece nad przyjacielem, czyniąc wyjątek jedynie dla Tomasza Pociechy, który codziennie z rana i wieczorem zaglądał do Cyrulika, aby muj natrzeć całe ciało terpentyną.

Tego niezawodnego środka na wszelkie dolegliwości płuc było pod dostatkiem w kabelgacie „Zephyra”, ponieważ używano go do rozcieńczania i mieszania farb olejnych. W kajucie sternika stała teraz duża, trzygarnkowa * bańka, z której „nosil się ostry, żywiczny, a zdaniem głównego bosmana – przywracający zdrowie zapach.

Drzwi nie chciały ustąpić; Tessari był zbyt wyczerpany gorączką, aby je wyłamać. Po kilku bezowocnych próbach poczuł gwałtowny zawrót głowy i usiadł przeklinając swoje niedołęstwo. Chwycił go atak bolesnego, rwącego kaszlu; krztusił się długo, nie mogąc złapać oddechu, a tępy, dokuczliwy ból rozsadzał mu czaszkę.

Gdy się wreszcie nieco uspokoił, usłyszał znów wzmożoną wrzawę na pokładzie i bezładną, spieszoną palbę muszkietów, która wraz z armatnią salwą obudziła go poprzednio ze snu. Dygotał od gorączkowych dreszczy i z bezsilnego gniewu, że go tu zamknięto, podczas gdy tam, na zewnątrz, toczyła się bitwa.

Domyślał się jej przebiegu, jakkolwiek niewiele mógł dojrzeć przez okno kajuty, które otworzył nie bacząc na przejmujący ziąb i wilgoć. Naprzeciw tego okna, oddalona o kilkanaście łokci kołysała się rufa szwedzkiej karaweli z jej nazwą: „Vasteras”, złożoną z mosiężnych liter, i ścierała się raz po raz z rufą „Zephyra”. Górowała nad nią wyniosłym kasztelem, w którym widniała świeża wyrwa od celnego pocisku armatniego. Ow pocisk musiał wpaść tam z bliska i zapewne poczynił wielkie spustoszenia, lecz niestety nie wzniecił pożaru.

Požaru? Tessari drgnął na tę myśl, jakby dopiero teraz uświadomił sobie jej znaczenie. Gdyby na szwedzkim okręcie wybuchł pożar, Marten z pewnością nie omieszkałby wykorzystać takiej dywersji. Widocznie sam nie miał dostępu do owej wyrwy albo nie dostrzegł sposobności.

„Yasteras” był chyba trzykrotnie większy od „Zephyra”.

Musiał mieć liczną załogę i potężne uzbrojenie. Rozporządzaj przygniatającą przewagą i bez wątpienia zaatakował niespodzianie, skoro Marten został zmuszony przyjąć nierówną walkę, pozbawiony swobody manewru i skazany jedynie na rozpaczliwą obronę.

Tessari zazwyczaj działał równie szybko, jak myślał. Tym razem jednak zaledwie mógł się poruszać powłócząc nogami. Chwiejnym krokiem podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Pomiędzy nim a strzaskanym kasztelem „Vasteras” rozszerzała się i zwężała dziesięcio- lub dwunastojardowa przepaść, na której dnie połyskiwała rozbełtana woda. Za rufą „Zephyra” dryfowała opuszczona szalupa ze złożonymi wiosłami. Konopna lina holownicza, obłożona na haku u jej sztaby, kołysała się lekko, zwisając łukiem z pokładu okrętu o kilka stóp poniżej okna kajuty.

Cyrulik wychylił się, aby ją pochwycić, ale nie mógł sięgnąć tak daleko. Znów poczuł zawrót głowy, nie dał jednak za wygraną. Czatował na moment, gdy łódź odbije się dziobem od burty „Zephyra” pociągając za sobą linę, i ponowił próbę. Udało mu się. Trzymał ją w ręku i wybierał cal po calu, póki nie trafił na opór. Sięgnął po nóż, odciął ją najniżej jak mógł i zaczął teraz zawiązywać pętlę u jej końca.

Spieszył się, przynaglany hukami strzałów, wrzaskami i zgiełkiem czynionym przez szwedzkich piechurów, którzy znów rzucili się do szturmów. Ręce mu się trzęsły, ale zdołał zacisnąć pętlę i wychyliwszy się przez okno, zarzucił ją na kikut do połowy strzaskanej belki, sterczącej u wyrwy w kasztelu.

Było to wielkie osiągnięcie: mógł teraz dostać się tam po tym małym moście, byle mu starczyło sił na przebycie kilkunastometrowej przestrzeni dzielącej rufy okrętów. Miał wszelkie szanse po temu, że nikt nie dostrzeże tej jego napowietrznej wyprawy. Uszkodzony kasztel karaweli zdawał się opustoszały. Walka toczyła się nieco dalej; głównym jej polem był środkowy i przedni pokład „Zephyra”, ściśle przylegający do beczkowatego kadłuba „Vasteras”.

Tessari przełożył już jedną nogę przez ramę okienną, gdy przyszło mu na myśl, że nie wystarczy znaleźć się w nieprzyjacielskim kasztelu, aby szybko i skutecznie podpalić okręt rozporządzając tylko krzesiwem.

W sam czas przypomniał sobie, że ma pod ręką bańkę z terpentyną. Spróbował ją podnieść, ale zdała mu się za ciężka* Była prawie pełna. Nie zdołałby się z nią utrzymać na linie, nawet przytroczywszy ją sobie do pasa. Cofnął się więc i zaczął się rozglądać za kawałkiem powroza, aby podwiesić ją na linie i następnie przeciągnąć na drugą stronę, gdy sam się tam dostanie. Nie mógł jednak nic takiego znaleźć naprędce, więc w nerwowym pośpiechu, pomagając sobie nożem i zębami, podarł na pasy prześcieradło z cienkiego lnianego płótna, powiązał je końcami, potem umocował bla-szanę do liny i przez jej ucho przewlókł zaimprovizowany sznur.

Kosztowało go to wiele wysiłku i zajęło sporo czasu. Nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek. Instynktownie czuł, że za ścianami kasztelu rozgrywa się bodaj czy nie ostatni akt uporczywej obrony. Serce waliło mu spiesznie, strumienie potu zalewały twarz i sączyły się po piersi, tętna biły w skroniach, a poprzez bolesny ucisk i szum w uszach dochodziły go niewyraźne, skłócone odgłosy walki, okrzyki, szczęk broni, huk wystrzałów, przekleństwa i jęki rannych.

Przestał na nie zważać. Uczeplił się liny i zarzuciwszy na nią nogi pełzył nad przepaścią między rufą „Zephyra” a karawelą, posuwając się chwyt po chwycie, z zaciętymi zębami, straszliwym wysiłkiem woli pokonując omdlewanie ramion. Widział nad sobą tylko jednolicie szare niebo przekreślone z lekka rozkołysaną liną, u której zwisał plecami w dół, jak niezdarny żuk na pajęczej nici.

Dotarłszy do połowy jej długości, zadarł głowę, aby zobaczyć, ile mu jeszcze zostało. Ujrzał strzaskaną belkę na tle ciemnego otworu wysoko w górze, znacznie wyżej, niż się spodziewał. Luźno zawieszona lina wyprężyla się teraz pod jego ciężarem, tworząc rozwarty kąt, u którego wierzchołek się znajdował. Na domiar

złego wskutek jej obciążenia rufy obu okrętów zbliżały się z wolna i ów kąt coraz bardziej się zaostrzał.

Cyrulik na chwilę zwątpił, czy mu się uda kiedykolwiek pokonać wzniesienie liny. Mógł się posuwać naprzód tylko bardzo powoli, a każdy następny chwyt przyprawiał go o skurcz mięśni, i ścięgien. Z trudem prostował palce, które przy tym grabiały mu z zimna, a gdy je znów zaciskał o kilka cali dalej, tracił nadzieję, że zdoła się utrzymać, bo lina wyslizgiwała mu się z obolałej dłoni.

W końcu jednak dowlókł się do krawędzi otworu wybitego w kasztelu i ostatkiem sił zdołał się tam wdrapać. Miał pościeraną skórę na rękach, połamane i okrwawione paznokcie, ociekał potem i zarazem drżał z zimna. Lecz rozpiełała go дума, że zdobył się na taki wysiłek i pokonał własną słabość. Teraz pozostała część zadania wydawała się łatwa i prosta.

Zajrzał do ciemnego wnętrza. Tak jak przewidywał, panowały tam nieład i spustoszenie od dwudziestosloczterofun-towego pocisku z półkartauna. Zdruzgotane grodzie ziały czarnymi otworami wśród świeżych drzazg i zadziorów odłupanych z sosnowych belek i desek, połamane sprzęty zawały podłogę, jakieś skrwawione szmaty zwisały z rozbitej koi...

Będzie się to znakomicie palić – pomyślał Tessari.

Wydobył z zanadru koniec płóciennego sznura i przyholował bańkę z terpentyną, po czym wciągnął ją za sobą. Wtem usłyszał czyjeś szybko zbliżające się kroki. Przykucnął za stertą desek i szczątków bocznej ściany i wstrzymał

oddech. Lecz w tej samej chwili porwał go nowy atak kaszlu, przez łzy nabiegłe do oczu zobaczył w ciemnym otworze grodzi postać tęgiego 'oficera z ogromną rudą brodą. Krztusząc się wyrwał zza pasa pistolet i strzelił mu prosto w pierś.

Nie mógł dojrzeć skutków tego strzału, bo dym wypełnił wnętrze kajuty, pobudzając go do torsji, ale usłyszał łoskot padającego ciała. Na pół oślepiony, wlokąc za sobą ciężką bańkę, dusząc się, kaszląc i wymiotując, podczołgał się do koi, dźwignął się na kolana i wylał żywiczny płyn na rozrzuconą pościel. Terpentyna wsiąkała w derki i poduszki, ciekła strumieniem po podłodze, zapełniając szpary i szczeliny, zbierała się w kałuże pomiędzy wywróconymi stołkami.

Skrzeszał ognia – raz, drugi, trzeci. Rozlatane, pokaleczone dłonie chybiały, krzesiwo nie dawało iskry. Znów czyjeś bliskie kroki rozległy się za ścianą lub może w sąsiednim korytarzu. Kilku ludzi nawoływało się podnieconymi głosami.

Tessari zrozumiał, że musi się opanować. Na szczęście przestał nim wstrząsać kaszel i mógł wreszcie odetchnąć swobodniej. Znów skrzeszał ognia. Tym razem snop drobnych iskierek sypnął się spod stalowego młoteczka, a płótno nasycone

terpentyną buchnęło płomieniem, który zaczął się sze-zyc z niewiarygodną szybkością...

Cyrulik zerwał się z klęczek i odskoczył w tył. Ogień zahuczał tuż przed jego twarzą, osmalił mu włosy nad czołem, prześliznął się wzdłuż grodzi, oblizal ją łakomie, wspiął się w górę, zatraskał, ogarnął suche deski, na których smażyła się politura, strzelił aż pod sufit, wywinął się przez otwór w ścianie do sąsiednich pomieszczeń. Tymczasem drugie jego skrzydło pełzło po podłodze wysuwając ruchliwe, drgające macki śladem zacieków, aż dopadło kałuży rozlanej pomiędzy spiętrzonym stosem sprzętów. Jej powierzchnia zawrzała jak ukrop, a drewno zajęło się natychmiast i gorący dech płomieni przeleciał przez puste wnę-

trze pędząc przed sobą kłęby dymu, które na kształt długich czarnych chorągwi wionęły przez włom w bocznej ścianie kasztelu.

Wrzask przerażenia i wściekłości podniósł się na pokładzie karaweli. Wiatr podsycił pożar, który przerzucił się już na drugą stronę rufy i zagrażał tylnej baterii dział. Strop nad głowami puszkarzy dymił i trzeszczał, a tu i ówdzie ukazywały się pełgające języki ognia. Ludzi ogarniała panika, popłoch wszczął się w głównej galerii artyleryjskiej.

Tessari tylko przez krótką chwilę przyglądał się swemu dziełu, doznając przy tym rozsadzającego pierś uczucia triumfu i dumy. Piekielny żar zmusił go do spiesznego wycofania się z płonącego kasztelu, a myśl o jedynej drodze odwrotu przejęła chłodem jego mężne serce.

Z mieszaniną odrazy i politowania spojrzal na swoje pokaleczone, krwawiące dłonie. Z pewnością nie nadawały się do małych wyczynów na szorstkiej, zbyt cienkiej linie... Lecz w jakim innym sposobie zdołałby się stąd wydostać?

Przyszło mu na myśl, że mógłby zdjąć z belki pętlę, opasać się nią i zaryzykować skok w dół. Ale jeśli nawet nie połamałby sobie przy tym kości uderzając o burtę „Zephy-ra” tuż nad powierzchnią wody, to przecież o własnych siłach nie wydrapałby się potem na pokład, a jego wołania o pomoc nikt by nie usłyszał. Pomyślał też o szalupie, lecz natychmiast przekonał się, że odpłynęła już o dobrych kilkadziesiąt jardów uniesiona prądem, a teraz coraz dalej dryfowała z wiatrem. Z pewnością nie dogoniłby jej wpływ; zamarzłby w lodowatej wodzie.

Nie, nie było innego sposobu. Mógł tylko owinać dłonie!¹ szmatami z podartego prześcieradła, które posłużyło mu do holowania blaszanki z terpentyną, i właśnie się do tego zabierał, gdy potrójny, bliski huk dział wstrząsnął powietrzem.

Pólkartauny „Zephyra”! – przeleciało mu przez głowę.

Wychylił się i spojrzął ponad wzniesioną rufą okrętu. Zobaczył w oddali górne reje i żagle oraz szczyty masztów z rozwiniętymi na wietrze błękitnymi flagami. Na każdej z nich wyobrażone były trzy złote korony i lew dzierżący topór św. Olafa.

Szwedzi – pomyślał. – Jeżeli Tomasz nie strzaska jm masztów albo nie podziurawi burt pod linią wodną, zgniotą nas jak pusty orzech.

Z największym pośpiechem skończył bandażować nieszczęsne dłonie i uczepiwszy się swego „małpiego mostu” jak przedtem, zaczął leżeć z powrotem.

Szło mu to łatwiej, choć był już bardzo wyczerpany. Ale wiedział, że teraz musi odbyć nieco dłuższą drogę, bo aż d© nadburcia „Zephyra”, o kilka jardów za oknem kasztelu, gdzie zamocowano linę.

Oglądał się raz po raz, odrzucając w tył głowę i wykręcając szyję. Znalazłszy się w połowie drogi, usłyszał jeszcze dwa strzały armatnie i odczuł wstrząs, który omal nie stracił go w przepaść. Rufa okrętu poddała się odrzutowi dział, lina zwisała głębiej i szarpnęła, gdy „Zephyr” natarł na kadłub „Vasteras”.

Tessari zaklął po włosku, poprawił chwyt i znów się obejrzał. Tym razem na mgnienie oka ujrzał za niskim nad-burciem jakąś postać ludzką z ramionami wzniesionymi nad głową. Poznał ją.

–Percy! – wrzasnął co sił.

Percy Burnes dosłyszał okrzyk, lecz ani wiedział, skąd go ten głos dobiega, ani też nie mógłby już powstrzymać cięcia toporem, którego ostrze spadło z głuchym stukiem na krawędź burty przecinając linę.

Cyrulik, trzymając się jej kurczowo nadal, poczuł, że leci w dół jak kamień. Przed oczyma mignęła mu jeszcze biało lakierowana koncha rufy i wygięcie steru „Zephyra” po czym wyrznął głową o kadłub karaweli, odbił się i wpadł do wody, która rozstąpiła się z pluskiem, aby przyjąć jego ciało wstrząsane śmiertelnymi drgawkami.

Zapewniając Martena, że „uczyni, jak on”, Stefan Grabiński wypowiadał to, co czuł w owej chwili. Pragnął dochować wierności i jemu, i okrętowi. Lecz nawet uświadamiając sobie całą grozę sytuacji, nie doceniał w pełni wagi tej obietnicy.

Był odważny; bił się dzielnie i nikomu nie pozwalał wyprzedzić się w ataku. Gotów był nawet zginąć idąc do szturmu, choć myśl o śmierci nie nawiedzała go w zamęcie bitwy. Lecz teraz nie miał wziąć udziału w boju, tylko czekać na jego wynik, a w razie niepowodzenia – wysadzić okręt w powietrze.

Wyobrażał sobie tę chwilę, jak skazaniec egzekucję. Sam miał ją wykonać. Na sobie, na Martenie, na całej załodze i na „Zephyrze”... W dodatku sam w ciągu paru sekund

musiał zadecydować, czy ta ostateczna chwila już nadeszła.

Mógł się przecież pomylić! Mógł przedwcześnie wydać wyrok zagłady na nich wszystkich i na siebie. Mógł wreszcie zbyt późno podjąć tę decyzję i paść od kuli lub zostać obezwładniony przed jej wykonaniem.

Spojrzał na ceigwarta i puszkarza, których mu przysłał Marten. Znał ich dobrze. Byli to dzielni, wypróbowani ludzie, ale

z żadnym z nich nie mógł podzielić odpowiedzialności; musiał nimi pokierować.

Kazał im zejść na pokład artyleryjski i z gotowymi lontami czekać przy działach.

–Gdybyż Tessari był tutaj ze mną! – westchnął.

Pomyślał, że powinien uprzedzić Cyrulika o tym, co lada

chwila może nastąpić, ale zaraz zmienił zdanie. Jeśli Tessari ma zginąć jak inni, lepiej niech o tym nie wie. Zresztą było już za późno, aby pójść – raczej przeczołgać się – na rufę, do kajuty, w której leżał chory.

Była to kajuta sąsiadująca z zajmowaną dawniej przez Marię Franceskę. ilekroć Stefan mijał jej drzwi, mimo woli zwalniał kroku, a serce ścisnęło mu się, jak wtedy, gdy se-fiorita de Yizella jeszcze tu przebywała.

To były złe wspomnienia. Zwłaszcza te ostatnie, po uwięzieniu Martena w La Roehelle.

Pierwsza miłość często bywa nieudała czy też nieszczęśliwa. Lecz w tym przypadku okazała się okrutna, i to nie tylko z winy szczególnych okoliczności. Grabiński był zakochany bez żadnej nadziei. Od początku walczył z tym uczuciem i czynił sobie wyrzuty z jego powodu, nie wyjawiając go zresztą nikomu. Maria Francesca dostrzegła jednak, co się z nim dzieje. Z początku ją to bawiło, potem, gdy się przekonała o niezłomnej wierności Stefana dla Martena – nudziło, a w końcu zaczęło drażnić. Z zemsty (i ponieważ nadarzało się po temu dość sposobności) dokuczała mu, starając się ośmieszyć jego tajemnicę. Tessari, który domyślał się wszystkiego po trosze, niejednokrotnie był świadkiem tej zabawy, a jakkolwiek nie rozmawiali o tym, Stefan wiedział, że ma w nim milczącego sojusznika, który mu sprzyja, choć nie może pomóc.

Tak, Tessari wiele rozumiał i często paru słowami, jednym znaczącym uściskiem, uśmiechem lub tylko spojrzeniem potrafił mu dopomóc, jak to czynił od samego początku ich przyjaźni, zanim jeszcze Grabiński został sternikiem i zastępcą Marlana.

Wzmógł ogień hakownic i muszkietów z pokładu „L'asteras” dawał znać o

gotującym się nowym szturmie. Grabiński ukryty za grubym parapetem z dębowych belek, osłaniającym zejście do galerii artyleryjskiej, widział

szwedzkich oficerów w półpancerzach i hełmach, jak spr_a. wiali szyki.

Zaraz się zacznie – przeszło mu przez głowę. – A może: zaraz się skończy?...

Spojrzał w kierunku zbliżających się galeonów. Były Jy. szcze dość daleko, ale pierwszy z nich powinien wkrótce znaleźć się w polu ostrzału z prawej burty „Zephyra”. Stefan spodziewał się, że tak czy owak zdąży posłać mu choć kilka pocisków. Ta nadzieja sprawiła mu pewną ulgę w beczynnym oczekiwaniu.

Pomyślał teraz o matce i o tym małym domku z ogrodem, który dla niej upatrzył w Gdańsku za Kamienną Groblą.

Kupię go, jak tylko to tutaj się skończy i będzie można wrócić do Gdańska – powiedział sobie. – Tak – myślał z uporem, aby wypełnić długie minuty beczynności – wrócić i zejść na ląd, choćby na kilka dni.

Wiedział, że się łudzi. Przecież nigdy już nie zobaczy' matki, bo „Zephyr” nie wróci do Gdańska – to jasne!

No nie – tak też nie można! – skarcił się w duchu. – [To prowadzi do słabości. Trzymaj się, chłopcze! Nie roz-tkliwiaj się nad sobą. Przecież bywało już gorzej i wychodziłeś cało.

Gorzej?... Prawdę mówiąc, nie bywało gorzej. Gorzej być nie mogło...

Ale to nie ma żadnego znaczenia – pomyślał. – Nie | wolno poddawać się zwątpieniu. Nie wolno jednak również liczyć na powrót; nie trzeba wspominać mamy, nie należy rozmyślać o dachu nad głową dla niej. Muszę być chłodny i opanowany. Chodzi przecież tylko o to, żeby nie stchórzyć, w ostatniej chwili.

Wcale nie tchórzył. Wiedział, że dotąd nie tchórzy, jakkolwiek był niemal pewny, że nie dożyje południa.

Muszę się jednak dobrze pilnować – pomyślał.

Głośne komendy i bojowe okrzyki dochodzące z pokładu g_zwcdzkiej karaweli przerwały mu te rozważania. Gęste szeregi żołnierzy dwiema falami ruszyły, naprzód ku złączonym burtom okrętów, wspięły się na nie, zaczęły się przelewać na kasztel i szkafut „Zephyra”.

Szturm! – pomyślał Stefan.

Usłyszał głos Martena wybijający się ponad wrzawę, a potem salwę z kilkunastu muszkietów. Ujrzał wyłom uczyniony przez kule w nacierającej ławie, która zmieszała i zakłębiła się jak bystry nurt potoku trafiający na zaporę, zanim ją zaleją i przykryją spiętrzone wody.

Nic ich nie wstrzyma – przeleciało mu przez głowę.

Lecz w tej samej chwili za jego plecami przetoczył się gwałtowny tupot nóg i trzydziestu korsarzy uzbrojonych w topory werżnęło się klinem w ową wyrwę, odrzucając na bok nacierających Szwedów, jak ostry lemiesz odrzuca skibę oranego ugoru.

Grabiński na mgnienie oka zobaczył Martena, który pędził na czele swych ludzi, oraz Klopsa i Broera Worsta po obu jego stronach. Prawie jednocześnie od dziobu runął z góry kontratak prowadzony przez Hermana Stauffla, a rozdzielone na dwoje zastępy szwedzkie zaczęły się chwiać i pierzchać z powrotem ku burcie „Vasteras”.

Tam jednak zatrzymało je dodatkowe wsparcie odwodu, który Stolpe w sam czas rzucił im na pomoc. Szale rozpaczliwej walki, przechylające się już na stronę „Zephyra”, stanęły w zawieszeniu.

Grabiński z zapartym tchem patrzył na to krwawe widowisko. Serce waliło mu w piersi jak młot, podchodziło do gardła, zatrzymywało się na chwilę i znów tętniło gwałtownie. Wtem poczuł, że ktoś tarmosi go za rękaw. Oprzytomniał. To był ceigwart, który o coś pytał. Stefan usłyszał tylko jeden wyraz: galeon.

Galeon! – jak błysk w ciemności.

Obejrzał się. O niespełna pół mili szwedzki okręt zwalniał biegu brasując reje – zapewne aby wykręcić i dobić do lewej burty „Zephyra”.

Nie było chwili do stracenia. Stefan zjechał w dół po poręczach wąskiej schodni, pociągając za sobą ceig. warta.

–Mierzyć nisko, pod linią wodną – powiedział do obu

artylerzystów. – Ja wezmę na cel grotmaszt.

Przyklęknął u działa i rychtował jego krótką lufę nasłuchując rosnącej wrzawy, która dochodziła z pokładu.

Zobaczyli. ten okręt – pomyślał. – Teraz ruszą do ostatniego natarcia.

Patrząc wzdłuż lufy półkartauna przez szczelinę strzelniczą w burcie „Zephyra”, widział manewrujący galeon. Słaby wiatr nie sprzyjał zwrotowi, żagle trzepotały

bezrad- V, nie, ciemna sylwetka zdawała się tkwić nieruchomo na wprost armatnich paszcz, które gotowały się do salwy.

–Ognia! – zawołał Grabiński.

Odsunął się na bok, przyłożył dymiący lont do zapalu,

odskoczył dalej.

Potężny huk uderzył go w uszy, działo szarpnęło w tył a zaraz po nim wypaliły dwa dalsze.

Gryzące smugi dymu wionęły przez galerię, uleciały kuB otwartemu lukowi.

Stefan podbiegł w stronę dzioba, chcąc zobaczyć skutk™ swojej salwy. Istotnie przez tamte strzelnice mógł już P<9 krótkiej chwili dojrzeć szwedzki okręt. Dym spływał ku rufie, a spoza czarnej, rozpraszającej się jego chmury wyła-* niał się z wolna wysoki kadłub, bezan, grot i fokmaszt – wszystkie nietknięte!...

–Chybiliśmy! – zawołał zrozpaczony.

–Ależ gdzie tam! – usłyszał za sobą głos ceigwarta. Co najmniej dwa trafne, patrzcie!

W tej samej chwili środkowa piramida żagli nad szkafutem galeonu przechyliła się z wolna, jak korona podciętej topoli, i runęła za burtę.

–Więc jednak! – wykrzyknął Grabiński.

Ceigwart zaczął coś mówić, chciał o coś zapytać, lecz dziki

wrzask nad ich

głowami zagłuszył jego słowa.

–Szturmują! – powiedział Grabiński i skoczył ku

schodni, aby wyrzeć na pokład.

Ale to nie był szturm. Kłęby dymu buchały z tylnego kasztelu, „Vasteras”. Na karaweli szerzyła się panika, oddział abordażowy cofał się w popłochu, oficerowie potracili głowy i wydawali sprzeczne rozkazy, a zziązani, ociekający krwią i potem ludzie Martena cięli toporami liny, rąbali okute żerdzie i bosaki, które trzymały „Zephyra” u burty szwedzkiego okrętu.

Grabiński zaledwie mógł uwierzyć własnym oczom. Nie-bchronna klęska, która od

godziny zawisła nad „Zephyrem”¹, nagle i nieoczekiwanie zmieniła się w pogrom nieprzyjaciela, a w każdym razie w porażkę admiralskiej karaweli, objętej szalejącym pożarem. Wyglądało to nieomal na cud.

Lecz cud zdarza się tylko raz... ~- przeleciało mu przez głowę.

Pomyślał o dwóch galeonach: o tym, który wprawdzie za jego sprawą stracił grotmaszt, lecz mógł jeszcze użyć swych dział, i o drugim, który łąda chwila miał się pojawić z odsieczą.

Obejrzał się. To, co zobaczył, nie zrobiło już na nim

wrażenia cudu – może dlatego, że było dziełem jego własnym oraz dwu ludzi, jakich miał do pomocy – lecz przecież wykraczało poza miarę zwykłych zdarzeń.

Oto galeon istotnie musiał otrzymać jeszcze co najmniej jeden celny, dwudziestoczerofuntowy pocisk poniżej linii zanurzenia, bo najwidoczniej pochyłał się na lewą burtę i z wolna tonął.

Tonął!!! Jego działa milczały, patrząc skośnie w wodę jakby mierzyły głębię, zanim się w nią zanurzą. Załoga spuszczała tratwy i łodzie, a żagle łopotały rozpaczliwie na pozostałych masztach.

–Gotuj zwrot! – rozległ się okrzyk Martena, a Gra-jj biński znów ocknął się ze zdumienia i skoczył na swoje miejsce, aby pokierować manewrem.

–Dobrze się spisałeś! – zawołał Marten. – Niech] Worst zajmie się zaraz nabiciem dział!

Cieśla „Zephyra” pośpieszył spełnić to polecenie, choć ledwie trzymał się na nogach. Był dwukrotnie ranny, w głowę i w lewy bark, a krew zalewała mu jedyne oko. Lecz podobne lub nawet cięższe rany odnieśli niemal wszyscy ludzie biorący udział w odparciu ostatniego szturmu. Wyglądali jak czereda potępieńców, której udało się wyrwać z piekielnej katowni, gdzie poddawano ich torturom. Mimo to działa musiały zostać jak najprędzej ponownie nabite i zamocowane. Maszty i żagle drugiego galeonu wylaniały się coraz wyraźniej z resztek mgły. Okręt płynął z wiatrem i zbli-, żał się teraz szybko. Nie było czasu na opatrunki i na wytchnienie: bitwa pod Kalmarem jeszcze się nie skończyła.

Marten bez miłosierdzia popędzał swoją zmordowaną-^ załogę. Gdy wreszcie udało mu się wymanewrować pomię-.-l dzy płonąca karawelą a unieruchomionym okrętem, który j dryfował z prądem pochylając się na bok wśród pływających dokoła tratw i przepełnionych łodzi – podniósł „Ze- j phyra” na wiatr i z niezachwianą -wiarą w swą szczęśliwą gwiazdę pożeglował na spotkanie trzeciego przeciw- | nika.

Ponosiła go duma ze zwycięstwa nad szwedzkim admirałem. Pokonał go. sam, bez pomocy okrętów Bekesza, choć

Zephyr" był trzykrotnie mniejszy od flagowej karaweli Stolpego, nie mówiąc już o galeonie z jego trzydziestu kilku działami, które nie zdążyły ani razu wypalić! Teraz z właściwym sobie zuchwalstwem rzucił się na nowe ryzyko, choć pozostało mu zaledwie pięćdziesięciu pokiereszowanych ludzi, tylko częściowo zdatnych do walki.

Nie myślał o tym. Pragnął zadziwić Bekesza i Haiena. Chciał od jednego zamachu zdobyć sobie na Bałtyku taki rozgłos i sławę, jakie otaczały go dotąd na obcych morzach. Zapłacił już za to śmiercią Tomasza Pociechy, lecz żał po stracie starego bosmana, który służył mu wiernie od lat przeszło dwudziestu, podniecał go tylko do czynu. Pociecha musiał być pomszczony. W mniemaniu Martena dopiero zagłada całej flotyli Stolpego mogła nasycić tę zemstę. Dlatego pięćdziesięciu straceńców miało raz jeszcze zmierzyć się z załogą szwedzkiego galeonu liczącą najmniej dwustu ludzi, a dwadzieścia armat „Zephyra” – zmusić do milczenia prawie dwukrotnie liczniejszą artylerię nieprzyjaciela.

Lecz tym razem pierwsze przemówiły inne działa – nie szwedzkie i nie te, które spiesznie nabijali puszkarze pod komendą Broera Worsta.

*** Daleki huk rozległ się od południowej strony cieśniny i odbił się echem od brzegów, a Marten podniósłszy do oczu swoją lunetę dostrzegł przez czarodziejskie szkła całe stado żagli rozrzucone u wejścia do Zatoki Kalmarskiej. Konwój pana Bekesza przybywał wreszcie ze spóźnioną odsieczą...**

Ostatnia faza bitwy pod Kalmarem trwała krótko i zM kończyła się zwycięsko dla eskorty polskiego konwoju. Rotmistrz Władysław Bekesz tak o niej pisał w swoim raporcie do króla:

„Nabłakawszy się prawie dwie niedzieli po morziJB w wielkich, haniebnych szturmach będąc, w Karlskronie, wojennym porcie króla duńskiego, na ankrach stanąłem. ZaiS czem, za radą kapitana kaperskiego Jana Kuny, którego zos wią de Marten, jako francuskiego szlachcica, jego okręt do wejścia sztokholmskiego wyprawilem. Ten to Jan Kuna. Mar-żj tenem zwany, korsarz bardzo sławny, wyspę Dland całą opły-1 nął i od północy do Kalmarskiej Cieśniny wszedłszy. sam.j jeden najpierw z wielkim hazardem karawelę admirała Stoi-pegno spalił, tandem * drugi okręt Karolusowy zatopił, a w końcu pod Kalmar ruszył. Tempore opportuno ** ruszyłem także z Karlskrony naprzeciw, a u samej Zatoki Kalmarskiej już tylko jeden duży okręt, szwedzki zastałem, który j przecież nie ku mnie, ale właśnie ku Sztokholmowi się obrócił, na pomoc Stolpemu zdążając. Zaś przeciwko mnie siedem pink i espingów posłał, o której armadzie juzem leż wiedział. Mając wiatr po sobie, ruszyłem się ku nim prosto, w bębny, w trąby uderzywszy, chorągwie rozpuściwszy i na+| ryeh towując działa, co gdy postrzegli. gdzie który mógł, po morzu się rozpierzchli, wolną mi drogę czyniąc: Tandem tedy ogień z hufnic po onym galeonie położyłem, niejaki szkody I

niu czyniąc, a wreszcie in communi * z szyprami obydwu holków i za sprawą dział „Zephyra” zatopiliśmy ten szwedzki okręt u samego brzegu Olandii na niedużej głębi.

Eo modo ** – pisał dalej – za pomocą Pana Boga Wszechmogącego w cale ze wszystkimi okrętami i dwiema kogami 24 Deeembris w południe pod zamkiem na ankrach stanąłem. Jaka radość w ludzi Waszej Królewskiej Mości wstąpiła, którzy na zamku byli, Wasza Wysokość, mój Miłościwy Pan rozumieć może; albowiem księżę Karolus bękartą swego z jazdą i piechotą pod samym miastem położył, ten zaś był naszych ucisnął, że miasto opuściwszy w zamek się byli wprowadzili, bo ich też i sto nie było, aby mogli oboje bronić”.

Radość na zamku i wśród załóg okrętowych istotnie była ogromna. Tylko na „Zephyrze” panował nastrój żałobny. Spośród siedemdziesięciu marynarzy i bosmanów – piętnastu poległo. Ich zwłoki zaszyte w żaglowe płótno i obciążone kulami armatnimi zsunęły się kolejno w morze, zanim jeszcze „Zephyr”⁴ wszedł do Zatoki Kalmarskiej.

Lecz brakowało także Tessariego. Nikt go nie widział na pokładzie podczas bitwy, a Grabiński, który pierwszy spostrzegł, że Cyrulik zniknął, był całkiem pewny, że zastał drzwi swojej kajuty zamknięte z zewnątrz, tak jak je zostawił wychodząc.

Dokonawszy szczegółowego przeglądu, odkrył, że znikła również blaszanka z terpentyną oraz Iniane prześcieradło, z którego pozostało nieco podartych strzępów. Reszty można się było domyślić: otwarte okno, nagły pożar w kasztelu „Vasteras” i szalupa, której nie udało się odnaleźć mimo późniejszych poszukiwań wzdłuż obu brzegów cieśniny...

To on nas uratował – myślał Stefan. – A sam zginął

w płomieniach... Dlaczego jednak nikt go nie widział i nie słyszał, w chwili gdy „Zephyr” wyswobadzał się z uwięzi u burty szwedzkiej "karaweli”?

Ta sprawa nie dawała mu spokoju. Przypomnił sobie, że na rufie przy bezanmaszcie zastępował Tessariego Slo-ven. Czyżby go nie dostrzegł? Mogła ich dzielić odległość co najwyżej kilku jardów. Wystarczyłoby sięgnąć bosakiem lub podać linę, aby Cyrulik mógł za jej pomocą dostać się z powrotem na pokład „Zephyra”. Gdyby nawet nie miał na to dość sił, można było przerzucić trap i wynieść go z płonącego kasztelu.

Zapewne, można było. Lecz czy Sloven ważyłby się na taki czyn w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa, gdy oba okręty lada chwila miały się rozdzielić?

Nie warto pytać – pomyślał Grabiński. – Percy i tak by skłamał. Nie można dowieść mu tchórzostwa, jeśli istotnie stchórzył. Na cóż by się to zresztą zdało?

Co się tyczy samego Burnesa, to tylko przez krótką chwilę doznawał rozterki i czegoś w rodzaju wyrzutów sumienia. Przeszło mu to, zanim jeszcze zdołał wraz ze swą wachtą przebrasować reje.

Nie był przecież winien śmierci Cyrulika! Działał w pośpiechu i nie mógł już powstrzymać fatalnego cięcia toporem, kiedy usłyszał okrzyk i zobaczył go uczeponego na linie.

Nie mógł? Zapewne, gdyby to nie był Cyrulik, może zdołałby jeszcze skierować cios nieco dalej w prawo albo w lewo i ominąć tę linę. Może by mu się udało, a może nie. Ale w danym przypadku nie zdobył się na ten wysiłek. Tes-sari nigdy nie cieszył się jego sympatią i sam nie okazywał mu szczególnej przychylności. Przeciwnie: traktował go raczej pogardliwie, z góry, jakby uważał się za kogoś lepszego.

Percy w ciągu osiemnastu lat służby dochrapał się stopnia bosmańskiego, lecz dotąd nie został starszym bosmanem

frachtowym. Pełnił tę funkcję jedynie zastępczo, i to na zmianę z Klopsem. Natomiast Cyrulik, który zamustrował z nim razem na „Zephyra”, od dawna dowodził trzecią wachtą i zapewne teraz, po śmierci Tomasza Pociuchy, znów by awansował. Naturalnie – jeśli wylizalby się z choroby, co po tym wszystkim było nader wątpliwe.

I tak by wyciągnął kopyta – pomyślał Sloven. – Nie ma czego żałować.

Świtała mu nadzieja na objęcie owej trzeciej wachty po Tessarim, lecz znów spotkał go zawód: podczas wieczornego apelu Marten mianował starszym bosmanem wachtowym Marcina Knocha, przezywanego Klopsem.

Rotmistrz Bekesz za radą Martena chciał jak najprędzej wyruszyć z powrotem do Gdańska lub raczej do Pucka, gdzie nowy dowódca wybrzeża, Jan Weyher, przygotował zimowe leże dla okrętów królewskich. Senat gdański raz po raz protestował przeciw ich przedłużającemu się postojowi pod Latarnią, a Zygmunt III musiał liczyć się z rajcami, u których ustawicznie zaciągał pożyczki. Rajcowie zaś uważali, że konflikt ze Szwecją jest prywatną sprawą dynastii, a poza tym woleli neutralność niż wojnę, która nie sprzyjała interesom handlowym.

Król ustąpił. Niedobitki jego armady zostały przeholowane do Pucka i stanęły tam na kotwicach, a pan Weyher zajął się ich naprawą.

Niewiele mógł działać, ponieważ nie otrzymał na ten cel pieniędzy, lecz przynajmniej jako. tako zabezpieczył je przed zupełnym zniszczeniem i teraz oczekiwał powrotu Bekesza,

Bekesz nie mógł jednak wyruszyć z Kalmaru natychmiast po wyładowaniu zapasów dla twierdzy, bo na morzu znów srożył się grudniowy sztorm. Okręty stały na kotwicach pod murami zamku i tylko...Zephyr" wychodził z zatoki, aby patrolować cieśninę.

Podczas pierwszego takiego patrolu Marten przekonał się, że admirał Slope zdołał ugasić pożar na „Yasteras” i uratować karawelę, po czym zapewne udał się na niej do Sztokholmu lub do Norrkoping. Natomiast galeon zatopiony przez Grabińskiego osiadł u mieliznie i sterczał tam z pochylonymi masztami i rejami, na których powiewały podarte żagle.

Z „Zephyra” opuszczono szalupę, aby sprawdzić, czy na wraku nie znajdzie się coś cennego. Wyniki tej inspekcji okazały się zgoła nieoczekiwane. Grabiński przywiózł kasę okrętową ze znaczną sumą pieniędzy i cztery okute skrzynie zawierające bogate stroje, klejnoty, kosztowną zastawę stołową oraz ozdobną broń ręczną, sadzoną drogimi kamieniami. Była to prawdopodobnie część łupu wojennego zdobytego przez Szwedów pod Stegeborgiem. Jej wartość opłacała z nawiązką wszelkie straty i szkody poniesione przez okręt, a także zapewniała niezgorsze udziały załodze i wypłatę odpraw pośmiertnych dla rodzin poległych.

Ta niespodziana zdobycz przyczyniła się w znacznej mierze do podniesienia ducha wśród ludzi Martena, zwłaszcza że[^] mieli teraz pod dostatkiem jada i napitków, które także zabrano z dobrze zaopatrzonej i nie uszkodzonej spiżarni galeonu. Rany goiły

się szybko, a żal po stracie towarzyszy i przyjaciół zapijano mocną szwedzką gorzałką, święcąc rozpoczynający się mięsopust.

Dopiero po tygodniu tego ucztowania, w sam dzień Nowego Roku 1599, konwój żegnany przez całą załogę Kalmaru wyruszył w drogę powrotną.

I znów na pełnym morzu rozszalała się burza, tym razem przeciągająca nad całym Bałtykiem, od Zatoki Botnickiej i Fińskiej po Rugię, Szczecin i Kołobrzeg. Zamieć śnieżna, lodowate bryzgi fal i płaty piany niesione wichurą prze-

gloniły świat. Długie sople zwisały % want i szlagów, woda marzła na pokładach, skorupa lodu utworzyła się na windach, skuła kotwice przy kluzach. nawarstwiała się u burt. Wiatr wył, gwizdał, zrywał żagle i płał liny, a morze ryczało cwałując pod nim i rzucając okrętami.

Trwało to prawie cztery dni i noc. Piątego stycznia nad ranem wiatr ucichł, po czym zaczął umiarkowanie dąć z północnego zachodu. Niebo roz pogodziło się nieco i chwycił mróz. Na zachodzie widać było górzystą sylwetkę Born-hohmt.

Marten pomyślał, że jeśli taka pogoda utrzyma się choćby przez całą dobę, konwój nazajutrz powinien minąć cypel Helu. Natchnęło go to nadzieją, że wieczór Trzech Króli spędzi z Marią Frauceską, gdy wtem przypomniał sobie, że ma przecież zakotwiczyć w Pucku, nie w Gdańsku.

Wcale mu się to nie podobało. Nie mógł nawet marzyć o jakiejś podwodzie z Pucka w dzień świąte'czny, a wszak do Gdańska było stamtąd prawie osiem mil.

Stanę pod Latarnią – pomyślał. – Wedecke nie ośmieli się nawet zaprotestować. Zresztą to tylko na jedną noc.

Cieszył się na sannę, której nie miał okazji użyć od czasów chłopięcych. Maria z pewnością nigdy nie jeździła saniami. Miał dla niej niespodziankę na tę okazję: wspaniałą szubę z soboli pochodzącą ze zdobyczy wziętej na szwedzkim galeonie. Był to zaiste królewski upominek. Pragnął jak najprędzej ujrzeć ją w tym bezcennym futrze, zaróżowioną z uciechy, z oczyma błyszczącymi ze szczęścia.

Postanowił, że odprowadzi konwój tylko poza Hel i nie pytając nawet o pozwolenie, pożegluje do Gdańska. Mniemał, że po tym, czego dokonał, nikt nie weźmie mu lego za złe. W zatoce okręty będą już bezpieczne, a „Zephyr” przeleci ją z bocznym wiatrem w godzinę.

Konwój minął Hel nazajutrz około godziny wpół do czwartej, na krótko przed zachodem słońca. Całą Zatokę Pucką zdawała się wypełniać krew; bezchmurne niebo nasiąkło czerwienią, a tuż nad horyzontem gorzało olbrzymią oślepiającą łuną. Północno-zachodni wiatr zacinał mrozem, lecz jego podmuchy napotykając zaporę

Puszczy Darżlub-skiej i Wierzchucińskiej nieco osłabły.

Okręty pana Bekesza musiały teraz mozolnie lawirować, zmieniając ciąg z prawego na lewy i odwrotnie. Szyk rozproszył się. Każdy z kapitanów manewrował na własną rękę, aby przed nocą dotrzeć do portu lub przynajmniej zakotwiczyć jak najbliżej Pucka.

Marten, korzystając z tego, niepostrzeżenie zawrócił na południe i – tak jak zamierzał – pożeglował w pół wiatru prosto do Wisłoujścia.

Przybył tam o późnym zmroku.' Pomimo formalnego zamknięcia żeglugi i portu dla ruchu statków, zastał zapalone wielkie światło Latarni oraz oświetlone nabieżniki południowo-wschodniego wejścia na redę. Nie skorzystał z nich jednak, wiedząc z góry, że w dzień świąteczny o tej porze żaden pilot nie wypłynie na spotkanie okrętu. Zdecydował się wejść od północo-zachodu, wbrew przepisom, ale za to z wiatrem, i dokonał tego ryzykownego manewru w zupełnych ciemnościach, po czym wykręcił w prawo pomiędzy ka-. mienne nabrzeża Martwej Wisły, minął mury twierdzy i lu-zując wszystkie żagle, rzucił kotwicę przy południowej fosie, która do niedawna służyła okrętom królewskim jako basen i port wojenny.

Teraz w końcu małego basenu, u zwodzonego mostu, który łączył dziedziniec małej warowni ze stałym lądem, tkwił płaski, czarny kadłub fortecznego promu, a za nim stał na cumach tylko jeden okręt i dwa jednomasztowe balingery portowe. Świeża, cienka powłoka lodu ścięła sto- J jącą wodę w fosie u samych brzegów i połyskiwała nikle

odbiciem smolnych kagańców płonących u bramy za mostem. Od Wisły całą szerokość basenu przegradzała podnoszona z dwu stron bariera. Była zamknięta i nikt nie kwapił się z jej otwarciem.

Dopiero gdy „Zephyr” pod wpływem wiatru obrócił się na kotwicy i stanął dziobem ku wylotowi fosy, na murach zabłysły pochodnie i ukazały się postacie ludzkie. W jednej z nich Marten rozpoznał burgrafa Latarni, pana Eryka von Sasse. Nie czekając na jego pytania, sam opowiedział się, ' kim jest.

Sasse domyślał się już przedtem, co to za okręt. Zamierzał właśnie udać się do Gdańska, gdy w zapadającym zmroku dostrzeżono żagle „Zephyra”. Poleciał czekać zaprzężonym saniom, które go miały odwieźć do miasta, i uważnie śledził manewry Martena.

Zorientowawszy się, że „Zephyr” wchodzi przez West-fahrwasser, zawrzał oburzeniem i w pierwszej chwili gotów był posłać przed jego dziób ostrzegawczy pocisk z działa, ale powstrzymał się od tego kroku.

Owszem, niech wejdzie. Senat i pan hafenmeister będą mieli przeciw niemu

dodatkowy dowód pogwałcenia prawa. Głupiec! Sam zastawiał na siebie sidła. Zapłaci za to.

Usłyszawszy okrzyk Martena, zapytał o powód wtargnięcia na wody gdańskie wbrew ogłoszonemu zakazowi.

–Noc zaskoczyła mnie w zatoce – odrzekł Marten. – Nie chciałem ryzykować wejścia do Pucka, bo nie znam dokładnie tamtych brzegów. Nie mogłem też lawirować pod wiatr, a ponieważ nie było pilota, który by mnie wholował, przeszedłem wejściem północno-wschodnim.

–To wszystko wcale was nie usprawiedliwia – zawołał Sasse. – Ani trochę! Co innego, gdyby wasz okręt był w niebezpieczeństwie!

Martena ogarniało już zniecierpliwienie i gniew, ale hamował się, aby nie wybuchnąć.

–Mniejsza z tym, panie burgrafie – odparł. – Myślę, że ja i moja załoga zasłużyliśmy sobie na pewne względy. Jeśli o tym nie wiecie, tym gorzej dla was. Jutro cały Gdańsk o tym usłyszy. Na razie domagam się wpuszczenia „Zęf phyra” do basenu pod Latarnię na jedną noc. Najdalej w południe stąd wyjdziemy.

–Cóż to, zawojowaliście Szwecję? – spytał Sasse nieco zbity z tropu jego pewnością siebie.

–Wolałbym wam odpowiedzieć z mniejszej odległości na to pytanie – rzekł Marlen. ~- Otworzycie barierę czy mam posłać swoich ludzi, żeby to zrobili?

–Nie radziłbym próbować – Sasse podniósł głos. – Mamy za sobą prawo i zgodę jego królewskiej mości. A także nabite działa – dodał.

Marten roześmiał się.

–Jego królewska mość każe was skrócić o głowę, jeżeli ich użyjecie. Czekam jeszcze dwa pacierze. Zrobilibyście mądrze sami je odmawiając, jeśli macie ochotę użyć swoich pukawek.

Von Sasse miał na to ochotę, ale powstrzymały go aż trzy względy. Po pierwsze pewność siebie, a może tylko bezczelne przechwałki Martena zrobiły na nim niejakie wrażenie. Narazić się na gniew króla – to byłoby ryzykowne... Po wtóre, gdyby się okazało, że Marten nie ma za sobą ani żadnych szczególnych zasług, ani też powodów do szukania schronienia w Wisłoujściu, komendant Latarni sam chciał mieć jego okręt w potrzasku, aby go obłóżyć aresztem i uzyskać pełne

zadośćuczynienie. Po trzecie wiedział, że stare armaty bynajmniej nie są nabite, a ich ogień w ciemnościach nie byłby wiele wart.

Wprawdzie u końca basenu wojennego stał „Jowisz”, lecz połowa jego załogi otrzymała zwolnienie na ląd, a kapitan Diinne pojechał do Torunia i miał wrócić dopiero nazajutrz. Marten mógł ważyć się na wszystko, a wszczynanie

bitwy z tym szaleńcem wcale nie byłoby po myśli Senatu, zwłaszcza gdy jej wynik wydawał się tak niepewny. Sasse zdecydował się.

–Ustępuję przed gwałtem – oświadczył. – Ale odpowiecie za to, kapitanie Kuna.

–To nie. ja groziłem wam nabitymi działami, tylko wy umie – odparł Marten.

Kazał opuścić dwie łodzie i podać im hol z dzioba okrętu. Gdy długie ramiona bariery uniosły się w górę otwierając wejście, „Zephyr” podciągnął się na łańcuchu i podniósł kotwicę, a potem wołno wszedł za szalupami pomiędzy wysoki mirr południowego bastionu a zewnętrzny wał ziemny, za którym leżał płaski, piaszczysty brzeg. Tu obrócił się dziobem ku wyjściu i wreszcie zacumował na palach umacniających obwałowanie fosy.

Sasse przyglądał się tym manewrom w milczeniu, rozważając w myślach, co mu wypada uczynić. Najchętniej uwięziłby natychmiast Martena zwabiwszy go pod jakimkolwiek pozorem na dziedziniec twierdzy. Ale wywołałoby to z pewnością bójkę z jego załogą, do czego nie chciał dopuścić.

Mam czas – pomyślał. – Skoro on chce odpłynąć dopiero jutro w południe, mam mnóstwo czasu. Niech się tym zajmie Gothard.

Przypuszczał, że „Zephyr” po prostu został zagnany wiatrem aż pod Gdańsk, do czego Marten nie chciał się przyznać. Może miał jakieś uszkodzenia, które musiał naprawić przed dalszą żegluga. Tłumaczyłoby to upór kapitana i stanowiłoby do pewnego stopnia argument prawny przemawiający za nim.

Byłoby jednak lepiej, gdyby nie nocował na okręcie – pomyślał znowu Sasse. – Miałbym wówczas pewność, że mi się nie wymknie.

Postanowił nakłonić go, aby pojechał do miasta, a nawet zaofiarować mu nocleg w zarządzie portu.

Czekał przeszło godzinę, zzymając się ze złości na tę zwłokę. Ludzie na promie marzli, konie u sań potrzęsały i łbami, niecierpliwie grzebały kopytami w ubitym śniegu, woźnica chodził tam i z powrotem, przytupywał, pochodnie wypalały się, gasły i trzeba było posyłać po nowe.

–Kończycie tam wreszcie?! – zawołał Sasse ujrawszy znów postać korsarza przy burcie okrętu.

–Kończymy! Zaraz się do was przeprawię – odrzekł Marten. – Nie wiedziałem," że na mnie czekacie – dodał.

Opuścił się do szalupy, która przewiozła go na drugą j stronę fosy, i po chwili stanął na nabrzeżu.

. – Czekam, żeby was podwieźć do miasta – zaryzykował Sasse unikając jego wzroku.

–O! Doprawdy? Nie liczyłem na to! Przyjęliście mnie tak niegościnnie, że nie chciałem was prosić o tę przysługę – powiedział Marten ujęty zmianą w jego postępowaniu.

Burgraf uśmiechnął się szyderczo.

–Skoro już tu jesteście... Mógłbym was nawet prze nocować – powiedział z niejaką nadzieją, że i to mu się uda.

Lecz Marten podziękował; miał zapewniony nocleg na Holendrach.

–W takim razie odeślę was tam saniami – oświadczył

Sasse. – Jedziecie na pohulankę do zacnej ciotki Anny?

Ton tego pytania zastanowił Martena. Wydał mu się aż I nadto poufały. Tak poufały, jakby dworek na Holendrach ukrywał pod swym dachem coś, o czym nie mówi się gło- j śno; coś uwłaczającego, podejrzenie dwuznacznego.

Ludzie wiedzą jednak o małych grzeszkach cnotliwego | Henryka – pomyślał. – Byłoby znacznie lepiej, gdyby Maria zgodziła się zamieszkać w Pucku.

W Pucku! Wiedział, że się nie zgodzi. Cóż by tam robiła po całych dniach?!

odnogi wiślanej, a potem, poczynając od ostatniego słupa podtrzymującego linę, zaczął wolno płynąć.w poprzek koryta o leniwym, ledwie wyczuwalnym prądzie. Przeciwny brzeg

Sa zbliżał się, wyrastał z wody ciemną szkarpą, aż znów ukazały się sse nie słupy z naciągniętą liną, o którą zahaczano bosaki, aby podholo-doczek wać ferę do pomostu.-.

awszy Sanie gładko wjechały pod górę dobrze ubitym przejazdem,

się skręciły na trakt. Konie przeszły w klusa, parskaly rażno, grudki odpowłi vśniegu sypaly się z chrzęstem na wygięty ka-błak, za którym edzi przysiadł furman.

wsiadł Sasse dopiero, teraz zapytał o losy wyprawy do Kalmara.

do sań i – Myśleliśmy tu, że nikt stamtąd nie wróci -r powiedział.

zrobił – Nie wrócą do Sztokholmu dwa szwedzkie okręty liniowe

mu – odrzekł Marten. – To pewne, bo leżą na dnie. Tylko Stolpe

miejsce wymknął się jakoś ze swoją na pół spaloną ka-rawelą. My

obok wróciliśmy wszyscy, z wyjątkiem poległych.

siebie. – Nie do wiary! – wykrzyknął burgraf. – Jakże to było?

–Przeprawimy się ferą * na drugi brzeg Wisły – powiedział. – Siadajcie.

Konie ruszyły stępa, kopyta zadudniły

głośno na pomoście, potem na

pokładzie promu.

Abstossen! – zawołał burgraf.

Jego

ludzie, przemar zniechęci i źli, że kazano im tak długo czekać, w

ponury m

milczenie

ciągnęli holowni czarną linę. Prom przeszedł pod barierą, wykręcił się w górę

Marten nie dał się prosić o szczegóły bitwy. Chełpił się zwycięstwem i walecznością swej załogi, opisując czyny każdego z tych nieustraszonych ludzi z osobna.

Sasse wyczuwał, że nie są to czcze przechwałki. Zwątpił teraz, czy Senat wygra sprawę z tym zuchwalcem. Był rad z siebie, że postąpił tak roztropnie. Lepiej było nie zadzierać z człowiekiem, któremu król tyle zawdzięczał. Niemniej jednak nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za taką czy, inną decyzję w związku z bezprawnym

wtargnięciem „Ze-! phyra” na wody Gdańska. Należało zawiadomić o tej sprawie Gotharda Wedecke

–im prędzej, tym lepiej. Postanowił jechać wprost do niego, na

Podwale Staromiejskie, a dopiero potem odesłać na Holendry

Martena.

Gdy sanie przemknęły przez Targ Drzewny i wpadły na plac Dominikański, kazał stanąć.

–Mógłbym po was przysłać konie jutro przed południem

–powiedział uprzejmie.

Marten podziękował, lecz odrzekł, iż sam dostanie się do Latarni. Zamierza jechać drogą na Stogi i tam przeprowić się przez Wisłę.

–W każdym razie jutro w południe „Zephyr” wyruszy do Pucka – dodał. – Nie będę wam dłużej zabierał miejsca.

–Jak chcecie – powiedział Sasse. – Jedźcie z Bogiem. Dobrej nocy i wesołej zabawy!

–Dobrej nocy – odrzekł Marten. – Dziękuję za podwodę!

Woźnica cmoknął na konie i zawróciwszy w miejscu znów wypuścił je klusem.

Droga z Gdańska na Holendry była kopna, zaledwie przetarta; konie już trochę ustawały po trzygodzinnym biegu.

–Dajcie im tu nieco wypocząć, zanim wrócicie – powiedział Marten do woźnicy, gdy spoza drzew błysnęły światła w oknach dworku Henryka Sehultza.

–Jo – mruknął furman. – Zmachały się. Od podwórca

zajedziemy czy jak? – spytał.

–Od podwórca – zgodził się Marten.

Sanie minęły otwartą bramę, wjechały między niską oficynę a

żywoplot oddzielający zabudowania gospodarcze od dworu, stanęły u furtki, którą można było wejść do parku.

Marten wysiadł, odebrał od woźnicy pakunek zawierający sobolowe futro i rozejrzał się. Przez okno w dużej izbie oficyny dostrzegł kilka postaci dokoła zastawionego stołu. Ze stajni rozlegało się parskanie i rżenie koni. Dwoje dużych wyprzęgniętych sań stało przed szopą. Jakiś parobek czy też hajduk ukazał się tam na progu z pozdrowszym mrukliwego furmana z Latarni, wdał się z nim w przyciszoną rozmowę.

Henryk ma gości – pomyślał Marten. – Pohulanka u ciotki Anny – przypomniał sobie słowa burgrafa, które wydały mu się tak dwuznaczne.

Doznał jakiegoś niemilego uczucia, jakby go ośmieszono czy też wyprowadzono w pole. Nikt się tu nie spodziewał jego przybycia. Nikt go nie oczekiwał. Poczł się niemal jak intruz, zgoła niepożądany.

Uczył parę kroków w stronę głównego podjazdu i zawahał się. Mógłby przejść przez furtkę i dostać się na taras od ogrodu, aby zajrzeć przez oszklone drzwi do wnętrza.

Nie oparł się tej pokusie. Zawrócił i brnąc w głębokim puszystym śniegu dotarł do stopni schodów wiodących na ów taras.

Znów się zawahał. ;

Po co, u diabła, miałby się tam skradać? Cóż spodziewa! się zobaczyć? Wzruszył ramionami, zły na siebie samego. Już chciał się cofnąć, gdy usłyszał nienaturalnie wysoki śmiech Marii Franceski. W tonie tego śmiechu – raczej chichotu – było coś tak zmysłowego i wszetecznego zarazem, że dreszcz przeszedł mu po grzbiecie.

W dwóch susach znalazł się przy zaryglowanych drzwiach. Od wewnątrz zasłaniały je ciężkie, adamaszkowe kotary, ale była pomiędzy nimi wąska szczelina, przez którą sączyło się światło.

Marten jednym spojrzeniem objął obszerną izbę, której podłogę zaścielał gruby turecki dywan. Panował tam nieład zdradzający, że goście pani von Heltbark i Henryka Schultza pofolgowali sobie przy zapustnej wieczerzy, pijąc na umór, jako że odbywało się to z dala od statecznych władz miejskich, w zaufanej kompanii oraz w towarzystwie kilku niewiast, które z pewnością wyżej ceniły wesołą hulankę i złoto niż skromność i cnotę.

Owych wesołych dam i ich kawalerów nie było już zresztą w jasno oświetlonej jadalni. Pary skojarzone podczas pijatyki rozpierzchły się, zapewne w poszukiwaniu bardziej ustronnych alkierzy, pozostawiając przewrócone krzesła, rozlane wino, opróżnione butelki walające się pod stołem, rozsypane słodycze i bakalie, porzucone wachlarze i czyjś zgubiony pantofelek. Nie było również „zacnej ciotki Anny”. Za to jej siostrzeniec, amfitrion tej uczyty, całkowicie zamroczony siedział pod ścianą u stóp

zegara i bełkotał coś do siebie, kiwając się w takt ruchów wahadła. Miał na głowie błazeńską czapkę z dzwoneczkami, a w ręku flaszkę, z której pociągał rozlewając wino na koronkową krezę i poplamiony jedwabny kaftan.

Marten szukał wzrokiem Marii Franceski. Nie mógł jej dojrzeć, bo widok na znaczną część pokoju i na przeciwległy koniec stołu zasłaniały mu fałdy kotary. Ale słyszał śmiech seniority, a od czasu do czasu widział pochylającą się w tamtą stronę rudawą głowę i okrągłe przygarbione plecy Gotharda Wedecke, który wtórował owemu nieznośnemu chichotowi niskim, gardłowym porykiwaniem.

Wtem jakiś przeciąg poruszył zasłonę. Jej brzegi rozchyliły się nieco i Marten poczuł, że wszystka krew zbiega JJIU do serca, a potem gorącą falą uderza do głowy. Zobaczył wdzięczną kibić Marii otoczoną ramieniem Gotharda i jej głowę sklonioną na jego piersi. W tej samej chwili drzwi w głębi uchylły się nieco, do izby zajrzała pani von Helt-bark i natychmiast cofnęła się dyskretnie. Schultz widocznie usnął: głowa opadła mu na pogniecioną krezę, a błazeńska czapka zsunęła się na oczy. Wedecke pochylił się, a potem z niejakim wysiłkiem dźwignął się z miejsca i odwrócony tyłem od okna zaczął iść w stronę sypialni Marii Franceski. Stał ostrożnie, wymijając wywrócone krzesła, bowiem niósł w ramionach ponętny i słodki ciężar.

Marten ujrzał przez mgnienie oka jego zaokrąglone plecy i białe ramię Marii otaczające tłusty, czerwony kark. Sefiorita fikała nogami, tuliła się do Gotharda, łaskotała go za uchem i śmiała się, chichotała jak nimfa unoszona przez satyra.

Trzask rozbitej szyby, brzęk szkła i wściekły okrzyk Martena zatrzymały ich w miejscu. Wedecke odwrócił głowę, spojrzął przez ramię i skamieniał z otwartymi ustami, z których sączyła mu się ślina. Maria wyrwała się z jego objęć, zatoczyła się pod ścianę. Schultz ocknął się, odrzucił precz czapkę, wybałuszył oczy i usiłował powstać, co mu się nie od razu udało.

Marten na pół oślepiiony gniewem stał przez sekundę nieruchomo, z napiętymi mięśniami i ze straszliwym zamętem w rozpalonej głowie. W krwawej mgłę widział tylko pobladałą, wykrzywioną strachem twarz Gotharda Wedecke. Nagle skoczył ku niemu jak tygrys, chwycił go za ramię, odwrócił ku sobie, trzasnął na odlew w jeden, poprawił w drugi policzek, sięgnął do pasa po pistolet. Wtem poczuł, że czyjeś ręce obejmują mu kolana, tarmoszą go za rękaw. Usłyszał wysoki, rozdzierający krzyk i oprzytomniawszy nieco ujrzał u swoich nóg Marię Franceskę. Szarpnął się gwałtownie, a ona upadła pomiędzy nim a Gothardem, nie przestając krzyczeć i wzywać ratunku.

Wedeckc ogłuszony, zalany krwią z rozbitego nosa, cofał się krok za krokiem, aż od progu sypialni rzucił się w tyj! ku oknu, otworzył je, wyskoczył na zewnątrz, zaczął biec potykając się, wpadając na krzewy i zaczepiając o niskie gu-j łązie drzew.

Uciekał na oślep gnany przerażeniem, lecz wreszcie uriffł siał przystanąć, bo zabrakło mu tchu w piersiach, Wtedy: przekonał się, że nikt go nie ściga. Przykucnął za grubym pnem i dysząc ciężko, usiłował zdać sobie sprawę z tego,' co zaszło.

Nie było to łatwe. Mąciło mu się w głowie, w ustach czuł smak krwi, a twarz puchła i piekła Jak oblana wrzątkiem. Zdało mu się, że przez otwarte okno i wybite szyby dochodzi go wrzawa toczącej się bójki.

Ten wściekły pies wszystkich tam wymorduje – pomyślał ze zgrozą. – Co robić?

Rozejrzał się dokoła i teraz, oswoiwszy się z ciemnością, dostrzegł żywoptot i otwartą furtkę. Pobiegnął tam i wpadł na podwórzec. Stangreci i hajducy wylegli przed izbę czeladną i zaciekawieni spoglądali ku oknom dworu. Już miał ich zawołać, gdy dostrzegł zaprzężone sanie. Po-] znał je. Był to zaprzęg burgrafa Latarni.

Więc Marten stamtąd przybył! W takim razie jego okręt stał w Wisłoujściu. Może został uszkodzony?

Nie było czasu zastanawiać się nad tym. Należało działać. Szybko! Natychmiast!

Wedecke zawołał furmana.

–Prędko, do miasta! – rzucił siadając do sań.

Niemrawy parobek w pośpiechu zdejmował z łbów końskich worki z obrokiem, zakładał kantary, ściągał dery. Inni zbliżali się nieśmiało, otaczali półkolem zaprzęg.

–Ludzie! – zawołał do nich Gothard. – Lećcie do

dworu. Tam się biją. Ten, co tu przed chwilą przyjechał, dostał

napadu szału. Jest uzbrojony. Trzeba go związać i za

mknąć!

Za późno się spostrzegł, że ich przeraził. Nikt nie kwapił się zginąć z ręki szaleńca...

Lecz sanie już ruszyły. Wedecke zaklął i otulił się kożuchem.

–Jedź! – krzyknął. – Co pary w koniach!

Tymczasem Marten, straciwszy go z oczu, nieco ochłonął.

–Wstań – powiedział do Marii. – Przestań krzyczeć i

zabieraj się stąd. Jedziemy na okręt.

Senorita umilkła i patrzyła na niego rozszerzonymi przez strach oczyma. Ujął ją za łokcie i postawił na nogi.

–Daję ci dwie minuty czasu – powiedział cicho. –

Zabierz, co masz pod ręką, i wracaj, bo nie będę czekał dłużej.

Popchnął ją lekko ku drzwiom sypialni i zwrócił się do Schuitza, który zdawał się trzeźwieć pod wpływem zimnego powiewu od wybitego okna.

–Wart jesteś, żeby cię oświeżyć i pożegnać tęgim kop

niakiem, rajfurze ~ wycedził z pogardą. – Albo żeby ci strzelić w

łeb, jak fałszywemu psu. Tobie i temu wieprzakowi, któremu ją

stręczyłeś.

Schultz zamrugnął, jakby mu sypnięto piaskiem w oczy. Zaczynało mu świtać w głowie, że sam został oszukany.

–O kim ty mówisz? – wyjąkał. – Komu ja... ja miałbym Marię...

–Komu! – powtórzył Marten. – Gdybym tego nie widział na własne oczy, sam bym nie uwierzył! Ile ci zapła-

cił Wedecke za to, żeś ją spoił we własnym domu, żeby mógł z nią... jak z pierwszą lepszą... Tfu! – splunął mu pod nogi.

Schultz oprzytomniał do reszty.

–Wedecke?! – wykrzyknął.

Jego zdumienie było tak szczere, że Marten zaczął powątpiewać o słuszności swoich podejrzeń.

r- Nie udawaj teraz, żeś o niczym nie wiedział – rzekł znacznie spokojniej.

Schultz natychmiast odgadł, że na razie nic mu nie grozi.

Wedecke! – myślał gorączkowo. – Wszystko można zwalić na tego podstarzałego adonisa. A ona? Muszę ją zatrzymać. Rozprawię się z nią później – oblizał spierzchnięte wargi. – Czy Anna ma dość sprytu, żeby wyprawić tamtych i kobiety? Marten chyba ich nie widział... – rzucił wzrokiem na stół i nakrycia. – Jakoś mu to wytłumaczę – pomyślał. – Najważniejsze, żeby odjechał sam, bez niej. Ułożę się z Gothardem. Muszę się pozbyć Martena. Ale – jak? Teraz trzeba tak zrobić, żeby

Maria została tutaj.

Usłyszał cichy brzęk dzwonek u sań. Odetchnął z ulgą. Marten nawet nie spojrział w stronę okna. Zdawał się czekać na jego dalsze wyjaśnienia.

–Byłem pijany – powiedział Schultz. – Gothard pił

ciągle ze mną, szelma. Bóg mi świadkiem – uderzył się w pierś

–żem go nie podejrzewał!

. – Okazało się, że ma tęższą głowę od twojej – mruknął Marten.

Podszedł do stołu, nalał sobie kubek wina i wychylił duszkiem. Henryk obserwował go spod oka.

–Z pewnością – przyświadczył z udaną skruchą. – Gdybym mógł przypuszczać, że ma w tym ukryty cel...

–Wiedział, że ma z kpem do czynienia! – przerwał mu Marten niemal już bez gniewu.

Nalał znów i popijał wolno, spoglądając na Schultza z uśmiechem politowania.

–Ode mnie za to dostał tak po pysku, że przez tydzień nie

będzie mógł pokazać się ludziom na oczy – powiedział. –

Gdybym nie zakotwiczył pod Latarnią... – zaczął i urwał w pół

zdania, zmarszczywszy brwi, bo na myśl o tym, co by się

wówczas stać mogło, krew znowu uderzyła mu do głowy.

Schultz drgnął.

–Zakotwiczyłeś pod Latarnią?! – wykrzyknął.

Marten spojrział na niego zdziwiony.

–Tak – odrzekł i natychmiast uświadomił sobie, że

„Zephyrowi” grozi niebezpieczeństwo.

Po tym, co tu zaszło, Wedecke uczyni wszystko, aby się zemścić. Uciekając przez okno i potem najkrótszą drogą na podwórzec, musiał natknąć się na sanie Sassego. Dowiedział się od furmana... Popędził do miasta albo wprost do Latarni!

–Radziłbym ci jak najprędzej tam wrócić – powiedział

Schultz. – Maria...

–Kaź zakładać konie! – przerwał mu Marten.

Obejrzał się na półotwarte drzwi, za którymi Maria

Francesca znikła przed chwilą. Panowała tam ciemność i cisza.

–Jedziemy, Mario! – zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział, więc porwał ze stołu świecznik i

odsuwając na bok Schultza wszedł do sypialni.

Przeciąg chwiał płomykami świec, blaski i cienie skakały po ścianach. Musiał zamknąć okno, aby coś zobaczyć.

Ujrzał ją klęczącą u szerokiego łóża, z twarzą ukrytą w dłoniach. Pomyślał, że się modli, ale uderzyła go bezwładność i zupełna nieruchomość jej postaci. Dotknął jej ramienia i natychmiast musiał ją podtrzymać, bo osunęła

się w tył. Była śmiertelnie blada, na czoło wystąpiły jej drobne kropelki potu. wywrócone oczy połyskiwały szkliście białkami.

Przeraził się. Mróz przeszedł mu po grzbiecie. Wiedział, że nie rozstawała się z małym, ostrym sztyletem, który nosiła u pasa w fałdach sukni. Szukał go drżącymi rękami postawiwszy świecznik na podłodze.

–Zemdlała – usłyszał za sobą głos Anny Heltbark. –

Biedactwo! Jak można być tak brutalnym!

Marten doznał niezmiernej ulgi. Spojrzał z wdzięczno-,} ścią na tę kobietę, dla której jeszcze przed chwilą miałby tylko obelżywe słowa i którą pogardzał.

–Proszę ją położyć na łóżko i podać mi dzbanek z wodą –

rozkazała. – Jest na umywalni w alkierzu.

Spełnił kolejno oba te polecenia. Gdy wrócił z dzbankiem, pani von Heltbark siedziała obok wyciągniętej na wznak Marii Franeeski i nacierała jej skronie wódką mocno pachnącą ziołami.

Powieki Marii drgnęły, odetchnęła głęboko, leciutki ru-} mieniec z wolna zabarwił jej

policzki.

–Żyje – szepnął Marten.

–Nie umiera się na widok dzikich awantur – powie-. działa cierpko dama dworu królowej Bony. – Na szczęście ~ dodała.

Marten czuł się zmiążdżony jej wytwornością. Lecz ziemia paliła go pod nogami.

–Muszę ją zabrać na okręt – powiedział.

–Czy pan naprawdę oszalał, kapitanie de Marten? – \ zapytała mierząc go pogardliwym i gniewnym spojrzeniem. – Proszę teraz wynieść się stąd i zostawić nas same. Widzi pan przecież, do czego pan doprowadził! Czy chce pan ją zabić?!

–Muszę natychmiast jechać do Latami,, – zaczął Marten.

–Wolna droga! – przerwała wyniośle i stanowczo. – Maria zostanie tu. pod moją opieką.

–A więc przyjadę po nią jutro z Pucka – powiedział. – Lecz niechże jej wasza miłość strzeże lepiej niż dotychczas.

Odwrócił się i wybiegł z sypialni, a potem tą samą drogą, którą tu wtargnął, przedostał się na taras. Już miał przesadzić balustradę, aby jak najprędzej znaleźć się na podwórku, gdy potknął się o coś. Był to pakunek z sobolowa szubą. Podniósł go i wrzucił do jadalni przez futrynę opustoszałą po wybitej szybie.

Gothard Wedecke pędził na złamanie karku, byle jak najprędzej dobić do Gdańska. Wiedział, że Sasse wysiadł przed jego domem na placu Dominikańskim, a więc z pewnością chciał się z nim zobaczyć. Może zostawił jaką wiadomość?

Kazał lam jechać, otworzył zamek drzwi wejściowych własnym kluczem, lecz przekonał się, że są zaryglowane od wewnątrz. Ogarnęła go pasja. Zaczął się dobijać gwałtownie, klnąc na czym świat stoi, ale zrazu rozbudził tylko sąsia-

dów, którzy wzięli go za awanturującego się pijaka i również potraktowali przekleństwami. Któryś z nich na dodatek chlusnął przez okno wiadrem pomyj i tylko nieznacznie chybił, opryskując mu jednak pludry.

W końcu przecież jego własna służba poznała, z kim ma do czynienia, i wśród wielkiego zamieszania oraz konsternacji wpuszczono go do środka.

Niewiele się tam dowiedział. Stary Zygfryd Wedecke rozmawiał wprawdzie z Erykiem von Sasse, lecz burgraf, nie chcąc go niepokoić, prosił tylko, aby Gothard zechciał przyjechać do Latarni nazajutrz rano.

Nazajutrz! Było już dobrze po północy – minęła trzecia...

Pan hafenmeister nie miał czasu do stracenia. W paru | zdaniach powiadomił ojca o pogwałceniu przez Martena] świeżo – zawartej umowy Gdańska z królem, pomijając zre-S sztą swoją niemiłą przygodę. Był wzburzony i nie chciał wysłuchać przestróg, jakich mu próbowano udzielić.

–Muszę tam jechać natychmiast – oświadczył. – Ten korsarz powinien dostać porządną nauczkę.

Wybiegł, pozostawiając Zygfryda na pastwę niepokoju, po czym kazał jechać na Świętojańską, do Sassego.

Tam *powtórzyło się prawie dokładnie to samo*, co przed; jego własnym domem. Uplnęło znów pół godziny, zanim go wpuszczono, a zaspany burgraf ubierał się stanowczo zbyt powolnie, zadając przy tym mnóstwo zbytecznych, bardzo j niedyskretnych pytań, które doprowadzały do wściekłości, jego przełożonego.

Wyruszyli wreszcie na Długie Pobrzeże i pod Żurawiem odnaleźli zacumowany balinger portowy, którym postanowili spłynąć z prądem aż do Wisłoujścia. Był to pomysł bur-grafa – w zasadzie słuszny, ponieważ zmęczone konie wlokły się teraz noga za nogą. W praktyce jednak i tu nastąpiła nieprzewidziana zwłoka. Na balingerze nocował tylko jeden

z wioślarzy; szypra i reszty załogi trzeba było szukać po składach i zabudowaniach, gdzie schronili się przed zimnem.

Na domiar złego tylko Motława była wolna od kry. Wisła zaczynała zamarzać; musieli wymijać tworzące się na niej zatory, co opóźniało żeglugę.

Dopiero o świcie minęli Holm i z daleka zobaczyli przysadzistą wieżę Latarni. Wtedy też Sasse, obdarzony szczególnie bystrym wzrokiem, zawołał z wielką alteracją:

–Wychodzi! Jak mi Bóg miły, wychodzi na żaglach!

Hafenmeister Gothard Wedecke pienieł się z wściekłości czekając na odcumowanie „Jowisza”, aby na jego pokładzie ruszyć w pogoń za „Zephyrem”. Żadnemu z oficerów Latarni nie przyszło do głowy zatrzymać siłą Martena. Nikt nie protestował przeciw otwarciu bariery i wyjściu korsarza z basenu. Nie padł ani jeden strzał z armat ustawionych na murach!

Zastępca burgrafa i dowódca artylerii, kapitan Wich-man, tłumaczył się, że nie otrzymał żadnych rozkazów w tej mierze. Poznał sanie i zaprzęg należący do pana Henryka Schultza, gdy Marten zajechał tu przed niespełną godziną od strony przeprawy na Wiśle pod Stogami. Ten fakt jeszcze bardziej upewnił Wichmana w przekonaniu, że wszystko jest w porządku. Przecież gdyby tak nie było, pan burgraf nie świadczyłby uprzejmości kapitanowi Martenowi czekając na niego i odwożąc go swymi saniami do miasta, a pan Schultz, przyjaciel hafenmeistra, jeden z najbardziej poważanych obywateli Gdańska, nie pożyczałby mu własnego zaprzęgu!

–Kapitan Marten śpieszył się – mówił dalej Wich-man.

–Oświadczył, że widział się z waszą miłością i załatwił

wszelkie bieżące rachunki, a co się tyczy innych... co się tyczy

innych... – powtórzył i nagle zamilkł, bo Wedecke przeraźliwie

zazgrzytał zębami, a potem wybuchnął potokiem obelżywych

przekleństw, które w końcu zatkały mu gardło.

Dyszał ciężko i miotał się z niecierpliwości.

–Widział się ze mną! Załatwił bieżące rachunki! Spieszyl

się! – wykrzykiwał raz po raz w pasji. – Ha! Teraz mu się nie

śpieszy!

Istotnie...Zephyr", wyszedłszy na zewnętrzną redę za Weichseltiefe, poluzował większość żagli, a pozostałe ustawił w dryf, jakby Marten wahał się, czy ma odpłynąć do Pucka, czy też tu pozostać, lub jakby naigrawał się ze swego wroga, wiedząc o jego zamiarach.

Lecz przyczyna tego manewru była zupełnie inna. Percy Burnes, który wieczorem przewiózł Martena z okrętu na nabrzeże twierdzy, nie wciągnął potem łodzi na pokład, w mniemaniu, że rano znów będzie potrzebna. Ale Marten przybył od strony lądu, przeszedł przez wał ziemny i dostał się na okręt po przerzuconym trapie. W pośpiechu Burnes zapomniał o szalupie uwiązanej za rufą i „Zephyr” holował ją za sobą aż na zewnętrzną redę, gdzie niedbałe zawiązana pętla rozluźniła się i łódź pędzona wiatrem odpłynęła daleko na płyciznę. Dopiero wtedy zauważono stratę i wypatrzone ją w odległości pół mili, jak kołysała się na falach.

Marten widząc, że znajduje się już poza doniosłością dział Latarni, postanowił ją odzyskać. Ponieważ jednak „Zephyr” nie mógł tam podejść, spuszczone drugą szalupę i Percy z sześciu wioślarzami puścił się w pogoń za dryfującą łodzią.

Dogonił ją łatwo, lecz powrót pod wiatr okazał się znacznie

trudniejszy; holowanie ciężkiej łodzi na krótkiej, złośliwej fali było mozolną pracą i trwało bardzo długo. Tak długo, że zanim Percy i jego wioślarze przebyli połowę drogi powrotnej, u wyjścia na Weichseltiefe ukazał się ich oczom „Jowisz”¹ stawiający w pośpiechu wszystkie żagle...

Sasse i Wichman próbowali odwieść łiafenmeistra od zamiaru ścigania Martena. Kapitan Dunne był nieobecny, połowa załogi – na urlopie, główny pokład ogołocony z dział, ponieważ miano je wymienić na inne, zamówione w Toruniu.

Weddecke lekceważąco machnął ręką na te argumenty. Na „Jowiszu” było stu dwudziestu ludzi; aż nadto, aby nim manewrować, a szturman, Adam Kraft, który zastępował kapitana, oświadczył ochoczo, że rozprawi się z „Zephyrem” w trzy pacierze, jeśli tylko otrzyma na to zezwolenie.

Gothardowi podobał się ten młody, pewny siebie człowiek. Wydał mu się energiczny i odważny. Nie dorównywał zapewne doświadczeniem Fryderykowi Dunne i Martenowi, lecz nawet bez owych sześciu lekkich dział rozporządzał znacznie liczniejszą artylerią niż ten ostatni, nie wspominając już o czterdziestu hakownicach i tyłach muszkietach. Przede wszystkim jednak pragnął się wyróżnić, pozyskać względy łiafenmeistra i Senatu. Nadarzała się po temu sposobność, na jaką długo mógłby czekać pod rozkazami Diin-nego.

Pierwszy manewr udał mu się znakomicie, głównie zresztą dzięki pomyślnemu wiatrowi, pod którym „Jowisz” prześliznął się gładko przez Ostfahrwasser, podobnie

jak „Zephyr”. Gothardowi, który stał na pomoście obok młodego szturmana, wydało się to jednak wyłącznie zasługą jego zręczności i umiejętności. Przecież nawet Dunne uważał wychodzenie z portu pod żaglami za czarodziejskie sztuki!

Lecz to, co nastąpiło po chwili, zachwiało zarówno pewnością siebie Krafra, jak zaufaniem Wedeckego.

Obaj zgadzali się, że nie należy zostawiać Martenowi czasu na ucieczkę, ostrzegać go czy też z nim pertraktować. Znacznie lepiej było strzaskać maszty „Zephyra” pierwszą salwą, póki leżał w dryfie, podnosząc swoje szalupy. „Jo-;

wisz” był od niego oddalony zaledwie o pół mili, a żalem salwa z całej burty powinna znieść wszystko, co znajdowało się na pokładzie.

Kraft zakomenderował: „Ognia”! Siedemnaście dział ryknęło z lewej galerii artyleryjskiej, karawela zatoczyła się od potężnego odrzutu, chmura dymu buchnęła nad wodą zasłaniając widok i szybko spłynęła z wiatrem.

Ani jeden żagiel nie opadł z „Zephyra”, ani jedna drzazga nie odłupała się z jego kaszteli... Stado kartaczy przeleciało wysoko pomiędzy masztami i wzniosło siedemnaście srebrnych wytrysków wody o cztery kable za nim.

–Nie umiesz strzelać, błażnie! – wrzasnął Wedecke.

Kraft był zanadto zdumiony, aby się bronić przed tym

niesłusznym zarzutem. Dopiero po chwili odrzekł, że przecież to jego ceigwarczi tak haniebnie spudłowali, nie on. 1

Wedecke pożałował teraz, że nie kazał Wichmanowi objąć dowództwa nad artylerią „Jowisza”. Rozmyślił się! w ostatniej chwili, nie chcąc pozostawiać Latarni bez żadnego ze starszych oficerów.

Tymczasem szturman, pragnąc naprawić błąd, który mu przypisywano, zarządził zwrot, aby odpalić salwę z drugiej burty.

–Mierzyć niżej! – zawołał.

Lecz gdy „Jowisz” obrócił się, „Zephyra” przed nim nie

było.

Marten tylko raz pozwolił się zaskoczyć. Mając już obie szalupy na pokładzie, kpił sobie z przeciwnika, którego nieudolność objawiła się tak wyraźnie.

Kraft na próżno raz po raz zmieniał ciąg, cyrkułowa!, podnosił się na wiatr i zataczał

półkola. Po ukończeniu każdego manewru „Zephyr” zjawiał się niezmiennie po jego lewej stronie. Był szybki i zwrotny jak szczupak. Mógł już z dziesięć razy ostrzelać „Jowisza”, i to z tak małej odległości, że unieruchomiłby go z pewnością. Ale nie rozpoczął-

Bał ognia. Igrał z nim, jak kot z myszą, doprowadzając do rozpaczki szturmana, który zupełnie stracił głowę.

Wedecke po prostu szalał. Ta zabawa trwająca już przeszło godzinę ośmieszała go nie tylko w oczach Sassego i Wich-mana oraz załogi Latarni. Na brzegu zaczął się gromadzić tłum gapiów zwabionych grzmotem owej niefortunnej salwy, która miała zdmuchnąć „Zephyra” z powierzchni morza. Wisłą nadpływały łodzie i łódki ciekawych, a wieść o niebywałym widowisku podawana z ust do ust rozprzestrzeniała się lotem strzały i zapewne docierała już do miasta.

Tymczasem Marten poczynął sobie coraz zuchwałej. „Zephyr” podchodził coraz bliżej, luzował żagle i zwalniał sunąc wzdłuż karaweli, jakby na urągowisko, a z jego pokładu padały żarty i drwiny, wzmagając wściekłość Wedeckiego i rozpacz Krafta, lecz wywołując także tłumiony śmiech wśród ich własnej załogi.

–Sprzedajcie wasze pukawki ogrodnikom! – wrzeszczał jakiś donośny głos. – Nadają się w sam raz do polewania grządek!

–Nie, nie! – przekrzykiwał go inny. – Użyjcie ick na lewatywy dla hafenmeistra! To mu dobrze zrobi!

–Dajcie go nam!

–Spuśćcie go do wody na linie! Zaholujemy go do Pucka, żeby ochłonał!

Słysząc ich było na milę, może aż na brzegu.

Wedecke miał tego dość. Lepiej było dać za wygraną i zawrócić, niż narażać się nadal na te kpiny.

Już otwierał usta, aby wydać rozkaz zgnębionemu szturmanowi, gdy „Zephyr” wykręcił wprost na rufę „Jowisza”, a potem zrównał się z nim burta w burtę nie dalej niż o rzut kamieniem.

Hafenmeister oniemiał. Czyżby korsarz gotował się do abordażu?! Nie wyglądało na to. Widział wyraźnie wysoką postać Martena, który stał na pomoście za sterówką opierając

dłoń na ramieniu swego porucznika, Obaj patrzyli w jego stronę. Marten zrobił jakąś uwagę, a Grabiński roześmiał się.

Wedecke pomyślał, że są do siebie trochę podobni i że każdy z nich przypomina mu jeszcze kogoś innego. Ale kogo? Szukał głęboko w pamięci, aż najpierw rysy twarzy, a potem imię tego człowieka wypłynęły na powierzchnię: Karol Kuna!

Przeraził się. Wszelkie obawy ojca, jego przestrogi, z których się wyśmiewał, wydały mu się nagle ważne i słuszne. Objął wzrokiem pokład „Zephyra”. Dwa szeregi wyborowych strzelców z bronią u nogi stały przy burcie. Wachty manewrowe szybko i sprawnie skracaly żagle, dostosowując bieg okrętu do prędkości karaweli. Nie było widać najmniejszego zamieszania lub podniecenia wśród karnej, doskonale wyćwiczonej załogi. Lecz spokój i milczenie, jakie tam zapanowały, zdały mu się tym groźniejsze.

Ratować się – myślał. – Bronić się! Strzelać!

Obejrzał się na Krafta, który stał za nim, zupełnie otępiały i bezradny.

–Hakownice – wychrypiał. – Gdzie są hakownice i

muszkiety?!

Szturman zupełnie o nich zapomniał. Tkwiły na stojakach w kubryku, wyczyszczone, błyszczące, nowe, nigdy dotąd nie używane poza rzadko odbywanymi ćwiczeniami.

Ruszył biegiem ku przedniemu kasztelowi, ale donośny okrzyk z „Zephyra” osadził go w miejscu.

–Stać! – huknął Marten. – Jeżeli ktokolwiek z was się ruszy, każę strzelać!

–Nie mam zamiaru was atakować – mówił dalej, zwracając się do całej załogi „Jowisza” – choć mógłbym zatopić wasz okręt jedną salwą. Ale nie mam do was żadnej urazy ani was uważam za nieprzyjaciół, choć daliście do mnie ognia bez uprzedzenia, jak do wściekłego psa. Wiem* że zrobiliście to na rozkaz hafenmeistra i tylko on za takie

postępowanie odpowie, ale nie przede mną, tylko przed są* dera królewskim. Dlatego też chcę go zabrać do Pucka i - na Boga! – uczynię to zaraz, a kto ośmieli się stanąć mi na drodze, temu kula w łeb!

Wedecke słuchał tego oburzającego przemówienia, a krew zdawała się krzepnąć mu w żyłach. Czuł, wiedział, że nikt ze stada niemrawych majtków i bosmanów, spasionych na tłustym jadle i pobierających wysoki żołd ze skarbcza gdańskiego, nie zechce nadstawiać głowy za jego wolność i życie. „Jowisz” istotnie był na łasce Martena. Na wprost odpalonych, jeszcze nie nabitych powtórnie dział karaweli sterczały odsłonięte, gotowe do strzału paszcze jego półkar-taunów, a każdy mógł

dokładnie widzieć, że były wymierzone w burtę, poniżej linii wodnej. Na pokładzie zaś dwudziestu muszkieterów szczyrzyło zęby w szyderczym uśmiechu, zdając się patrzeć tylko na zmartwiałego ze strachu ha-fenmeistra.

–Poluzujcie teraz wszystkie żagle! – zawołał Marten. –

Żywo!

Weddecke jęknął. Bezczelny rozkaz został niezwłocznie wykonany przez jego własnych ludzi! Był zatem zgubiony... Jeśli ów syn i wnuk czarownicy każe go obezwładnić i związać, uczynią to!

Rozpacz natchnęła go do działania. Skoczył ku skamieniałemu z wrażenia szturmanowi, wyrwał mu zza pasa pistolet i strzelił do Martena poprzez dziesięciojardową smugę wody dzielącą burty okrętów.

Huk, a potem głuchy łoskot padającego ciała i jęk śmiertelnie trafionego człowieka rozległ się w ciszy. Marten obejrzał się. Stefan Grabiński leżał u jego nóg z rozwaloną czaszką.

To, co nasłąpiło w sekundę później i rozegrało się w ciągu kilku następnych minut, miało wszelkie znamiona rozpetanej furii. Liny z czteroramiennymi hakami jak rozwścieczone węże spadły na „Jowisza”, zaczepiły o wanty i ściągnęły ku sobie burty okrętów, a Marten na czele kil-,j kunastu straceńców runął naprzód, roztrącił oniemiałych marynarzy i wdarł się na pomost.

.Wedecke nie zdążyli nawet krzyknąć. Ktoś zdzielił go obuchem po głowie, a potem omal nie rozszarpano go na sztuki. Żył jeszcze, gdy poczuł sznur zaciskający się na szyi, lecz był to ostatni przebłysk Jego świadomości. Powróż wyprężył się, a ciałem hafenmeistra wleczonym po pokładzie ku przedniemu masztowi wstrząsały śmiertelne drgawki.

Ani jeden człowiek z załogi karaweli nie ruszył się z miejsca. Ludzie Martena usuwali ich z drogi jak zawadzające pniaki, oni zaś patrzyli w niemej zgrozie na to co się działo, Jakby strach i zdumienie odebrały im zdolność wszelkiego ruchu.

Marten, na pół nieprzytomny z Żalu nie zwracał na nicK najmniejszej uwagi. Dopiero gdy sponiewierane, odarte z odzienia zwłoki Gotharda Wedecke zawisły na górnej mars-rei fokmasztu* spojrzął po ich nieruchomych postaciach, jakby zastanawia! się, co ma z nimi zrobić. Gniew wypalił się w nim i zgasi, lecz pozostał Jątrzący ból i żądza zemsty nie nasyconej jeszcze tym, co uczynił.

Przyszło mu na myśl, że mógłby zatopić śJowisza\J lecz przypomniał sobie, iż obiecał nie mścić się na jego załodze.

–Daruję wam życie – powiedział nie swoim,

chrapliwym głosem.– Możecie spuścić szalupy i tratwy. Im

prędzej to zrobicie, tym dla was lepiej.

Zapewne nie od razu zrozumieli, co ma na myśli, bo spoglądali po sobie, Jakby w oczekiwaniu na wyraźny rozkaz.

Marten poszukał wzrokiem szturmana.

~ Słyszeliście? – spytał podnosząc głos.– Łodzie na wodę! I precz mi z oczu, póki się nie rozmyślę!

Teraz rzucili się na wyścigi ku szalupom i tratwom. Lecz Kraft jeszcze się ociągał.

–Go chcecie uczynić z „Jowiszem”, kapitanie Marten? – spytał patrząc posępnie na skamieniałą z żalu twarz korsarza.

~ Zaholuję go do portu ~ odrzekł Marten. – Chcę oddać panu Zygfyrdowi Wedeckc syna, aby go mógł pochować.

Gawieź zgromadzona nad samym brzegiem morza po lewej stronie Wisły gapiała się na dwa okręty manewrujące na wewnętrznej redzie. Pierwszy z nich płynął pod żaglami i holował na krótkiej linie dobrze wszystkim znaną kara-welę, która od roku pełniła straż pod Latarnią. Jej żagle były skrócone lub podciągnięte na giejtawach i gordingach, a na najwyższej rei kołysał się obnażony trup wisielca. Ten straszny widok budził oczywiście szczególną ciekawość i grozę, a także niezliczone domysły co do osoby powieszzonego. Nie można było go rozpoznać, więc gdy okręty wykręciły z wiatrem w stronę ujścia rzeki, tłum zaczął napierać ku wybrzeżu, spychając w wodę tych, co stali w pierwszych szeregach. Wśród wrzawy i przekleństw dostrzeżono, że teraz na rejach „Jowisza” rozwijają się żagle. Oba okręty nabierały pędu, lecz ciągle jeszcze płynęły jeden za drugim, połączone holem. Dopiero gdy znalazły się o kilka staj od kamiennego słupa wzniesionego na końcu wiślanego wału, pierwszy z nich wykręcił gwałtownie w lewo i zawrócił. Drugi leciał dalej na wprost, wlokąc u dzioba hol odcięty siekierą. Przy jego burcie tańczyła na falach łódź wiosłowa, do której po linie opuszczało się kolejno dziesięciu ludzi.

Tłum w niemym podziwieniu patrzył na ten hazardowy popis zwinności i odwagi. Szalupa czerpała wodę to jedną,

to drugą burtą, zataczała się, myszkowała, skakała po falach.

Zdawało się, że lada chwila wywróci się do góry dnem albo zaryje

dziobem i zatonie. Lecz już pierwszy z owych szaleńców siedział przy sterze i z niesłychaną zręcznością utrzymywał ją na powierzchni; już inni chwycili wiosła; Już ostatni skoczył, zwolnił pętlę liny! Łódź została w tyle, wiosła zagarnęły wodę, pchnęły ją ku mniejszemu okrętowi, który zatoczył łuk i zbliżał się luzując żagle.

Tymczasem karawela pędziła dalej z wiatrem. Wpadła pomiędzy kamienne wały ujmujące z dwu stron koryto Wisły, przeleciała obok murów Latarni, omal nie zgmchotała. Jakiejś rybackiej łódki i nie zwalniając biegu parła w górę, ku Holmowi.

Tłum rzucił się za nią. Ludzie gnali wzdłuż brzegu, popychali się, tratowali tych, którzy upadli potknąwszy się] w pośpiechu. Ten pościg podobny był powodzi, która zrywa lamy i groble. Od strony Wrzeszcza, z Brabancji i z La stadii płynęły, wzbierały potoki ludzkie, zderzały się z główną falą biegnących, kłębiły i przelewały się wśród rosnącej wrzawy, która niosła się ku przedmieściom.

U Świętego Jakuba i Bartłomieja, a zaraz potem w kościele Sw. Katarzyny uderzono w dzwony. Alarm dotarł już do Ratusza, na Długi Targ i Pobrzeże. Krążyły pogłoski o najeździe floty szwedzkiej, o szturmie na Latarnię, o jakiejś rzezi czy też buncie i-rozruchu wśród pospólstwa.

Zaprzeczyła im wiadomość pochodząca od wójta z Helmu, który przeprowił się czółnem przez Wisłę, aby donieść panom radzie, co widział na własne oczy.

Twierdził mianowicie, że okręt strażniczy „Jowisz” pod wszystkimi żaglami, lecz bez załogi płynie ku miastu kierowany zapewne nieczystą siłą, przy czym na jego najwyższej rei wisi trup hafenmeistra Gotharda Wedecke.

Gdyby nie był znany z trzeźwości i rozsądku, nikt by mu nie uwierzył, a i tak powątpiewano w prawdziwość tego

doniesienia. Mimo to kio żyw pośpieszył nad rzekę, ku barierze zamykającej wejście na Motławę.

Panował tam już taki ścisk, że trzeba było wezwać straż miejską, aby zrobić miejsce dla rajców i ławników.

„Jowisz” wiązał w zatorach kry, wykręcał, zaczeptał o barki i lichtugi stojące u lewego brzegu, zrywał je z uwięzi i znów parł naprzód pędzony wiatrem. Trzy balingery portowe z Latarni na próżno usiłowały go dopędzić. Przed samym ujściem Motławy prąd zniósł go na środek nurtu, a lęgi powiew pchnął prosto na barierę. Rozległ się trzask, gruba sosnowa belka poddała się, pękła w połowie Jak wąż trzcina i karawela wdarła się do portu.

Płynęła teraz zygzakiem, zmierzając ku lewemu, to znów ku prawemu brzegowi, miotana wiatrem i prądem, a ciało hafenmeistra kołysało się nad przednim kasztelem, jakby wskazując drogę wśród nieustannych wahań i wątpliwości.

Zgroza ogarnęła patrzących. Można było istotnie uwierzyć, że jakiś zły duch zawładnął opustoszałym okrętem. Jakże inaczej mógłby się aż tu przedostać? Któż inny mógł nim sterować?

Ludzie żegnali się znakiem krzyża, dzwony kościelne biły na trwogę, wiatr gwizdał, skowyczał, zmiatał z dachów tumany śniegu i szarpał trupem wisielca. Z pewnością cały korowód diabłów i upiorów otaczał zwłoki Gotharda We-decke, a na pokładzie „Jowisza” aż się od nich roilo. Teh i ów spoglądał z obawą na zadymkę śnieżną, upatrując w jej skrętach widm i demonów, które się tu skrzyknęły z piekielnych otchłani.

Wtem wiatr ucichł na krótką chwilę, a potem nagle ze wzmożoną siłą natarł na karawelę z północo-wschodu. Okręt pochylił się pod jego gwałtownym uderzeniem, przeleciał wzdłuż Ołowianki i ze straszliwym łoskotem wpadł na Długie Pobrzeże,

Potężny wstrząs targnął masztami, a górna marsreja zerwała więzby i wraz ze swym ciężarem runęła na kamienny brzeg.

Jan Kuna, zwany Martenem, został pojmany przez silny oddział straży miejskiej i rotę żołnierzy z Latarni w pobliżu Oliwy, w drodze z Pucka do Gdańska. Jechał w dwie pary sań, wioząc zwłoki swego porucznika, Stefana Grabińskiego, które – jak później zeznał – chciał odesłać jego matce, mieszkającej w domu pana Henryka Schultza przy ulicy Powroźniczej. Towarzyszyło mu tylko dwóch młodszych bosmanów; obaj poległi w bójce, jaka wywiązała się w lesie opodal klasztoru cystersów, a on sam, wielekroć ranny, uległ w końcu i został odstawiony do Katowni.

Tam pewien litościwy braciszek z klasztoru dominikanów opatrzył mu rany i na jego prośby, poparte hojnym datkiem, zgodził się powiadomić rotmistrza Bekesza lub starostę puckiego o tym, co zaszło.

Panowie ci wiedzieli już o przebiegu zdarzeń na redzie pod Latarnią, ponieważ Marten, nie zastawszy żadnego z nich w Pucku, zlecił Worstowi zdanie im sprawy o tych

wypadkach. Sam, niespokojny o życie i zdrowie Marii Franceski, postanowił niezwłocznie pojechać na Holendry* aby ją stamtąd zabrać. Liczył przy tym na pomoc Henryka Schultza, zwłaszcza w sprawie przekazania Jadwidze Grabińskiej smutnej wiadomości o śmierci syna. Nie mogąc pokazywać się w mieście, zamierzał go też prosić o dalszy transport zwłok Stefana i o zajęcie się pogrzebem.

Lecz Henryk zdradził go -• tym razem jawnie i ostatecznie. To on właśnie zawiadomił rajców, że zabójca Got-harda Wedecke z pewnością Jeszcze tegoż dnia pokusi się o przybycie do dworku pani von Heltbark, gdzie rzekomo mieli się spotkać celem podpisania pewnej umowy.

–Nic go od tego nie powstrzyma – oświadczył Schultz w odpowiedzi na wątpliwości wyrażone przez członków senatu. – Po pierwsze ufa w swą bezkarność jako kaper jego królewskiej mości. Po wtóre potrzebuje pieniędzy, które mu obiecałem.

Upozorowawszy w ten sposób przyjazd Martena, Schultz zażądał jednak stanowczo, aby uszanowano spokój domu jego ciotki, i podsunął myśl urządzenia zasadzki w lesie pod Oliwą.

Cały ten podstępny plan udał mu się w zupełności. Za jednym zamachem odzyskał zaufanie rajców i – Jak sądził – pozbył się na zawsze Martena, przed którym odczuwał nieustanną obawę. Ponieważ zaś i Gothard Wedecke przypłacił śmiercią swe zaloty do Marii Franceski, señorita została teraz na jego łasce i niełasce.

Co się tyczy „Zephyra”, nie tracił nadziei, że również go posiadzie, gdy tylko głowa Martena spadnie pod toporem kata. Jan Kuna nie miał spadkobierców, a jego mienie zapewne zostanie skonfiskowane na odszkodowanie dla rodziny Gotharda i na pokrycie szkód wyrządzonych w porcie. Wówczas będzie można niedrogo kupić ten okręt, a potem przerobić go na szybki statek handlowy.

Schultz miał już dość ryzykownych przedsięwzięć, a w ich liczbie także kaperstwa, które jeszcze do niedawna lak go pociągało. Nęciły go wprawdzie i nadal bogate łapy (a wspaniałe futro, które wpadło mu w ręce po gwałtownej scenie na Holendrach, zdawało się świadczyć, że ostatnia wyprawa Martena przyniosła ich wielką obfitość), lecz czuł się zmęczony takim hazardem, nawet jako armator okrętów kaperskich. Dlatego też po długich wahaniach uznał swe dawne projekty i ambitne marzenia za nierealne i stanął otwarcie po stronie Gdańska, przeciw niedołężnej polityce morskiej króla. Wyrazem leż nowej postawy było wydanie Martena w ręce panów rad)'.
'.

Senorita cle Vizella po przebytych wzruszeniach, które zresztą zdały jej się nad wyraz podniecające i niezwykle, spała aż do południa. Jej wczorajsze omdlenie było tylko w połowie prawdziwe, jakkolwiek istotnie doznała silnego zawrotu głowy po wypitj^m winie. Poddała mu się, ponieważ nie widziała innego wyjścia z sytuacji. Nie mogła przecież w ciągu paru minut opuścić dworku na Holendrach, pozostawiając tu

swoje klejnoty, pieniądze, stroje, a także Annę, najlepszą przyjaciółkę, do której szczerze się przywiązała. Nie miała zresztą wcale ochoty na jakąś zmianę, zwłaszcza gdyby ta zmiana oznaczała zamieszkanie w Pucku lub na „Zephyrze” i zerwanie z dotychczasowym trybem życia.

Henryk obiecał jej, że AV połowie stycznia zabierze ją do Warszawy. Cieszyła się na tę podróż i wymogła na nim, że Anna również z nimi pojedzie.

W Warszawie był dwór królewski, a także inne pomniejsze dwory możnych panów polskich i cudzoziemskich. Zarówno Schultz, jak Anna von Heitbark mieli przystęp do niejednego z nich.

Maria Francesca spodziewała się spotkać w stolicy kilku znacznych kawalerów,, którzy latem ubiegłego roku towarzyszyli królowi w Gdańsku. Interesował ją szczególnie miody i piękny, lecz trochę nieśmiały Stanisław Opacki, bliski krewny Zygmunta, podkomorzego warszawskiego i zarządcy królewskiego zamku, oraz Łukasz Opaliński, dziedzic licznych włości i pan na Leżajsku. Obaj ci znakomici rycerze ubiegali się o jej względy, a pierwszy z nich zadurzył się nie na żarty, pisywał strzeliste madrygały i listy, w których prosił ją o pamięć, powtarzając, że epistoła non eru-bescit *.

Pod wpływem tych listów oraz za sprawą Anny von Heitbark, która snuła ambitne plany małżeńskie dla swej pięknej przyjaciółki, Maria Francesca coraz częściej myślała o rozstaniu z Martenem i o uwolnieniu się od Henryka Schultza.

Gdyby Łukasz Opaliński był w niej tak zakochany jak młody pan Opacki, gdyby pragnął jak tamten stanąć z nią na ślubnym kobiercu, nie dałaby się długo prosić. Jego ogromne dobra, bogactwo i splendory, a także wykształcenie i dworność nabyte podczas pobytu w Paryżu okupywały z nawiązką gwałtowność charakteru i niejaki braki w urodzie. Lecz Opaliński był zbyt dumny, aby pojąć za żonę senioritę de Vizelta, choćby z uwagi na jej awanturnicze przygody, których nie dało się całkowicie ukryć.

Opacki nie był ani tak niesłychanie bogaty, ani tak wysoko skoligacony jak tamten. Był za to młody, naiwny i niezależny, a przy tym gotów porzucić herezję Fąstusa Socyna, którą wyznawał, byle Maria zgodziła się na ślub.

Wszystkie te okoliczności zostały raz jeszcze rozważone w dworku na Holendrach, podczas gdy Henryk Schultz, po-wziąwszy decyzję w sprawie Martena, ze zwykłą bezwzględnością i konsekwencją prowadził nadal swą grę, gotów użyć w walce o głowę królewskiego kapra swoich wpływów, zakulisowych stosunków i pieniędzy.

Walka bowiem już się zaczęła i bynajmniej nie wydawała się łatwa. Do Senatu zgłosili się panowie Władysław Bekesz i Jan Weyher z żądaniem wydania Martena,

który ich zdaniem nie podlegał sądowi gdańskiemu, tym bardziej że został pojmany na terytorium królewskim. Senat mógł domagać się jego ukarania, lecz sędzią mógł być tylko król albo wyznaczeni przez niego urzędnicy.

Rajcowie odpowiedzieli na to, że liczne przestępstwa, jakich Marten się dopuścił, zostały popełnione w ich porcie lub na ich wodach terytorialnych. A zatem oni sami władni są go osądzić i skazać.

Spór toczył się do późnego wieczora, a przebieg dyskusji był tak gorący, że omal nie doszło do czynów gwałtownych ze strony krewkiego rotmistrza, który zapewne dobyłby szabli* gdyby go nie pohamował rozważniejszy i bardziej opanowany pan Weyher.

Ostatecznie rajcowie zgodzili się na arbitraż królewski w sprawie kompetencji sądu* lecz zastrzegli sobie przeprowadzenie śledztwa, i to bez przedstawiciela króla.

To zasadnicze ustępstwo nastąpiło za radą Schultza, który zresztą nie brał bezpośredniego udziału w pertraktacjach, tylko przysłuchiwał się im cierpliwie z ukrycia za kotarą osłaniającą drzwi. Gdy Bekesz z wielką swadą opowiadał o wojennych czynach Mśftena; Schultz zaniepokoił się wprawdzie ich wagą na szali sprawiedliwości, lecz pomyślał-także, iż zapalczywy rotmistrz zawczasu odkrywa swe najmocniejsze karty.

Pan Weyher widocznie był tegoż zdania, bo na próżno

usiłował mu przerwać, a wreszcie ze zniecierpliwieniem wrzucił ramionami. Sam posłużył się innym argumentem, który wywarł znacznie większe wrażenie. Przypomniał raj-

com sprawę ścięcia jedenastu kaperskich truxmanów w roku 1568 oraz jej konsekwencje. Niemal wszystkich członków Senatu dosięgła wówczas karząca ręka Zygmunta Augusta. Mogłoby się to powtórzyć i teraz, za Zygmunta III.

Tak, Weyher miał wiele racji. Wprawdzie nie można było porównać drobnych przekroczeń owych truxmanów ze zbrodnią popełnioną przez Martena, ale i jego zasługi w bitwie pod Kalmarem, i okoliczności, w jakich doszło do zabójstwa na osobie Gotharda Wedecke, mogły przemawiać za nim. Należało więc działać ostrożnie, zachowując wszelkie pozory legalności. Należało tak przygotować i przedstawić tę sprawę, aby właśnie sąd i wyrok królewski stał się ramieniem zemsty gdańskiego Senatu.

–Uczynię wszystko, aby do tego doprowadzić – oświadczył Schultz zatroskanym rajcom. – Pojadę do Warszawy. Dotrę do jego królewskiej mości. Przedstawię naszo krzywdy jego zaufanym doradcom. Udam się do ojców jezuitów. Uzyskam poparcie jego eminencji nuncjusza Malas-piny. Jeśli będzie trzeba, postaram się o taki skład

komisji sędziowskiej, który będzie nam przychylny. Bądźcie spokojni: moja w tym głowa, aby ten korsarz i niedowiarek dał gardło pod miecz katowski. Wasze głowy w tym, aby śledztwo ujawniło bezspornie i wyłącznie jego winę.

Na Holendrach ciągle jeszcze w wielkim napięciu oczekiwano przybycia Martena, nie wiedząc o jego pojmaniu, jakkolwiek i tu dotarły już pogłoski o bitwie stoczony pod Latarnią. Maria Francesca nie wątpiła, że to on właśnie wywołał tam jakąś awanturę, lecz ani ona, ani Anna von Helt-bark nie zdawały sobie sprawy z istoty owych zajść, nie znając ich szczegółów. Wieczorem jeden z dzierżawców przyniósł inną nowinę – o rzekomym napadzie zbójckim na podróżnych pod klasztorem cystersów na drodze do Oliwy.

Lecz ta wiadomość nie mogła przecież dotyczyć Martena.

Obie kobiety gubiły się w domysłach, ale ponieważ Marten nie zjawił się przed nocą, nie pozostało im nic innego, jak pójść spać zaryglowawszy uprzednio drzwi i okna i zabezpieczywszy je okiennicami.

Noc przeszła spokojnie. Domniemani zbójcy najwidoczniej nic nie wiedzieli o klejnotach seniority i pieniądzech jej przyjaciółki. Natomiast z rana przyjechał na Holendry Henryk Schułtz. Był chmurny i milczący nie tylko dlatego, że czuł głęboką urazę do Marii, lecz także dlatego, że nie miał pojęcia, jak dalece przejęła się losem Martena. Zaraz zresztą zorientował się, że nic pewnego jeszcze o tym nie wie, i postanowił nie zdradzać jej prawdy.

Była nadąsana i nie pytała go o nic, więc sam zaczął opowiadać, niezupełnie zgodnie z prawdą, że Marten uciekł z portu nie wiadomo dokąd i że pościg za „Zephyrem” nie udał się.

–Jest rzeczą pewną – dodał – że nie ma go ani w Pucku,

ani na Helu.

Zwracał się wyłącznie do Anny, dając w ten sposób do zrozumienia, że jego uczucia do Marii zostały zranione i że niełatwo się zabiżnią.

–Może w ogóle zrezygnował ze służby królewskiej i udał

się pod opiekę elektora albo przystał do Chrystiana duńskiego –

powiedział na pół do siebie, jakby rozważając ten domysł.

Spoglądał przy tym spod oka na senioritę, chcąc się przekonać, jakie to na niej uczyni wrażenie, lecz zawiódł się: Maria Francesca nie okazała najmniejszego zainteresowania tą sprawą.

Udaje albo coś wie – pomyślał. – Ale co? Tak czy owak powinienem ją ślad zabrać. Nie można przewidzieć, co jej strzeli do głowy, jeśli odkryje całą prawdę.

Postanowił zaryzykować. Obliznął końcem języka zaschłe wargi. Z obojętną miną oświadczył, że pilne i ważne interesy wzywają go do Warszawy; dziś jeszcze musi wyruszyć w drogę, aby przed nocą dotrzeć przynajmniej do Kwi' dzyna.

–Jeżeli trwacie w zamiarze towarzyszenia mi i Jeżeli

zdołacie zapakować się do południa, możecie jechać ze mną –

powiedział.

Te słowa wywarły wreszcie pożądane wrażenie. Anna i Maria spojrzały na siebie, a potem zaczęły mówić obie jednocześnie.

Naturalnie żądały zwłoki. Przynajmniej do następnego dnia. Nie były przygotowane na tak rychłą podróż. Nie odebrały jeszcze wszystkich sukien zamówionych w Gdańsku. Maria nie miała żadnego futra...

Henryk czekał na ten właśnie argument. Nie zmieniając wyrazu twarzy, sięgnął po pęk kluczy, wybrał z nich właściwy, podszedł do okutej srebrem skrzyni, otworzył ją i wydobył wspaniałą szubę z soboli.

–Pomyślałem o tym zawczasu ~ rzekł. – To dla ciebie.

Król Zygmunt III wysłuchawszy mszy w kolegiacie Sw. Jana wracał do zamku w licznej asyście panów i dworzan, mając po lewicy nuncjusza papieskiego, jego eminencję Ger-manika Malaspinę, którego zaprosił na śniadanie w ściślejszym gronie. Za nimi szedł nadworny kaznodzieja królewski, ksiądz rektor Piotr Skarga Pawęski, w towarzystwie innego jezuitę, byłego hiszpańskiego misjonarza, a później rezydenta Ciudad Hueda w Indiach Zachodnich, Pedra Alva-ro, który pełnił funkcję sekretarza politycznego przy nuncjuszu. Dalej postępowali Łukasz Opaliński i biskup krakowski, mając pomiędzy sobą czteroletniego królewicza Władę-

śława, niedawno osieroconego przez matkę, a w pewnym oddaleniu szła reszta orszaku.

Pochód posuwał się wolno, z powagą, krytym gankiem przerzuconym nad Dziekanią i łączącym pokoje zamkowe z kościołem. Król prowadził ożywioną, lecz cichą rozmowę z nuncjuszem, przystawał, marszczył brwi, zdawał się coś rozważać czy też wahać się przed powzięciem decyzji, o którą nalegał Malaspina.

Alvaro, widocznie bardzo ciekaw tej rozmowy, pilnie nadstawiał ucha. Niewiele mógł z niej wyrozumieć, lecz jego wytężony słuch pochwycił kilka słów i nazwisk, których

oczekiwał. Mówiono o kompetencjach sądów – grodzkich, potocznych i trybunalskich, a także wójtowskich, czyli radzieckich, które rozpatrywały sprawy nieszlacheckie. Raz po raz padały nazwiska Martena, Schultza, Weyhera, rajców i ławników gdańskich. Król potrząsał głową, jakby nie zgadzał się ze zdaniem nuncjusza.

–Wyślemy tam na kondescencję * dwóch delegatów trybunału z Piotrkowa – powiedział głośniej. – Ten człowiek nie ma wprawdzie indygenatu polskiego, ale bądź co bądź jest szlachcicem. Weyher i Bekesz nie mogą się na-chwalić jego waleczności i odwagi.

–A jednak nie tylko w służbie waszej królewskiej mości okazał się mordercą i gwałtownikiem – odrzekł Malaspina. – Alvaro był niegdyś więźniem Martena. Gotów jest świadczyć o jego pirackich rozbojach, o napadach na katolickie "miasta i rzeziach, o bezczeszczeniu kościołów pańskich, o przymierzach z bałwochwalcami, o tym, jak kumał się z diabłem i używał czarów przeciw rycerzom chrześcijańskim...

Uniósł się tak, że zabrakło mu tchu. Odkaslnął i znów zniżył głos.

–Gdańsk oplakuje Jednego ze swych najlepszych synów – mówił dalej. – Zasłużonego obywatela z wysokiego rodu, który stanął w obronie praw tego miasta. Jego morderca niewart Jest pobłażania* a wasza królewska mość powinienes przyczynić* się do surowej kary, jeśli nie chcesz nowego zatargu z rajcami, którzy dali dowód szczególnej lojalności zwracając się do swego monarchy, zanim jeszcze osądzili zbrodniarza.

–To prawda – odrzekł Zygmunt. – Lecz ów Kuna czy też Marten, jak go nazywają, jest moim kaprem. Dlatego do mnie należy ostatnie słowo, nie zaś do gdańskiego sądu. Chcę mieć dokładne sprawozdanie z tego procesu. Niechże w nim wezmą udział asesorowie trybunału Rzeczypospolitej.

Malaspina dał za wygraną. Czuł, że na razie nie uzyska nic więcej, a to kompromisowe rozstrzygnięcie sporu o właściwość jurysdykcji zdało mu się do przyjęcia.

Zaczął mówić o czymś innym, lecz znalazłszy się na pokojach, gdzie kilku senatorów i dygnitarzy oczekiwało, aby powitać króla, skorzystał z wolnej chwili podszedł do swego sekretarza i w kilku zdaniach powiadomił go o decyzji Zygmunta.

–Trzeba teraz użyć naszych wpływów na panów na

dwornego marszałka koronnego i podkomorzego warszawskiego,

aby doradzili królowi wysłanie do Gdańska na kondescencję

deputatów duchownych, nie świeckich – rzekł. – ~Jego królewska

mość bardzo sobie ceni ich zdanie, a zwłaszcza panu Zygmuntowi

Opackiemu we wszystkim bywa powolny. Trzeba też będzie

dopilnować tej sprawy u instygatora * koronnego, a także w

Piotrkowie u trybunału, aby wybrano asesorów po naszej myśli.

Pedro Alvaro z szacunkiem skłonił głowę.

–Jeśli wasza eminencja pozwoli, zaraz się tym zaj[^] mę -r-powiedział.

–Dobrze – odrzekł nuncjusz. – Działaj z pomocą boską ostrożnie i rozważnie.

Naradźcie się z księdzem rektorem Pawęskim nad pozyskaniem prezesa trybunału. Niech cię Bóg prowadzi – uczynił znak krzyża.

Henryk Schultz dopiął swego. Jego zabiegi w Warszawie zostały zakończone pomyślnie. Sąd nad Janem Kuną miał się odbyć w Gdańsku z udziałem delegatów trybunału *koronnego* z Piotrkowa, którym jednak przypadła tylko rola obserwatorów z głosem doradczym, bez prawa woto-wania.

Król zapewnił sobie w ten sposób wgląd w przebieg procesu i zastrzegł, że wyrok nie może być wykonany bez jego zatwierdzenia, lecz zdaniem ojca Alvaro były to zastrzeżenia raczej natury prestiżowej niż merytorycznej.

Schultz wiedział, że starosta pucki i Bekesz spotkali się z chłodnym przyjęciem u króla. Wytknięto im, że wstawiają się za bezbożnikiem i mordercą, którego sumienie obciąża śmierć nie tylko zacnego obywatela gdańskiego, Gotharda Wedecke, lecz również setek lub nawet tysięcy dobrych katolików Hiszpanów poległych i potopionych w Indiach Zachodnich oraz w bitwach staczanych przez Martena pod sztandarami heretyckich władców. Opinia dworu też była przeciw Martenowi nie tylko król jegomość zaciągał pożyczki od gdańskich kupców i bankierów...

Ponieważ rozprawa sądowa miała się odbyć jeszcze przed końcem stycznia, Schultz musiał jak najprędzej wracać do Gdańska. Ale Maria Fraucesca i Anna nie chciały nawet słyszeć ó powrocie. Przeciwnie, wysłały już po resztę

s[^]ych rzeczy i zamierzały stanowczo pozostać w Warszawie aż do Wielkiego Postu.

Mimo trwającej jeszcze żałoby dworskiej po zgonie królowej, w pałacach magnatów odbywały się zabawy zapustne i nawet tańce. O wiele huczniej i swobodniej bawiono się na wsi, po majątkach bogatej szlachty i w dobrach wiel-kopańskich, u Kazanowskich i Radziejowskich, u Sobieskich, Godebskich i Milanowskich.

Polowania, bale, reduty, kuligi i maskarady przeciągały się po kilka dni, przenosiły się wraz z gośćmi z dworu do dworu i z pałacu do pałacu. Anna von Heltbark bez wielkiego zachodu odnowiła dawne znajomości, mianowała señoritę de Vizella swą wychowanicą i jako dama dworu królowej Bony, za protekcją podkomorzego warszawskiego, Zygmunta Opackiego, który był jej powinowatym, została dopuszczona do najwyższego towarzystwa. Jej dowcip, ogłada i znajomość obcych języków na równi z urodą i wdziękiem Marii Franceski otworzyły przed nimi drzwi magnackich salonów, a cały rój wielbicieli otaczał señoritę.

Schultza bardzo to niepokoiło, zwłaszcza że jego kieszeń dość już ucierpiała od wydatków, a Maria prosiła go o nową, znaczną „pożyczkę”. Lecz nie miał czasu na zwalczanie kobiecego uporu. Pomyślał nawet, że będzie lepiej, jeśli obie kobiety wrócą do Gdańska dopiero po wykonaniu wyroku, jakiego się spodziewał.

Uległ więc. Obiecał dopilnować wysyłki kufrów, wręczył Marii ciężki mieszek dukatów i z jeszcze cięższym sercem wszedł do ogromnych safl pocztowych, wyrażając nadzieję, że Maria będzie mu wierna i że w środę popielcową ujrzy ją w Gdańsku.

Tymczasem Marten wciąż przebywał w areszcie, z tą różnicą, że otrzymał osobną, suchą i dość widną celę oraz

że dopuszczono do niego lekarza, który zmieniał mu opatrunki. Rany odniesione w bójce pod Oliwą nie były zresztą ciężkie i goiły się szybko. Niewiele się o nie troszczył. Natomiast doskwierała mu beczynność, przerywana jedynie ustawicznymi przesłuchaniami. Prowadzono go pod silną strażą do sędziego śledczego, pana Joachima Straussa, który siedział za wysokim pulpitem w towarzystwie dwu ławników i sekretarza, po czym zaczynały padać ciągle te same, powtarzające się pytania. Marten z początku zbywał je milczeniem; w najlepszym razie potakiwał lub zaprzeczał. Ale komisję śledczą cechowała chwalebna cierpliwość i wytrwałość w dążeniu do wykrycia prawdy w imię sprawiedliwości. Wytrwałość właściwa ludziom, którzy zastawiają prawnicze sidła i pułapki, mając pewność, że sami nie będą nigdy narażeni na ich śmiertelny uchwyt.

Jan Kuna nie znał się na podstępach prawa karnego. Po kilku dniach zaczął mówić. Unosił się, drwił, groził, wygłaszał poglądy, które skrętnie zapisywano do aktów sprawy.

Gdy z Piotrkowa przybyli dwaj duchowni deputaci trybunalscy, jeden z nich zapytał go między innymi, czy uciekał się do czarów albo do pomocy szatana walcząc ze swymi wrogami.

Marten roześmiał się i wzruszył ramionami. Oświadczył, że nie wierzy ani w czary, ani w istnienie takiego diabła, który by mu chciał pomagać.

–To źle – rzekł asesor. – Kościół, matka nasza; do puszcza opętanie, a święta inkwizycja pali czarowników i czarownice na stosach. Zatem niewiara w czary stanowi zaprzeczenie naukom Kościoła.

Zapytano go również, czym się kierował wstępując na służbę królowej Elżbiety i dlaczego walczył przeciw Hiszpanom.

–Byłem i jestem korsarzem ~~ odrzekł. To moje rzemiosło.

–Wiemy o tym – powiedział asesor. ~ Chcemy jednak poznać pobudki waszego postępowania.

Marten pomyślał o swych burzliwych losach..o śmierci matki i brata. O Elzie Lengen, którą zamordowali hiszpańscy żołdacy. O romantycznych przygodach w państwie Araa-ha, którego bronił przed przemocą najeźdźców. O zdradzie Enriagueza de Soto w zatoce Tampico. O rzezi w Nahua. O utraconej miłości Iniki, córki Quiche-Mędrca. O tehórzow-skich i podstępnych czynach Blasco de Ramireza i Lorenza Zapaty...

Zaiste miał dość powodów, aby walczyć przeciw Hiszpanom, lec? nie zamierzał ich tu wyłuszczać.

–Nie zastanawiałem się nad nimi – odrzekł.

–Szkoda – westchnął asesor. – Każdy chrześcijanin powinien zastanawiać się nad pobudkami swych poczynań. Tak zalecają wszyscy doktorzy Kościoła, matki naszej.

.– A może wam te zalecenia wydają się zbędne? ~ zapytał drugi z deputatów.

Marten zawahał się; pytanie było podstępne.

–Nie jestem teologiem ~ powiedział. – ~ Moja wiedza w tych rzeczach jest zbyt ograniczona, abym mógł o nich sądzić i wygłaszać swoje mniemania.

Zażądał przydzielenia sobie patrona oraz dopuszczenia do rozmowy z panem Janem Weyherem i rotmistrzem Władysławem Bekeszem.

Sędzia śledczy przychylił się tylko do pierwszego z tych wniosków. Weyher i Bekesz mieli występować jako świadkowie obrony, nie można więc było zezwolić na ich porozumiewanie się z oskarżonym przed zapadnięciem wyroku.

Ze znalezieniem patrona było sporo kłopotu. Żaden z gdańskich palestrantów nie chciał narazić się Senatowi broniąc mordercę Wedeckiego. Podjął się wreszcie tej obrony niejaki Cyprian Baczyński z Torunia, pośledni prawnik, mający niewielką praktykę wśród drobnych przestępców z pospólstwa.

Proces rozpoczął się dwudziestego dziewiątego stycznia roku 1599. Pierwszy zabrał głos instygator i w długim wywodzie wykazał, że Jan Kuna, zwany Martenem, a także kawalerem de Marten, najpierw bez żadnego słusznego powodu, grożąc użyciem siły, wdarł się wieczorem ze swym okrętem do basenu pod Starą Latarnią, nie trzymając się przy tym przepisów wejścia i wyjścia z portu, a następnie uszedł stamtąd o świcie nie tłumacząc się władzom miejscowym i nie opłaciwszy kar przewidzianych za to przekroczenie. Ścigany z tego powodu przez okręt strażniczy „Jowisz”, nie usłuchał wezwań do poddania się, a gdy wystrzelono ostrzegawczą salwę, opanował go abordażem, na czele swych ludzi wtargnął na jego pokład i okrutnie zamordował bezbronny hafnenmeistera Gotharda Wedecke, który się tam znajdował, po czym kazał nagię jego zwłoki powiesić na rei. Wreszcie zmusił całą załogę „Jowisza” do opuszczenia okrętu, wziął go na hol i wpędził na Wisłę, a następnie przy użyciu czarów skierował aż do portu na Motławie, gdzie ów okręt rozbił się na Długim Pobrzeżu uszkodziwszy przedtem kilka barek i innych statków.

Na poparcie oskarżenia instygator przedstawił wyniki śledztwa i zażądał przesłuchania około dwudziestu świadków.

Po nim przemawiał delator ze strony pana Zygfryda Wedecke, popierając oskarżenie w osobnym wywodzie. Jego mowa, pełna patetycznych wykrzykników i frazesów, była popisem oratorskim na cześć zamordowanego, a także miała wzruszyć sędziów i wszystkich słuchaczy losem starego ojca, który stracił jedyną podporę swej starości.

Patron Martena ograniczył się do sprostowania niektórych przeinaczeń oskarżenia i żądał powołania kilku świadków n.a te okoliczności, rezerwując sobie główną mowę obrończą na później.

W drugim i trzecim dniu rozprawy przesłuchiowano świadków wskazanych przez instygatora i delatora, a w trzecim – jedynie panów Weyhera i Bekesza, gdyż pozostałych spośród załogi „Zephyra” sąd nie dopuścił z powodu rzekomej ich stronnictwa, jako podwładnych. Martena. Ta jawna niesprawiedliwość spotkała się z protestem imię Baczyńskiego, lecz protest został przez sąd odrzucony.

Niemalą sensację wśród obecnych wywołały zeznania hiszpańskiego jezuita ojca Alvaro, osobistego i politycznego sekretarza jego eminencji nuncjusza papieskiego Malaspiny. ów Hiszpan twierdził, że w roku 1581 został porwany przez Martena ze statku, na którym odbywał podróż z Ciudad Rueda do Veracruz w Indiach Zachodnich. Marten dwa lata trzymał go w niewoli w kraju Amaha, którego pogańskim władcą był niejaki Quiche, zwany Mędrce. Córka owego kacyka do tego stopnia opętała Martena, że chciał pojąć ją za żonę, a choć z początku nie wzbraniał Alvarowi działalności misjonarskiej wśród tubylców, to przeciw fortyfikując ich stolicę, Nahua, kazał wznieść pomiędzy bateriami dział kamienny posąg wstrętnego bożka, Tialoka, któremu składano bodaj nawet krwawe ofiary.

Dalej Pedro Alvaro zeznał, iż Marten przez lat osiem- -naście szczególnie dawał się we znaki katolickim miastom w Indiach Zachodnich i w Europie oraz statkom i okrętom hiszpańskim, posługując się przy tym bądź pomocą diabelską, bądź czarami chroniącymi go od wszelkich ran. Zważywszy, że był synem czarownicy i że wśród pogan wydoskonalił się w sztuce odziedziczonej po matce – dowodził światły jezuita – należy uznać go winnym kumania się z diabłem przeciw Kościołowi i wszystkim wiernym. Ostatnim dowodem tej winy jest choćby fakt stwierdzony przez tysiące ludzi, że okręt „Jowisz” bez załogi, a tylko za sprawą

czarów przebył drogę od Latarni po Długie Pobrzeże, tak jak Marten mu nakazał.

Co się tyczy panów starosty puckiego Jana Weyhera i rotmistrza Władysława Bekesza, wydali oni Martenowi jak najlepszą opinię, podnosząc jego nadzwyczajne zasługi wojenne i wskazując, że nie on pierwszy zaatakował „Jowisza”, lecz przeciwnie, unikał z nim starcia, choć sam został ostrzelany bez żadnego uprzedzenia. Dopiero gdy Gothard We-decke wystrzałem z pistoletu zabił mu sternika, bardzo dzielnego młodzieńca, Stefana Grabińskiego, uniósł się takim żalem i gniewem, że chcąc porwać hafenmeistra i przytrzymać go Jako zabójcę schwytanego na gorącym uczynku, dopuścił w tumultie do jego zamordowania.

Podobnie przemawiał patron Martena, imię Baczyński, przytaczając dodatkowo szereg argumentów na usprawiedliwienie jego czynów, po czym nastąpiły repliki instygatora i delatora oraz duplika obrony.

Piątego dnia nadzwyczajnej sesji sądowej zapadł wyrok. Jan Kuna zwany Martenem został uznany winnym zarzucanych mu przestępstw i zbrodni oraz skazany na śmierć przez ścięcie mieczem, przy czym jego mienie miało ulec konfiskacie na zaspokojenie pretensji Senatu i Zygfrйда Wedecke z powództwa cywilnego.

W dwa tygodnie później z kancelarii królewskiej i trybunalskiej nadeszły pisma nie zgłaszające sprzeciwu i odrzucające apelację wniesioną przez patrona. Wyrok stał się prawomocny.

W poniedziałek dwudziestego czwartego lutego ogromne tłumy zgromadziły się na Długim Pobrzeżu, na Ołowiance, gdzie rozpoczęto budowę królewskich spichrzów, pomiędzy Kamienną Groblą a prawym brzegiem Motławy aż do Zielonego Mostu, który zamknięto przed naporem gawiedzi.

a przede wszystkim na Długim Targu, gdzie na wprost Zielonej Bramy ustawiono zbite z desek teatrum, czyli podwyższenie dla dokonania egzekucji. Silne oddziały zaciężnego wojska, żołnierzy z Latarni i straży miejskiej utrzymywały porządek, utworzyły kordon dokoła miejsca kaźni i rozciągnęły się podwójnym szpalerem od Żurawia aż po Zielony Most. W oknach Zielonej Bramy od strony Długiego Targu zasiedli znaczniejsi mieszczanie, ławnicy, urzędnicy i ich rodziny. We wszystkich oknach domów prywatnych dokoła placu widać było wychylające się głowy ich mieszkańców. Na chodnikach, na stopniach Ratusza i Dwom Artusa tłoczyło się pospólstwo.

O godzinie dziesiątej przybyli rajcowie z burmistrzem i panem Zygfrydem Wedecke, a zaraz potem u Panny Marii odezwał się dzwon. Bił po jednym uderzeniu, z długimi przerwami, na znak żałoby po hafenmeistrze i aby uprzytomnić jego zabójcy że zbliża się ku śmierci.

Jednocześnie od Świętojańskiej Długim Pobrzeżem ruszył posępny, milczący pochód, niczym kondukt pogrzebowy. Na jego czele szli trzej dobosze wygrywając w przerwach pomiędzy jednym a drugim uderzeniem dzwonu powolne, jednostajne werble na bębnach. Za nimi, pod strażą dziesięciu pachołków zbrojnych w czekany lub halabardy, postępował zakuty w kajdany skazaniec w towarzystwie księdza kapucyna. Był odziany strojnie i bogato, jak udzielny książę. Spoglądał dumnie, ze wzniesioną głową, a nawet uśmiechał się drwiąco. Dalej kroczyli zgodnie obok siebie instygator, który go oskarżał, patron, który go bronił, delator, sędzia śledczy Joachim Strauss i kilku innych członków palestry, a także naczelnik więzienia i dwaj jego urzędnicy. Wreszcie – pan burgraf Eryk von Sasse, kapitanowie Fryderyk Diinne i Wichmań, a za nimi rota żołnierzy i tłum, który przerywał szpaler i zwierzał się tuż po przejściu, tego orszaku, prąc za nim.

Na przyczółku mostowym przed Zieloną Bramą wynikło krótkie zamieszanie, ponieważ Marten, który dotąd nie stawiał najmniejszego oporu, zatrzymał się nagle, jakby nogi wrosły mu w ziemię. Stał i patrzył poprzez puste przejście pod sklepieniem bramy na Długi Targ zapchany tłumem.

Tymczasem dobosze oddalili się o kilkanaście kroków, a większa część straży podążyła za nimi, tak że przy ska-zańcu pozostało tylko dwóch pachołków z czekanami i zakonnik.

Zniecierpliwiony tłum napierał z tyłu, więc dowódca roty zamykającej orszak zatrzymał swoich żołnierzy i kazał im odepchnąć tłoczącą się gawieź, przy czym

omal nie doszło do bójki. Marten zaś, nieświadom tego, co się działo za jego plecami, nie ruszał się z miejsca. Zaniepokojony kapucyn pociągnął go za rękaw.

Idźmy, bracie – powiedział. ~ Nikt nie ujdzie swemu przeznaczeniu.

Marten spojrzał na niego i potrząsnął głową.

–Zdaje się, ojcze, że macie rację – odrzekł. – Nie przyszło mi to do głowy ani w Hadze, ani tym bardziej w La Roehelle, choć już tam dane mi było wiedzieć to, co ma się tu stać dopiero teraz. No cóż, chodźmy. Beze mnie się to nie obejdzie, niestety...

Ruszył znów żwawo naprzód, tak że zdziwiony zakonnik, który nic z jego słów nie rozumiał, ledwie mógł za nim nadążyć.

Minęli bramę i weszli na plac. Gwar przycichł, a gdy dobosze wraz ze strażą ustawili się pod rusztowaniem i Marten zaczął wolno wstępować na tealrum, zapadło głuche milczenie.

Kat w czerwonym kaftanie zbliżył się do skazańca chcąc mu wdziąć śmiertelną koszulę i zawiązać oczy, ale Marten odmówił. Odpiął natomiast sakiewkę od pasa i dzwoniąc łańcuchem od kajdan, podał mu ją ze słowami:

–Tnij tylko raz, ale mocno, abyś nie musiał poprawiać.

Rozejrzał się następnie po zatłoczonych oknach dokoła, po tłumie pospólstwa, jakby szukał tam czyjejś postaci. Nic widząc jej, już miał się odwrócić, gdy jakaś zapłakana kobieta, stojąca w pierwszym szeregu widzów, uniosła rękę. Jakby chcąc zwrócić na siebie jego uwagę czy też dać mu znak pożegnania. Była w żałobie, miała jasne włosy wymykające się spod aksamitnego czepeczka i bladą, pociągłą twarz. podobną do boleściwej twarzy Madonny.

Nie poznał jej, w czym nie było nic dziwnego, ponieważ nie widzieli się od lat dwudziestu pięciu. Mimo to uśmiechnął się do niej i odpowiedział skinieniem głowy. Poczul się wzruszony, że ktoś go żegna.

Spojrzał jeszcze w niebo, po którym płynęły niewielkie białe obłoki, i ukląkł na oba kolana przed niskim pieńkiem. Kapucyn podał mu do ucałowania czarny krzyż z odlanym w srebrze wyobrażeniem Chrystusa, po czym cofnął się i zaczął odmawiać Requiem.

Marten pochylił głowę, a kat zamachnął się i z całej siły ciął go przez kark, aż ta dumna, gorąca głowa odskoczyła od tułowia i spadła do przygotowanego kosza, a krew chlusnęła na szafot.

Westchnienie grozy jak poszum wielkiej fali przeszło przez tłum. Kobieta w czerni

osunęła się na ziemię zemdlona. Gdy ją ocucono w sieni pobliskiego domu, wyszło na jaw, że nazywa się Jadwiga Grabińska i mieszka tuż blisko, przy ulicy Powroźniczej. Litościwi ludzie chcieli ją tam odprowadzić, lecz podziękowała im. Odzyskawszy nieco sił, udała się do Ratusza, aby za protekcją swego dobroczyńcy i chlebodawcy, pana Henryka Schultza, otrzymać zezwolenie na odbiór zwłok Martena i na sprawienie im chrześcijańskiego pogrzebu.

Henryk Schultz nie odmówił tej przysługi biednej wdowie po buntowniku Janie z Grabin, która niedawno straciła jedyne go syna i została sama na świecie. Zastrzegł się tylko, aby zwłoki mordercy zostały pochowane bez rozgłosu.

Tak się też stało. W asyście tylko jednego księdza złożono je do grobu tuż obok mogiły Stefana Grabińskiego, a za trumną z kostnicy miejskiej na cmentarz szła tylko ona.

Wkrótce potem zdarzył się dość tajemniczy wypadek. Zgodnie z postanowieniami sądu okręt korsarski „Zephyr” 1 jeszcze przed wykonaniem egzekucji miał być przyholowany z Pucka do Gdańska i sprzedany na licytacji publicznej. Nowy hafeumeister, pan Eryk von Sasse, użył do tego celu trzech balingerów portowych. Lecz gdy wśród zatorów zamarzającej kry zdołano z trudem przyholować „Zephyra” na redę, chwycił tak silny mróz, że cała Weichseltiefe pokryła się lodem i okręt uwiązł w nim na dobre, a balingery ledwie dotarły do Latarni.

Opuszczony, samotny i niedostępny stał przez tydzień pośrodku głębi w oczekiwaniu na odwilż. Ale mróz trzymał, licytacja miała się odbyć nazajutrz, a Senat nie zamierzał odłożyć jej terminu. Kilku armatorów, którzy mieli nadzieję nabyć galeon, odstąpiło wobec tego od przetargu, pozostał jednak najbardziej zdecydowany z nich, pan Henryk Schultz, który kupił go za bezcen.

Nie cieszył się jednak długo tym nabytkiem. Już następnej nocy z niewytłumaczonej przyczyny na okręcie wybuchł pożar. Strawiwszy pokład oraz oba kasztele, ogień dostał się do prochowni, gdzie nastąpił wybuch, a szczątki „Zephyra” poszły na dno.

Powszechnie przypisywano to zdarzenie potędze czarów, jakie Marten tuż przed śmiercią rzucił na swój wierny okręt. Lecz gdy w parę tygodni później lody puściły i morze wyrzu-

ciło na brzeg zwłoki jakiegoś marynarza, przy którym znaleziono dwie pary ciężkich noży, jakich niekiedy używano do rzucania na odległość, pan Schultz obejrzawszy je domyślił się, kto był sprawcą pożaru „Zephyra”.

Przeprowadzony przez niego wywiad zdawał się potwierdzać ów domysł. Spośród członków załogi korsarskiego okrętu tylko dwaj ludzie nie zaciągnęli się na służbę we flocie podległej panu Weyherowi. Jednym z nich był stary cieśla „Zephyra”, Broer

Worst, który postanowił wrócić do Rotter-damuj skąd pochodził. Drugim – Żaglomistrz, Herman Stauffl, który znikł bez śladu...

Strata okrętu bardzo dotknęła Henryka Schultza. Odczuł ją jak nie zasłużoną krzywdę, i to krzywdę moralną. W jego marzeniach, którym się oddawał od lat dziecinnych i które z takim powodzeniem stopniowo realizował, posiadanie „Zephyra” miało niejako symboliczne znaczenie. Byłoby nagrodą za liczne wyrzeczenia, spełnieniem jednej z niewielu zachcianek leżących na uboczu drogi, którą obrał. Widać nie wolno mu było z niej zbaczać... Opatrzność przeznaczyła mu jedynie praktyczne, materialne sukcesy. Musiał się pogodzić z jej wyrokiem.

Ledwo się otrząsnął z żalu, spotkał go nowy cios. W ostatnim tygodniu zapustnym seniorita Maria Francesca de Vizella zawarła związek małżeński z jaśnie wielmożnym Stanisławem Opackim, starostą pułtuskim, i udała się z nim w podróż do Hiszpanii.

Schultz był tak przybity tą wiadomością, że wyjechał z Gdańska i zamknął się w swoim opuszczonym dworku na Holendrach. Spędził tam trzy dni w zgryzocie i na rozmyślaniach, które doprowadziły go w końcu do podobnych wniosków, Jak strata „Zephyra”. Opatrzność czuwała nad nim, nie pozwoliła mu zbłądzić na manowce i skierowała jego kroki z powrotem na drogę cnoty. Ukorzył się w swym sercu, a pragnąc dać wyraz tej skruszce, ofiarował dom i całą posiadłość na Holendrach – owo siedlisko grzechu i występ? ku – zakonowi braci dominikanów na sierociniec.

Był to zaiste dobry chrześcijański uczynek, coś zgoła niecodziennego w kraju katolickim.

Zakopane – Kraków 1956-1958

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-15

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/